Egz. archiwalny

PRZY STOLE „ŚLĄSKA" - DYSKUSJA O KULTURZE

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

INFORMATOR WOJEWÓDZKI KULTURALNY

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

Biblioteka Śląska EO

Nr 1 (123) • ROK XII • STYCZEŃ 2006

CENA 5 ZŁ (w tym 0% VAT)

ISSN 1425-3917 01 > 9 771425 391608

TADEUSZ RÓŻEWICZ - Kartki z dziennika gliwickiego

Portret rodzinny: KRYSTYNA i ANDRZEJ BOCHENKOWIE

Rozmowa z prof. ANDRZEJEM BARCZAKIEM

ALICJA BADETKO: Zdążyć przed złomiarzami

WITOLD TURANT: Katechizm dla błyskotliwych

Wiersze: JOHN GUZLOWSKI, MICHAŁ JAGIEŁŁO, EDMUND WOJNAROWSKI

FELIKS NETZ: Obrachunki noworoczne



Zdjęcia: Zbigniew Sawicz





Wielka gala z okazji 10. lecia miesięcznika „Śląsk" odbyła się 29 listopada 2005 r. w Muzeum Śląskim w Katowicach. Tę oficjalną uroczystość zaszczycili swą obecnością nasi mecenasi i sponsorzy, wybitni twórcy i artyści, reprezentanci świata nauki i przedstawiciele instytucji kultury, a także przyjaciele i sympatycy oraz liczne grono współpracowników. Niezwykły klimat spotkania tworzyła wspaniała goszcząca właśnie w salach Muzeum wystawa pt. „Polscy Monachijczycy".

Na zdjęciu (u góry):
Gospodarz spotkania, redaktor naczelny „Śląska" Tadeusz Kijonka wita oficjalnych gości, wśród których byli (od lewej):
marszałek województwa śląskiego Michał Czarski, prezydent Katowic Piotr Uszok, wiceprezydent Katowic Grażyna Szołtysik, dr Łucja Ginko – dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Marszałkowskiego, konsul generalny Republiki Czeskiej Josef Byrtus i przewodniczący Zarządu Województwa Śląskiego Zbigniew Wieczorek.

Poniżej: Sala wystawowa Muzeum Śląskiego z ledwością pomieściła wszystkich przybyłych na 10. lecie „Śląska" gości.

Drodzy Czytelnicy i Przyjaciele!
Niech Nowy 2006 rok przyniesie Wam same dobre, pełne pozytywnych myśli dni, niech spełnią się wszystkie, nawet najskrytsze marzenia

Zespół redakcyjny „Śląska"



12 grudnia 2005 roku w Bibliotece Śląskiej odbyła się konferencja zatytułowana: „Stan – wyzwania – perspektywy kultury w województwie śląskim" zorganizowana przez miesięcznik „Śląsk" i Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach. W specjalnym jubileuszowym dodatku tego wydania publikujemy tekst wystąpienia Tadeusza Kijonki pt. „7 lat po Kongresie Kultury na Górnym Śląsku" oraz omawiamy przebieg debaty Przy stole »Śląska«. Prezentujemy także relację i fotoreportaż z rocznicowego spotkania w Muzeum Śląskim.

EO-06/1085/24

Egz. archiwalny

Biblioteka Śląska EO

20,00

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Nr 1 (123). Rok XII. STYCZEŃ 2006 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE W KATOWICACH
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, Tel. 032-253-62-21
e-mail: slask@neostrada.pl
www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny

FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego

WIESŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny

BARBARA GRUSZKA-ZYCH
dział krytyki

BOGDAN WIDERA
dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny

MIROSŁAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

ANNA STRUMIŁOWSKA
IRENA FALKIN-SIBIGA
korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 206-82-71.

DTP: STP „KorGraf", 40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12, tel. 032-354-09-88, 032-781-06-48

Druk: PW „Tolek"
DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW. ul. Żwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: – poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU" – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłat należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk", PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł., półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 0% VAT).

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

W NUMERZE:

Jerzy Szkurłatowicz **SKĄD NASZ RÓD?** ... 3
Feliks Netz **OBRACHUNKI NOWOROCZNE** ... 4
Rozmowa z prof. Andrzejem Barczakiem **WIELE POMYSŁÓW NA ŚLĄSK** ... 6
Wiesław Kosterski **KILKA LAT PO...** ... 8
Rozmowa z Krystyną i Andrzejem Bochenkami **TO, ŻE JESTEŚMY ŚLĄZAKAMI, PODWYŻSZA NASZĄ WARTOŚĆ** ... 11
Tadeusz Różewicz **JAK SIĘ RODZIŁA MOJA POETYKA?** (Kartki z gliwickiego dziennika) ... 17
Rozmowa z Aleksandrem Trzaską **MIKROFON ZA CAŁOKSZTAŁT** ... 24
John Guzlowski **WIERSZE** ... 26
Tadeusz Kijonka **TESTAMENT ADAMA DIDURA** ... 28
Alicja Badetko **ZDĄŻYĆ PRZED ZŁOMIARZAMI** ... 30
Michał Jagiełło **WIERSZE** ... 34
Henryk Szczepański **NAMIĘTNOŚCI PANI SĘDZINY** ... 36
Witold Turant **KATECHIZM DLA BŁYSKOTLIWYCH** ... 40
Rozmowa ze Stanisławem Golą **EROZJA EROSA STADION MENTALNOŚCI** ... 42
Łukasz Sojka **ROCK' N' ROLL** ... 44
Joanna Storczewska-Segieta **STADIONY MENTALNOŚCI** ... 45
Joanna Storczewska-Segieta **ŁYŻECZKA NA STOLE** ... 46
Agnieszka Nęcka **PODĄŻAJĄC KU WIECZNOŚCI...** ... 47
Edmund Wojnarowski **WIERSZE** ... 50
Bogdan Widera **TWORZENIE PRAWA W II RZECZYPOSPOLITEJ** ... 52
Zdzisław Janeczek **POCZET DOWÓDCÓW POWSTAŃ ŚLĄSKICH: KAROL GAJDZIK** ... 53
DOKUMENTY PRAWDA O ŚLĄSKIM WRZEŚNIU 1939 (2) ... 54
Edward Szopa **CYNOBROWY KAPELUSZ EDWARDA INGLOTA** ... 62
Jarosław Starzyk **WYSPA JEDNOROŻCÓW** ... 65
Jolanta Ogińska **ODZYSKANA SALA** ... 66
Magdalena Boczkowska **ZAGŁĘBIOWSKA MOZAIKA KULTURY** ... 67
Ryszard Jasnorzewski **MASZYNA DO UMIERANIA** ... 80
WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY ... 81
10 LAT „ŚLĄSKA"
Tadeusz Kijonka **7 LAT PO KONGRESIE KULTURY NA GÓRNYM ŚLĄSKU** ... 96
Wiesława Konopelska **PRZY STOLE „ŚLĄSKA"** ... 100
DZIESIĘĆ UDERZEŃ W GONG ... 104
ŚLĄSKI MIESIĄC ... 2
PEJZAŻ MITOLOGICZNY
Antoni Halor **NIEZWYKŁE MAUZOLEUM** ... 32
NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański **ROZDAWNICTWO I GODNOŚCIOWA BIEDA** ... 33
POZA KADREM
Feliks Netz **„36"** ... 39
EKOLOGIA
Jolanta Matiakowska **EKOŚWIADOMOŚĆ...** ... 58
Rosmowa z dr. hab. Piotrem Skubałą **WYMIERANIE** ... 59
PODKOPKI ... 60
TEATR
Maria Sztuka **OBUDZILI SZALONE EMOCJE** ... 68
PRZEGLĄD TWÓRCZOŚCI
Krzysztof Karwat **3 X KUTZ - TEATR, TELEWIZJA, FILM** ... 69
Marcin Hałaś **KOPCIUSZEK Z BRODWAY'U** ... 70
Magdalena Dziadek **MIĘDZY NUTAMI** ... 71
KSIĄŻKI
Magdalena Boczkowska **SZCZĘŚLIWA TRZYNASTKA** ... 72
Bożena Szałasta-Rogowska **JĘZYKOWE ŚWIATY LITERACKIE** ... 72
Agnieszka Nęcka **DYSKURS I HISTORIE ANDRZEJA SZCZYPIORSKIEGO** ... 73
Danuta Lubina-Cipińska **MODLITWA DO PŁATKÓW RÓŻY** ... 74
Krzysztof Karwat **SZEWCZYKOWE KATOWICE** ... 75
Eryk Ostrowski **W RYTMIE SKARGI** ... 76
Włodzimierz Wójcik **TRZY TEATRY** ... 77
NOTY ... 78
ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA
Jan Miodek **ŚLĄSKI PRÓSZKÓW I INNE PRUSZKOWY** ... 79
NOTATNIKI KULTURALNE
Wiesława Konopelska **KATOWICE** ... 90
Jan Picheta **BIELSKO** ... 92
Elżbieta Kot **CZĘSTOCHOWA** ... 93
Marek Świercz **OPOLE** ... 94
Jacek Sikora **ZAOLZIE** ... 95

Pismo wspierane finansowo przez ZARZĄD WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

oraz dotowane przez URZĄD MIASTA KATOWICE

i MINISTERSTWO KULTURY

W kolorze:
● Edward Inglot - malarstwo, rysunek (str. A) ● Plener malarski „Impresje Mikołowskie" (str. B) ● Cricot 2.Tadeusz Kantor Muzeum Historii Katowic (str. C) ● Znaki i Twarze Miasta. Podsumowanie regionalizmu (str. D).

Na okładce:
Zbiornik w Goczałkowicach zimą.

Fotografia:
Górnośląskie Przedsiębiorstwo Wodociągów w Katowicach

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą „RUCH" S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48/022/532-87-31.
www.ruch.com.pl

C-13347
351674 III

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń z miesiąca poprzedzającego zamknięcie numeru

■ TAKIEJ selekcji do pracy w śląskiej policji jeszcze nie było. Z ponad dwóch tysięcy kandydatów testy z wiedzy i sprawnościowy zdało zaledwie 285 osób. W grudniu najlepsi z nich dostaną upragniony mundur.

■ WOJEWÓDZKI Park Kultury i Wypoczynku w Chorzowie otrzymał 2 XI 20,2 mln zł. Pieniądze mogą być przeznaczone, m.in. na bieżącą działalność, na wyżywienie i nowe pomieszczenia dla zwierząt w zoo, ale w żadnym wypadku na karuzele.

■ SZEF katowickiej Platformy Obywatelskiej, Ireneusz Król, zawiesza swoje członkostwo w partii. Prokurator postawił mu zarzut niegospodarności jako prezesowi Centrozapu na kwotę 4,6 mln zł. Grozi mu nawet 10 lat więzienia.

■ DWÓM byłym policjantom z Katowic grozi 8 lat więzienia. Obaj dorabiali, sprzedając do agencji towarzyskiej kobiety. Miały tam trafiać żona i szwagierka jednego z podejrzanych. Miały, bo po każdej transakcji kobiety były... odbijane przez samych policjantów.

■ TRAGICZNY wypadek w Dąbrowie Górniczej: 3 listopada tir wyjechał z podporządkowanej drogi i zmiażdżył bok autokaru, którym prawie 50 uczniów wracało z aquaparku. 10-letnia Martyna zginęła na miejscu. Prawie 50 uczniów, ich opiekunowie, kierowca autokaru i ciężarówki trafili do szpitali. Stan niektórych dzieci lekarze określają jako bardzo poważny.

■ TYLKO co dziesiąty szpital czy przychodnia na Śląsku spełnia europejskie wymogi sanitarne. Reszta potrzebuje setek milionów złotych na remonty. Wielu nie pomogą nawet największe pieniądze, na ich miejsce będzie trzeba wybudować nowe.

■ GÓRNIK z Jastrzębskiej kopalni „Borynia" – 23-letni Michał Baj (DI Eprom) – został 4 XI w Krakowie mistrzem Polski didżejów federacji ITF. W nagrodę będzie reprezentował Polskę w mistrzostwach Europy w Dublinie i świata w Pradze. Na co dzień pracuje kilometr pod ziemią przy likwidacji ścian.

■ AŻ 54 litry krwi oddali 6 XI mieszkańcy Leśnej na Żywiecczyźnie. Choć liczy ona zaledwie 3 tys. osób, słynie z działalności charytatywnej. To zasługa proboszcza, ks. Piotra Sadkiewicza, który namawia parafian, żeby zechcieli ofiarować innym cząstkę siebie.

■ RELIKWIE św. Jadwigi Śląskiej, patronki Śląska przybyły 6 XI do kościoła Wniebowzięcia NMP w Kobiórze. W uroczystej mszy św. udział wzięli m.in. przedstawiciele Ruchu Autonomii Śląska ze sztandarem, na którym widnieje obraz św. Jadwigi Śląskiej.

■ DZIAŁACZ śląskiego Prawa i Sprawiedliwości, a od niedawna minister infrastruktury i budownictwa Jerzy Polaczek powołał 7 XI Eugeniusza Wróbla na sekretarza stanu, czyli swego zastępcę. Do połowy lat 90. Wróbel był wicewojewodą katowickim, ale stracił funkcję, gdy premierem został Józef Oleksy.

■ WICEMINISTER ochrony środowiska i były szef śląskiej Unii Wolności 50-letni Andrzej Skowroński został 6 XI zatrzymany przez służby specjalne. Jest podejrzany o wyrządzenie szkody Bytomskiej Spółce Węglowej w wysokości 1,7 mln zł.

■ MAFIA okradała kopalnię „Wieczorek" w Katowicach. Gangsterzy wywozili z niej węgiel, na którym zarabiali miesięcznie ok. 150 tys. zł. 8 XI katowicka policja rozbiła grupę, która się tym zajmowała. We wrześniu śląska policja rozbiła podobny gang, działający w kop. „Staszic", a wcześniej w kop. „Ziemowit".

■ MSZA święta w archikatedrze, przemówienia polityków i wojskowa defilada – tak wyglądały w Katowicach oficjalne obchody Święta Niepodległości – 11 listopada. Po mszy jej uczestnicy przeszli pod pomnik Józefa Piłsudskiego przy ul. Jagiellońskiej.

■ PAMIĄTKI wojennej i emigracyjnej działalności polskich ewangelików można oglądać w muzeum w Wiśle na wystawie „Wierni Bogu i Ojczyźnie".

■ KILKUSETOSOBOWA procesja z pochodniami weszła 12 XI pod Krzyż Jubileuszowy na Matysce w Radziechowach na Żywiecczyźnie.

■ DWOJE senatorów z woj. śląskiego zostało przewodniczącymi komisji senackich. Krystyna Bochenek (PO) będzie kierować komisją kultury i środków przekazu, a Janusz Gałkowski (PiS) jest szefem komisji ustawodawczej.

■ OŚMIU nowych radnych ma od 14 XI Sejmik Województwa Śląskiego: Mariusza Kędrackiego, Mirosława Krausa, Gabriela Lenartowicza, Andrzeja Kampę, Marka Migasa, Krzysztofa Stachowicza, Leokadię Mizerską i Wojciecha Zamorskiego – dotychczasowego rzecznika Urzędu Marszałkowskiego. Siedmiu zastąpiło polityków, którzy dostali się do parlamentu, a jeden miejsce Krzysztofa Nowaka, który został starostą kłobuckim.

■ MILIONOWY silnik wyprodukowany w bielskich zakładach Fiat Auto Poland 14 XI pojechał do Włoch.

■ MILIONOWEGO pasażera w tym roku odprawiono 16 XI w Pyrzowicach. Rosnąca liczba pasażerów zmusza władze portu do wprowadzenia zmian. Jeszcze w tym roku rozpocznie się budowa nowego terminalu. Pod względem ruchu pasażerskiego Pyrzowice są trzecim, po Warszawie i Krakowie, lotniskiem w Polsce.

■ TEGOROCZNYM zwycięzcą konkursu na najlepszą pracę magisterską z ekonomii został Michał Wilk z katowickiej Akademii Ekonomicznej. Oprócz pieniędzy (10 tys. zł) wygrał staż w wybranej firmie.

■ PRZY Instytucie Onkologii w Gliwicach otwarto 16 XI Centrum Profilaktyki i Diagnostyki Chorób Nowotworowych. Wyposażono je w najnowocześniejszy sprzęt do wykrywania raka piersi.

■ KARDIOLODZY ze Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrzu po raz drugi w tym roku pojechali na Ukrainę, by szkolić tamtejszych lekarzy w dwóch wołyńskich szpitalach wojewódzkich w Łucku i w Równem.

■ PREZES firmy TriGranit Sandor Desmjan oraz prezydent Katowic Piotr Uszok, przecięli 17 XI wstęgę broniącą dostępu do Silecia City Center – największego centrum handlowo-rozrywkowego w naszym województwie.

■ NAJBOGATSZYCH posłów w naszym województwie ma Platforma Obywatelska, ale są też posłowie, którzy nie mają grosza przy duszy – wynika z oświadczeń majątkowych parlamentarzystów. Można je już oglądać w internecie.

■ IMPONUJĄCY szal wyhekowany przez Helenę Kamieniarz z Koniakowa ma dwa metry długości, kilkadziesiąt centymetrów szerokości, narzuca się go dla ozdoby na ramiona. To podarunek koniakowskiej koronczarki dla brytyjskiej królowej Elżbiety II. Szal jest już w polskiej ambasadzie w Londynie, przy pierwszej nadarzającej się okazji ma zostać wręczony królowej.

■ BYŁY prokurator Jerzy Hop opuścił 18 XI areszt. 50 tys. zł poręczenia wpłacił za niego mężczyzna, podający się za przyjaciela Hopa. B. Szef Prokuratury Apelacyjnej w Katowicach jest najwyższym rangą funkcjonariuszem organów ścigania w Polsce, któremu przedstawiono zarzuty o charakterze kryminalnym. Jest podejrzany o wyłudzenia 1,7 mln zł. Będzie odpowiadał z wolnej stopy.

■ GENERAŁ Jerzy Ziętek został 18 XI patronem Gimnazjum nr 4 w Katowicach. Zadecydowali o tym sami uczniowie, którzy mieli do wyboru Zofię Kossak-Szczucką, Ignacego Paderewskiego i Tadeusza Kościuszkę.

■ BANDYCI uzbrojeni w kije zaatakowali 19 XI rano autokar wiozący hokeistów Zagłębia Sosnowiec. Tylko dzięki kierowcy, który staranował blokadę na drodze, nikt nie ucierpiał. Prawdopodobnie na hokeistów napadnięto przez... pomyłkę. Bandyci czekali na piłkarzy Górnika Zabrze.

■ TRADYCYJNA już, 15. pielgrzymka na Jasną Górę pracowników kopalń węgla kamiennego, brunatnego, siarki, soli, rud miedzi, ołowiu i cynku, elektrowni i elektrociepłowni odbyła się 20 XI.

■ POMNIK wojewody gen. Jerzego Ziętka odsłonięto 19 XI w parku przy katowickim Rondzie. Ponad trzymetrową postać odlaną z brązu zaprojektował prof. Gustaw Zemła. 20 listopada minęła 20. rocznica śmierci Generała.

■ PIĘĆ litrów wody na osobę, zapas jedzenia na parę dni, latarka i gaśnica – tak radzi Urząd Miasta w Katowicach, byśmy na wypadek nieszczęścia mieli te rzeczy w domach.

■ NAUCZYCIELKA kształcenia zintegrowanego w Szkole Podstawowej nr 17 w Chorzowie Dorota Szurman, została 19 XI pierwszym w Polsce Nauczycielem z Klasą. Tytuł nadało jej Stowarzyszenie Nauczycieli Edukacji Początkowej.

■ ODKĄD w sześciu autobusach jeżdżących między Rybnikiem a Żorami zamontowano kamery cyfrowe, linia ta stała się najbezpieczniejszą w regionie. Młodzi wandale nie rysują już karoserii, nie przecinają nożem siedzeń, a nawet przestali pluć łuskami słonecznika

■ BYŁY wiceprezydent Zabrza Zygmunt H., oskarżony i brak nadzoru przy sprzedaży miejskich działek, został radnym. 21 XI otrzymał mandat po Tadeuszu Wicie, który został posłem.

■ KILKA osób trafiło do szpitala z objawami zatrucia po zjedzeniu posiłku w chińskiej restauracji znajdującej się w dopiero co otwartym kompleksie Silesia City Center. Sanepid zamknął lokal.

■ SKWER przy ul. Dęblińskiej w Sosnowcu ma od 21 XI swego patrona. Został nim sosnowiczanin Konstanty Ćwierk (1895-1944), zasłużony dla Zagłębia dziennikarz i literat. Zasłużony ale nieznany, chociaż w 1938 r. otrzymał od Prezydium Polskiej Akademii Literatury Wawrzyn Akademicki za szerzenie zamiłowania do literatury polskiej.

■ TRZEJ górnicy zasypani 23 XI w kopalni „Zofiówka" przez miał i kamienie – nie żyją. Prezydent Jastrzębia Zdroju ogłosił żałobę. Odwołano wszystkie imprezy rozrywkowe, flagi przyozdobiono kirem.

■ ZAWODNICZKA Stali BKS-u Bielsko-Biała, dwukrotna mistrzyni Europy, siatkarka Agata Mróz, została 22 XI uhonorowana Złotym Krzyżem Zasługi w Pałacu Prezydenckim.

■ NEOCHIRURDZY z Centralnego Szpitala Klinicznego wykonali pierwsze na Śląsku operacje wszczepienia stymulatorów mózgu u pacjentów z chorobą Parkinsona. Ta metoda jest w Polsce nowością.

■ URZĄD Marszałkowski nagrodził miejscowość Chudów w konkursie za najlepsze przedsięwzięcie z zakresu odnowy wsi, za stworzenie w budynku starej szkoły oryginalnej Izby Regionalnej. Weronika i Tadeusz Czechowie dostali wyróżnienie w konkursie na najpiękniejszą zagrodę w gminie Gieraltowice.

■ LEKARZOM nie udało się uratować 10-letniej Kasi, ofiary wypadku szkolnego autokaru. Dziewczynka zmarła w Górnośląskim Centrum Zdrowia Dziecka i Matki. O jej życie lekarze walczyli 20 dni. W szpitalu przebywa jeszcze 10-letnia Paulina.

■ ŻOŁNIERZ Armii Krajowej ps. „Agawa", odznaczona m.in. Krzyżem Armii Krajowej, długoletnia pracowniczka Ministerstwa Górnictwa i Energetyki Alina Jankowska-Parys, zmarła 22 XI w Katowicach.

■ CARITAS Polska rozprowadzi w tym roku 4,5 mln świec wigilijnych. Tę ekumeniczną akcję Wigilijne Dzieło Pomocy Dzieciom, Caritas prowadzi od sześciu lat wspólnie z Diakonią Kościoła ewangelickiego i Ośrodkiem Miłosierdzia „Eleos" z Kościoła prawosławnego.

■ NIEWIELE brakowało, a skrzydła pomnika Powstańców Śląskich zawaliłyby się. Na razie prowizorycznie zabezpieczono pomnik przed katastrofą, a wiosną rozpocznie się jego generalny remont.

■ NOWYM szefem Prokuratury Apelacyjnej w Katowicach został 28 XI Tomasz Janeczek, dotychczasowy prokurator w wydziale śledczym katowickiej Prokuratury Okręgowej. Zastąpił na tym stanowisku Andrzeja Jużkowa.

■ KONSUL generalny USA Kenneth Fairfax, przekazał Uniwersytetowi Śląskiemu 140 książek z kolekcji Library of America. Będzie można z nich korzystać w Bibliotece Anglistycznej w Sosnowcu.

KRONIKARZ



Zdjęcie: Wojciech Łysko

85 lat temu w Bytomiu odbył się pierwszy zjazd drużyn skautowskich działających na Śląsku. Datę tę przyjmuje się za rocznicę powstania harcerstwa w tym regionie. Śląska Chorągiew ZHP uczciła rocznicę Kampanią Programową pod hasłem „Skąd nasz ród". Zlot, będący podsumowaniem tej akcji, zorganizowano – oczywiście znów w Bytomiu – 26 listopada. Jego uczestnicy uczcili pamięć tych, dla których wierność przysiędze służby „Bogu i Polsce" oznaczała często konieczność złożenia największej ofiary.

Skąd nasz ród

Pierwsze próby tworzenia ruchu skautowskiego na Śląsku sięgają roku 1913, kiedy Teodor Ludyga, późniejszy dowódca III powstania, założył w Piekarach i Szarleju drużynę liczącą około 60 członków. Jej tajna działalność trwała zaledwie kilka miesięcy, do wybuchu wojny. Powtórnie harcerstwo zaczęto organizować tutaj w roku 1920, kiedy tworzone drużyny od razu sprawdzić mogły się w prawdziwej „gorącej" próbie akcji plebiscytowej. Na czele Inspektoratu Harcerskiego Górnego Śląska stanął Miłosz Sołtys. To postać wspaniała, a równocześnie dziś zapomniana – symbolem tego wydaje się fakt, iż w Bytomiu, gdzie wielu działaczy polskiego harcerstwa i Związku Polaków w Niemczech ma dziś „swoje" ulice – postać Sołtysa w taki sposób uhonorowana nie została. Być może stało się tak ze względu na fakt, iż Sołtys – pierwszy, jednak nie zatwierdzony przez władze niemieckie dyrektor pierwszego polskiego gimnazjum w Niemczech, jakie powstało w 1932 roku w Bytomiu – był członkiem sanacyjnej organizacji nauczycielskiej „Zrąb", a w czasie II wojny światowej zaangażowany był w pracę wywiadu Armii Krajowej, więc w czasach PRL na bohatera raczej się nie nadawał. Aresztowany w 1943 roku zmarł 30 marca 1945 roku w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie – a więc niedługo przed powstaniem więźniów; przypomnijmy, że Buchenwald był jedynym obozem koncentracyjnym, jaki został „samowyzwolony" dzięki powstaniu więźniów, którzy przygotowywali się do tego zrywu, mieli wcześniej zdobytą i ukrytą broń oraz dobrze zorganizowaną strukturę ruchu oporu, zaś jednymi z jej najaktywniejszych twórców i uczestników byli właśnie więzieni tam harcerze ze Śląska. Innym, nie dość pamiętanym bohaterem-harcerzem jawi się Artur Gadziński – więzień Buchenwaldu, znany tam jako „doktor Polak" – prowadził obozowy lazaret, który uczynił swoistą „przechowalnią" dla najbardziej zagrożonych więźniów; w czasach stalinowskich represjonowany, zmarł w 1976 roku, dziś jego imię nosi szkoła w Zdzeszowicach na Opolszczyźnie. Wróćmy jednak do głównego wątku.

Według danych zawartych w książce Henryka Kapiszewskiego „Związek Harcerstwa Polskiego w Niemczech" w grudniu 1920 roku liczba drużyn harcerskich na przemysłowym obszarze Śląska wynosiła 127, skupiały zaś 4641 osób. Zlot bytomski, przyjęty za symboliczny moment powstania harcerstwa na Śląsku, był spotkaniem drużyn zarówno z terenów, które po plebiscycie i powstaniach miały przypaść Polsce, jak i tych ziem, które pozostały po stronie niemieckiej – gdzie tworzenie i działalność polskich drużyn było później coraz trudniejsze, aż w końcu wymagało gestu heroicznego.

85. rocznicę historycznego zlotu Śląska Chorągiew Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej uczciła kampanią „Skąd nasz ród". Biorące w niej udział drużyny miały za zadanie poznać historię i tradycję harcerstwa na Śląsku ze szczególnym uwzględnieniem swojej miejscowości. 26 listopada w Bytomiu odbył się zlot uczestników tej akcji – przyjechało około 1400 członków drużyn harcerskich i zuchowych, które w marszu gwiaździstym kierowały się na Rynek, gdzie odbył się uroczysty apel. Jako zaproszony gość uczestniczył m.in. marszałek województwa śląskiego Michał Czarski. Wcześniej patrole harcerskie odwiedzały miejsca związane z historią swego ruchu, a także akcją plebiscytową i powstaniami. Po południu zaś w Muzeum Górnośląskim odbyło się seminarium naukowe (właściwszym słowem byłoby miniseminarium, według planu wystąpienia prelegentów trwać miały zaledwie 10 minut), otwarta została również przygotowana z tej okazji wystawa.

Śląscy harcerze (i działacze Związku Polaków w Niemczech – wiele osób działało równocześnie w polskim harcerstwie w Niemczech i ZPwN) zapłacili za swoją aktywność w tych organizacjach wysoką, często najwyższą cenę. Działacze harcerscy z niemieckiej strony granicy - trafili do obozów koncentracyjnych, ci z polskiej – organizowali obronę Śląska w pierwszych dniach września. To piękna karta. Paradoksem jest, że dziś ich pamięci trzeba bronić przed dziennikarzami „Gazety Wyborczej", która jako największa polska gazeta – ma zwyczaj występować w obronie racji niemieckich, ukraińskich, żydowskich, litewskich – byle nie polskich.

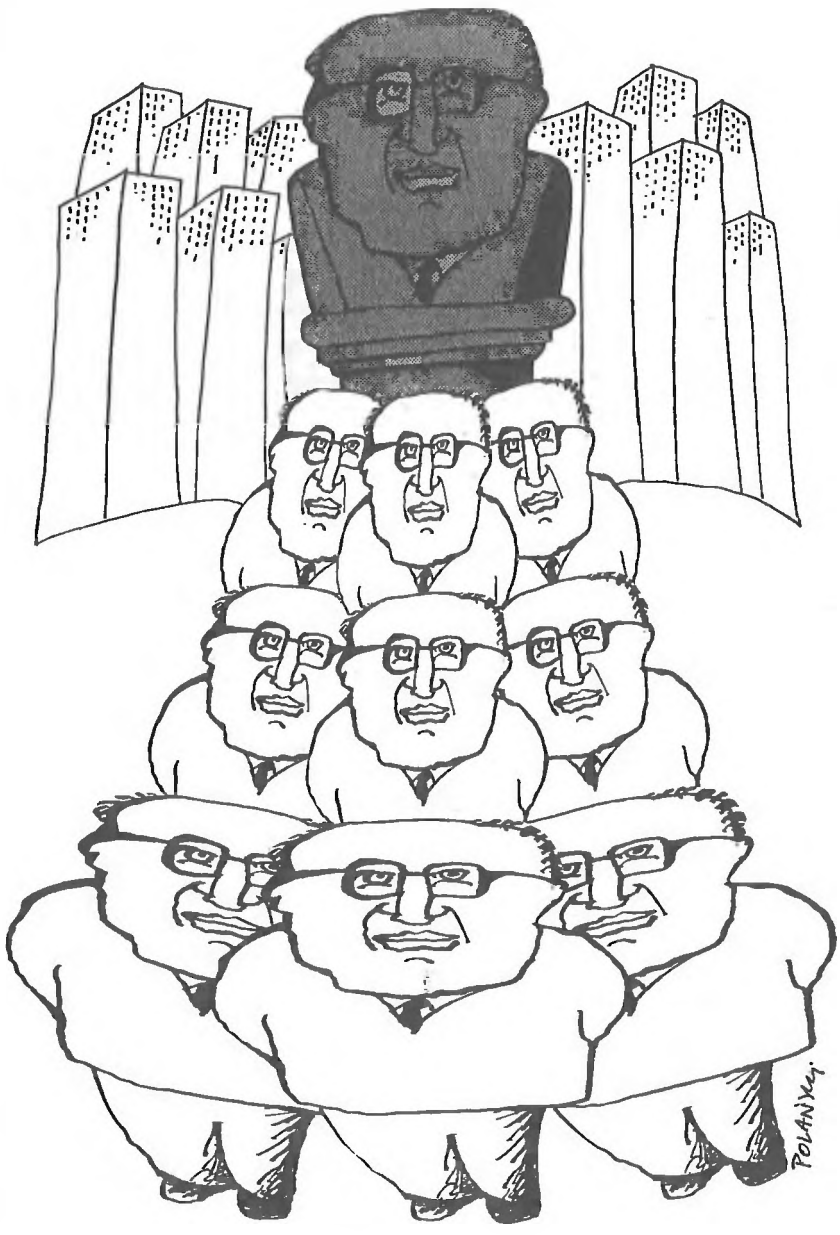
Przy okazji warto jednak wspomnieć, iż badań i rozpoznania wymaga jeszcze inna, późniejsza karta tej samej historii – po 1945 roku grupa dawnych działaczy polskiego harcerstwa w Niemczech dość dobrze odnalazła się funkcjonując w strukturach komunistycznej władzy. Naprędce można zasygnalizować możliwe przyczyny powyższego stanu rzeczy; da się też zrozumieć tło psychologiczne takich wyborów i sytuacji. Warto jednak pochylić się nad tym problemem rzetelniej, warto również postarać się o przywrócenie pewnej hierarchii postaci i ich zasług, by nie posługiwać się wciąż paradygmatami wypracowanymi przed 1989 rokiem, a więc tworzonymi na użytek tamtego systemu. Symbolem tego jest chociażby fakt, iż przywołane postacie Miłosza Sołtysa, czy Artura Gadzińskiego wciąż pozostają w cieniu z tej prostej przyczyny, iż w PRL-u postanowiono je zamilczeć jako „nie dość słuszne".

JERZY SZKURŁATOWICZ

Obrachunki noworoczne

FELIKS NETZ

Rok 2005 zapamiętamy z kilku powodów, ale z jednego na pewno: jest to rok śmierci Jana Pawła II. Wspólnoty plemienne niewiele mają w swoich dziejach takich chwil, dni, godzin, kiedy dobro bierze górę nad złem w jakiś prosty i naturalny sposób. Kiedy obcy sobie ludzie spoglądają na siebie z błyskiem braterstwa w oczach. Tak było. Prawda, że trwało to krótko, lecz to się nam zdarzyło, nam, żyjącym w Polsce w roku śmierci Papieża-Polaka.



Rys. Marek Polański

W tym roku minęło sześćdziesiąt lat od zakończenia II wojny światowej, najokrutniejszej z wojen. Uroczysta feta odbyła się w Moskwie. Mówię *feta*, nie *uroczystość*, bo tak naprawdę to Rosja, spadkobierczyni ZSRR, fetowała zakończenie wojny, która wedle prezydenta Putina rozpoczęła się w czerwcu 1941 roku, a nie w pierwszym dniu września 1939. Co było przed napaścią Hitlera na ZSRR, jakiś pakt Ribbentrop-Mołotow? O jakimż to nożu w plecy mówią polscy historycy? Stalin oswobodził Zachodnią Ukrainę od tyranii polskich panów, ot co! Był w Polsce spór, czy prezydent Rzeczypospolitej powinien, czy nie powinien pojechać do Moskwy na tę putinowską fetę? Pojechał, bo chyba, mimo wszystko, powinien tam być, nawet w czwartym, czy piątym rzędzie. O ileż mniej honorowym od miejsca, jakie prezydent Putin zapewnił kanclerzowi Niemiec, Gerhardowi Schroederowi!

Pod koniec roku 2005, w grudniowe południe, w piątek 16. w małym miasteczku Babajewo w obwodzie wołgogradskim,

pewien spawacz Gazpromu połączył dwie rury.

Tak Rosja i Niemcy rozpoczęły budowę Gazociągu Północnego, który przez Morze Bałtyckie, z pominięciem Polski, połączy oba państwa. Prócz spawacza były tam same grube ryby, nie było Gerharda Schroedera, ale szef Gazpromu Aleksiej Miller zapewnił, że były kanclerz Niemiec zostanie szefem rady nadzorczej North European Gas Pipeline. Najpierw kanclerz, jako wielce wpływowy polityk doprowadza do podpisania wspólnego projektu, po czym, już jako były kanclerz, w nagrodę dostaje fantastycznie lukratywną posadę.

To zatem także zdarzyło się w roku 2005. Jeśli ktoś szuka słowa, które by najlepiej oddało naturę tego zdarzenia, niech sprawdzi jakim słowem kończy Joseph Conrad „Jądro ciemności"...

Ten rurociąg – z pominięciem Polski! – to, może przesadzam, ale może i nie – ma w sobie coś z wymazania Polski z mapy Europy. Przynajmniej w umysłach tych dwóch panów, którzy zapalali do siebie zaiste podejrzaną namiętnością.

Ale Polska istnieje w roku 2005, i będzie istniała nadal w strukturach Unii Europejskiej, które to struktury, jak powiedział Stanisław Lem: „(...) zawsze będą troszeczkę trzeszczały." I trzeszczą. Ale Polska powoli wyzbywa się kompleksu ubogiego krewnego Europy. I trzeba przyznać, że ma w tym swój realny udział odchodzący prezydent Aleksander Kwaśniewski. Po dziesięciu latach, po dwóch pełnych kadencjach. Historycy z czasem ocenią dekadę Aleksandra Kwaśniewskiego. Mnie, jako obywatela (niezależnie od moich sympatii i antypatii politycznych) prezydentura Kwaśniewskiego satysfakcjonuje. Raz, dwa razy wypił o setkę za dużo, źle się stało, że akurat w Charkowie z lekka się zataczał. Coś tam jeszcze. W ostatnich dniach wiele się mówiło o akcie łaski dla byłego prezydenckiego urzędnika Zbigniewa Sobotki. Obstrukcja, jaką zastosował nowy generalny prokurator, minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro była wyrazem złej woli i niestosownej zawziętości. Prezydent postąpił jak wytrawny dyplomata: nie uniewinnił Z. Sobotki, zmniejszył karę, i jest to – przyznać trzeba –

wyrok salomonowy. Prawnik, który mu podpowiedział takie rozwiązanie, jest, moim zdaniem, człowiekiem wybitnie inteligentnym. Nie odmawiam inteligencji ministrowi Ziobrze, i jestem pewien, że on czuje i wie, iż w tym przypadku został odesłany do prawniczej piaskownicy.

Aleksander Kwaśniewski lubi dużo mówić.

Zgrabną polszczyzną, ale jego słowo nie jest elektryzujące. Nieraz odczuwałem, że brakuje mu głębszego podglebia humanistycznego. Za wcześnie zaczął robić polityczną karierę, nie ukończywszy studiów. Ale, bez przesady. Angielski nie jest dla niego językiem obcym. Nie tylko mówi – i to swobodnie w tym języku, ale też rozumie, co mówią do niego. Szanowany był przez rządzących tym światem, nierzadko także dla swoich własnych przymiotów, dla wdzięku i klasy żony, bo przyznajmy to zgodnie: pani Jolanta Kwaśniewska była (jest) dowodem na to, że można mieć rodowód plebejski, a obyczaje i obycie salonowe – w najlepszym tego słowa znaczeniu – arystokratyczne.

Prezydent Aleksander Kwaśniewski odcisnął swoje piętno na najnowszej historii niepodległej Ukrainy. Rzec by można, że u siebie, na polskim, że tak bowiem majdanie, nie miał tak wyraźnego wzlotu, jak na kijowskim Majdanie Niepodległości. Za rolę jaką odegrał przy kijowskim okrągłym stole, a był tam postacią pierwszoplanową, bo Javier Solana, każdy wie, to poczciwiec, gaduła i brat-łata. Karty rozdawał prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Aleksander Kwaśniewski. Zrobił to po mistrzowsku. Ugrał wielkiego szlema. Tylko zazdrośnik i zawistnik może chcieć pomniejszać rolę Aleksandra Kwaśniewskiego, bo ten, kto umie patrzeć beznamiętnym, lodowatym okiem na rzeczywistość, jak Władimir Putin, wie, że pomarańczowa rewolucja mogłaby utonąć we krwi, gdyby nie wpływ jaki miał Kwaśniewski na prezydenta Kuczmę, i umiejętne prowadzenie politycznej gry przy okrągłym stole. Kwaśniewski pokazał Putinowi figę a figa u Rosjan – to jest dokładnie to samo, co gest Kozakiewicza u Polaków. Putin nigdy tego Kwaśniewskiemu nie zapomni. Kwaśniewskiemu i nam.

Rok 2005 był rokiem, w którym Polska dokonała gwałtownego ruchu na prawo. Wybory parlamentarne wygrała partia braci Kaczyńskich Prawo i Sprawiedliwość, ku głębokiej konsternacji Platformy Obywatelskiej, która już miała swojego premiera, Jana Rokitę, i od miesięcy z przytupem, przyśpiewkami, bardzo zamaszyście dzieliła skórę na niedźwiedziu. Próba zmontowania koalicji PO – PiS zakończyła się kompletnym fiaskiem, a sławetna telewizyjna debata obu niedoszłych koalicjantów rozbawiła największych nawet ponuraków. Niepowodzenie, a ściślej: porażkę Platformy Obywatelskiej miała wynagrodzić jej zwolennikom euforia niechybnego zwycięstwa Donalda Tuska w wyborach prezydenckich. Do niedawna nic nie wskazywało na tak wyraźnie rysujący się tryumf Tuska, osiem, dziesięć procent poparcia wedle ówczesnych sondaży różnych biur badania opinii publicznej, i żadnych lepszych widoków na prezydencką przyszłość. Bowiem do niedawna największe szanse na wygraną miał kandydat lewicy Włodzimierz Cimoszewicz, człowiek bez wątpienia kompetentny, z rodowodem bez wątpienia komunistycznym.

I oto na scenę wkroczyła pani Anna Jarucka.

Rok 2005 będzie także pamiętany (jak długo, któż to wie) jako rok wyjątkowo szpetnej manipulacji, w wyniku której Cimoszewicz został trafiony i zatopiony. Celowo użyłem terminologii stosowanej w „grze w okręty", ponieważ od chwili, gdy szanse Cimoszewicza na przejęcie fotela po Aleksandrze Kwaśniewskim rosły z dnia na dzień, i nawet malkontenci mówili coraz głośniej o rosnącej przewadze kandydata lewicy na wszystkimi rywalami, z prawa i z lewa – od tej chwili zaczęły się bezpardonowe łowy na Cimoszewicza, w których pojawienie się wątku „tajemniczej kobiety", w dodatku byłej asystentki Cimoszewicza, było czymś logicznym, z góry przesądzonym i niemożliwym do uniknięcia. Dyrdymały skądinąd uroczej, drobnej brunetki okazały się bronią wyjątkowo trującą. Włodzimierz Cimoszewicz nie wytrzymał ostrego strzelania w niego i w jego rodzinę, poddał się, wycofał. Okazało się, że nie ma dość grubej skóry, jakże potrzebnej politykowi. Ale też wszyscy uwikłani w paskudną grę, której celem było zniszczenie wszelkimi środkami Włodzimierza Cimoszewicza, bardzo mono spaskudzili obraz 2005 roku.

Nigdy nie byłem fanem Cimoszewicza, ale sam przyznaję przed sobą, że ci, którzy go trafili i zatopili, są grubo poniżej jego poziomu.

Niemal z dnia na dzień odmieniła się pogoda nad głową Donalda Tuska. Już nikt się nie liczył w wyścigu do Pałacu Prezydenckiego. Media biły w bębny. Jakoż po przegranej (sromotnej!) niedoszłego tryumfatora te same media nie uderzyły się w piersi. A cała ta wspaniała pogoda, ta pyszna aura otaczająca Donalda Tuska była, śmiem twierdzić, manipulacją mającą na celu wypromowanie choćby i Tuska, byle powstrzymać Lecha Kaczyńskiego. Wizja bliźniaków na dwóch najwyższych szczytach władzy była przedstawiana jak niemal pewne zagrożenie wolności osobistej każdego obywatela Rzeczypospolitej. Biura badania opinii publicznej pokazywały nam, obywatelom, dyżurne słupki, wedle sztancy: gigant Tusk i mikrus Lech Kaczyński. Wygrana Lecha Kaczyńskiego – to również należy powiedzieć patrząc wstecz na ów rok, który mija, już przeminął – jest zarazem kompromitacją biur produkujących słupki. Kompromitacją kompletną. Właściwie można mówić o utracie społecznego zaufania dla owych ośrodków, instytucji i placówek.

I gdy dzisiaj pokazano mi na ekranie telewizora słupki, wedle których 63 procent Polaków deklaruje swoje poparcie dla premiera Kazimierza Marcinkiewicza, nie wiem, czy jest tak naprawdę. Chciałbym, aby tak było, bo to, jak widać, człowiek doskonale przygotowany do sprawowania powierzonego mu urzędu. Oczyma duszy widzę, co by się działo w Brukseli, gdyby z Tony Blairem i jego świtą negocjował Jan Rokita. Coś mi się zdaje, że w pewnej chwili serdecznie by się obraził, po czym wyrzekłszy coś w rodzaju „Nicea o muerte!" powrócił do kraju, aby wystąpić w kilku programach telewizyjnych jednocześnie, opisując ze swadą i niepodważalną logiką racje swojego powrotu z Brukseli z plecakiem pełnym – jak mówią Węgrzy – niczego.

Kazimierzowi Marcinkiewiczowi udało się doprowadzić do kompromisu.

W efekcie brukselskich negocjacji będziemy otrzymywać około 30 miliardów złotych rocznie z unijnych funduszy. I musimy te pieniądze wydać co do złotówki. Premier polskiego rządu uzyskał w Brukseli wsparcie prezydenta Francji Jacquesa Chiraca i pani kanclerz Niemiec Angeli Merkel, co może zaowocować odnową Trójkąta Weimarskiego. Ta oś jest nam konieczna, bo wiatr od Kremla wieje i jest bardzo lodowaty. Ale i na tym kierunku – jak powiadają politycy – trzeba będzie szukać sposobów poprawy stosunków dwustronnych.

Prezydent-elekt nie pali się z podróżą do Moskwy. Przypomina: kolej na wizytę Prezydenta Putina w Warszawie. Niewykluczone, że Jarosław Kaczyński „na tym kierunku" zagra swoim, jak widać najsilniejszym atutem: Kazimierzem Marcinkiewiczem... Być może z Rosją lepiej jest rozmawiać na poziomie premierów? W każdym razie w tej fazie wzajemnych stosunków, które są bardzo złe, a powinny być dobre. Niezależnie od tego, że Rosja nigdy nie spojrzy na Katyń, Miednoje i Starobielsk, na Proces Szesnastu, na czterdzieści pięć lat „bratniej pomocy", a zwłaszcza na tak zwane wyzwolenie oczyma Polski i Polaków. Niech sobie patrzą po swojemu. Ważne, że nam nikt nie każe, nikt nas nie zmusza, byśmy patrzyli „po ichniemu".

To nie jest łatwe wejście w kolejny rok Rzeczypospolitej, i kwestia nie w jej numeracji. To w ogóle jest bez znaczenia. Liczą się fakty. Rząd PiS-owski ma wątłe poparcie, niestabilne, sojuszników zmiennych i niepewnych. Platforma Obywatelska wciąż nie umie siebie zdefiniować w roli partii opozycyjnej. Donald Tusk nie może się pozbierać po wyborczej klęsce. Jest stale wściekły i zły. Na Romana Giertycha tylko naiwny by liczył. PSL ulega coraz bardziej marginalizacji. Andrzej Lepper przestał domagać się odejścia Balcerowicza, sam wszedł na salony wielkiego biznesu, i widać, że mu się tam podoba. Czysto, bogato no i ten odurzający zapach pieniądza. Jan Rokita wyciągnął z szuflady jakiś plan rządzenia Polską, jaki sobie przygotował pewien, że będzie premierem. I pokazując go dziennikarzom przypomina mi bohatera „Monizy Clavier" Sławomira Mrożka, który nie wiedząc czym zadziwić, przeskoczyć „lepszych" Europejczyków, otworzył usta, pokazał haniebne ubytki i rzekł dumnie: „O! Brakuje. Wybili, panie, za wolność".

Czwarta Rzeczpospolita? A proszę bardzo, pod warunkiem, że młodzi, i nie tylko, będą mieli pracę. Tutaj, w Polsce, w swoim mieście, w swojej gminie. Nie w Islandii ani w RPA. I że własne mieszkanie przestanie wreszcie być nieziszczalnym marzeniem kolejnego pokolenia Polaków.

A przede wszystkim i ponad wszystko: polskich żołnierzy z Iraku – do domu! Subito!

■

Z prof. ANDRZEJEM BARCZAKIEM
– ekonomistą z Akademii Ekonomicznej w Katowicach,
rozmawia JAROSŁAW JUSZKIEWICZ



Foto: Józef Wróbel

Wiele pomysłów na Śląsk

– Panie profesorze, czy Pana zdaniem Śląsk to region bogaty?

– Bogaty. Nie tylko w zasoby surowcowe, ale też w kulturę i wysoki poziom cywilizacyjny. Jednak najważniejsze bogactwo Śląska stanowią żyjący tu ludzie, I właśnie to jest najważniejsze. W tej chwili, gdy mówi się o kapitale, to zwykle myśli się albo o rzeczach, albo o wirtualnych pieniądzach, ale coraz częściej świat dochodzi do wniosku, że najistotniejszy jest kapitał intelektualny, społeczeństwo oparte na wiedzy i informacji. Sądzę również, że to jest bardzo bogaty region dlatego, że wystarczy pojechać w inne miejsca w Polsce by dostrzec różnice.

– Ale czy istnieje jakiś gospodarczy pomysł na Śląsk ?

– Pomysłów na Śląsk jest bardzo dużo. Ale niektóre z nich to tylko marzenia, z kolei inne są mało racjonalne. Generalnie zderzają się różne koncepcje: klasyczna mówi o tym, że jesteśmy czynnikiem bezpieczeństwa energetycznego kraju i dla nas najważniejsze jest górnictwo i hutnictwo – ten pogląd najbardziej lubią głosić politycy – zarówno ci w Warszawie, jak i działacze na szczeblu gminnym. A tymczasem mało kto wie, że Śląsk to jest również duże zagłębie rolnicze. Rolnictwo w naszym regionie jest na bardzo wysokim poziomie, ale o tym się nie mówi, bo wciąż pokutuje pogląd, że my tutaj jesteśmy od czarnej roboty, od węgla i stali. A tak przecież wcale nie musi być.

– No właśnie – pod koniec lat dziewięćdziesiątych pojawiła się koncepcja, według której Śląsk mógłby zostać finansowym centrum Polski. Ale to się nie udało. Co więcej – instytucje finansowe uciekają do Warszawy...

– Oczywiście – stolica ma taką siłę przyciągania, że pomysłu stworzenia tu centrum finansowego nie można określić inaczej jak mianem mrzonki. Polska jest – jak twierdzą niektórzy – krajem unitarnym i wszystko co ważne musi być w stolicy.

– Naprawdę musi?

– Prosty przykład – mamy tutaj jedną centralę banku. Naprawdę piękny budynek – szkoda tylko, że automatyczna sekretarka tego banku stoi w Warszawie. Dlaczego? Odpowiedź jest bardzo prosta – bo w stolicy jest blisko do decydentów, do rządu. To jest najważniejsze, I bądźmy szczerzy – Śląsk nigdy nie stanie się centrum finansowym Polski. Może za to powstać tutaj inne centrum, które będzie związane z rozwojem nowych technologii. Mamy dobrą politechnikę, mamy uniwersytet. Ale niestety – tu też istnieje problem. Kontakty nauki z przemysłem są anachroniczne - praktycznie ich nie ma, możemy mówić jedynie o wyjątkach – na przykład o zakładzie produkującym urządzenia medyczne w Zabrzu. Sądzę, że na to, aby określić czym jest Śląsk w stosunku do innych regionów potrzeba jeszcze wielu lat. To na razie są wciąż tylko dywagacje i pomysły na bardzo różnym poziomie. Biorę na przykład udział w konkursie dla młodzieży pt „Pomysl na Śląsk". Kto jak kto, ale młodzi ludzie powinni mieć swoje marzenia i plany, świeże spojrzenie, I tu bardzo ciekawa sprawa – osiemnasto- i dwudziestolatkowie, gdy mówią albo piszą o przyszłości tego regionu również są bardzo zachowawczy i konserwatywni.

– Trudno im się dziwić. Przecież podstawą gospodarki Śląska nadal jest przemysł ciężki. Jak na razie, dzięki Chińczykom, koniunktura

nam sprzyja i nie mamy np. problemu z górnikami. Pytanie tylko, jak długo Śląsk będzie mógł opierać się na węglu i na hutnictwie.

– Sądzę, że niedługo. Najważniejsza jest produkcja energii elektrycznej i komponentów do produkcji wyrobów metalowych, czyli koksu. Chińska gospodarka przechodzi powoli w stadium zrównoważonego rozwoju, a ponieważ oni mają również swoje koksownie, to będą ten koks przysyłać do Polski i w związku z tym nie wiadomo jak długo nasze koksownie będą miały taką koniunkturę jak dziś. Ale to jest normalne. Po prostu gospodarka rozwija się cyklicznie – po sinusoidzie. Na razie jesteśmy u góry, ale musimy mieć świadomość, że kiedyś zjedziemy w dół.

– I co się wtedy stanie?

– Powiem tak – zawsze jest siedem lat tłustych i siedem lat chudych, I trzeba się do tych chudych lat przygotowywać wtedy, kiedy jest nam dobrze. A my na razie cieszymy się, że jest dobrze, a zapominamy o tym, że zgodnie z prawami natury będzie gorzej. Jak się przygotować na dekoniunkturę w górnictwie i hutnictwie? Uważam, że w przyszłości dla tego regionu najważniejszy może być przemysł przetwórczy oparty na wysokich technologiach, a także siła regionu wynikająca z dobrej infrastruktury i zasobów wykształconej młodzieży. Wtedy, w ramach globalizacji, będą tutaj przychodziły korporacje międzynarodowe, by tworzyć swoje centra badawcze i rozwijać nowe technologie. Proszę zobaczyć, jak rozwija się Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna, chociaż oczywiście na jej temat pojawiają się przeróżne głosy krytyki. Jednak fakty są takie, że przyciągnęła ona bardzo ciekawe przemysły – od szkła po fabryki służące przemysłowi motoryzacyjnemu.

– To pięknie brzmi, ale Pan – jako nauczyciel akademicki Ł najlepiej wie, co dzieje się z młodymi ludźmi kończącymi studia na Śląsku. Wyjeżdżają do Warszawy albo za granicę.

– Do Warszawy już nie. Jeśli chodzi o robienie kariery – to stolica jest już praktycznie zamknięta, ale zgadzam się – młodzi ludzie coraz częściej wybierają pracę za granicą. Nasz system edukacyjny jest ustawiony na poziom przeciętny, czyli mówiąc wprost – na średniaka. A średniak nie ma dobrej szansy na rynku pracy. Trzeba wypracować model kształcenia elit, a my tego nie potrafimy zrobić. Ani poprzez system stypendialny, ani poprzez ukierunkowanie regulaminu na uczelniach. Tu wszystko ma być ŚREDNIE. Nie potrafimy wykorzystać młodzieży, która ma ambicje, ale jednocześnie nie daje się zaszufladkować w jakieś paragrafy, i oni właśnie – jako osoby, które mają największą odwagę, wyjeżdżają za granicę. Skutek jest taki, że mnóstwo moich seminarzystów rozjechało się po całym świecie. Ale z drugiej strony – gdy z nimi rozmawiam – to przez cały czas deklarują, że jak tylko tam się wybiją, to przyjadą natychmiast z powrotem do Polski. Jednak już jako dojrzali czterdziestolatkowie.

– Myśli Pan, że naprawdę wrócą, czy to są tylko puste deklaracje?

– Już wracają. Oto przykład – spotkałem ostatnio moją byłą studentkę, a teraz już poważną czterdziestoletnią panią, która opowiedziała mi swój życiorys. Po skończeniu studiów na Akademii Ekonomicznej w Katowicach natychmiast wyjechała do Warszawy, a potem za granicę. Tam zrobiła karierę, a teraz prowadzi oddział globalnej firmy logistycznej... w Katowicach. Wróciła na Śląsk.

– Pytanie, dlaczego musiała zatoczyć takie wielkie koło...

– Dlatego, że start, ten pierwszy krok jest bardzo trudny. Tak jak powiedziałem wcześniej – nie ma w naszym regionie więzi pomiędzy edukacją a biznesem – na wszystkich poziomach. Uczelnie produkują swoich absolwentów dla tzw. rynku, a z tego rynku zabierają ich przedsiębiorcy, którzy w ogóle nie ponoszą żadnych kosztów kształcenia. Dostają gotowy wyrób, I jeszcze kapryszą.

– Jak Pana zdaniem będzie wyglądał Śląsk za 10 lat?

– Sądzę, że będzie tu działało bardzo wiele wąsko wyspecjalizowanych małych i średnich firm. Mam nadzieję, że będzie to także ośrodek kulturalny – tzn., że będzie tutaj dobra opera (bo kiedyś przecież była) i będą tu mogły być organizowane festiwale operowe, rozwinie się konkurs dyrygencki w Filharmonii, nasza NOSPR będzie grała na Śląsku, a jak wyjedzie za granicę, to na jej miejsce do Katowic przyjedzie orkiestra z Filadelfii. Wierzę, że tutaj po prostu będzie warto mieszkać.

– Zejdźmy na ziemię – skąd na to wszystko wziąć pieniądze?

– Nie przesadzajmy. Ja uważam, że region jest bogaty bogactwem swoich obywateli. Na razie zachłysnęliśmy się konsumeryzmem. Przez wiele lat niedostępne dla nas były różne świecidełka, często zupełnie niepotrzebne. Teraz możemy je dostać w tej olbrzymiej sieci super - i hipermarketów. Proszę zwrócić uwagę, że cała nasza aglomeracja jest nimi otoczona i trzeba szczerze odpowiedzieć na pytanie – dlaczego? Dlatego, że ci, którzy zakładają te gigantyczne sklepy wiedzą, że mamy pieniądze. Szczególnie wyraźnie widać to w okresie przedświątecznym, gdy pod marketami trudno zaparkować samochód – taki jest tam tłok. No właśnie – Katowice i cały Śląsk duszą się od nadmiaru samochodów. Wniosek jest oczywisty – społeczeństwo śląskie nie jest biedne. To widać na każdym kroku.

– Czyli biedny Ślązak to stereotyp?

– Tak. Biedny Ślązak to stereotyp. My mamy taką cechę, że nie lubimy się chwalić osiągnięciami. Lubimy za to narzekać. Chwalenie się nie jest dobrze widziane w towarzystwie, a jak ktoś trochę ponarzeka – to wtedy jest dobrze. Ale spójrzmy wokół siebie. Poziom życia w województwie śląskim należy do najwyższych w Polsce. Wystarczy gdzieś pojechać poza region – niekoniecznie na ścianę wschodnią, ale na przykład nad granicę z Niemcami – do zielonogórskiego i zobaczyć, jak tam ludzie żyją. Na pewno biedniej niż na Śląsku.

– Jeśli Pan pozwoli, to zburzę ten idylliczny obraz. Wspomniał Pan, że śląskie kopalnie będą musiały w końcu zostać zamknięte. Co stanie się z górnikami? Do tej pory żaden rządowy program pomocowy nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Słynne już odprawy dla odchodzących z kopalń zostały w znacznej większości przez byłych górników przejedzone.

– Te programy były obliczone na bardzo krótki okres i nie było w nich perspektywy. Istnieje oczywiście Górnicza Agencja Pracy i – jak się rozmawia z jej szefem – to można mu zadać pytanie: „Ilu przeszkoliłeś górników? Dwóch?". Kiedy nie ma zapotrzebowania na węgiel, to przecież nie można go wydobywać na hałdy. Górnik wykonuje bardzo trudny zawód i zasługuje na szacunek, a nie na to, żeby go próbować na siłę przekwalifikowywać. Po tym ciężkim życiu zawodowym ma on prawo nieco skorzystać z normalnego życia. Przywołam może pewien stereotyp, o którym przecież śpiewa nawet zespół „Śląsk": górnik – emeryt siedzi sobie na ławeczce, pyka fajkę i patrzy na gołębie. Oczywiście w XXI wieku to będzie wyglądało inaczej, ale sądzę, że wcześniejsze emerytury są sposobem na rozwiązanie problemu. Tak robiono z górnikami w Walii, w Nord-Pas-de-Calais, czy w Belgii. Nie przekwalifikowywano nikogo na siłę. Jeśli nie chce – to należy dać mu święty spokój, ale jednocześnie pozwolić mu, aby godnie żył...

– ... za pieniądze z budżetu państwa.

– Niezupełnie. Zróbmy prosty rachunek. Kiedyś Śląsk dawał bardzo dużo do budżetu kraju i nie dostawał żadnej rekompensaty, powiem więcej – był w pewnym sensie kolonizowany, a teraz, kiedy się gospodarczo wybija na samodzielność, to mu się zarzuca, że on coś dostaje z budżetu. Ale nikt nie powie, że na przykład tania energia elektryczna w Białymstoku to jest właśnie zasługa tego górnika, który fedruje tysiąc metrów pod ziemią. O tym się nie chce wspominać, bo to jest politycznie niepoprawne. Ta poprawność polityczna zaciemnia obraz i powoduje, że zamiast myśleć racjonalnie myślimy mitami i doktrynami.

– Dziękuję za rozmowę.

Do Serbii i Czarnogóry wraca zagraniczny kapitał, w tym także polski, któremu lideruje śląski „Kopex”

Kilka lat po...

WIESŁAW KOSTERSKI

Ruiny kilku gmachów rządowych, pozostawione ostentacyjnie od czasu wojny, mają przypominać o nalotach NATO na stolicę Serbii i Czarnogóry. I przypominają, chociaż stały się też, a może przede wszystkim, symbolem słabości gospodarki serbskiej. Próby wyrwania kraju z krępującego gorsetu stagnacji nie przynoszą jak na razie wielkich rezultatów. Powraca za to zagraniczny kapitał, w tym także polski, któremu lideruje katowicki „Kopex”.

Serbia i Czarnogóra znajdują się w takiej sytuacji, w jakiej Polska była na początku lat 90. Mimo wysiłków podejmowanych po 2000 roku (w listopadzie 2000 roku Unia Europejska zniosła sankcje wobec FRJ i rozciągnęła na ten kraj przepisy rozporządzenia o szczególnych zasadach handlu) i silnego zastrzyku finansowego w postaci dotacji, przemysł stoi. Nie ma strategii rozwoju rolnictwa, skutkiem czego co roku powtarzają się te same problemy ze skupem zboża i owoców. Najbliższe lata mogą być jeszcze trudniejsze, bo nadejdzie czas spłaty zaciągniętych kredytów.

Radca ambasady polskiej w Belgradzie Tadeusz Zienkiewicz, pytany o obraz po rozpadzie Jugosławii, odpowiada, zwracając uwagę na kolejność: zmiana mentalności, patriarchat, tendencje do zamykania się od wewnątrz, duże poczucie niepewności, zagubienie władzy, groźba dalszego rozpadu państwa – odejścia Czarnogóry od Serbii. Dawna Jugosławia, której obywateli utożsa-



mialiśmy z bogatym Zachodem, już została zredukowana do pozycji niewielkiego bałkańskiego kraju o mocno ograniczonym znaczeniu.

Czas odwetu

Ostrze rozpadu poszatkowało nie tylko terytorium Jugosławii i gospodarkę krajów powstałych na jej gruzach, ale trafiło dużo głębiej, rozbijając więzy społeczne i rodzinne. Ilustracją osobistych dramatów, które dotknęły tysiące ludzi, jest historia wysokiej rangi urzędnika serbskiego, któremu dano 24 godziny na dokonanie wyboru: albo zajmowane stanowisko w ministerstwie, albo żona Chorwatka. Losem dzieci z takich rodzin mało kto się już przejmował.

Jak ponure anegdoty brzmią relacje o pozbawianiu Serbów ich majątków w Chorwacji, zazwyczaj domów budowanych w pięknych nadmorskich okolicach z myślą o spokojnej starości. Oto właściciel takiej posiadłości, człowiek znany od lat w całej chorwackiej miejscowości, dostał 10 minut na zabranie dobytku. Dokładnie po tym czasie buldożer przejechał przez środek jego budynku.

Szef słoweńskiej firmy o zasięgu międzynarodowym przez parę lat był bezpaństwowcem. Mimo, że jego dziadkowie byli Słoweńcami, Słowenia nie chciała dać mu obywatelstwa, bo urodził się w Zagrzebiu. Chorwacja też odmówiła wyjaśniając, że wyprowadził się przecież do Bośni, gdzie mieszkał całe życie. Bośnia wyłgała się tym, że urodził się w Chorwacji. Kółko się zamknęło. Przedsiębiorca sięgnął po inne rozwiązania...

Szanse Serbii i Czarnogóry na wyjście z impasu może dawać członkostwo w UE. Unia jest jednak niezwykle ostrożna – otworzyła drzwi, ale zatrzymała je blisko progu. W opublikowanym w kwietniu tego roku raporcie Komisja Europejska stwierdziła, że widać co prawda postęp w wypełnianiu politycznych i ekonomicznych kryteriów integracji oraz poprawę w funkcjonowaniu instytucji demokratycznych, ale wciąż wiele ważnych spraw nie jest załatwionych do końca.

Druzgocąco brzmią zwłaszcza zarzuty o wysokim poziomie korupcji oraz powiązaniach przedstawicieli władz i administracji ze światem przestępczym, osobami oskarżonymi o popełnienie zbrodni wojennych i ugrupowaniami ekstremistycznymi, niezadowalającym poziomie implementacji prawa, problemach demarkacji granic z Chorwacją oraz Bośnią i Hercegowiną.

W raporcie jest też mowa o pozwach skierowanych przeciwko Serbii i Czarnogórze do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, szalejącym bezrobociu (ponad 30-procentowym), słabości sądownictwa, presji politycznej wywieranej na policję i wymiar sprawiedliwości, różnicach w przepisach wizowych pomiędzy Serbią a Czarnogórą, co może być źródłem nadużyć.

Biznes wyprzedził jednak politykę. Paradoksalnie, to Amerykanie, za którymi mało kto tutaj przepada, zrealizowali największą inwestycję w ostatnich latach. Zadłużoną hutę stali Smederevo kupił bowiem amerykański koncern stalowy US Steel Corporation i sporo w nią zainwestował. Francuzów skusiły sprywatyzowane cementownie i cukrownie. Zdecydowana większość majątku pozostaje nadal w rękach państwa.

Prywatny kapitał dopiero się rodzi. W banki, telekomunikację i telewizję zainwestowali bracia Karić, którzy zbudowali najsilniejszą serbską prywatną grupę kapitałową. Inny prywatny przedsiębiorca kupił cukrownię. Przybywa małych i średnich przedsiębiorstw.

Obecność polska

Polska próbuje odbudować więzy współpracy z Serbią i Czarnogórą. Tradycje przecież mamy bogate. Teraz postawiliśmy na eksport i dobrze na tym wychodzimy, zwiększając systematycznie wartość dostarczanych towarów i usług z 35 mln USD w 2000 roku do 180 mln USD w ubiegłym roku. Import sięgnął 35 mln USD, a to oznacza, że mamy ogromną nadwyżkę w handlu zagranicznym.

Inne kraje robią podobnie – więcej sprzedają niż kupują. W ekspresowym tempie powiększa się deficyt Serbii i Czarnogóry w handlu zagranicznym. Jeszcze w 2000 roku jego wielkość oscylowała wokół kwoty 2 mld USD, by w zeszłym roku znaleźć się na poziomie już 7,5 mld USD.

Nie ma nadwyżek energii. Trudna była zwłaszcza zima na przełomie lat 2000-2001, kiedy przez 52 dni redukowano dostawy. Zmusiło to Belgrad do zaimportowania prądu o wartości 100 mln USD. Od tamtego czasu wyłączeń nie ma. Zwiększono nawet moce produkcyjne, ale też wzrosło zapotrzebowanie na energię. Nadszedł również czas na modernizację energetyki, co skutecznie wykorzystują polskie przedsiębiorstwa, w tym głównie katowicki „Kopex".

Inwestowanie umożliwił kredyt pomocowy w wysokości 50 mln USD, jaki rząd polski udzielił rządowi Serbii i Czarnogóry na odbudowę potencjału przemysłowego, w tym na rekonstrukcję branży energetycznej. Część tej kwoty (ponad 19 mln USD) skroił w garnitur kontraktu „Kopex", największy polski wykonawca inwestycji górniczych za granicą, dostarczając kompletny system przenośników taśmowych do kopalni węgla brunatnego „Tamnava – Pole Zachodnie" w Zagłębiu Górniczym „Kolubara".

W marcu tego roku ważący ponad 6 tys. ton sprzęt był u odbiorcy. Całość przewieziono z Polski TIR-ami, w ponad trzystu dostawach. Po kilku miesiącach montażu, który nadzorowali polscy fachowcy, system przenośników został uruchomiony w połowie sierpnia, by przed zimą mógł wejść do eksploatacji. Inwestycja pozwoli zwiększyć wydobycie węgla o kilka milionów ton.

– Kupiliśmy urządzenia najwyższej jakości i dzięki temu mamy jedną z najnowocześniejszych kopalń w Europie – ocenia Slobodan Mitrović dyrektor do spraw inwestycji koncernu Elektroprivreda Serbia (EPS) w Belgradzie.

Powrót Kopexu

To z tym państwowym koncernem „Kopex" podpisał kontrakt umożliwiający śląskiej spółce powrót na rynek serbski. Wojna przerwała na kilka lat współpracę z tamtejszym górnictwem, które było odbiorcą wielu polskich maszyn i urządzeń. Dostawy trafiały głównie do Kosowa i zagłębia „Kolubary". W ślad za tym do pracy wyjeżdżali nasi specjaliści, bywało że kilkuset rocznie.

Zmodernizowana „Tamnava" robi wrażenie. Potężne wyrobisko oplotły setkami metrów długości polskie przenośniki taśmowe, łączące koparki i zwałowarki. Wokół strome nasypy i pocięta maszynami ziemia, spod której wyłaniają się pokłady węgla. Stąd, z miejscowości Lazarevac, do Belgradu jest około 50 km.

Część węgla z „Tamnavy" odbiera niewielka lokalna elektrownia połączona z kopalnią. Większość idzie koleją do elektrociepłowni „Obrenovac", położonej około 40 km od „Kolubary". Niewielkie ilości kupuje miejscowa ludność.

– Węgiel brunatny jest kluczowym elementem systemu energetycznego naszego kraju – dodaje S. Mitrović.

Zagłębie będzie rozbudowywane. To powrót do projektów inwestycyjnych przerwanych wojną i destabilizacją. Serbowie liczą na pomoc Banku Światowego. Jak oceniają władze EPS, na dokończenie całej przebudowy „Kolubary" potrzeba jeszcze od 700 milionów do miliarda USD. Wtedy będzie tu nowa kopalnia i nowa elektrownia. To jednak dość odległa melodia przyszłości.

Przybliżyć ją miała kolejna duża inwestycja. Ogłoszono nawet w tym

roku międzynarodowy przetarg o wartości 80 milionów euro, zorganizowany przez londyński EBOR. Do rywalizacji stanął również „Kopex", mając za konkurentów między innymi firmy niemieckie. We wrześniu przetarg utknął w martwym punkcie.

– Komisja przetargowa wystąpiła z wnioskiem do EBOR-u o ponowienie procedury przetargowej - informuje dyrektor belgradzkiego Przedstawicielstwa „Kopex-u" Marcin Zaklukiewicz.

Po drodze (w maju tego roku) „Kopex" podpisał kolejną umowę z EPS. Jej wartość sięga 6 mln 635 tys. euro. Pieniądze przeznaczone będą na budowę zbiornika odbiorczego węgla w kopalni odkrywkowej „Kostolac". Środki da EBOR, „Kopex" robotę, która potrwa 10 miesięcy. „Kostolac" leży w drugim serbskim zagłębiu węgla brunatnego (węgla kamiennego Serbia i Czarnogóra ma bardzo mało).

Bezzwrotna pomoc z UE (około 400 mln euro) i kredyty gwarancyjne pozwoliły na częściową modernizację energetyki. Wzrosła cena prądu, ale nadal jest ona tak niska, że można mówić o cenie socjalnej. EPS chciał wprowadzenia znacznej podwyżki, ale rząd nie wyraził na nią zgody – jak się sądzi - w obawie przed wybuchem niezadowolenia społecznego. Rocznie EPS traci na tym około 100 mln USD. To cena za spokój społeczny.

S. Mitrović: – Nie możemy również odzyskać 500 mln euro za dostarczony już prąd. Całkowite zadłużenie koncernu sięga natomiast 1,7 mld euro.

Nim będzie za późno

Inwestycje, nawet największe, bez restrukturyzacji nie zmienią oblicza serbskiej energetyki i całej gospodarki. Zmiany wprowadzane są wolno. EPS zajmuje się wszystkim – wydobyciem węgla, produkcją i przesyłem energii. W skład koncernu wchodziło 21 firm. Do końca tego roku ich liczba ma się zmniejszyć do 11, a zatrudnienie z 40 do 33 tysięcy. Jeszcze 5 lat temu w koncernie pracowało 64 tysiące ludzi.

Dyżurnym tematem serbskich mediów stała się również prywatyzacja EPS. Pogląd panuje taki: zgadzamy się, prywatyzacja jest na pewno potrzebna, ale nie teraz, lecz za kilka lat, kiedy cały koncern zostanie zmodernizowany i zrestrukturyzowany w taki sposób, aby miał optymalny kształt, kiedy zostanie zwiększona jego wartość, kiedy z państwowego przedsiębiorstwa zostanie przekształcony w spółkę akcyjną.

Pakiet kontrolny pozostawić ma sobie skarb państwa, pracownicy



Ciągle straszą wyprute na zewnątrz wnętrzności betonowych konstrukcji budynków.

i wskazany fundusz inwestycyjny dostaną po równo – po 15 procent. Władze koncernu nie chcą podziału i sprzedaży pojedynczych firm. Tą samą piosenkę śpiewają związki zawodowe. Póki co EPS daje zarobić. Średnia płaca wynosi jakieś 280 euro i jest wyższa o około 60 procent niż w innych branżach. Od 5 lat zarobki są zamrożone, łapę położył na nich Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Spośród polskich firm najmocniejszą pozycję na serbskim rynku ma właśnie „Kopex". Jest też tutaj raciborskie „Rafako", które realizuje kontrakty energetyczne, „Intercell" z Ostrołęki pracujący w przemyśle papierniczym i „Warbud" z Warszawy zajmujący się budownictwem i robotami wykończeniowymi. Cztery firmy i cztery przedstawicielstwa tych firm. I tyle.

Polscy przedsiębiorcy nie chcą inwestować w Serbii i Czarnogórze. Obawy wywołuje brak stabilizacji i perspektyw na szybki rozwój. Polskiemu biznesowi brakuje też wiedzy o tym atrakcyjnym kraju. Zdumiewają wciąż turyści i to do tego stopnia, że całkiem niedawno zdarzały się telefony do polskich placówek dyplomatycznych z pytaniami, czy nie toczy się jeszcze wojna w Jugosławii..?

Nasi sąsiedzi są mniej bojaźliwi. Niezłe interesy robią Czesi i Słowacy. Są Węgrzy, pchają się Włosi, Austriacy, Niemcy, Amerykanie, Francuzi i Słoweńcy. Jeśli w ciągu najbliższych kilku lat polski kapitał nie zdobędzie się na odważne decyzje inwestycyjne, tak jak zrobił to „Kopex", to jak wejdą tutaj wielcy z dużymi pieniędzmi, będzie za późno, bo rynek stanie się hermetyczny.

A jest teraz dobry czas na inwestowanie. Choćby w handel i hurtownie, których nie ma. Ciekawie, oprócz energetyki i górnictwa, zapowiadają się inwestycje drogowe na trasie północ – południe w Wojwodinie i Kolašin – Podgorica w Czarnogórze oraz plany budowy mostów na Dunaju i Sawie. W rozsypce jest cala serbska flota lotnictwa przemysłowego złożona z polskich An-ów i Dromaderów, co otwiera interesujące perspektywy przed Mielcem i Świdnikiem.

Serbowie biorą od nas sprzęt górniczy (za sprawą „Kopex-u" był to główny towar eksportowy w 2004 roku), maszyny budowlane, meble, artykuły spożywcze, warzywa i owoce, pampersy, pieluchy, aparaturę pomiarową, metale nieszlachetne, wyroby przemysłu chemicznego, papierniczego i metalurgicznego. My natomiast kupujemy od nich zdecydowanie mniej – przede wszystkim tworzywa sztuczne.

★ ★ ★

Rządowa dzielnica. Naprzeciwko Ministerstwa Spraw Zagranicznych wciąż stoją wywrócone podszewką szarego betonu, stali i pogiętych prętów zrujnowane gmachy dawnego ministerstwa obrony i sztabu generalnego. Harrier zawisł w tym miejscu nad ulicą i – podobno – rakieta po rakiecie, piętro po piętrze, z chirurgiczną precyzją przeciął budynek pionem klatki schodowej, który przewracając się zastygł w charakterystycznym kształcie litery „V". Tutaj nie jest to znak zwycięstwa bynajmniej.

Kilkaset metrów dalej, za polską ambasadą, straszą wyprutymi na zewnątrz wnętrznościami betonowych konstrukcji budynki byłego resortu spraw wewnętrznych i tajnych służb, również pocięte rakietami piętro po piętrze. Nie odbudowano też zbombardowanej chińskiej ambasady. Każdy, kto odwiedza Belgrad, a tym bardziej zagraniczne delegacje goszczące w MSZ, od razu wie, skąd wzięły się te rumowiska.

Wokół centrum usadowiły się luksusowe hotele, apartamentowce i biurowce. W jednym z nich swoją siedzibę znalazło polskie biuro radcy handlowego, które ma po sąsiedzku kilka ambasad. Peryferia Belgradu obsiadły kolonie domków jednorodzinnych i biedoty. Jak wymemłane zębami tygrysa wyglądają drewniane budy cygańskiej osady, jakiej w Polsce się już nie znajdzie. Ale nad nią dumnie patrzą w niebo czasze anten satelitarnych...

W nocy miasto zmienia swoją twarz, w nocy Belgrad ma rozbawioną gębę. Ulicami suną luksusowe auta, na deptakach setki młodych ludzi, zapach dobrych perfum, modne stroje, pełne restauracje i bary. Gwar rozmów, alkohol, taniec, muzyka, zabawa. Orkiestra zwykle gra do jakiegoś końca...

■

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA rozmawia
z KRYSTYNĄ i ANDRZEJEM BOCHENKAMI



Zdjęcia z archiwum rodzinnego K. i A. Bochenków

Krystyna i Andrzej Bochenkowie we wnętrzach Muzeum Zamkowego w Pszczynie.

To, że jesteśmy Ślązakami, podwyższa naszą wartość

– Naszą rozmowę o współczesnym Śląsku rozpocznijmy od wątku biograficznego. Interesuje mnie, do jakiego stopnia czujecie się Państwo tu zakorzenieni.

Andrzej Bochenek: – Czuję się Ślązakiem. Urodziłem się w Zabrzu, o którym ktoś powiedział, że to najbardziej polskie z polskich miast.

Krystyna Bochenek: – Nie ktoś, tylko generał Charles de Gaulle. Te historyczne słowa przekładała wtedy na język polski osobista tłumaczka generała, a zarazem moja ciotka Marie France Skuncke, kuzynka mamy, po ojcu Polka, po matce Francuzka. Oglądałam to wtedy w telewizji i byłam bardzo dumna, że mam taką ważną ciocię.

A.B.: – Zabrze – najbardziej śląskie ze śląskich miast... Moi rodzi-

ce też są Ślązakami, mama pochodzi z miejscowości położonej niedaleko Zabrza, z Przyszowic, ojciec z Kończyc – dziś dzielnicy Zabrza. To są prawdziwie śląskie miejscowości. Całe życie podkreślam, że jestem Ślązakiem, nie wypieram się tego. Znam gwarę śląską, której nauczyłem się w sposób naturalny, chodząc do szkoły przy ul. Szkolnej w Katowicach, gdzie wśród uczniów była ona popularna. Później, w liceum i na studiach stopniowo zacząłem tracić kontakt z gwarą, bo tam się jej nie używało. Jednak nie jest mi ona obca, doskonale ją rozumiem, a jak leczę rdzennych Ślązaków, to potrafię z nimi pogodać.

W domu nigdy nie mówiliśmy gwarą, chociaż dziadek i babcia byli Ślązakami, to mówili na co dzień językiem literackim. Dziadek był kierownikiem polskiej szkoły w Przyszowicach, a babcia kierowniczką przedszkola. Wiele czasu spędzałem w ich domu, w Przyszowicach. Tam miałem okazję uczestniczyć w świniobiciach, darciach pierza, kiszeniu kapusty, wykopkach kartoflanych, wtedy osłuchałem się z gwarą. Obserwowałem te wszystkie stare śląskie tradycje do trzeciej, czwartej klasy szkoły podstawowej – co już niestety nie było dane naszym dzieciom. Pewnie dlatego, że dziś rodzinne miejscowości moich dziadków i rodziców są kompletnie zurbanizowane, za czasów mego dzieciństwa były jeszcze wioskami.

K.B.: – Moja historia jest inna. Jestem Ślązaczką, ale tylko z miejsca urodzenia i życia, bo moi rodzice nie byli Ślązakami. Mama – w czasie okupacji łączniczka AK w Powstaniu Warszawskim, po wojnie wraz z rodzicami osiedliła się w Katowicach. Przedtem mieszkali w Warszawie, ojciec mamy był profesorem Szkoły Głównej Handlowej, wykładał ekonomię. Ich wojenne losy były skomplikowane i dramatyczne, mieli w Warszawie pracę, przyjaciół, piękny dom przy ulicy Nabielaka, stracili wszystko. Na Śląsk przyszli za chlebem. Dziadek zaczepił się w górnictwie, wykładał w Wyższej Szkole Ekonomicznej. Mój ojciec też nie miał nic wspólnego ze Śląskiem, pochodził z Sędziszowa na Kielecczyźnie. Miał tragiczną kartę wojenną, był w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie, Niemcy zamordowali mu matkę i rodzeństwo, z całej rodziny ocaleli tylko jego ojciec i wuj. W Katowicach rozpoczął nowe życie, tu poznał mamę, tu urodziłam się ja, potem moja siostra. Dodam, że urodziłam się w 1953 roku i jestem stalinogrodczanką, bo należę obok kilku kolegów, np. Michała Ogórka, Maćka Szczawińskiego, do grona ludzi urodzonych między 1953 a 1956 rokiem, kiedy Katowice były przemianowane na Stalinogród.

W mojej rodzinie można by znaleźć korzenie z całego kraju – wielkopolskie, mazowieckie, kieleckie. Nie było w niej tradycji śląskiej. Nie miałam też kontaktu ze śląskością w wydaniu regionalnym. Mieszkałam w centrum miasta, ale nawet w szkole nie mówiono gwarą, w gronie kolegów nie miałam rodowitych Ślązaków, podobnie było na studiach. W czasach mej młodości, a i początków życia dorosłego, gwara była tępiona. Pamiętam nawet jak kiedyś w radiowym programie ogólnopolskim zwrócono mi uwagę, że jeden z moich gości, wybitny lekarz z lekka zaciąga gwarą, co psuje im audycję! Pierwszym Ślązakiem jakiego poznałam, był Andrzej. Kuchnię śląską, o której wiedziałam, że jest dobra, ale ponoć ciężka i tłusta, też próbowałam dopiero w czasie naszego narzeczeństwa. Pierwsze kluski, pierwsze rolady znam z domu Andrzeja. Moja mama robiła podobne danie z mięsa, ale u mnie w domu mówiło się na nie „zrazy zawijane". I były na ogół z kaszą gryczaną. Pracując w Polskim Radiu Katowice obserwowałam od lat 90. działania mojej koleżanki Marysi Pańczyk na rzecz gwary śląskiej, ale prawdę mówiąc nigdy mnie to za bardzo nie ciekawiło. Teraz dopiero zaczynam mieć śląskie sentymenty, już jako osoba dojrzała czuję się związana ze Śląskiem i śląskością.



– Wojciech Kilar powiedział kiedyś, że Śląsk jest jak Ameryka. Czy podobne wrażenie mieli Twoi, Krysiu, dziadkowie i rodzice? Czy ich wrastanie w Śląsk odbywało się w miarę łagodnie, a może było trudne i bolesne?

K.B.: – Dziadkowie, rodzice mamy mieszkali z nami, ale babcia zmarła wcześnie, więc trudno mi coś o niej powiedzieć, poza tym że była osobą bardzo religijną i taką szlachetną poznańską panienką rodem z Gniezna. Jej ojciec Antoni Karpiński, adwokat, bronił podczas gnieźnieńskiego procesu dzieci z Wrześni, które nie chciały uczyć się religii po niemiecku. Babcię jednak słabo pamiętam, natomiast dziadek to była bardzo postać ważna w moim życiu. Jego brat Jerzy, polski oficer, został zamordowany w Katyniu, drugi brat Adam wyjechał z rządem emigracyjnym na Zachód i osiedlił się w Paryżu. Wiem, że dziadkowi trudno było wrosnąć w Śląsk, bo jak się tu przeprowadził, był dojrzałym człowiekiem. Mógł tu jednak zarabiać i utrzymać rodzinę. Mama długo nie czuła się tu zasymilowana. Mieszka w Katowicach, tutaj, w kościele Mariackim, poszła do ołtarza, tu urodziła dwie córki, doczekała się wnuków, ale zawsze trochę się odcina od tego miejsca. Dla niej miejscem urodzenia, odniesienia i porównania zawsze jest Warszawa. Czuję tę warszawskość w jej zachowaniu, postępowaniu, prowadzeniu domu, myśleniu, podtrzymywaniu kontaktów towarzyskich, podejściu do życia. Mama nie ma natury malkontenckiej –

mam to po niej, zawsze jednak mówi, że w Warszawie to..., że warszawiacy to... Jest klasycznym człowiekiem nie stąd, któremu tu przyszło żyć. Jest tu jednak szczęśliwa, ma dzieci, wnuki, miejsca, które lubi, ma przyjaciół.

Obserwuję „amerykańskość" Śląska, która przejawia się w różnorodności losów osób, które się tu sprowadziły. I podtrzymuję słowa pana Wojciecha Kilara. Sama doświadczyłam wielu spotkań z ludźmi, którzy nie pochodzili stąd, a wrośli w to środowisko, można nawet powiedzieć „pokochali" tę ziemię. Takim człowiekiem był np. profesor Jerzy Duda-Gracz, który pochodził z Częstochowy, a zakotwiczył się mocno w Katowicach. Myślę, że to miejsce ma swój urok. Moje korzenie nie sięgają w głąb tej ziemi, ale uważam, że jest to ziemia bardzo przyjazna i wydaje wspaniałe owoce w postaci szlachetnych, pracowitych ludzi.

– A jakie jest Pana, Panie Profesorze, zdanie na temat otwartości Ślązaków?

A.B.: – Ślązacy są otwarci nie tylko na idee, ale i na ludzi. Jestem absolutnie przekonany, że na Śląsku istnieje całkiem inne podejście do pracy, niż w innych regionach naszego kraju. Ślązacy wszystko sobie bardzo ciężko wypracowują. Jeżeli coś zaplanują, to starają się zrobić to od początku do końca bardzo porządnie. Ślązak nie toleruje bylejakości i powierzchowności. Niewątpliwie jest to związane z naszą, odmienną od reszty kraju, historią i kulturą. Czasami brakuje nam wizjonerstwa, często więc korzystamy z inspiracji ludzi z zewnątrz, którzy mają, być, może większą lekkość umysłu ułatwiającą podejmowanie zadań ponad miarę. Ślązacy muszą sobie wszystko ciężko wypracować, przez co czasami dochodzą trudniej do zaszczytów i stanowisk.

K.B.: – Wyrąbując do nich chodnik...

A.B.: – ... jak górnicy. W momencie, kiedy zabraknie idei, to nie wiedzą, co robić. To oczywiście się zmienia. Ta cecha Ślązaków związana była z brakiem wykształcenia, z edukacyjnymi zaniedbaniami, jakie były na Śląsku. Była tu tylko kultura techniczna, dopiero pod koniec lat 60. powstał tak bardzo tej ziemi potrzebny Uniwersytet Śląski, dopiero teraz powstają kolejne uczelnie humanistyczne. Przez wiele lat ten region byl regionem czysto technicznym, przez to czasami trudnym do życia.

– Na ile śląskość pomagała, a na ile utrudniała rozwój Państwa kariery zawodowej?

A.B.: – Często mówi się, że Ślązacy są w jakiś sposób dyskryminowani. Nigdy nie czułem czegoś takiego. Niejednokrotnie przebywałem w różnych środowiskach. Czasem, owszem, usłyszałem: „Ach., wy tam, na Śląsku, wy Ślązacy...". Wszystko zależy od tego, jak ktoś przyjmuje takie wypowiedzi. Jeżeli sądzi, że obniżają jego wartość, to reaguje oburzeniem czy zawstydzeniem. Ja zawsze uważałem, że to, iż jestem Ślązakiem, podwyższa moją wartość, daje mi poczucie bycia kimś lepszym. Wszędzie podkreślam, że jestem Ślązakiem. Kiedy w jakiś sposób dawano mi do zrozumienia, że jestem ze Śląska, mówiłem, że to jest zaszczyt dla mnie. To jest kwestia osobniczego przyjmowania takich uwag. Na pewno to, że jestem Ślązakiem, nie utrudniało mi życia.

K.B.: – Nie mówiłam gwarą, nie miałam śląskich korzeni, nikt nie byłby w stanie ani podwyższyć, ani obniżyć mojej wartości z tego tytułu. Spojrzałabym na to w szerszym kontekście, a mianowicie problemu Warszawa – prowincja. Niewątpliwie ci, którzy nie mieszkają w centrum kraju, w stolicy, do wszystkich – nazwijmy to – zaszczytów, do tak zwanej kariery mają utrudniony dostęp, choćby dlatego, że dalej im do decyzyjnych urzędów czy centralnych instytucji, rozmowy telefoniczne są droższe od lokalnych, wszelka komunikacja w erze przedinternetowej trwała wieki, a bilet kolejowy nadal jest drogi. Wszystko to powoduje, że codzienne kontakty mamy utrudnione. Fakt mieszkania poza Warszawą powoduje pewną izolację, pewne odcięcie. Dobrze wiesz, że na przykład dziennikarzom trudniej sprzedać materiał w prasie, radiu czy telewizji, nawet jeśli mają bardzo wysokie kompetencje. To samo dotyczy nie tylko Ślązaków, ale ludzi w innych regionach. W takich ośrodkach, jak Kraków, Poznań, Wrocław – ośrodkach humanistycznych – wsparciem w przebijaniu się na stołeczną scenę są grupy środowiskowe, a u nas z tym też było krucho. Jednak nie ma takiego miejsca w Polsce, by człowiek musiał sądzić, że sobie nie da rady, bo jest np. ze Śląska. To jest kwestia indywidualnego podejścia i dużej odporności na stres i trudne sytuacje. Jeśli chodzi o mnie, to jestem takim człowiekiem, który nie dzieli włosa na czworo i nie zamartwia się tym, co się stało wczoraj czy tym, że ktoś powiedział mi coś, czego nie chciałam usłyszeć. Mam taką naturę, że patrzę przed siebie, a nie za siebie. To daje mi w życiu dużo odporności nawet na przykre rzeczy, które mnie dotykają. Wyrzucam je z siebie, one mnie nie demobilizują. Publikowałam w gazetach i tygodnikach ogólnopolskich, miałam swoje programy w ogólnopolskim radiu i telewizji i nie było przeszkodą, że nie mieszkam w Warszawie. Fakt, musiałam trochę więcej czasu poświęcić na dojazdy, ale to mnie nie zniechęcało.

– Czy kiedykolwiek myśleliście Państwo, by wyjechać ze Śląska?

A.B.: – Nigdy. Proponowano mi to parokrotnie, miałem m.in. propozycję przejścia do Krakowa, do Warszawy. Zawsze mówiłem jedno: nie jest ważne, gdzie będę pracować, ale z kim będę pracować. Największą wartością tego, co osiągnąłem, jest zespół ludzi, z którym pracuję i miejsce, w którym pracuję – Górnośląskie Centrum Medyczne. Gromadzi ono wybitnych ludzi, wielkie indywidualności i czuję się dobrze w tym środowisku. To niezmiernie ważne. Nie ma większego znaczenia czy operuję dajmy na to w Londynie, Warszawie czy w Katowicach, ale dla mojego samopoczucia ważne jest to, z kim pracuję. Czuję się dobrze tutaj i dlatego nie chciałem tego miejsca zmieniać na inne. To nie jest strach przed nowym ani chęć wygody, po prostu trzeźwo potrafię oceniać sytuację i ludzi i wiem, że bardzo trudno byłoby mi zbudować w innym miejscu taki zespół i zdobyć takie samo zaufanie społeczne, które tutaj budowałem przez 30 lat. Uważam, że takie zmiany powinni dokonywać ludzie młodzi, ludzie starsi powinni się poważnie zastanowić nad taką decyzją.

K.B.: – Bardzo często pytano nas, zważając szczególnie na zawód Andrzeja, dlaczego nie zostaliśmy na Zachodzie. Andrzej pracował wiele lat za granicą. Myślano: skoro Ślązak, to dlaczego nie osiedlił się w Niemczech.

A.B.: – Mogłem pracować w Anglii, gdzie został mój kolega. Jak go po 20 latach obserwuję, to chwalę Boga, że mając podobnie jak on propozycje pozostania tam na stałe, wróciłem do Polski. Najprawdopodobniej byłbym teraz konsultantem w jakimś angielskim kardiochirurgicznym szpitalu, a zostając w Polsce jeżdżę teraz do Anglii z całkowicie innej pozycji, bo jako partner najlepszych kardiochirurgów.

Bardzo także przestrzegam przed taką pochopną decyzją młodzież, która jest nieco zapatrzona w blichtr Zachodu i martwi się tym, co się dzieje w naszej służbie zdrowia – rzeczywiście niskie płace, ciągle opluwanie lekarzy i pielęgniarek nie stwarzają dobrego klimatu do pracy. Młodzież jest zniechęcona, chce wyjechać z kraju i na pewno zostanie tam przyjęta z otwartymi rękami, ale tak będzie tylko do czasu, gdy faktycznie zechce robić karierę zawodową i stawiać warunki. Poza tym przyjdą na świat dzieci a tu... nie będzie babci, człowiek czuje się wyalienowany, wyobcowany. Mój brat, lekarz z rodziną mieszka w Niemczech, obaj mocno odczuwamy tę rozłąkę. I dlatego przestrzegam moich asystentów przed zbyt szybką decyzją o wyjeździe na stałe za granicę. Za to namawiam moich młodszych kolegów, by się szkolili za granicą, bo w Anglii, Stanach Zjednoczonych, Norwegii, Włoszech można się wiele nauczyć. Wysyłam ich na staże, chętnie pozwalam zostać dwa, trzy lata, ale potem mówię, że muszą podjąć decyzję, czy chcą zostać tam, czy wracać. Niektórzy zostają, niektórzy wracają. Za granicą jest miejsce dla robotników medycznych, nie ma tam miejsca dla tych, którzy chcą zrobić w zawodzie karierę.

K.B.: – Jeśli chodzi o mnie, to podejmowałam takie życiowe decyzje, jakie były dobre dla Andrzeja, bo jego praca była dla nas zasadniczym wyznacznikiem tego, co planujemy. Też miałam propozycje etatu w Polskim Radiu czy w Telewizji Polskiej w Warszawie, ale uznałam, że byłoby mi trudno wyjechać zostawiając w Katowicach rodziców, siostrę, groby bliskich, ulubione miejsca, dom, katedrę, bazylikę ojców franciszkanów. Pracować w Warszawie da się bez przeprowadzki. Ja pracowałam, ale płaciłam za to słono, również moja rodzina, bo na program, który trwał pół godziny i raz dwa przeleciał, musiałam poświęcić cały weekend. Byłam w pociągu, kiedy normalni ludzie siedzieli przy stole jedli obiad: rosół, roladę i modrą kapustę. Podpisuję się też dwiema rękami pod tym, co powiedział Andrzej. Syn i synowa skończyli medycynę. Są dziećmi nowego pokolenia, mówią w wielu językach, świetnie poruszają się w świecie i zastanawiają się co robić, bo wiedzą, że tam dobrze by zarabiali, a tu nie są nawet pewni, czy będą mieli miejsce na stażu. Odbywamy wiele burzliwych rozmów na te tematy, bo wszyscy mamy dość mocne temperamenty. Dzielimy się doświadczeniami, przestrzegając ich przed zagrożeniami, które wynikają z decyzji wyjazdu z kraju. Pokazujemy też pozytywy, które można uzyskać tutaj za kilka lat. Decyzję muszą podjąć sami.



– Właśnie zamierzałam zapytać, jak by można powstrzymać exodus młodych Ślązaków, ale to, co powiedziałaś, jest chyba dobrą receptą – trzeba rozmawiać z dziećmi i pokazywać im dobre i złe strony takiej decyzji.

K.B.: – Nie ma żadnej recepty, nie można powiedzieć, kto jak ma postąpić. To jest wybór między średniej klasy dobrobytem za granicą, który tam osiąga się dużo szybciej niż tu, a długofalowymi planami dotyczącymi kariery zawodowej, a tym samym prestiżu społecznego. Trzeba bardzo rozsądnie rozważyć, na czym mi zależy w życiu. Trzeba wziąć pod uwagę rozłąkę z rodziną i zawieszenie ambicji na kołku. Trzeba ocenić, czy w ogóle jest możliwe wtopienie się w nowe środowisko i obcą kulturę, poznanie niuansów języka obcego. Może być tak, że mimo posiadania lepszego standardu życia uzna się czas spędzony za granicą za czas stracony. My znamy takich ludzi, którzy pozostawszy za granicą, chcieliby cofnąć czas.

– Czy pokolenie JP2 pod wpływem nauki i autorytetu Ojca Świętego ma szansę korzystnie odmienić Śląsk, Polskę?

A.B.: – Cieszy mnie to pytanie, ponieważ nasze dzieci, zarówno syn jak i córka to dosłownie pokolenie Jana Pawła II. Ich dzieciństwo, dorastanie, doświadczenia życiowe, duchowość kształtowały się pod wpływem Ojca Świętego. Całe ich życie przebiegało w latach jego pontyfikatu. Oboje są dziećmi wolnej Polski, chociaż z Tomkiem, który urodził się w 1980 roku spacerowaliśmy między czołgami, które sunęły w stronę kopalni Wujek. Mieszkaliśmy w tamtych latach blisko kopalni. Na szczęście nie może tego pamiętać, był maleńki, miał zaledwie kilka miesięcy.

K.B.: – Opowiem historię, która jest bardzo osobistym zapisem przeżyć z czasów mojej młodości, początków naszego małżeństwa, a łączy się właśnie z naszym synem. Otóż miałam pewne kłopoty zdrowotne, w efekcie czego utraciłam pierwszą ciążę. Bardzo to przeżywałam, spodziewano się nawet, że mogę nie mieć dzieci. Był to czas, kiedy Karol Wojtyła objął Stolicę Piotrową. Od pierwszego momentu, kiedy 16 października 1978 roku w Dzienniku Telewizyjnym zobaczyłam tę dobrą, łagodną twarz, to jasne spojrzenie wiedziałam, że właśnie On doda mi sił. Uwierzyłam, że jeśli będę blisko Ojca Świętego moje największe marzenie, żeby posiadać dzieci, spełni się. Postarałam się o fotografię Papieża i trzymałam ją na



stoliczku nocnym. Wiele razy w ciągu dnia patrzyłam na to zdjęcie. Duże niebieskie oczy Jana Pawła II były mi podwójnie bliskie, bo podobne oczy miał mój mocno schorowany ojciec. Nasz syn Tomek przyszedł na świat w lutym 1980 roku. Może to zabrzmi ckliwie, może zbyt osobiście, ale kiedy jeszcze w szpitalu pokazano mi dziecko uderzyło mnie, że nasz syn też ma niebieskie oczy. Takie jak Ojciec Święty, takie jak dziadek.

A.B: – Krystyna często o tym mówi, lubi to wspominać. I Tomek, i Magda, która jest sześć lat młodsza to dosłownie pokolenie JP2. Magda, która chodziła w gimnazjum do słynnego „katolika" imienia ks. Emila Szramka jest dziś studentką, Tomek kilka miesięcy temu ożenił się z koleżanką ze studiów, równolatką, bardzo dobrą i miłą dziewczyną. Kiedy uradowani po ceremonii ślubnej odchodzili od ołtarza w katedrze Chrystusa Króla w Katowicach Ojciec Święty jeszcze żył. Z dalekiej podróży poślubnej wrócili w dniu Jego pogrzebu...

K.B.: – Mamy dobre dzieci, które chcą z sensem przeżyć życie, dzieci otwarte na naukę Kościoła. Takie jak większość ich rówieśników, które przychodzą do nas do domu. Ta mądra, wrażliwa i odpowiedzialna młodzież, która przewija się przez nasz dom nie czuje się zagubiona we współczesnym świecie. Ojciec Święty, ich duchowy autorytet, miał z pewnością gigantyczny wpływ na ich postawę, ich wiarę. Żeby tylko ci młodzi ludzie naszej tu ziemi, naszego kraju nie opuścili...

– Często w naszej rozmowie przewija się temat wartości. Dlatego chciałabym, byście Państwo opowiedzieli, jakie wartości wynieśliście z domów rodzinnych.

K.B.: – Wielką rzeczą, jaką dostałam od swojej rodziny, jest pogoda ducha. Mojej rodziny z obu stron los nie szczędził. Była mocno pokiereszowana przez historię. Długo by o tym mówić, to temat na wielką opowieść, ale niemal wszystkie polityczne zawirowania, tragedie, jakie zdarzyły się w historii dwudziestowiecznej Polski, dotknęły w jakiś sposób moją rodzinę, ale nie zniszczyły jej emocjonalnie. Moi bliscy to ludzie, którzy potrafili pokonać dramaty losu, pozbierać się i dalej iść przez życie z podniesioną głową. Moja matka mimo wieloletniej choroby męża nie pokazywała światu swej troski, nie epatowała wszystkich wokół swoim nieszczęściem. To mnie podbudowało życiowo, po niej odziedziczyłam siłę wewnętrzną, optymistyczną naturę i radość z każdego następna dnia. To duża wartość.

Następna to stabilność towarzysząca życiu – przywiązanie do miejsca życia i ludzi, płynące z przekonania, że nie zmienia się męża, przyjaciół, miejsca życia, pracy. I takie jest też moje życie, pracowałam na etacie – mając różne dodatkowe zajęcia – w jednym miejscu, w Polskim Radiu, mam za sobą trzydzieści lat dobrego małżeństwa, całe życie spędziłam w Katowicach. Wszystko to, co osiągnęłam jest przejrzyste, ma mocne, solidne podstawy.

Natomiast po ojcu odziedziczyłam otwartość na innych ludzi, przedsiębiorczość, zaradność życiową. Ojciec był bardzo komunikatywnym, serdecznym człowiekiem i ciężko mu było żyć w scentralizowanym i policyjnym państwie, które tępiło wszelki przejaw indywidualnej działalności i przedsiębiorczości. Miał z tego powodu dużo kłopotów. Próbował pracować jako tzw. „prywaciarz", więc deptano mu po piętach i niszczono zdrowie fizyczne i psychiczne. Na pewno mam po ojcu to, że jestem niespokojnym duchem, osobą, która lubi nowe wyzwania i rzuca się na coraz to nowe projekty. Ojciec, jak to się dziś mówi, był niezwykle kreatywny. Jestem przekonana, że gdyby żył w kraju wolnym ekonomicznie, a nie „za żelazną kurtyną", to by z dużym rozmachem stworzył jakąś wielką firmę, niebanalne przedsięwzięcie, był bowiem człowiekiem, który lubił pracować i stawiać nowe wyzwania przed sobą.

A.B.: – Z domu wyniosłem przekonanie, że jeśli cokolwiek się robi, to należy to robić porządnie. Nie lubię bylejakości. To dotyczy wielu rzeczy. Przekonanie o tym wyniosłem od mojej mamy, która jest pedantką i wszystko robi bardzo starannie. Staram się postępować tak samo.

Drugą wartością, jaką wyniosłem z domu, jest na pewno odpowiedzialność za rodzinę, przywiązanie do niej, a także do tradycji. Uważam, że tradycję należy kultywować, że powinny być pewne kanony, których należy przestrzegać, których nie wolno dewaluować ani łamać. Święta spędzamy w domu, w gronie rodziny i trzeba to pielęgnować. Nie lubię na Boże Narodzenie jeździć na Wyspy Kanaryjskie, wolę je spędzić w domu przy choince.

– Wartości budują nie tylko rodziny, ale i naszą ziemię. Gdzie zdaniem Państwa tkwi dziś największy potencjał na Śląsku?

K.B.: – To wyzwolenie Ślązaków z roli, która do tej pory im była przypisana. Łamią się stereotypy Śląska jako ziemi, na której żyją ludzie mało wykształceni, zdatni tylko do ciężkiej roboty, „dupowaci"– w dobrym tego słowa znaczeniu, czyli mało przebojowi, samodzielni, twórczy. Dziś spotyka się tu wielu ludzi, szczególnie młodych, którzy wyzbyci są wszelkich kompleksów i ograniczeń, jakie mieli ich dziadowie. Mamy świetną, chłonną wiedzy, myślącą, otwartą młodzież, wydaje mi się, że nawet nie wiemy, co posiadamy. Młodzi ludzie w niczym nie ustępują swym

rówieśnikom z krajów wysoko rozwiniętych. Oni prowadzą nas do Europy. Wreszcie Śląsk uwierzył w siebie.

Andrzej jest lekarzem, ja zajmuję się upowszechnianiem zdrowia, uważam, że możemy się chwalić m.in. śląską medycyną – jest skarbem porównywalnym z naszym śląskim węglem. Mamy wysokiej klasy specjalistów, mamy na Śląsku kilkanaście sław medycyny w skali Europy. Możemy być Mekką medyczną, już nią jesteśmy, ale sądzę, że jeszcze za słabo to umiemy nagłośnić. Tak jak kiedyś staliśmy węglem, tak dziś stoimy medycyną, lekarzami, że nie wspomnę o muzyce, w której od lat mamy wielkie osiągnięcia.

A.B.: – Największym potencjałem tej ziemi jest chęć do pracy. Tu ludzie chcą pracować. Już nie tylko jako najemnicy, ale sami zaczynają twórczo organizować sobie pracę. Popatrzmy, jakie tutaj powstały fantastyczne firmy komputerowe, z niczego coś – wielkie firmy porównywane z firmami na całym świecie.

Mamy więc wspaniałe młode pokolenie i chęć do działania. To dostrzegają moi koledzy, którzy przyjeżdżają tutaj z Norwegii. Oni martwią się swoją młodzieżą, bo ta korzysta z zasobów, które wypracowali jej rodzice, jest bogata i nie ma żadnej motywacji do pracy. Moi norwescy koledzy zastanawiają się zawsze, jak to jest możliwe, że potrafię zmobilizować ludzi w szpitalu do pracy na trzy zmiany. Tłumaczę im, że to potrzeba chwili, nie możemy pozostawiać sal operacyjnych wolnych, jeżeli ludzie czekają na zabiegi operacyjne. Norwegowie mówią, że nie byliby w stanie tego zrobić u siebie za żadne pieniądze. Wygodne życie, które przychodzi razem z pieniędzmi, możliwość rekreacji – to jest to, na co nas jeszcze nie stać, a co powoduje, że my mamy więcej chęci do pracy. Obcokrajowcy dostrzegają w Polakach tę chęć pracy, chęć zdobywania czegoś, bogacenia się, dochodzenia do poziomu krajów wysoko cywilizowanych.

Tej motywacji brakuje wielu rozwiniętym krajom i dlatego widzimy taką recesję np. w Niemczech czy w Holandii. Jeśli kraje bogate stracą obcokrajowców, a wygląda, że nie zasymilowali oni się z tymi krajami (widzimy, co się dzieje we Francji, Wielkiej Brytanii), to będą mieć problem. Już teraz Europa starzeje się, rodzi się za mało ludzi. To będzie wielki problem także naszego kraju, będziemy mieć go w Polsce za parę lat.

W Polsce jeszcze wielu ludzi ma chęć do pracy, ale jeszcze większą – a obserwuję to w swoim środowisku – mają ludzie, którzy przyjeżdżają tu do pracy z Ukrainy, Białorusi, stamtąd, gdzie jest większa bieda. Bieda powoduje to, że człowiek ma większe ambicje, że człowiek zaczyna więcej pracować, bo chce się wyrwać z tej biedy. Bogactwo i konsumpcjonizm mają niestety wiele wad, głównie tę, że młodzieży nie chce się pracować, bo może ona czerpać z zasobów, które wypracowali jej rodzice.

– A co jest największym zagrożeniem dla Śląska?

K.B.: – Zagrożeniem jest zapatrzenie w dobrobyt i styl życia Zachodu, dobra młodzież będzie nas opuszczała.

– To prawda, niektórzy demografowie twierdzą, że grozi nam wyludnienie, już teraz ubywa mieszkańców Śląska.

A.B.: – Tak będzie dopóki na Śląsku nie stworzy się lepszych warunków do życia. Jest już lepiej, ale na faktyczną poprawę trzeba lat. Śląsk ma niezwykły potencjał, porównywalny z landami austriackimi, mamy możliwości i do rekreacji, i do przemysłu, i do życia, ale Śląsk – tak mi się wydaje – będzie się trochę wyludniał, ludzie będą uciekali do innych ośrodków i to jest największe zagrożenie. Jednak ci, co zostaną, to po latach będą spijali miód, tu warto zostać.

– Europa regionów jest chyba dla naszego regionu dość nośnym hasłem i szansą. Czy potrafimy korzystać z przynależności do Unii Europejskiej?

K.B.: – Jesteśmy w Unii od ponad półtora roku. Dość szybko uczymy się tego, choć trudno powiedzieć, czy wykorzystujemy wszystkie możliwości. To wymaga praktyki, zgłębienia procedur administracyjnych, przystosowania przepisów, szlifowania języków obcych – wiadomo, że starsze pokolenie miało z tym kłopot – a to jak wiadomo potrwa wiele lat. Jednak wydaje mi się, że Śląsk potrafi korzystać z dobrodziejstw przynależności do Wspólnoty Europejskiej. Mamy też sporo do zawdzięczenia w tym względzie naszym eurodeputowanym, choćby dr. Janowi Olbrychtowi – byłemu marszałkowi województwa, który z perspektywy brukselskiej podpowiada jak działać, wspiera nas swoimi kontaktami i doświadczeniem.

Wszystkie struktury samorządowe współpracują w tym względzie. Indywidualni przedsiębiorcy ze Śląska już dawno byli w Europie, lekarze też, artyści również, np. muzycy Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach. Śląsk zawsze był żywo obecny w Europie. Podczas jubileuszu 90-lecia prof. Kornela Gibińskiego, wybitnego internisty, bardzo pięknie powiedziano, że profesor nas tam reprezentował na wiele lat przed akcesją do unijnych struktur.

Chciałabym, aby jedno z wyjazdowych posiedzeń senackiej komisji kultury i środków przekazu odbyło się właśnie na Śląsku, chciałabym zaprosić tu senatorów z całej Polski, by pokazać im, jak można wykorzystać fundusze strukturalne, np. do budowy nowej siedziby Muzeum Śląskiego, czy sali „Symfonia" Akademii Muzycznej. Myślę, że na ten krótki czas, gdzie uczymy się wciąż być aktywnym i pełnoprawnym członkiem struktur unijnych, Śląsk może świecić przykładem.

Katowice, 5 listopada 2005 r.

Rozmowa z Krystyną i Andrzejem Bochenkami znajdzie się w drugiej części książki Danuty Lubiny-Cipińskiej „Ziemia z uśmiechu Boga. Rozmowy o Górnym Śląsku", która ukaże się w 2006 roku nakładem Wydawnictwa Księgarnia św. Jacka w Katowicach. Na przygotowanie drugiego tomu „Ziemi z uśmiechu Boga" autorka otrzymała stypendium województwa śląskiego. Tom pierwszy wydano w 1998 roku w ramach Programu Zrównoważonego Rozwoju Społecznego Województwa Katowickiego.

Krystyna Bochenek, senator RP V i VI kadencji, dziennikarka specjalizująca się w promocji zdrowia, zdrowego stylu życia oraz kultury języka polskiego, autorka „Ogólnopolskiego Dyktanda", inicjatorka corocznego, imieninowego zjazdu Krystyn, a także wielu zdarzeń medialnych i akcji charytatywnych na Śląsku.

Andrzej Bochenek, prof. dr hab. n. med. – szef I Katedry i Kliniki Kardiochirurgii Śląskiej Akademii Medycznej, uczeń prof. Zbigniewa Religi, niekwestionowany mistrz w operacjach endoskopowych. ■

Jak się rodziła moja poetyka?

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Kartki z gliwickiego dziennika



Rys. Jerzy Tchórzewski

Tadeusz Różewicz w ujęciu Jerzego Tchórzewskiego.

26 XI 59 czwartek

Piszę. Piszę rzecz „nie mo żli wą".

Opowiadanie pt. „Wieczór poetycki".

List od Szymb. ... „jeśli przeznaczyłam „Księcia" na początek grudnia, to nie zrobiłam tego wcale dla zachowania mechanicznej kolejności w mojej nieszczęsnej teczce redakcyjnej, ale dlatego że w tym numerze, który wyjdzie podczas naszego Świętego Soboru ZLP, powinien się znaleźć utwór poetycki o naprawdę poważnym ciężarze gatunkowym. Dla mnie osobiście jest ta „Rozmowa z księciem" jakimś bardzo zasadniczym głosem w dyskusji – tym bardziej zasadniczym, że wcale nie jestem pewna, czy znajdzie się choć parę głosów tego rodzaju...

... czy się Pan dziwi, że wolę w takiej chwili położyć akcent na poezji, która myśli i jest przez to zawsze bardziej zagrożona? Pozostaje oczywiście sprawa cenzury. No tak, w imieniu tej instytucji niczego nie mogę zagwarantować, nie mogę nawet dla uzyskania pewności posłać wiersza wcześniej, bo już sam ten fakt obudziłby niezdrowe zainteresowanie..." Mądra Szymborska.

W zeszłym tygodniu był Kornel. Czytaliśmy jego Nowelę Filmową „Romans prowincjonalny". Dałem mu do przeczytania wspomnienie o Marysi „W najpiękniejszym mieście świata" (w Paryżu).

W niedzielę był ksiądz M.

Opowiadał mi o ciągłych przykrościach jakich doznał ze strony przełożonych (biskupa). Mówi, że chce opuścić kraj, zamierza wstąpić do klasztoru (wspominał o Normandii). We Francji siedział u naszych „stryjecznych" – jest tam Bolek Różewicz, syn stryjka Ignasia – podobno ma jakiś warsztat naprawczy samochodów pod Paryżem. W. mi opowiadała, że Ks. Marian napisał – „coś z podróży". To mu zostało po wuju Józefie. Mam rękopis Wuja Józefa – dziennik z czasów pierwszej wojny światowej. Fantastyczna lektura. Jedna z ciekawszych jakie w życiu czytałem o wojnie. Naszpikowana okropnymi wierszami Wuja – ale również cytatami z Szekspira, Mickiewicza itd. Chciałbym kiedyś opracować wyjątki z tego dziennika. Wuj Józef w tym dzienniczku wspomina o ojcu Bolka – który był administratorem jakiegoś majątku ziemskiego koło Mińska – wspomina też o Dziadkach, i Rodzicach. Chciałbym napisać książkę o Gabryjelowie pt. „Rodzinna wieś mojego Ojca". Myślę o tym od kilku lat. Największą radość sprawię tym Zosi... Gabrielów.

Pełno tam naszej rodziny, krewnych i powinowatych. teraz należą do „wiejskiej biedoty". Chciałbym kiedyś jeszcze porozmawiać z Antonem, bratem Ojca.

Czytam bardzo dużo. Bolą mnie oczy. Czytam na ulicy, w polu, w domu, na sedesie, przy stole i w łóżku, na podłodze... czytam wszystko co jest „drukowane".

Od wczoraj czytam „Der Spiegel" doskonale redagowany tygodnik (Hamburg). Świetny artukuł o Quasimodo. Na zdjęciu laureat żywo przypomina komika włoskiego Toto... tylko twarz jakby smutniejsza – obok gipsowy biust (chyba nie maska pośmiertna) laureata i jego zdanie o B. Pasternaku, które laureat wygłosił w czasie pobytu w Moskwie: „Pasternak ist ein kleiner Bourgeois..." bylo to w czasie „wymiany listów, między Pasternakiem i Chruszczowem. Pasternak właśnie otrzymał wiadomość, że został laureatem Nagrody Nobla. (Quasimodo-Toto, który sprzedawał fałszywe monety w filmie „Złodzieje i policjanci". Miły Boże.)

I ten noblista i ten noblista...

27 XI 59 r.

Czytałem „Biesy"... Oświadczam z góry: składam czoło przed wielkością geniusza; lecz po cóż Ci panowie, nasi geniusze, pod koniec pełnych chwały lat zachowują się nieraz jak małe dzieci? Cóż z tego, że nazywa się Karmazinow i że wyszedł na estradę z taką pompą, jakby to było pięciu Kamerherów? Czyż może przetrzymywać taką publiczność, jak nasza, całą godzinę dla jednego utworu? W ogóle zauważyłem, że największy geniusz nie może bezkarnie przykuwać uwagi publiczności na lekkiej zabawie literackiej dłużej niż 20 minut.

„Biesy" czytałem od roku 1942-43. Przeczytałem tę powieść 4 razy i kilka razy dokładnie przejrzałem „Biesy", „Zbrodnię i karę"... prawie całego Dostojewskiego przeczytałem w czasie okupacji. „Zbrodnię i karę" znalem i znam „na wyrywki". Dostojewski.

18 XII 59 piątek

Byłem dzisiaj na placu, gdzie sprzedają „boże drzewka". Starsi z twarzami wściekłych psów (lub krów) – rzucają świerczki o ścianę, klną na dzieci, obłamują gałązki. Biedne połamane „drzewka", biedne dzieci. Ile wściekłości i gnoju zmagazynowane jest w w dorosłych – te potworne dzieci plugawią świat. Czy naprawdę są ładne i brzydkie drzewka.

Byłem w Warszawie. W „radiofonii" nie byłem. Nic nie załatwiłem. Nie wiem co będę robił dalej. Okradziono mnie. A ja się wstydzę.

Idiotyczna kampania reklamowa nr. Świątecznego „Przeglądu kulturalnego".

Widok miasta – dziś okropny.

W Stolicy. Wstręt do siebie. Ta... Paskudne to wszystko.

Wyciągnąć nogę z literackiego g... Wyciągnąć nogę!

W nr. 51 „Życia Lit." Jean Louis Barrault „Bohaterowie Szekspira są wśród nas"...

Dusiłem się przez cały dzień – a teraz te mądre słowa „komedianta" sprawiły, że odetchnąłem. Kiedy mówi mądry człowiek – jestem mu bardzo wdzięczny.

22 XII 59 r.

Wczoraj wysłałem „sztukę" (Kartoteka) Puzynie. Może wydrukują w „Dialogu"?

23 XII 59

Rok 1959 zbliża się do końca.

31 XII 59

Od kilku dni pada deszcz. Jest ciepło. (ok. +10°). Szaro. Czarno. Jutro zacznie się 1960 r.

28 I 1960 r.

Otworzyłem nagle „wyznania" Augustyna i to były pierwsze słowa: „19. Precz z tym wszystkim. Poniechajmy tych rzeczy czczych i bez wartości! Zabierzmy się jedynie i wyłącznie do szukania prawdy. Życie jest marne, a godzina śmierci nie jest nam znana. Jeśli zaskoczy nas nagle, to w jakim stanie będziemy, gdy stąd odejdziemy."

21 II 60 r.

„Tak, głupota polega na chęci wyciągania ostatecznych wniosków. Jesteśmy nicią, a chcemy wiedzieć, jaka jest osnowa. To sprowadza się do tego samego, co owe wieczorne dyskusje o upadku sztuki. Teraz spędza się czas na mówieniu sobie: „Jesteśmy kompletnie skończeni, oto doszliśmy do kresu" itd. itd.

23 II 60 r.

„Ta wada zresztą, (obszczekiwanie przyjaciół w towarzystwie), przybiera, zdaje mi się, olbrzymie rozmiary".

24 II 60 r.

Czuję jak zgraja mnie osacza już od wielu lat od wielu lat.

16 III 60 r.

Doprowadzili mnie znów do tego – nie mam gdzie drukować wierszy. Mam 39 lat – tak długo kręcili, że wreszcie osiągnęli cel. Wiersze moje leżą od wielu miesięcy w „tece".

20 III 60 r.

Z głupoty, sprytu i żarłoczności ukręcili sznurki i spętali mnie. Przez swoje praktyki doprowadzili do tego, że od wielu miesięcy nic nie mogę drukować. Gdyby ktoś usłyszał o tym jak ci faceci ze mną postępują nie uwierzyłby. Przecież ja nie mam gdzie drukować w Polsce! w r. 1960! Chcę. Ale nie mam gdzie. Zakneblowali mnie.

I widzę tam twarze „przyjaciół".

Nie mogę nazwać tego co mnie wypełnia.

A ta zabawa w kotka i myszkę – w Warszawie. Ja jestem myszką. Ale najzabawniejsze, że rolę kota przyjmują wielkości warszawskie. I tego rodzaju fałszywy kot bawi się ze mną.

Ta cała operetkowa historia w Centralnym Zarządzie Teatrów. „Dyr. Jerzy Jasiński nie ma czasu... dyrektor Jerzy Jasiński nie godzi się na zakupienie „Kartoteki". Dyrektor Jerzy Jasiński jedzie teraz na próbę i nie może z Panem rozmawiać, bo Pan nie meldował się telefonicznie Dyrektorowi Jerzemu Jasińskiemu sztuka nie podoba się... Osiem tysięcy złotych, (które mi już przyjaciele policzyli) ... zarobił na sztuce". Na razie pięć. Znam dyrektora Jerzego Jasińskiego.

Boże Miły – to siedzenie pod szafą i czekanie, te „wizyty"... Moja Droga krzyżowa odbywa się w burdelu, kryminale i wesołym miasteczku.

22 III 60 r.

Nie szczekaj na innych, myśl o tym co ty robisz. Jak żyjesz. Wstydzę się.

W tych warunkach człowiek zamienia się w marną, słabą istotę.

To się bierze – to ma źródło w braku szacunku dla człowieka. Bez szacunku – można żyć tylko życiem zwierzęcym, biologicznym. Moje wiersze to nie **„poezja" – to są rzeczy.** Cóż to ma wspólnego z „poezją". Czego ja chcę od krytyków i recenzentów, czego od redaktorów?

Przeczytałem dzisiaj te strony. Żałosne to wszystko żałosne i śmieszne. I siebie zobaczyłem. Zupełnie jasno. Wstydzę się za siebie i za tych o których pisałem. Miałem zamiar zniszczyć te kartki ale ich nie zniszczę. Niech tu zostaną – przestroga dla młodych ludzi, którzy chcą być poetami, pisarzami. Żyłem „sto mil" od „środowiska" i... Moja duma. Pisarz musi być dumny. Dumny, nie zarozumiały. Bez dumy zamienia się w podogonie osła.

Temat: „Oszuści". Kiedy ja to napiszę?

Czy człowiek jest tak marny? Czy „Upadek" Camusa nie był jednak „literaturą". Czy współczesna literatura jest **tylko** literaturą. U nas? Czy może istnieć jako „piękna sztuka pisania". Jest pokutą. Wyznaniem win. Cudzych i własnych?

Trzeba myśleć i żyć małą ojczyzną. Nie można żyć kosmosem. To są pozory. Może kiedyś! Ale moje pokolenie jest tak związane – z ojczyzną, z ziemią, z wszystkimi grzechami, z całą męką. Od tego nie można odejść. Można tylko zamilknąć... i nie można.

Nie będę już więcej pisał w tym dzienniku o tamtych sprawach. O czterech listach do Artura... o tym, że mi nie dopłacono 450 zł... Inni piszą o metaforze, o szkołach poetyckich i „poezji" –

29 IV 60 r.

W „Życiu Lit." Mój poprawny, dydaktyczny wiersz „Korzenie".

„Kartoteka" była wystawiona w sali prób „Teatr Dramatycznego" w Warszawie.

Byłem 26 marca na „prapremierze". Wywołany przez „publiczność" (wśród której słyszałem okrzyki p. Korcellego) kłaniałem się, uścisnąłem rękę „Bohatera". Teraz (tzn. po premierze) ukazały się recenzje. Otrzymałem również 4 tys. 800 zł. – od Związku teatrów. A więc osiągnąłem wszystko o czym może marzyć debiutant. Jestem bowiem debiutantem. „Czuję się głupio".

Okropna korespondencja (przy pomocy osób trzecich) z Uniwersytetem Genewskim. Przypuszczam, że uważają mnie tam za kretyna albo aferzystę, a chodzi po prostu o to, że nie wiem co zamierzam robić we Włoszech – gdzie „jadę" już od października zeszłego roku. Historia zupełnie głupia. Postępuję jak chory. Przecież mi dawno wszystko załatwiono i ja niby też załatwiam a ciągle coś w listach kręcę i nie wyjeżdżam.

W Łodzi czytałem „Żiwago" B. Pasternaka. Między „Odwilżą" i „Żiwago" – przepaść. Taka jaka jest między prawdą i pół-prawdą. Przecież pół-prawda jest „pół-kłamstwem". To obok „Cichego Donu", „Klęski" – książka należąca do najlepszych jakie napisano w Rosji – Radzieckiej.

Najsłabsze wydają mi się w tej książce wiersze. Może Past, zbyt trudny do przełożenia.

26. VIII 1960 r. piątek

W. z Jankiem i Kamilem (jeszcze nie wróciła z „wakacji").

Wczoraj w polu, na długim spacerze.

Zdaje mi się, że wyleczyłem się z napadów nienawiści do „środowiska", głupich redaktorów itp. itd.

5 września 1960

Wczoraj była Zosia R. po południu Ks. Marian. Marian wybiera się do Brukseli, potem do Ameryki Płd. (na misje). Na razie jedzie do Warszawy, będzie czekał na paszport.

Janek chodzi do szkoły. Umarł nasz sąsiad Hajok. Jesteśmy od lat zaprzyjaźnieni z rodziną Hajoków (odstąpili nam pół ogródka na działce).

6 września 1960 r.

Padają deszcze. Była wczoraj lektorka Uniwersytetu Köln – M. Weber. Książek wysłanych (przed kilku miesiącami) nie otrzymała.

Czytam: „Pamiętnik" Waleriana Łukasińskiego i Cezara „O wojnie domowej".

Muzyka wypełnia człowieka natychmiast – (całego). Muzyka... a śpiew? Muzyka nie wzrusza tak jak śpiew – może jest to sprawa „instrumentów".

Tu dźwięk wydobywa się z martwego instrumentu tu z żywego – z organizmu – z człowieka. Tu instrumentem jest trąba... a tu żywa kobieta. Człowiek.

Trudność w nawiązaniu do dawniejszego siebie – do swojej postaci przed „italienische reise". Obojętność w stosunku do wszystkich tekstów, jakie tu zostały... po mnie. Nie widzę nic. W tym trudność: nie mogę rozbudować obrazów, które zostały w scenariuszu.

Nawet budowa zdań – nagle stała się tajemnicą i straciłem wiedzę... o tej pracy wiem teraz b. mało.

Świat zaczyna żyć – pod znakiem Lumumby, Konga, Kasa bubu? Sekuture (i innych) murzynów, miast kongijskich, w afrykańskich krajach gotuje się... kardynał murzyński Rungwaba (?)... jak to daleko od mojego dzieciństwa kiedy na ręce „pani od religii" składaliśmy znaczki i „staniol" na wykupienie murzynka z niewoli pogańskiej.

Olimpiada. Walasek. Październik. Krzesińska. Krzyszkowiak. Kocerka. (Kusociński... we wspomnieniach).

Jest godzina 12 minut 15. Pada deszcz.

W poradniach gruźliczych jest zarejestrowane 500.000 gruźlików.

Opisywanie tego, że złapało się rybę że świeci

księżyc że bębnił deszcz po co?

Odchodzisz

radio milczy

wyjść można do kina albo do księgarni

lepiej do kina kino jest jak sen ale przebudzenie jest przykre

widziałem film o moim pokoleniu „Hiroszima moja miłość".

Wzruszający i dobrze zrobiony film. Aktorka. Twarz. Głowa.

Niechęć do napisania „wierszyka".

Cisza

A. blondynka, ma jeszcze gęste jak miód włosy (...)

Janek dostał piątkę za rysunek. Chodzi piąty dzień do szkoły.

Wczoraj przeglądałem listy, kartki, książki z dedykacjami od Staffa.

Myślę o Miłoszu, Przybosiu.

Dużo recenzji z „Kartoteki"

Teraz kroki po cementowych płytach.

Cisza Nic

nucenie to W.

ojcu kupić zegarek kieszonkowy ma teraz syna (!)

wyjechał dałem mu tylko 100 zł. i kupiłem bilet do Częstochowy drżały mu ręce.

Co grają w kinie wróciłem płaszcz był mokry

padał deszcz

Matka

zacząć znów naukę pisania

opis „podróży włoskiej".

Nie myśleć nie myśleć tylko pisać

myślenie niszczy

myślenie w naszych czasach obezwładnia

trzeba tyle i tyle metrów drogi wybudować

wyłożyć kamieniem nie trzeba myśleć trzeba

rozbijać kamienie

ucieknę do kina

nic dodać nic ująć tłumaczenie z Benna podobno

dobre chciałbym wyjść ale nie jestem ogolony

wstydzę się tego

opowiadania „OSZUŚCI" – nie napisałem.

„Rodzinna wieś mojego Ojca" – to Gabryjelow kolo Osjakowa.

8 wrzesień 1960 r.

Wczoraj L. wyszła za mąż – ale jest jeszcze u nas. Było „przyjęcie" na którym „bawiłem" przez 4-5 godzin, potem poszedłem na spacer. Przeczytałem – ostatnią część „Zaoranego ugoru" i sztukę „Irkucka historia" (idiotyczna – ale płakać to mi się chciało – prostaczek ze mnie).

Tołstoj: „... w rytmie są pewne nieskończenie małe wielkości, od których umiejscowienia zależy często całe wrażenie. Takie nieskończenie małe wielkości istnieją, nawiasem mówiąc, w każdym rodzaju sztuki i ich opanowanie jest właśnie zadaniem prawdziwego artysty."

Zimno. Takie jest piekło na ziemi. Zimno przychodzi od dołu.

10 IX 60 sobota

miałem dziś rano o 10 jechać do Łodzi. Pojadę jutro. Rano byłem w polu.

Ciepło pierwszy dzień (od wielu dni) bez deszczu.

Czytam: Lexikon Alter Malerei – (KNAURS)

Ciekawy nr 8 „Twórczości" – dobre poezje Superviella (przekład Przybosia) – trzy ciekawe wiersze Z. Herberta – Listy Sienkiewicza (J. Krzyżanowski) itd.

4 XI 1960 wtorek

Słońce. Rano spacer w pole.

Jest 4 październik 1960 r.

Napisałem list do Wir. Dziś otrzymałem odpowiedź. Jak z tamtego świata.

Oni wszyscy umarli. A ja? Straszny list od umarłych raz na zawsze.

Muszę sobie zdawać z tego sprawę. Przemiana jednak musi przyjść od zewnątrz nie od wewnątrz. Ciekawe. Wydaje mi się, że trzeba przywiązywać jak największą wagę do „regulaminu" – tamte „duchowe" rzeczy zjawią się potem. Ważne są więc cechy zewnętrzne – reguł zakonnych, wojskowych itd. stąd – wstawanie, mycie, spacer są ważniejsze od tzw. „Przeżyć duchowych". Rozumieli to w dawnych „zakonach, wojsku, szkołach".

ALS IK KAN STEHT VON Jan von Eycks Hand geschrieben auf einigen seiner Bilder.

Ich habe es gemalt, so gut ich konnte. To wystarczy. Nie trzeba znać biografii, dzienników, pamiętników... (no, tak!)

7 X 1960 r.

Ostatni dzień. Jutro zaczynam 40 rok życia. Z tych notatek może wynika, że przywiązuję do tego specjalną wagę – ale tak nie jest. Notuję to dla pamięci. Bo czasem można zapomnieć. Ponieważ teraz z okazji urodzin (na Śląsku obchodzi się raczej urodziny niż imieniny) – dzieci nie malują dla Ojca laurek z życzeniami (ten zwyczaj był w naszym domu – i składaliśmy Ojcu w dzień imienin życzenia – z laurką – Matka tego pilnowała) – powinienem sam ułożyć sobie jakiś wierszyk – np.

nie czuję się godzien
żyć tak długo
po 40 łatwo zostać
bowiem sługą
swego oka swego ucha
przede wszystkim
swego brzucha

niestety straciłem zupełnie sprawność w pisaniu wierszy nie mówiąc już o tzw. „poezji". Naprawdę nic „głębokiego" nie wymyślę. Nawet patrząc na zdjęcia „grzyba atomowego" które wisi na ścianie przed moim nosem.

Czytam „Spowiedź Stawrogina".

9 X 60

Byłem w Muzeum Oświęcim. Wieczorem w Teatrze Śląskim za „Żeglarzu" Szaniawskiego. Reżyser zrobił z „Żeglarza" kiepską farsę – balet, operetkę – aktorzy zgrywali się (idąc zapewne za wskazówkami reżysera) – wyszło coś pomiędzy Krumłowskim – Bałuckim – Fredrą, Jurandotem i Ibsenem.

P.S. Laurkę od Janka otrzymałem na imieniny!

29 XI 1960

Widziałem się w Warszawie z P. z K. z T. z H. z S. z L.

Czytałem pierwszy rozdział nowej książki Mietka. Czytam (ciężko) Lessinga.

Przeczytałem komentarz Manna do powieści – „Jak powstał doktor Faust".

Z P. nie mamy (sobie) nic do powiedzenia. Powiedział w czasie rozmowy: „Otacza mnie powszechna niechęć a nawet nienawiść – Ciebie (tzn. mnie) wszyscy kochają". „Wszyscy", tymczasem podejrzewam, że on mnie w jakiś sposób nie znosi. – nie lubi – (...)

(dowodem tego częste „szpileczki" w jego artykułach) On który jest moim przyjacielem. Wypiliśmy po 15 latach znajomości „bruderszaft".

W Łodzi oglądałem kawałki taśmy. Byłem poza domem 11 dni. W tym roku wyszły drukiem trzy książki – „Rozmowa z księciem", „Przerwany egzamin" oraz w Belgradzie „Wybór wierszy" (wyd. Nolit). W teatrze Dramatycznym odbyła się premiera „Kartoteki" i w tym samym prawie dniu premiera filmu „Miejsce na ziemi" (Kornel, Stanisław i ja) były również w telewizji, w teatrze „rapsodycznym" i w teatrze 38 (?) różne imprezy i „estrady".

Od maja do sierpnia byłem w Italii. Napisałem wspólnie ze Stanisławem scenariusz nowego filmu (3 nowele filmowe) pt. „Świadectwo urodzenia". W tej chwili Stanisław „kręci" ten film. Może się więc wydawać, że rok ten był urodzajny i szczęśliwy. (Trzeba dodać do tego wielką ilość tłumaczeń na języki obce. Wiersze i opowiadania ukazały się w antologiach i czasopismach: angielskich, włoskich, niemieckich, hebrajskich, serbskich, czeskich itd. itp. Zwrócono się do mnie o pozwolenie tłumaczenia „Kartoteki" na włoski, niemiecki, francuski a ostatnio angielski – z prawem wystawienia sztuki w USA). Tych spraw nie pilnowałem – tak, że nie wiem co się z tym dzieje. Gdyby dodać do tego, że wiersze moje w obszernym wyborze mają wejść do szwedzkiej antologii polskiej poezji, że... itd. itp. Czy rok taki nie jest urodzajny i szczęśliwy. Z punktu widzenia „literata" tak. Jeśli chodzi o efekt finansowy tych sukcesów – to nie był on zbyt wielki. Ale może kupię sobie nowe ubranie i radio (bo stary „Pionier" milczy od wielu tygodni). A moi chłopcy z Matką byli pierwszy raz w życiu na wakacjach nad morzem. Gdybym jednak chciał zrobić „rachunek sumienia"... Zrobiłem w tym roku bardzo mało. Być może, że to wyznanie brzmi w zestawieniu z przytoczonymi wyżej „sukcesami" pretensjonalnie. Ale ja wiem **czego nie zrobiłem**.

2 grudnia 1960

Jedna z gazet moskiewskich podała niedawno jak będzie wyglądać pierwszy radziecki kosmonauta. Będzie to prawdopodobnie pilot odrzutowca, człowiek szczupły, o wzroście raczej niższym niż średni oraz o żelaznym zdrowiu, szybkim refleksie, olbrzymiej sile woli i wielkiej wytrzymałości. „Na ulicy nikt nie rozpoznałby tego, który poleci na próg wszechświata" – pisał wiceprezes Akademii Nauk Lekarskich ZSRR prof. W. Timakow.

Mnie nasuwa się pytanie: z jakim wnętrzem polecą ludzie w kosmos, na Księżyc, Wenus, Marsa... Cóż za skarby zabiorą ze sobą? Tajemnice jakich zbrodni upadku i nieszczęść. Co mamy, my mieszkańcy Ziemi, do zaoferowania – (ewentualnym) mieszkańcom innych planet. Groźby, obozy koncentracyjne, wojny, Tajemnice Trójcy Świętej, przemówienia Żdanowa o muzyce... Nie wiem. Ani Rzym, ani Paryż, ani Nowy York, ani Moskwa w tej chwili nie mają nic godnego do zakomunikowania mieszkańcom innych planet. A może zawiozą „Mein Kampf" w butelce, albo plany komór gazowych w obozach koncentracyjnych. A może historie Konga od dnia, w którym ten kraj otrzymał wolność. Albo pamiętniki generałów i admirałów, a może historię Nagrody Nobla przyznaną B. Pasternakowi. Albo pracę wywiadów itp. itd. Nie wiem.

A jakie malarstwo. Jaką poezję? Może prochy nieznanego żołnierza, którego trzeba najpierw zabić, żeby mu można było składać wieńce. A może krzyż na którym ukrzyżowano Jezusa?

Z czym staniemy (przed czym? przed kim?) z telewizorem, kotletem i motorem?

Czytałem nr „Współczesności" z nagrodzonymi na Festiwalu „Poezji" utworami. Nędza, bzdura i fałsz. Ani jednego utworu prawdziwego. Biedni „młodzi". Czeka się na młodego poetę, który przyniesie bodaj odrobinę światła radości czystości.

Słabe wiersze Drozdowskiego i Dąbrowskiego. Najlepsze wiersze pisze teraz (z „młodych") Harasymowicz. Ale ostatni wiersz jest kabotyński. Przedstawia się poeta w roli „lisa" – którego ludzie ścigają, prześladują itp. itd. A przecież Harasymowicz trafił na czułego wiernego krytyka – Kwiatkowskiego, powinien być zadowolony. Na co te „figury" z lisem itp. to wszystko fałszywe.

Kto ogłasza książki ten popełnił grzech pierworodny. A fałszywe pozy są śmieszne i świadczą o niezbyt dużej inteligencji.

Wczoraj i dziś piękne słoneczne dni. Wczoraj i dziś na długich spacerach w polu.

Wczoraj kupiliśmy radio „Preludium", które grało dobrze przez wieczór. Z tym, że adapter ma „mankament" – płyta ociera się o brzeg skrzynki. Adapter kosztował 1850 zł. Ucieszyłem się jak chłopek, że mam prawdziwy adapter radiowy. Poleciałem wieczorem do sklepu „muzycznego" kupiłem dwie płyty Bacha. Płyt nie można było wysłuchać, bo płyty ocierały się o listwę skrzynki – a dziś aparat buczy. Wczoraj z W. całowaliśmy się z radości, że mamy radio. A dziś rozmawiamy o reklamacji itp. itd. Okazuje się, że kupienie radia to ciągle **loteria.**

5 XII 1960

Przecież nie popełnię samobójstwa. To zbyt... banalne.

1 styczeń 1961 r.

Przyrzekałem sobie, że nie będę „zjadał" tyle papieru – ale ciągle coś czytam.

Pisał do mnie Jastrun. Przysłał ostatni tom wierszy.

Bogowie obdarowali mnie czystym śmiechem na starej komedii „Milion" (prod. 1930 rok).

Najwięcej idiotyzmów jak zwykle w wierszach.

Czytałem sztukę Zawieyskiego „osnutą na tle" wspomnień partyzanckich" (!) występuje tam generał Hilary, Kruk, łączniczka Renata i inni byli partyzanci o bardzo partyzanckich pseudonimach. Można pęknąć ze śmiechu (lub od śmiechu). Inne wspomnienia wojenne zamieścił J.Przyboś w świątecznym nr. „Nowej Kultury" W poemacie prozą grają karabiny maszynowe, są granaty, łopatki itp. są również wiejskie dziewczyny wynoszące żołnierzom mleko w garnku – niestety, w garnek trafia pocisk itd. Te waleczne i homeryckie wspomnienia – pisarzy Starszego Pokolenia napawają mnie odrobiną wesołości.

Przypomina to partyzanckie wspomnienia p. Kazimierza Brandysa – który zabłądził w lesie w poszukiwaniu legendarnego komendanta „Niedźwiedzia". Biedni ludzie. Zabłąkani w swojej auto-biografii...

20 stycznia 1961

Jacyś faceci z telewizji znów robili „estradę poetycką" z moich utworów. Dowiedziałem się o tym przypadkowo. Ta banda okrada mnie bezwstydnie. Ja oczywiście nie otrzymuję honorarium! Ba, nawet nie zawiadomiono mnie, że coś tam się smaży – z moich wierszy. Nazywa się Gr. Podobno ma prawo (?!) do przeróbek. To są „małe formy" czy coś takiego.

Przeczytałem „Czajkę" Czechowa.

Dziś przez trzy godziny czytałem w czytelni, tygodniki literackie i „Dialog".

W „Dialogu" sztuka pt. „Jaskółka" H. Morstina. Rzecz o Królowej Jadwidze. Jak na teatr amatorski – nawet nie całkiem złe. Ale to dla zespołu amatorskiego straży ogniowej w Kłobucku czy coś w tym rodzaju.

24 (styczeń) 1961 rok

Z książki: „Proszę pani, zapewniam panią, że moje ostatnie prace techniczne wcale nie są lepsze od tego, co może zrobić młoda panienka po sześciu lekcjach w dobrej szkole. Ciężkie tępe pacykarstwo. Jedyna różnica polega na tym, że moje obrazy coś przedstawiają, jest to suma doświadczeń, a cała amatorska paprania jest jak pierdzenie popularnej piosenki przez dziurkę od klucza. Może to i wymaga zręczności, ale czy warte jest zachodu ?" (J. Cary) Czytam Wacława Borowego „O Żeromskim"

28 I 1961

Drogą korespondencyjną dochodzą mnie smrody z Warszawskiego „środowiska". Znów straciłem dzień pracy. Czytam: „Mein Vater Gottfried Benn".

11 II 1961

Byłem w Krakowie. Dziś jest +10°.

Iwaszkiewicz przysłał mi „Wybór opowiadań" z bardzo miłą (i pięknie napisaną!) dedykacją. Wysłałem list z podziękowaniem.

Związki między pisarzami (myślę o moich „związkach") są bardzo luźne – a przecież czasem chciałby człowiek porozmawiać „z serca do serca". Czekam na Ojca. Pisałem żeby przyjechał (z Częstochowy). Wykorzystałem materiały z dziennika Wuja Józefa – napisałem poemacik „Z dziennika żołnierza". Szło mi to kulawo i ciężko, nie potrafię nic robić z cudzego surowca. Józef nie wie, że czeka go „honorarium" autorskie. Jak będę jechał z Warszawy może wstąpię do Częstochowy. Ksiądz Marian wpadł jak „kamień w wodę". Nie odzywa się.

Skończyłem pisanie „Et in Arcadia ego" (20 stron). Te dwa poematy składają się na tom – dla Wyd. „Śląsk". Czy tytuł: „Głos anonima" jest dobry? Nie wiem. Otrzymałem od Ojca wycinek

z gazety, że „Kartotekę" wystawił teatr eksperymentalny w Nowym Jorku. Nic o tym nie wiedziałem.

22 III 61

Rzucić się i gonić czas. Ale jak, ale w jakim celu. Czas ucieka, przecieka. Czytam Chwistka, Kafkę, Syrokomlę i stare tygodniki. Chodziłem w Krakowie do teatru (Nosorożec, Księżyc świeci zbłąkanym) do kina (Miłość na górze) do fotoplastykonu (Ruiny Rzymu) – na wystawę „wiosenną" Zw. Art. Plast. Oddziału Krakowskiego. Siedząc w teatrze – miałem przeczucie nowego teatru – zdawało mi się, że uchwyciłem prawdę inną od tej, którą ścigają Ion. i O'Neill (myślę o **sposobie dochodzenia** do prawdy). To wszystko teatr – jednak tradycyjny. Tradycyjny. Zdawało mi się, że zaczynam rozumieć „co to jest teatr".

Ale teraz nie wiem, nie pamiętam – jakie to było przeczucie.

W „Inostr. Literaturze" przekłady moich wierszy (M. Živowa) czytałem. Nie znam dobrze rosyjskiego – ale przekłady wydały mi się bezduszne (może się mylę).

Kipenheuer przysłał tłumaczenie Kartoteki.

(Die Kartothek – deutsch von Jlka Boll) – tłumaczenie zrobiło na mnie najlepsze wrażenie. Wiersze również dobrze przetłumaczone. („Der verlorene Sohn" i „Schleier").

Olek K. mówił mi w Warszawie, że „Unicorn" (teatr który wystawił „Kartotekę" w Nowym Yorku) jest znanym awangardowym teatrem.

W ZAIKSIE p. Wierzchoń powiedział mi, że niestety nie będę miał z tego żadnej „satysfakcji finansowej", ponieważ między USA i Polską nie ma odpow. umowy. A jednak nasze teatry płacą grubą forsę amerykańskim pisarzom... Przypuszczam, że to tylko ja mam takiego pecha. Pewnie ktoś inny umiałby swoje wyegzekwować.

Staś pisał, że radio Praha nadało audycję (pół godziny) „wiersze T. Różewicza". Nic o tym nie wiedziałem.

Mam wyrzuty, że za mało czasu poświęcam chłopcom. Kiedy już mam czas od (20-21) – oni szykują się do spania. A w dzień nie mogę im poświęcić wiele czasu. Literatura – pisanina – nic warta. Zrozumiał to Kafka, Camus. Szczęśliwi pisarze XIX wieku – powieść zastępowała tak wiele... była drugim światem. Teraz jest czymś...

Obrzydliwe wiersze w prasie. Przez jakiś czas dali mi spokój – nie zdzierają ze mnie skóry, sami produkują swoje bzdury. Ale w antologiach zagranicznych (szwedzka, niemiecka, włoska – dużo moich wierszy – i tych różnych z mojego żebra) wszyscy jesteśmy czarni. Dla Francuza, Anglika, Norwega, Szweda itp. wszyscy poeci polscy są np. czarni. Zresztą – to nie ma znaczenia (poza znaczeniem „literackim").

Kupiłem dzisiaj kwiat w doniczce, szczoteczkę do zębów, wodę kolońską, cukierki miętowe. Wysłałem list do K. J. (z brulionem wierszy) mówił, że go to interesuje – ja przerabiam, palę – ale czasem wiele zostaje – ogromny śmietnik – 10-15 „redakcji" jednego utworu – to przeciętna.

(Prozę poprawiam 4-5 razy)

Wczoraj w kinie: „Młode lwy".

W Krakowie – spotkanie z „Jaszczem".

„Jaszcz" (autor zjadliwej recenzji z „Kartoteki" w Tr. Ludu).

Jaszcz: Dużo narobił Pan szkody „Kartoteką" (sic!)

Ja: A wierszami? Wierszami chyba też?

Jaszcz: Młodzi i starsi zaczynają pisać sztuki pozbawione sensu. Nawet tacy co zaczynali realistycznie.

Ja: Jeśli jestem szkodliwy to niech mnie Pan otruje!

Jaszcz: (uśmiecha się...) po chwili – Czy Pan pisze coś do teatru?

Ja: Nie wiem. W tej chwili interesuję się filmem...

Teatr. Teatralność. Wszystko skłamane. Ale jeśli prawdziwe to już nie teatralne. Zdaje mi się, że coraz wyraźniej widzę, że nie mam wyjścia. Nigdy nie było wyjścia – a ja to już przeczuwałem mając 17-18 lat (przeczuwałem niejasno). Ta sprawa została odroczona w czasie okupacji (konspiracja, partyzantka – niebezpieczeństwo). Teraz wróciła jasność spojrzenia. Stąd wściekłość na literatów typu K. Brandysa – tych poprawnych mistyfikatorów. Pogarda dla całej literatury (poza wyjątkami których nie zaliczam do „literatury": Dante, Dostojewski, Gogol, Szekspir, – niechęć do literatów francuskich (modnych) – wyjątek: Celine, Camus. Malaparte, (który wyzywa na młodą snobistyczną międzynarodówkę „awangardową" w Kawiarniach Paryża – ma rację).

„Zwracam" literaturę – poezję (często własnego wyrobu). Absolutna niechęć – odmowa „dyskutowania" na te tematy. Niechęć do „wieczorów autorskich" wywiadów, ankiet itp. itd.

Pisanie – budowanie murów własnego więzienia.

Forma jako okowy, kajdany. Robi się, wykuwa je zgrzytając zębami. Przychodzą d... piszące panienki i fryzjerzy – którzy sobie przymierzają nasze kajdany. Czy im do twarzy? W tym „kapeluszu". Rola głupków recenzenckich – na tych konkursach lirycznej galanterii. Ale strzeżmy się infantylnej pochwały „prawdziwego życia". Krowy zanieczyszczone resztkami ludzkiego rozumu. To dopiero potworna mieszanka – krzyżówka. Literatura piękna jako powtórka z życia. Nie idealizujmy tzw: „życia" – fabryka łajna (w tym upatrują niewinność głupoty).

24 II 61
piątek, godz. 22.30

Dzisiaj wysłałem list do Vlasty D., do Kornela, do Very, napisałem list do Rysia, do Lilki. Czytałem Chwistka „Szkice literackie", „Dziennik" Kafki. Napisałem nieudany utwór – coś w rodzaju wiersza, wieczorem 3 strony „Intermedium" do „Grupy Laokoona" – nie wiem czy jestem na dobrej drodze. Słuchałem Mahlera „Pieśni".

Teraz leżę w łóżku – ale w tej pozycji nie jestem zdolny do robienia notatek. Słuchałem dziennika wieczornego. Sytuacja w Laosie zaostrzyła się. Rozruchy w Korei poł. Konferencja „3" w Genewie – niezbyt różowe perspektywy. Myślę o przeprowadzeniu się do Kr.(?)

30 III 1961
czwartek

Śnieg deszcz wiatr. Piszę „Grupę Laokoona". Piszę opornie. Główną trudnością jest samo pisanie... każda idiotka i cymbał robią to lekko sprawnie itd. – główną trudnością jest walka ze zwątpieniem. A ono nie jest na zewnątrz – ale we mnie.

Wypruwanie flaków z pustego wnętrza. I tak już teraz zawsze. Użeranie się o honoraria za wiersze, recenzje, donosy, gry, miny... bzdury to wszystko jest jak łajno na obcasie. Zapora jest w środku. W Tobie. Tam jest tor przeszkód.

Czytam: Słowackiego, Chwistka, Stare gazety, słucham dzienników radiowych w południe i wieczorem, Piszę listy. W „Tygodniku Powszechnym" dwa kolejne głupie felietony Kisiela – w pierwszym chwali Brandysa („Romantyczność"), w drugim krytykuje i wyśmiewa całą działalność prof., Kotarbińskiego. I takiego gościa u nas bierze się za „drożdże intelektu". Posłałem do nowej „Odry" wiersze przed kilku tygodniami – nawet cymbały nie pokwitowały odbioru – na list redaktor Lutogniewski nie odpisał.

W Tyg. Powsz. Wiadomość, że nasz pianista Harasiewicz otrzymał propozycję od Metro-G-Meyer na kręcenie filmu (honorarium 15 tyś. Dol.) na fortepianie gra kiepsko, ale jest ładny, ma ładną fryzurę.

Dziś pisałem listy do Ojca, księdza Mariana, W. Leopold., Marcz. Oborskiego. Był list z jakiejś ameryk. Agencji w sprawie „Kartoteki" – nie odpisałem. Nie chce mi się. Mam już dość tłumaczki p. Pozner z Paryża, i różnych Pań z Nowego Yorku, Paryża itp. Wydaje się tylko na znaczki.

Stanisław przysłał wycinki z prasy. Cytuje „Lit. Gaz" pochlebne wypowiedzi Arbuzowa o „Kartotece" („Jaszcz: Oni proszę pana teraz o wszystkim (!) mówią dobrze")

W „Nowej Kult." głupia wypowiedź Słonimskiego na temat poezji („Podsumowanie"). Słonimski wymienia mnie (i chwali) razem z prozaikami. Dyskusja o poezji głupia i fałszowana przez obie „walczące" strony. W. Leopold pisze, że cenzura zdjęła wiersz*** Umarli (jest to wiersz „Rehabilitacja pośmiertna" który od roku 1956 – tuła się po wszystkich moich książkach – wycinany jak wrzód.) Ale dopóki będę żył będę go dawał – do każdego „wyboru" wierszy. Jego Życie to krążenie między mną i cenzurą. Twardy żywot ma ten wiersz. Ale Jeśli żyją inne utwory – czemu ten ma umierać w ukryciu?

31 III 61
Wielki Piątek

Od rana deszcz. Uczucie kruchego bezpieczeństwa w pokoju przy starym (poniemieckim biurku) „warsztacie". Pozorne poczucie bezpieczeństwa... zbliżone do tego które ogarnia człowieka po zapięciu pasa w samolocie – w chwili startu. Ryzyko nieudanego lotu. Za oknem szum deszczu. W piecu ogień. Czemu w tej chwili myślę o „Człowieku z karabinem" a właściwie „o człowieku z brodą" (Borchardzie?)... „Strażnik". Od dawna go darzę sympatią. Patrzę... Jak stoi z karabinem w pustej hali urzędu pocztowego. Jak ludzie wymieniają uśmiechy. Przy automatach telefonicznych wyrostki chłopcy i dziewczyny (może studenci) śmieją się z niego. On stoi w środku twarz podniósł do góry i oczami pokrytymi grubym szkłem okularów patrzy się w sufit... broda zadarta. Mundur. Karabin na ramieniu. Uśmiech. Pilnuje Urzędu Pocztowego.

O takim człowieku mówią: niedołęga. dziwak, „coś takiego" itp. a to jeszcze jedno ziemskie wcielenie Chrystusa. Jakimi (marnymi) dusz-pasterzami byli księża – których pamiętam z czasów młodości. (Królestwo ich było z tego świata). (Pamiętam „Strażnika" – z Muzeum. Zwolnili go.)

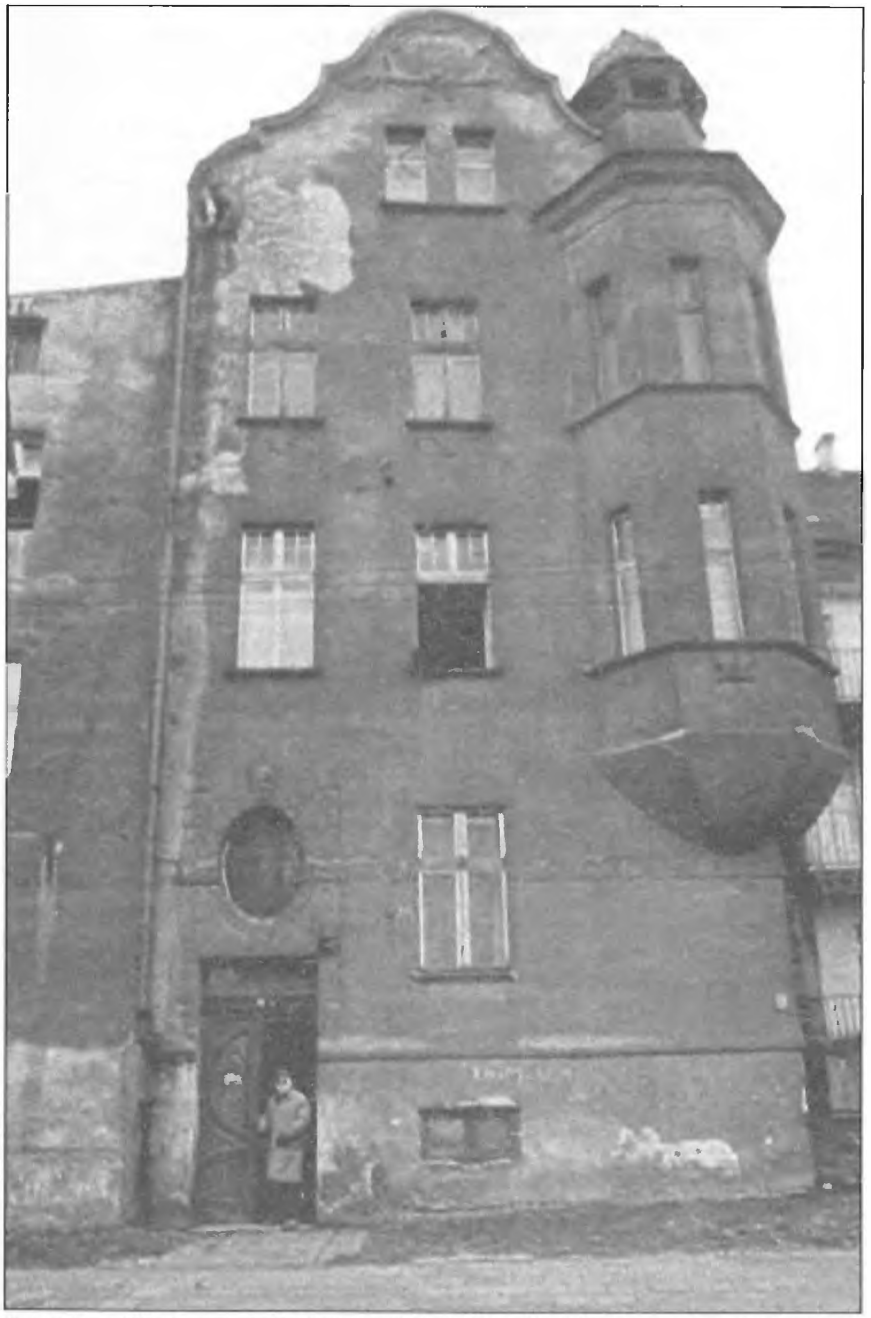
Deszcz. Deszcz. Ptaki milczą. Trzeba ruszyć. Nie można zbyt długo odkładać. Niepewność i strach – jak zawsze przed każdym dniem, przed każdą kartką, zdaniem. Nigdy pewności.

Fragmenty książki Jaspersa („Bomba atomowa a przyszłość ludzkości") wstrząs: pewne zbyt proste prawdy mówione językiem Nowego Testamentu – przez tego filozofa który ma być tak skomplikowany (nasi znawcy przedmiotu) – próbki wykładu świadczą o większej jasności niż cechuje takich „filozofów" jak np. Beylin z „Przeglądu kulturalnego".

Zbyszek przysłał książkę – reportaż. „Podróż do wielkiego patata" – pierwsze strony żywe, dowcipne – zapowiadają interesującą relację (fragmenty znam z prasy) z podróży.

W „Życiu Literackim" – mój słaby wiersz pt. „O tej samej porze" – i esej Zb. Siatkowskiego pt. „Różewiczowski rok 1960" (Siatkowski jest naukowcem – napisał ciekawą rozprawę „Wersyfikacja Różewicza"). To co Siatkowski pisze – zobowiązuje mnie. Gdybym był mniej odporny – lektura niektórych pochlebnych wypowiedzi przeszkadzałaby mi w pracy. Dobrze znać swoje niedostatki. To najlepsza szczepionka. Jednak jestem (na swój sposób) „wdzięczny" Siatkowskiemu. Jestem mu wdzięczny za... rzeczowość i obiektywizm.

W radio wczoraj i dziś duże porcje dobrej „poważnej" muzyki. Pieśni. Organy.



Kamienica w Gliwicach przy ulicy Zygmunta Starego 28, gdzie mieszkał przez wszystkie lata przed osiedleniem się we Wrosławiu Tadeusz Różewicz

4 IV 1961

Minęły święta. Był Stanisław i Ojciec. W drugi dzień Świąt przyjechał J.Paś. z rodziną. Dziś ma przyjechać ks. Marian (przysłał pilny telegram). Pochmurno, pada deszcz. Wczoraj po południu trochę słońca. Ojciec nieźle wygląda. Stanisław czytał „Et In Arkadia ego", „Z dziennika żołnierza".

Obie rzeczy podobały mu się. Omawialiśmy dalszą współpracę.

(Może będziemy pisali razem z Kornelem „Zjazd koleżeński").

Byłem w mieście, kupiłem 3 parówki i 0,25 kg fig.

Czytałem w Dialogu trzy sztuki: „Śmierć gubernatora", „Miecz Damoklesa" i „Samoobsługa" – moim zdaniem sztuka Hikmeta (Miecz Damoklesa) najlepsza. „Śmierć gubernatora" (zepsute przez Kruczkowskiego opowiadanie Andrejewa). „Samoobsługa" Pintera – nowoczesne ale nic – warte.

Gazety „Świąteczne" (Nowa Kultura, Tygodnik Powszechny, Świat, dzienniki itd.) nudne. „Przegląd kult" okropny – flaki z olejem i gotesmanem (skrzyżowanie „przekroju" z „życiem gospodarczym" i „państwem i prawem")... W „Dialogu" Coward ...

Śpiewają ptaki. Niepokój niosą ptasie głosy... a może to szklanka „marago"? Ojciec opowiadał, że jakiś paulin w kazaniu (na Jasnej Górze) cytował fragmenty mojego wiersza. Wiktor mówił o tym „zdziwiony" bo „Tadziu jest niewierzący". Od paulina do tłumacza M. Żitwowa – duża rozpiętość. Ale Wiktor ma rację... „Tadziu nie jest wierzący"... jest szukający!

dialog z niepokojem
On (niepokój) daje mi znać
że nie chce być wyrażany
przy pomocy słów
może zgodziłby się na bełkot
dźwięki rozwiązane – albo same
rdzenie
(ale ja się na to nie zgodzę)

nie wyrazisz mnie więcej (znów)
kopie mi pod sercem norę w której
mieszka nic

odłóż ten pytel dosyć „pytlowania”
(tak mówię ja bo On milczy)

a może urodziłeś się kaleką
i używasz mnie (żebraku) jako
płaszcza
ja nie jestem protezą

nie dają się wciągnąć (wyciągnąć)
w rozmowę
nagadaliśmy się od roku 1938

nawet zacząłeś mnie sprzedawać
a dlaczego nie mam go sprzedawać
taki dobry towar jak śmiech płacz

opuszczam cię nie jesteś godzien
słuchaj sobie dziennika
ostatnich wiadomości ja w tym siedzę
kupiłem radio i w tym jestem
pójdę dziś do kina (i w tym jestem)
a może nie pójdę
teraz czuję go miedzy zębami
i językiem
i pod palcem (papier)
w brzuchu i okolicach serca
(kończy się długopis)

Ale jest inny „niepokój”. Mówi językiem prostym, zrozumiałym. **Godz. 17.10** To mój przyjaciel. Mówi: Czemu nie pojechałeś na Gabryjelów – musisz tam posiedzieć nie tydzień ale trzy miesiące! Dotknij ziemi, powąchaj. Ten niepokój który ugniata twoje wnętrzności – wydobywa się z papieru, z pisania, kawy, lektury. Przy tym czekam na listonosza i zaczynam myśleć o przeprowadzce lub wyjeździe. To wszystko nie jest **aż** tak tajemnicze i skomplikowane.

5 IV 1961 środa

Rano słońce. Odprowadziłem Mariana na dworzec. Poszedłem na spacer koło ogródków. Teraz jest już 14. czytałem gazetę. Wstrętny gatunek „niepokoju” (na myśl o – każdej zmianie).

Napisałem list do Zbyszka, kartkę do Marysi, list do „Czytelnika”.

Czas. Czas ucieka. Ucieka. Wszystko ucieka. Nic nie zatrzyma się na kanwie współczesnego życia. Tak dużo papieru i znów niepokój we wnętrznościach.

11 IV 61 poniedziałek

Przyszły kartki od Stasia, Kornela, Hierowskiego.

Pisałem od rana – ale źle. Chłodno. Z +30° na +10°. Jutro wybieram się do Katowic. Niepokój w brzuchu. Czy to w związku z tym nieszczęsnym „mieszkaniem” w Krakowie? Pisałem „Grupę Laokoona” – miejscami zbyt wesołe... i nudne. Zapakowałem do koperty „Głos anonima” (taki tytuł dałem tomowi dla Wyd. „Śląska”). Jeszcze przejrzałem „Et In Arkadia ego” – poprawiałem. Myślę o prozie, o „konfesjonale”, o „krajobrazach”. Przyszło zawiadomienie z ZAIKS, że w roku 1960 zarobiłem 7 tys. zł. (miałem sztukę, film, „estrady” itp.) W Urzędzie Skarbowym podałem, że zarobiłem ok. 10 tys. (ale to pewnie za ostatnie 4 lata). Trzeba to sprawdzić. Okazuje się, ze wyżej oceniam swoje dochody niż one mnie. Pochmurno. Deszcz.

31 maj 1961 r.

Od 3 maja do dn. 25 maja byłem w Bułgarii z Anną Świerszczyńską. Wyszła moja książka pt. „Zielona róża – Kartoteka”. W „Kartotece” skreślono bez porozumienia ze mną fragmenty. Pisałem w tej sprawie do red. Wandy Leopold.

Mietek P. w szpitalu. Hierowski w szpitalu. Otrzymałem od niego kartkę. Napisałem listy do: Stasia, Kornela, Ojca, Karola Krótkiego, do Wyd. „Śląsk”. Byłem rano na spacerze polu. Zmarli: Wojciech Bąk, Zenon Skierski, Mirosław Starost.

Dziś rocznica śmierci (4) Staffa.

Przyboś przysłał mi nowy tom poezji „Próba całości”. Czytam (dokładnie).

Czytam: „Los” Conrada i książkę o „Latających talerzach” Zabieram się do F. A. Heinemanna „Die Philosopnie im 20 Jahrhundert”.

1 VI 1961 czwartek

Nic

Teraz jest 2 stycznia 1962

Co było 1 czerwca 1961 nie pamiętam.

Dzisiaj wstałem o 7 rano, było jeszcze ciemno. Ojciec wyjechał do Częstochowy. Był u nas „na Sylwestrze”. Przy stole: Ojciec, W. i ja. Szampan, którego otrzymałem w prezencie nie wystrzelił i był mętny. Nastrój pogodny. Ojciec był zadowolony z „wizyty”. Notatka: Nowy Rok **nie zaczął się**. Nowy Rok nie zaczyna się. Zauważyłem to wczoraj. „Wyszedł” – „Głos Anonima” – oto konsekwencja „literata” – u dołu Głos anonima, u góry: Tadeusz Różewicz.

27 III 1963 środa

Tak mija czas. Mam właśnie przykład jak mija czas. W październiku 1962 r. byłem w NRF. Potem ukazał się w prasie artykuł P. **„Radość sporu”**. W tym art. P. pisze o szkodliwości społecznej moich wierszy, o lenistwie intelektualnym któremu sprzyjają moje wiersze, o tym że szantażuję śmiercią, że on wyniósł mnie na „tarczy” itd. itd. Nasza przyjaźń zamienia się w śmietnik. Oczywiście może uważać, że ja piszę kiepsko – ale nie powinien donosić (w drukowanym artykule), że to co ja piszę jest szkodliwe w naszym ustroju... bo to są już sprawy polityczne, policyjne itp. Wymieszał mnie przy tym z różnymi grafomanami, zafałszował ostatnie lata „poetyckie” w naszej literaturze itd.

Pożegnałem jeszcze jedną przyjaźń. Czemu on to zrobił?

Zrezygnowałem z mieszkania w Krakowie.

Zima była bardzo długa i ciężka. Przez cały styczeń pół grudnia i cały luty nie opalałem „pracowni”. Stracone trzy miesiące. Znów zapomniałem jak się pisze. Znów nauka pisania prozy. A dramat? Przegrywam z czasem. To już jest nie do odzyskania. Pisanie „normalnych” np. opowiadań lub sztuk jest czymś koszmarnym. Można to traktować jako katorgę.

Wyszedł tom pt. „Nic w płaszczu Prospera” (kilka wierszy, „Opowiadanie dydaktyczne”, „Świadkowie” + „Grupa Laokoona”).

W związku z tym tomem ciekawy list od Szczepańskich (Nory i Jana), ważny dla mnie Głos Mietka P.

Jur. Lisowski przełożył na franc.: „Kartotekę” i „Świadków”.

20 marca była w Berlinie Zach. Premiera telew. „Grupy Laok”... miałem zaproszenie. Nie pojechałem, brak czasu (pieniędzy?)

Czemu te wszystkie aparaty **odbiorcze** są we mnie czynne bez przerwy. Czy nie można tego wyłączyć. Są tam telefony, telegrafy, radar itd. Wszystko nastawione bez przerwy na odbieranie wszystkiego. W ciągu tej ciężkiej zimy: kilka wierszy – (poprawiane po 20 razy).

22 X 1964 czwartek

A więc teraz całe lata dzielą jeden zapis od drugiego. Ciągle w tym samym kręgu nazwisk. Ciągle to samo. Nuda awangarda bzdura. Gawlik Greń Maciąg... Ciągle te same nazwiska. Miesięcznik „poetycki” zjazd sesja konferencja dyskusja... Jeszcze jedna sztuka. Jeszcze jeden wiersz. Jeszcze jeden scenariusz. Awangarda, „dramat Różewicza” wybór tomik (to się „rozchodzi”),Telewizja, spotkanie autorskie”. Największym wydarzeniem tego roku było pojawienie się w domu kocicy „Psotki”. Piękne złe pełne wdzięku i namiętności stworzenie, (będzie mi pewnie przeszkadzała w pracy).

Sobór – po śmierci Jana – zamienił się w debatę jałową... pewnie Duch Św. Odleciał z Bazyliki Św. Piotra.

Amerykanie zamordowali swojego młodego, dzielnego i mądrego Prezydenta.

Chruszczow odszedł nagle. Odszedł Adenauer. Churchill „pożegnał” się z życiem politycznym, opuścił Izbę Gmin. Prezydent Francji pełen wigoru jeździ (i lata) po świecie.

Byłem prawie trzy miesiące we Włoszech. Bardzo ciężka podróż. Właściwie nie mogę o tym mówić bo **nikt** prócz mnie nie zrozumie co się stało.

Dn. 27 II 1970 r.

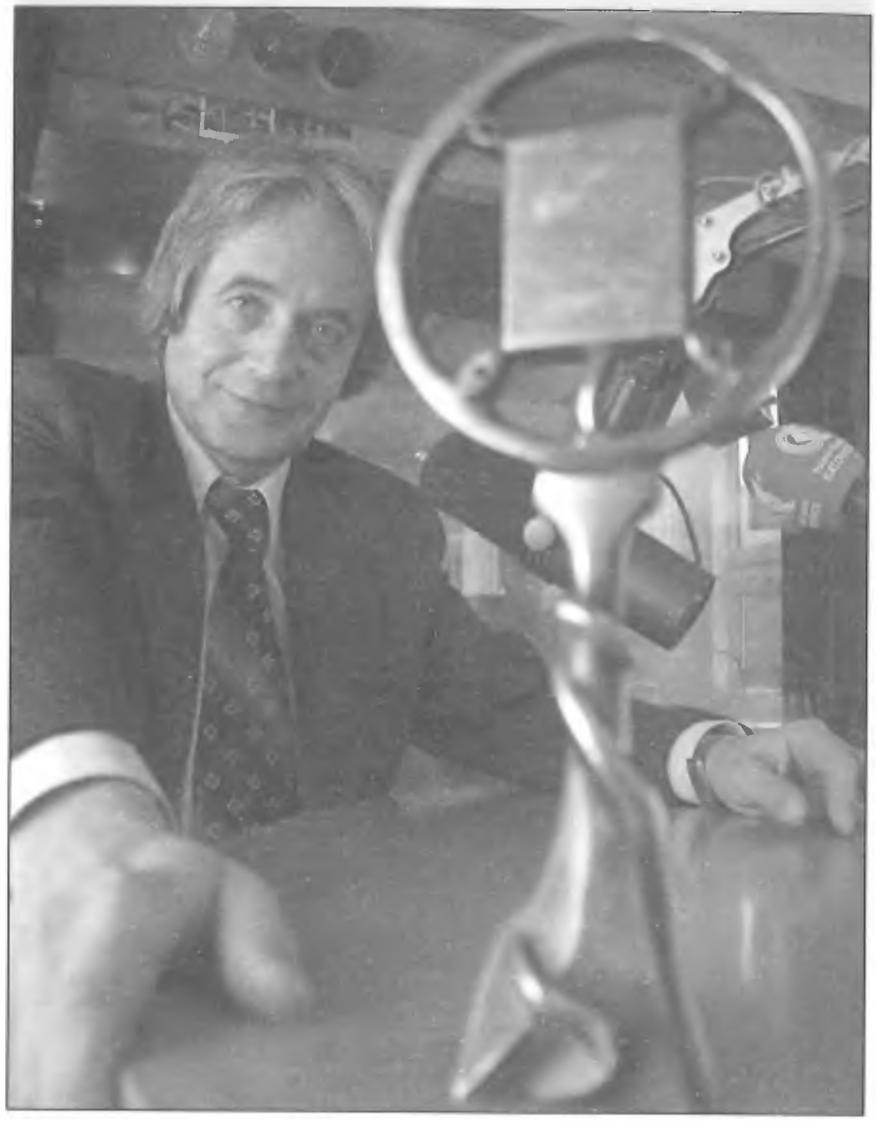
Po sześciu latach przerwy. Przeczytałem te kilkanaście stron. Kim byłem, kim jestem, kim będę?

Dn. 21 VI 1970 r. (prado? Toledo)

Dn. 3 III 72 r. piątek

nic.

Z ALEKSANDREM TRZASKĄ,
laureatem Złotego Mikrofonu rozmawia BOGDAN WIDERA



Mikrofon za całokształt

– Kiedy gdzieś przeczytałem, że dostałeś Złoty Mikrofon za upowszechnianie żartów na radiowej antenie, ucieszyło mnie to, jako taki znak nowych czasów. Bo przecież po ogłoszeniu stanu wojennego całą radiową Redakcję Rozrywkową (Edmunda Wojnarowskiego, Jerzego Bilewicza i mnie) właśnie za dowcipy wywalono. Potem dowiedziałem się jednak, że to była nagroda nie za Klub Masztalskiego, ale tzw. całokształt. Czyli uhonorowano cię jak jakiegoś Wajdę, czy Clinta Eastwooda. I wtedy dotarło do mnie, że jesteś w Radiu strasznie długo.

– Przyszedłem do katowickiej rozgłośni 36 lat temu. Czyli powinni mi dać za całokształt. W tym wieku już dają... i odsuwają. Z różnych stanowisk. Jednak nie ulega wątpliwości, mam to na papierze, że ten Złoty Mikrofon dostałem przede wszystkim za stworzenie Radiowego Klubu Dowcipu i postaci Masztalskiego. Muszę powiedzieć, że bardzo to mnie usatysfakcjonowało.

– Nie wszyscy zapewne się orientują, że Złoty Mikrofon to nagroda bardzo prestiżowa. Ile tych wyróżnień w ciągu swego istnienia przypadło Katowicom? Pamiętam, że przez długi czas laureatką była tylko ś.p. Agata Wojterzanka...

– Znakomita reportażystka.

– ... później, bardzo wcześnie otrzymało Złoty Mikrofon „cudowne dziecko" też w dziedzinie radiowego reportażu, Hania Sekudewicz-Rączaszek.

– Ja jestem trzeci. Indywidualnie. Bo wcześniej jeszcze otrzymało to wyróżnienie całe Polskie Radio Katowice, też „za całokształt". A w ogólnopolskiej historii naszej radiofoni jestem 178. laureatem Złotego Mikrofonu. Zaczęto je przyznawać 36 lat temu, właśnie wtedy, kiedy przyszedłem do pracy w katowickiej rozgłośni.

– 36 lat temu zaczynałeś od informacji.

– Od tego, od czego zaczyna każdy radiowy dziennikarz: bierze magnetofon i ucieka gdzieś w życie. Jeśli dostrzeże coś ważnego, jeśli ma coś istotnego do powiedzenia – w tym momencie jest już blisko sukcesu. (Ale są też tacy dziennikarze, którzy niczego nie widzą i też pracują w radiu całe życie, i też dostają różne nagrody.) Mnie się udało wiele razy „być w środku" wielu ważnych wydarzeń, co dało mi dużo satysfakcji. Zaczynałem od takich audycji, których już dzisiaj nie pamiętają młodzi na pewno, jak np. *Popołudnie z młodością* prowadzone przez znakomitego Janusza Domagalika. Warszawska audycja, a ja jestem z Katowic. Ale miałem od początku takie szczęście, że często wyjeżdżałem na dłuższe lub krótsze okresy do stolicy i tam pracowałem. Następnie współtworzyłem bardzo wśród młodzieży popularną audycję pt. *Radiokurier*, potem znalazłem się w ekipie twórców i prezenterów *Lata z radiem*, najpopularniejszej polskiej audycjii radiowej...

– Też już dziś weteranki.

– Ale wciąż jeszcze dobrze prosperującej. Potem przyszła pora na *Cztery pory roku*, na *Sygnały dnia*, później zaś, któregoś pięknego dnia się wściekłem, bo mój redaktor naczelny stwierdził „pan to tylko prowadzi różne rzeczy, a nie umie pan zrobić reportażu" i to – głupia sprawa – był powód, że się w radiowym reportażu zakochałem. Kilka z moich reportaży uzyskało nagrody, w tym taką bardzo prestiżową, w konkursie na reportaż „Polska" i w tym miejscu rok. (W moim przypadku „Polska 1986".) Jeden z moich reportaży reprezentował nawet Polskę na światowym konkursie „Prix Italia", ale tam nagrody nie zdobyłem. Chociaż katowickie Radio już i tę nagrodę ma.

– Nawet dwie. Pisaliśmy o tym.

– Mogę jeszcze powiedzieć, że nadawałem swoje relacje (nie tylko dla Radia

Katowice) z kraju i z zagranicy, z powietrza (samolotu, helikoptera i balonu), z ziemi i spod ziemi, nawet – spod wody.

– 36 lat temu to było zupełnie inne radio. Pracowały tu wybitne indywidualności. Jak tak przyjrzeć się nazwiskom dziennikarzy z redakcji Literackiej, Muzycznej, nawet Sportowej, to nic dziwnego, że młodzi przychodzący tu do pracy traktowali tych ludzi jak swoich mistrzów...

– Niestety, nie ma w tej chwili mistrzów i uczniów w zawodzie. Młody człowiek po krótkim przeszkoleniu, przez to, że jest dyspozycyjny, że zrobi coś z godziny na godzinę, jest dziś bardziej w cenie niż doświadczony dziennikarski wyga, który ma coś do powiedzenia, a ponadto jeszcze uważa, że nawet krótka wstawka powinna być przemyślana np. pod względem kompozycji. Ale to, co mi najbardziej pozostało w pamięci z dawnych czasów, to, co być może już nigdy się nie powtórzy – radio było wtedy jakimś takim centrum kultury. To był ośrodek, instytucja, w której spotykali się ludzie najważniejsi dla tego regionu. Ludzie kultury, sztuki, literatury, muzyki, wszyscy, którzy w swoich dziedzinach coś znaczyli.

– Co to były za rozmowy w starej, radiowej stołówce!

– Niekończące się rozmowy, spory o różne zjawiska, dyskusje, podczas których rodziły się rozmaite pomysły. To był dla mnie fantastyczny smak radiowego życia: poznawanie tych ludzi, możliwość słuchania ich. Przecież uczymy się słuchając innych. Dziś bardzo tego brakuje.

– Mnie wyrzucili stąd w roku 1981, więc mam jakby mniejsze poczucie winy. Ale ty, patrząc na to, co się stało przez te dwadzieścia kilka następnych lat z radiem, nie odczuwasz jakiejś klęski? Muzyka, jak najmniej słowa, im głupiej – tym lepiej. Nie zadajesz sobie pytania, jakiego słuchacza sobie wychowaliśmy?

– Czy to aby biologia trochę przez nas nie przemawia? Nie pomnę kto, ale jakiś wielki człowiek powiedział, że kiedyś ci młodzi, którzy dziś startują, będą mówić o latach obecnych, że były to cudowne, złote czasy. Nie chciałbym zabierać głosu z pozycji oldboya, który swoje już przeżył, a teraz ma pretensje, że nie jest tak, jak on by chciał.

– Obniżenie poziomu intelektualnego programu radiowego jest faktem obiektywnym.

– Ale to nie tylko wina radia. Bardziej bym tu winił telewizję, tam przecież przeniósł się ten „środek ciężkości". Ja osobiście nigdy nie zaakceptuję tego, że w telewizji, w radiu staramy się równać do tego odbiorcy, który wydaje nam się bardzo kiepski i ma niewielkie wymagania. Zamiast próbować trochę podnosić poprzeczkę.

– Decyduje magiczne kryterium – przepraszam za wyrażenie – słuchalność. Tym się kierują też reklamodawcy przy wyborze stacji. I przez to tzw. „misja" mediów publicznych jest fikcją. Kiedy robiłem analizy programów różnych rozgłośni dla KRRiTV, zauważyłem, że stacje, aby wywiązać się z limitu audycji, dajmy na to, edukacyjnych, nadają je o 1. w nocy. Na późną porę emisji skazywano też programy kulturalne.

– Pamiętam, jak się broniliśmy przed pierwszymi reklamami w mediach publicznych. Później okazało się, że bardzo ich potrzebujemy ze względu na brak pieniędzy. Żartowałem nawet, że dojdziemy do czasów, kiedy spiker powie: „Przerywamy na chwilę nadawanie reklam, żeby w ciągu minuty streścić państwu *Hamleta*. Bardzo państwa za to przepraszamy". Stało się coś niedobrego. Zapomnieliśmy jakby o doświadczeniach dotyczących budowania i tworzenia programu, jakie Polskie Radio przez dziesięciolecia swojego istnienia zgromadziło. Nagle okazało się, że to wszystko się nie liczy, że standardy wyznaczają nowe stacje komercyjne. I my zaczynamy przejmować ich wzór, ich model programu. Ustawiliśmy się w pozycji ucznia, który od komercji chce się nauczyć, jak się robi dobre radio. Tymczasem niektóre ze stacji komercyjnych zaczęły budować program na doświadczeniach naszych i osiągnęły dzięki temu niezłą słuchalność – patrz Radio Piekary w pewnym okresie. Ujął mnie kiedyś Marek Borowski, którego jeden z radiowych dziennikarzy poprosił o rozmowę. Polityk zapytał go: „Przepraszam, a ile to ma trwać. Czy, jak to teraz u was w radiu obowiązuje, to ma być tak – pyk i już?" Pyk i już! Taka zasada. Jeden z kolegów (nie wymienię nazwiska) zaczął się rozwodzić nad tym, że radio RMF robi wiadomości kulturalne w 58 sekund. Powiedział: „Liczyłem dokładnie. 58 sekund. A nam to zabiera aż 4 minuty!"

– To rzeczywiście horror! 4 minuty o kulturze! Przecież słuchacz tego nie wytrzyma. Kiedyś radio było arbitrem w dziedzinie kultury i sztuki, wyrocznią jeśli chodzi o poprawną polszczyznę. Dziś słucham rozmów z politykami (od premierów po ministrów, w tym ministrów kultury) i zastanawiam się, dlaczego dziennikarz, kiedy jego rozmówca robi ewidentny błąd językowy (notorycznie powtarza się np. stwierdzenie, że coś jest „przekonywujące") nie przerwie rozmowy, żeby powiedzieć, iż tak mówić nie wolno, bo po polsku coś jest „przekonujące" albo „przekonywające".

– Nie mamy na to czasu, bo – jak mówią Niemcy – *Zeit ist geld*. My nie mamy czasu rozmawiać o takich rzeczach. Coś takiego, jak dyskusja programowa dziś nie istnieje. Nie ma czasu na spotkania jakichś zespołów twórczych, na ocenę programu, analizowanie poszczególnych audycji. Ale przecież w ogóle brakuje pieniędzy na kulturę i sztukę. Gdyby były pieniądze na prezentację tych dziedzin w radiu, to by one były na antenie obecne. Nie chciałbym też rozmawiać tu o tym, ile dziś zarabia dziennikarz radiowy...

– To akurat wiem, bo wczoraj usiłowałem w rozgłośni rozmienić 50 zł i nawet w kasie tyle nie było.

– To poniżej średniej krajowej. Ale my strasznie narzekamy.

– No, wylaliśmy już chyba dość żółci. Za to teraz się nie wymigasz - jako radiowy Masztalski opowiedz wreszcie jakiś dowcip.

– Ale przedtem powiem jeszcze, że najbardziej cieszę się z tego, że w Warszawie, w Teatrze Wielkim w obecności wielu moich znakomitych, radiowych kolegów, w obecności przedstawicieli świata kultury powiedziano, iż ja dostaję Zloty Mikrofon za stworzenie postaci Masztalskiego. Laudację napisał mi świetny radiowiec, Andrzej Mularczyk. Przeczytam fragment, specjalnie przyniosłem dziś ten tekst: *Ale jest w tej biografii dziennikarskiej coś wyjątkowego i tak w Polsce rzadkiego – poczucie humoru. To on stworzył postać Masztalskiego, a kabaretowy, radiowy program Klub Masztalskiego zdobył popularność w całym kraju. Oprócz tego jest on autorem największej dotąd w historii humoru antologii dowcipów liczącej ponad 6 tysięcy pozycji. Gdybym ja zebrał choć połowę, choć ćwierć tego plonu – ze śmiechu nie mógłbym już nic zrobić na serio. Aleksander Trzaska to potrafił.*

– To jest coś. Gratuluję.

– Tuwima za antologię dowcipów nie przyjęli do Polskiej Akademii Literatury. Tu, w Katowicach, znakomitego Stanisława Ligonia, dyrektora przedwojennej rozgłośni, po wojnie przyjęto tu z wielkim dystansem, z ironią.

– Przez ówczesne władze radia Karlik został praktycznie ubezwłasnowolniony. Napisałem o tym do „Śląska" tekst *Ligoń w klatce*. A tobie dali Złoty Mikrofon. Świat się zmienił. Ale pora na twój żart.

– Opowiem ci dowcip, który w jakimś sensie koresponduje z tym, o czym rozmawialiśmy. Otóż absolwent Uniwersytetu Śląskiego otrzymał pierwszą pracę. Bardzo szczęśliwy zjawia się więc w wyznaczonym dniu w miejscu pracy, konkretnie w supermarkecie. Podchodzi do niego kierownik piętra i mówi: „Pozamiataj tu trochę". Na to on: „Przepraszam pana bardzo, ale ja jestem magistrem fizyki, absolwentem Uniwersytetu Śląskiego". Wtedy kierownik piętra mówi: „A, to przepraszam. Proszę pana, więc miotłę się trzyma tak, a zamiata tak".

– I ja mam dla mojego miesięcznika opisać, jak mi to gestami demonstrujesz. To był raczej żart telewizyjny.

– No to taki: Młody człowiek przelatuje w gazecie tytuły. W pewnym momencie pyta: „Tata, co to za wielką rocznicę mamy?" Na to ojciec: „25 lat temu powstał niezależny, samorządny związek zawodowy *Solidarność*. To były okropne czasy, wreszcie robotnicy się zbuntowali i doprowadzili właśnie do powstania tego związku. Nie masz pojęcia, synku, co to były za czasy. Czasem matka nie miała czego do garnka włożyć, bo w sklepach był tylko ocet". „Jak to ocet, tata, w *Auchan* tylko ocet?

– Dzięki za żarty i rozmowę. ■

JOHN GUZLOWSKI

1. Co mój ojciec przywiózł ze sobą

Znał śmierć tak jak ślepiec zna głos
swojej matki. Szedł przez wioski
i miasta Polski i Niemiec

gdzie pozostawiono tylko starców,
by zbierali zboże na ścierniskach
albo prosił żołnierzy o kubek mleka.

Poznawał żywe trupy po ich zapachu,
po obrzękłych twarzach, po klekocie
zębów. Raz przyglądał się pewnej

kobiecie na chwilę przed jej śmiercią,
wzięła kij i nagryzmoliła swoje imię
w błocie, w którym leżała. Grzebał

również dzieci i wiedział że może
podjąć się każdej pracy, bo wiedział
że jest tylko praca albo śmierć.

Wykopywał buraki i ciągnął kłody
bez chleba lub nadziei. Do Stanów
przywiózł ze sobą tę wiedzę i dwie ręce

które robiły w cegłach i zamarzniętym błocie
i poznał język jakim mówili zasrani szefowie.



Grafika: Wojtek Łuka



Grafika: Wojtek Łuka

2. Śni mi się ojciec: tak wyglądał gdy po raz pierwszy przybył do Ameryki w poszukiwaniu pracy

Budzę się na Greyhound Station
w Chicago, a mój ojciec już tam jest
silny i dzielny młody człowiek z moich
wierszy, ten, który jadł korę i bił się
na pięści i pytał mam ci jeszcze dołożyć.

Stoi tam trzymając w każdej ręce walizę
z drewna a ja pytam go czy są ciężkie.

Uśmiecha się, „A jakże, pewnie. Przecież
są z drewna", ale nie stawia ich na ziemi.
Potem mówi że przybywa prosto z wojny.
ale mało pamięta właściwie jedno takie:

raz gdzieś tam w zapuszczonym ogrodzie
nie spuszczał oka z niemieckiego sierżanta
który poćwiartował kurę i wszystko cisnął
do garnka, nawet łebek i bezmięsne nóżki.
Potem zjadł rosół a kości schował w kieszeni
płaszcza na później. Mój ojciec mówi mi:
„Zapamiętaj to sobie: bo tym jest wojna.

Jeden człowiek ma kurę a drugi nie.
Jeden jest głodny jak pies a drugi nie.
Jeden jest sam a drugi jest zabity".

Ja na to, że musi być coś więcej, a on:
„Nie, jest tylko tyle. Wszystko inne
to galowy mundur w jaki ubierają trupa".

3. Jego pierwsza robota w Ameryce

Kiedy pierwszej zimy
pracował przy budowie
na zachód od Chicago,
spodobały mu się domy:
że wydają się takie kruche.
Ściany zrobione z drobnej
cegły, podłogi z cienkiej
sklejki.

Wątłe dziecko
mogło zburzyć taki dom.
Nie wzniesiono go z myślą o bombach,
strzelcu wyborowym albo
oddziałach SS.

Pracował tam, póki nie ściął go ziąb
i wiatr, i przyłapał się na tym
że stale myśli o tym
jak układał cegły pośród trupów
i dymiących ruin
Berlina i Magdeburga.

W końcu porzucił tę robotę,
tę na zachód od Chicago,
nie dlatego żeby się bał
po prostu zrozumiał
że może ją porzucić bez strachu:

i jego szufla pozostała wbita
pod kątem w pryzmę piachu.

4. Dlaczego moja matka została z ojcem

Wiedziała że jest nic nie wart kiedy ujrzała
go po raz pierwszy: nikczemnego wzrostu, ślepy
na jedno oko, a jego łachmany przechowywały
odór śmierci tych, co nosili je przed nim.

W Ameryce przekonała się że nie potrafi naprawić
nieszczelnego kranu, albo wbić prosto gwoździa.
Nic nie wiedział o ruchu planet, przypływach i
odpływach. Księżyc był tylko dziurą w niebie, a

prąd był dla niego tajemnicą wielką jak śmierć.
Kiedy pierwszy raz strzeliły bezpieczniki, padł
na kolana i błagał Najświętszą Panienkę, aby
przywróciła cud światła i lamp.

Był też pijakiem. Co piątek przepijał wypłatę
natychmiast po robocie. Kiedy spostrzegła
że się zatacza, powalała go na ziemię i kopała
dopóki nie zaczął płakać. Ale się nie odczepił.

Żył w ciągłych długach. Trzeźwy, żebrał
w barach o jedzenie lub parę centów,
póki jacyś pijacy albo kelnerki
nie zlitowały się nad tym głupim Polakiem.

Taki był mój ojciec, ale to on był z nią
we wszystkich obozach kiedy w obłędzie
szukała swojej siostry pomiędzy trupami,
i był przy niej kiedy przybyli do Ameryki.

Może to dlatego moja matka została z nim.
Wiedziała jedno: ten żałosny człowiek
żałosny jak łach jak kulawy pies tylko on
dzielił z nią wszystkie jej cierpienia.

5. Praca i śmierć

W końcu
usiadł w swoim ogródku
o poranku

na pustyni, w Sun City
(Arizona) tym dziwnym miejscu,
gdzie jest tak cicho

jasne światło
zabarwia błękit pustyni
gruchają gołębie.

Nie był w stanie podnieść
szufli, przeciągnąć
z miejsca na miejsce
torby z ogrodową ziemią.

Nie był w stanie oddychać
ani stać.
To było ponad
jego siły.
A jednak skinął ręką
na pomarańczowe drzewko

z korzeniami w konopnym worku,
i pokazał miejsce
gdzie chciał je posadzić.

Tam, powiedział
do mnie po polsku,
tam je posadź.

JOHN GUZLOWSKI

Z angielskiego przełożył
FELIKS NETZ

Testament Adama Didura

w 60. rocznicę śmierci



Popiersie dłuta Zbigniewa Dunajewskiego

Ostatnie słowa Adama Didura: – „Śpiewajcie dalej... Nie przerywajcie...” nabrały wkrótce symbolicznej wymowy jako wyraz ostatniej woli umierającego artysty. I tak zostały zapamiętane – najpierw w odniesieniu do nagle przerwanych zajęć w klasie śpiewu, którą prowadził. Stanowiły również ważne, mobilizujące przesłanie dla pogrążonych w głębokiej żałobie zespołów Opery Śląskiej, by wypełnić godnie artystyczny program wytyczony przez jej organizatora i twórcę. Towarzyszyły potem wytężonym przygotowaniom do wyznaczonej na 9 lutego prezentacji „Traviaty”, a intensywne próby w Didurowskich obsadach trwały już przez cały grudzień. Wyjątkową aurę miał sam spektakl premierowy, który przerodził się w zbiorowy wyraz czci i wdzięczności dla Mistrza. Miał też swoją wymowę zapomniany z czasem fakt, że z dniem 13 stycznia, w 4 dni po pogrzebie, w akcie spontanicznego hołdu nadano Operze imię Adama Didura. I tak jego ostatnie słowa przy różnych rocznicowych okazjach, ożywają aż do dni naszych, nabierając nowych znaczeń.

TEGO DNIA, 7 STYCZNIA 1946 ROKU, Adam Didur udał się rankiem do katowickiego konserwatorium na zajęcia. Był dziekanem Wydziału Wokalnego, który zorganizował od podstaw a jednocześnie prowadził klasę śpiewu. Czul się przecież z powołania pedagogiem i wychowawcą, otoczony utalentowaną młodzieżą. Tak było we Lwowie, gdzie na kilka lat osiadł po zakończeniu imponującej kariery światowej. A następnie w okupacyjnej Warszawie, gdzie opiekował się z wielkim oddaniem grupą swoich wybitnie utalentowanych uczniów, którzy przybyli do stolicy jeszcze latem 1939 roku, gdy Adamowi Didurowi powierzono objęcie dyrekcji Teatru Wielkiego: Wiktoria Calma, Jadwiga Lachetówna, Lesław Finze... W Warszawie dojdą do nich m. in. Franciszek Arno, Tadeusz Bursztynowicz i Maria Foltyn a nawet Mieczysław Fogg. Później dołączy Andrzej Hiolski i – już w Bytomiu – dojdzie do zespołu utalentowana sopranistka Zofia Czepielówna, z jego klasy w konserwatorium lwowskim, gdy zjadą na Śląsk liczni artyści i pracownicy „repatriowanej” Opery Lwowskiej. A wśród młodych zaangażowanych przez Adama Didura śpiewaków są już na miejscu tak utalentowani artyści, jak Antonina Kawecka, Stefan Dobiasz i Henryk Pociejewski – Stolnik w pierwszej katowickiej „Halce”.

Adam Didur od wiosny zajmuje spore 6. pokojowe mieszkanie przy ulicy Mielęckiego 10 na 4 piętrze okazałego gmachu. Zajmuje... lecz co to znaczy w tym przypadku, skoro do wspólnego stołu zasiada nierzadko i kilkanaście osób, a niemal regularnie pomieszkuje tu 10 lokatorów, w większości jego wychowanków, stanowiących trzon zespołu solistów. Często zresztą trzeba rozkładać na podłodze posłania dla przyjezdnych gości. Co prawda Opera Śląska ma od jesieni własną siedzibę w Bytomiu, lecz i tam większość spośród członków 200-osobowego już zespołu koczuje gdzie się da, nierzadko nadal w samym teatrze.

Musimy teraz wejść w sytuację życiową 72. letniego artysty, doświadczonego ciężko wojną. Didur ma za sobą nie tylko tragiczne dni Powstania Warszawskiego i widok płonącego Teatru Wielkiego, którego dyrekcji objąć nie zdążył. Warszawę opuścił, jak napisał Tadeusz Bursztynowicz, z „tobołkiem w ręku”, by skupić wokół siebie, już w Krakowie, grupę młodych śpiewaków, z którymi stawi się w Katowicach, gdzie już 14 czerwca 1945 roku dojdzie do premiery „Halki” – pierwszego spektaklu operowego w powojennej Polsce. Przeciążenia obowiązkami są niewątpliwie ponad siły, skoro – realnie biorąc – wypadnie mu stworzyć teatr operowy w niewykonalnych terminach, przy tym w najtrudniejszych warunkach. I to od podstaw – a dosłownie z niczego, rzec można: z woli i wizji. Lecz dochodzą jeszcze inne ogromne napięcia, skoro otaczają go dziesiątki wojennych rozbitków, którym stara się pomóc w zorganizowaniu życia. W tym czasie Opera Śląska pracuje już normalnie, w siedzibie i objeździe po przystosowaniu do stałych występów wyrabowanego Teatru Miejskiego w Bytomiu, w którym do niedawna biwakowali czerwonoarmiejcy. Po katowickiej premierze „Halki” i „Tosci”, 9 grudnia już na scenie bytomskiej Didur zaprezentował dwie następne pozycje: „Pajace” i „Rycerskość wieśniaczą” w tak świetnych obsadach, o jakie dziś trudno. Koniec roku przyniósł kolejne wydarzenie: 25 grudnia Opera Śląska zaprezentowała w świątecznym programie na antenie radiowej „Halkę“ Moniuszki, co odbiło się szerokim echem.

Życie Adama Didura toczy się teraz między gmachem Opery w Bytomiu i katowickim konserwatorium; co dnia jak wahadło: Katowice – Bytom, Katowice – Bytom... Uczniów swojej klasy wokalnej otacza wyjątkową troską, jakby zwracał dług młodości, gdy nadzwyczaj przystojnym, utalentowanym studentem, śpiewającym w uniwersyteckim chórze, zaopiekował się znakomity nauczyciel śpiewu Walery Wysocki, z którego klasy wyszła cała plejada artystów operowych wkrótce o światowej sławie, w tym tak wspaniałe sopranistki, jak Salomea Kruszelnicka, Maria Mokrzycka, Janina Korolewicz-Waydowa, Helena Zboińska-Ruszkowska i znakomici tenorzy – Józef Mann i Aleksander Myszuga. Jednak na czoło wysunie się Adam Didur, którego kariera okaże się wyjątkowa co do zasięgu i skali sukcesów. Jest przy tym człowiekiem wielkiego, osobistego uroku i wyjątkowej bezinteresowności. Nawet teraz, morderczo zajęty udziela dodatkowych lekcji bez wynagrodzenia w swoim ludnym, katowickim mieszkaniu. Tu do późnych godzin będzie kłębiło się życie – słychać śpiew, toczą się rozmowy, schodzą się goście.

Całkowicie pochłonięty teatrem, który stworzył i planami artystycznymi na przyszłość, był przekonany, że doczeka powstania na Śląsku gmachu teatru wielkiego na miarę swych ambicji i możliwości zespołu gwiazd, który formował z niespożytą energią. Zdobywca największych scen świata, wytworny i towarzyski, znany także z wielkiej hojności, do czasu wybuchu wojny godził harmonijnie styl życia światowca z poczuciem patriotycznych powinności, które jeszcze wzrosło w tych najcięższych latach. Tadeusz Bursztynowicz, obdarzony pięknym tenorowym głosem młody śpiewak, który od pierwszych dni narodzin Opery Śląskiej okaże się rzutkim, niezrównanym administratorem zapisał: *W czasie Powstania Warszawskiego spotkałem go kilkakrotnie w różnych sytuacjach. Raz w czasie gaszenia pożaru domu przy Wareckiej 11 znalazł się obok mnie w węzu ludzkim, usiłującym przy pomocy bezustannie krążących wiader z wodą zastąpić motopompę. Nie pomogły*

perswazje, wytrwał do końca nie zważając na bezpieczeństwo. Innym znów razem pod koniec powstania odszukałem go przy ulicy Koszykowej. Na szóstym piętrze kręcił mąkę z owsa na malutkim młynku od kawy i piekł placki. „Latające krowy" i bomby nie wyprowadzały go z równowagi.

* * *

Zapamiętajmy ten zapis, bo wiele mówi o Didurze człowieku, który w latach okupacji – jak wspomina T. Bursztynowicz – *skupił wokół swojej osoby licznych entuzjastów śpiewu i muzyki, uczył, zachęcał do wytrwania.* Tę atmosferę przeniósł do legendarnego katowickiego mieszkania przy ulicy Mielęckiego; swoich uczniów traktował jak rodzinę śpiewaczą. Często po kolacji snuł opowieści o latach swojej światowej kariery związanej z największymi scenami świata i mobilizował wychowanków do wytrwałej pracy nad sobą, zdecydowanie przeciwny rozdrabnianiu uwagi na doraźne zarobkowe występy. Sam jednak lekkomyślnie szafował siłami. Niepokojące sygnały o poważnych niedomaganiach serca i nadciśnieniu zbywał machnięciem ręki. Lesław Finze, szczególnie bliski uczeń, który zwykle jako pierwszy po Didurze wchodził do łazienki, niekiedy dostrzegał *niezmyte kropelki krwi na umywalce. Miał krwotoki z nosa, lecz bagatelizował te zdarzenia.*

Poprzedniego dnia, w Trzech Króli, Didur wrócił późno do domu. Choć zmęczenie rzucało się w oczy, jeszcze wymusił na Finzem partyjkę pokerka. Rano wyszedł na zajęcia do Konserwatorium, gdzie czekała już w jego sali śpiewu na 1. piętrze Maria Foltyn. Jesienią 1945 roku przybyła do Katowic, by rozpocząć regularne studia wokalne pod kierunkiem Adama Didura, który udzielał jej bezpłatnych lekcji także w swoim mieszkaniu. Minęła godzina 11. Trwały normalne ćwiczenia. Didur akompaniował. Nagle przerwał, lewa ręka opadła, prawą oparł się o klawiaturę. Ciężki jazgot dźwięków i krew ciekną z nosa. Maria Foltyn wybiegła z krzykiem z sali: – ratunku, na pomoc!...Karetka pogotowia zjawiła się szybko, lecz było już za późno: udar serca!... Czy jednak pomoc w ogóle mogła być skuteczna? Przed opuszczeniem sali Didur jeszcze wyrzekł: „Śpiewajcie dalej... Nie przerywajcie!..." (chodziło o zajęcia). Te słowa zostaną na zawsze zapamiętane i wielokrotnie będą przywoływane.

Pogrzeb, który odbył się już dwa dni później – w środę, 9 stycznia 1946 roku przerodził się w wielką manifestację. Śląsk oddał należny hołd wielkiemu artyście, a żal po jego nagłej stracie był powszechny. W „Dzienniku Zachodnim" zamieszczono opis ostatniej drogi Adama Didura. *Kondukt żałobny wyruszył z domu żałoby przy ul. Mielęckiego przy wtórze chóru „Echo" do kościoła Mariackiego, gdzie odprawiono uroczystą żałobną mszę oraz egzekwie żałobne. Uroczystości żałobne w kościele połączone były z koncertem uczniów i przyjaciół Zmarłego, którzy w ten sposób uczcili pamięć Mistrza. Na organach grał prof. Szabelski, duet na skrzypce i wiolonczelę wykonali prof. Dworakowski i Wolf, śpiewał Hiolski, Faryaszewska, Finze, Cyganik, Arno i połączone chóry Opery i „Echo".*

Po zakończeniu uroczystości kościelnych kondukt pogrzebowy udał się ulicami miasta pod Teatr im. Wyspiańskiego, przed którym zatrzymał się przez chwilę. Trumnę wystawiono w akcie pożegnania w hallu katowickiego teatru. Przez otwarte okna foyer na piętrze rozbrzmiewały dźwięki marszu żałobnego Chopina, który grała operowa orkiestra pod batutą Jerzego Sillicha. Adam Didur spoczął na katowickim cmentarzu przy ulicy Francuskiej – w śląskiej alei zasłużonych.

Z dniem 7 stycznia 1946 roku zamknęła się „epoka Didurowska" – bo tak trzeba nazwać tych siedem historycznych miesięcy, licząc od pierwszej premiery, najważniejszych w dziejach Opery Śląskiej, którą stworzył „dosłownie z niczego" jak już w dzień po jego śmierci stwierdził August Grodzicki. Swojemu następcy Stefanowi Belinie-Skupiewskiemu, który doprowadził Operę Śląską do jej największej świetności – z pozycją I sceny operowej w kraju, pozostawił Adam Didur teatr artystycznie i organizacyjnie uformowany. W tym czasie bytomska scena dysponuje już coraz lepszą własną orkiestrą zorganizowaną przez Jerzego Sillicha, świetnym chórem pod kierownictwem Zbigniewa Lipczyńskiego, wciąż rozwijającym się baletem utworzonym przez Tadeusza Burke, znakomitymi zespołami technicznymi, zrębem wspaniałego zespołu solistów a także grupą wybitnych realizatorów o uznanym prestiżu i dorobku. Ma także młoda Opera Śląska jasno wyznaczoną przez Adama Didura misję, którą sformułował w swoich pierwszych publicznych wypowiedziach a zyskała wnet wagę artystycznego testamentu. Już w wywiadzie udzielonym krakowskiemu „Dziennikowi Polskiemu", który ukaże się potem 28 marca także w „Trybunie Robotniczej", stwierdził Adam Didur: *Nadeszła chwila, gdy i o operze należy pomyśleć jako o ważnej dziedzinie sztuki narodowej. (...) Organizacja opery nie może trwać długo – poszczególni artyści aranżują swój byt na własną rękę, rozjeżdżają się i tracimy przez to jedyną sposobność zorganizowania znakomitego zespołu narodowego.*

Rozumiał przez to Didur *imprezę objazdową, posiadającą w zespole najwybitniejsze siły starsze i młodsze. Z operą zamierzał związać również reprezentacyjnie postawiony balet (...) aby krzewić kulturę i zainteresowanie sztuką po wszystkich miastach Polski, ale także aby wyjeżdżać na występy zagraniczne.* Już w okresie pobytu w Katowicach Didur zapowiedział w „Trybunie Robotniczej" z 11 maja, że *pragnie postawić „Halkę" od razu na najwyższym poziomie; myśli również o tym, aby muzyka stała się dostępna dla szerokich mas pracujących, aby każdy mógł znaleźć się w teatrze na pierwszej powołanej do życia, po latach niewoli, operze.* Stwierdził także, że *szczególnie tu na Śląsku udostępnienie słowa polskiego i muzyki polskiej dla szerokiego ogółu ma doniosłe znaczenie kulturalne, lecz powinno sięgać jeszcze dalej, na Ziemie Odzyskane, dlatego też już dziś projektowane są wyjazdy zespołu w dalszy teren, na zachód.*

Jeśli wczytać się w te słowa sprzed przyjazdu Didura na Śląsk a także w zdania z wywiadu poprzedzającego premierę „Halki", okaże się, że były to wszystko wypowiedzi zgodne z deklaracjami. Istotnie „Halkę" pod względem wykonawczym postawił *od razu na najwyższym poziomie* (bo czy były wówczas w Polsce piękniejsze młode głosy?). Także z miejsca powstająca Opera Śląska ruszyła w teren, aby stać się teatrem o najszerszym zasięgu.

* * *

W życiu Adama Didura nawet w czasach gdy zdobywał największe sceny Europy i obu Ameryk, by stać się obywatelem świata, nie było okresu równie intensywnego co w ostatnim śląskim etapie biografii, gdy dotarł do Katowic przygodnym wojskowym wozem. Nie można oczywiście zestawiać wielkich tras artystycznych jego szczytowej kariery z wyczerpującą krzątaniną tych ostatnich miesięcy życia, gdy niemal z dnia na dzień, w warunkach wielkiej improwizacji i niedostatku – tworzył i stworzył od podstaw nowy teatr operowy, skupiając wokół siebie najwybitniejsze młode głosy oraz najznakomitszych mistrzów sztuki operowej, którzy weszli na trwałe do historii polskiej kultury.

Podstawę magnetycznej osobowości i siły wewnętrznej Adama Didura stanowiły zarówno cechy jego charakteru, ale i wielki autorytet artysty, którego kariera nie miała sobie równych w dziejach polskiej wokalistyki. Przez 30 lat wpisana w największe sceny świata: La Scalę, której solistą zostaje liczący zaledwie 21 lat młody polski bas... Rzym, Londyn, Kair, Madryt, Wiedeń, Paryż, Petersburg, Moskwa, Rio de Jainero, Buenos Aires, przede wszystkim jednak sceny amerykańskie na czele z Metropolitan Operą, z którą związany był przez ćwierć wieku – a to oznaczało udział w 950 spektaklach, rekord tej sceny, który trwa od 1933 roku, gdy w wieku 60 lat postanowił rozstać się z przesławną MET. Chciał odejść wielkim, jeszcze w pełni sił, u szczytów powodzenia. Jego repertuar obejmował 54 partie, wszystkie najważniejsze śpiewane przez basów, choć i po barytonowe sięgał, bo tak wielkie możliwości posiadał jego głos. Zawsze też znajdywał czas na występy na scenach polskich, regularnie goszcząc w Warszawie i Lwowie, mieście najbliższym.

Miejscem trwałym pamięci Adama Didura stała się właśnie Opera Śląska, gdzie już w 1948 roku w głównym hallu bytomskiego teatru znalazło się popiersie artysty z bardzo dobrze uchwyconym podobieństwem twarzy o męskich, zdecydowanych rysach, dłuta Zbigniewa Dunojewskiego. Przed rokiem imię Adama Didura nadano reprezentacyjnej Sali Koncertowej Opery Śląskiej, odbudowanej z pietyzmem po pożarze. Każdy jubileusz Opery Śląskiej i ważniejsze wydarzenie teatru od 60 już lat są okazją do przybliżenia postaci jej twórcy. Szczególną jednak rolę w ugruntowaniu kultu Adama Didura pełnią organizowane od 1979 roku konkursy wokalistyki operowej jego imienia, które doczekały się 7 edycji – ostatnia w roku 2004 miała już charakter międzynarodowy. A wtedy zawsze powracają i ożywają ostatnie słowa Adama Didura: „Śpiewajcie dalej... Nie przerywajcie...".

TADEUSZ KIJONKA



Groby ludzi znaczących dla regionu w większości są w złym stanie

Zdążyć przed złomiarzami

ALICJA BADETKO

– W soboty od 10 pracujemy na cmentarzu w Gliwicach. Robimy porządki. Przed złomiarzami chowamy kawałki przygrobowych płotków, metalowe elementy grobów. Czasem uda nam się ich wyprzedzić... – śmieje się Małgorzata Malanowicz ze Stowarzyszenia na Rzecz Dziedzictwa Kulturowego Gliwic „Gliwickie Metamorfozy".

Niedzielny ranek na rynku w Gliwicach. Słychać dzwony pobliskiego kościoła. Restauratorzy powolnie otwierają swe lokale. W jednym z nich umówiłam się z panią Małgorzatą Malanowicz. (Średniego wzrostu szatynka w okularach dopija kawę.)

– Chodźmy, bo za chwilę będzie naprawdę ciepło – dodaje. Kilkanaście minut później jesteśmy przy cmentarzu hutniczym. Na teren nekropolii wchodzi się... ze ślepej alejki.

– Niestety ukradziono bramy, podobnie zabytkowe, żeliwne ogrodzenie, jak również późniejsze „zastępcze" – z siatki. Właśnie czekamy na ogłoszenie przetargu i rozpoczęcie budowy nowego murowanego ogrodzenia – objaśnia, widząc moje zdziwienie i chwilowe zagubienie.

Przepite ogrodzenie

Cmentarz ten powstał w 1808 roku. Chowano na nim pracowników pobliskiej. Huty Gliwickiej. W związku z tym, że większość z nich była wyznania ewangelickiego, to cmentarz służył także parafii ewangelickiej. Pochowano tu między innymi pastora Gottfrieda Jacoba. Jego zasługi dla wzniesienia kościoła św. Barbary zostały upamiętnione tablicą wmurowaną w stojący obok kościoła postument.

Natomiast nadradca górniczy Johann Wilhelm Ottomar Schulze został wprawdzie pochowany na tym cmentarzu, ale nie wiadomo gdzie.

– Większość tutejszych grobów okolona była żeliwnymi plotkami. Niestety w ostatnich latach to właśnie stało się przyczyną ostatecznego zniszczenia cmentarza. Ostatnie z żeliwnych ogrodzeń zostało „przepite" w sylwestra 2004/2005. Żeliwne były też kaplica grobowa Baildona, tablice nagrobne oraz lwy strzegące alei – opowiada moja przewodniczka.

Tablica spowita bluszczem

Porządkując cmentarz wiele razy znaleziono połamane tablice lub ich części. Sukcesywnie są zbierane, odnawiane.

– Zamierzamy je umieszczać z powrotem na cmentarzu – ale nie jest to proste, bo skoro nie ma planów cmentarza, a większość z tych kawałków była porozrzucana, to nie mamy możliwości „dopasowania" ich do grobu. Nie chcemy też ich wszystkich wmurowywać w ogrodzenie, bo wtedy środek byłby pusty, a najciekawszy mur – żartuje pani Małgorzata.

Sam spacer po cmentarzu nie zabiera dużo czasu, ale magia tego miejsca pobudza wyobraźnię. Powiewa wiatr o zapachu zgniłych liści. Widoczne są rosnące z uporem samosiejki, bluszcz okalający wszystko.

– Niestety, nie zachował się także inny piękny pomnik rzeźbiarza artysty huty gliwickiej Augusta Kissa dla jego brata Wilhelma. Obok kaplicy znajdował się piękny, antyczny grobowiec dyrektora generalnego górnictwa hr. Einsiedela, zmarłego w 1933 roku. Przy bocznych ścieżkach istniały jeszcze okazałe nagrobki z kamieni naturalnych, z płaskorzeźbami figuralnymi. Sporo grobów ogrodzonych było ozdobnymi żelaznymi kratami – opowiada Pani Małgosia.

Gdy chodzimy od grobu do grobu, próbując rozszyfrować, co wyryto na kamiennych tablicach przypomina mi się historia związana z tym miejscem. Otóż 9 kwietnia 1922 roku grupa żołnierzy przeglądała teren cmentarza w poszukiwaniu broni i amunicji

ukrytych przez niemiecki Selbstschutz. Podczas próby wejścia do krypty dyrektora generalnego górnictwa hr. Einsiedela nastąpiła potężna eksplozja. W wyniku wybuchu ukrytej tam amunicji zginęło ponad 20 francuskich żołnierzy.

„Przywróćcie nam imię..."

Stoję przed postumentem, na którym stała niegdyś neogotycka kapliczka z popiersiem Johna Baildona. Poniżej napisano: „Tu spoczywa górnik hutnik John Baildon urodzony w Carron w Szkocji 17 grudnia 1772 roku, zmarł 7 sierpnia 1846 r. w Gliwicach".

Baildon jeszcze za życia posiadał majątek w Łubiach. Na tamtejszym cmentarzu pochowana jest jego rodzina. Nie potwierdziła się także pogłoska, jakoby obok nich leżał sam Baildon, podobno ekshumowany w latach 60. Kapliczka stoi obecnie przed Muzeum Odlewnictwa na terenie Gliwickich Zakładów Urządzeń Technicznych

Na zakończenie mej wizyty oglądam jeszcze raz cmentarzysko, które dzięki staraniom Stowarzyszenia „Metamorfozy" nabiera swego prawdziwego uroku. Na pożegnanie Pani Małgorzata cytuje mi fragment wiersza nieznanego autora.

„... Z roztrzaskanej świetności
Oplecionej bluszczem zobojętnienia
Wołają do nas oczodoły tablic...
Ich głos gotykiem odbija się
od sklepienia drzew...
Przywróćcie nam imię..."



Bytomskie Powązki

Zanim dojadę do domu wysiadam w Bytomiu. Bez większych problemów docieram do zabytkowego cmentarza Mater Dolorosa. Powstał on w 1876 roku. Wrażenie robią wielkie pomniki zacnych gliwickich rodzin między innymi: Nowotny, Pissarek, Hakuba, Goetzler. Te są już odnowione. Zajęło się tym Towarzystwo Miłośników Bytomia, działające w mieście od 2 kwietnia 1966 roku.

Jak powiedziała nam Sylwia Namyślak, pełniąca nadzory konserwatorskie nad pracami z ramienia Towarzystwa, pomniki z bytomskiego cmentarza są w bardzo złym stanie technicznym. Brak finansów odwleka ich renowację. W trakcie konserwacji jest już szósty pomnik. A jeszcze przynajmniej trzy powinno się jak najszybciej naprawić. Przyznała też, że problemem są złodzieje, którzy ukradli nawet naprawioną rzeźbę. Aby uzyskać pieniądze na renowacje Towarzystwo wraz z lokalną prasą organizuje np. kwesty.



Przemierzam ten ogromny cmentarz, czując się jak na Powązkach. Nie jest to złe skojarzenie, bowiem sama nekropolia nazywana jest „Bytomskimi Powązkami". Z pomników zerkają na mnie kamienne anioły, płaczące kobiety. Mijam groby ks. Józefa Szafranka, Antoniego Józefczaka. Tylko z dat widać, jak nieubłaganie szybko płynie czas.

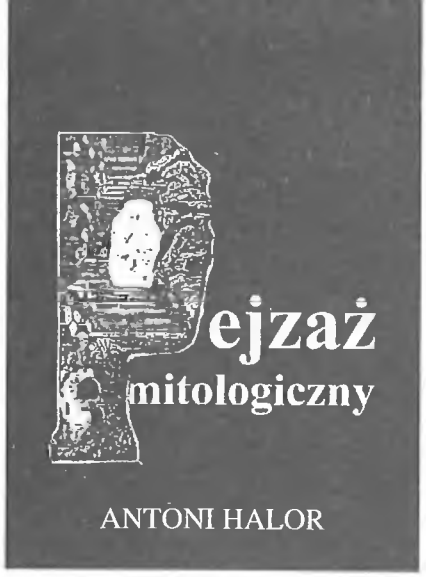
„Matka moja najukochańsza"

Na pewno nikt nie zapomni o wielkich ludziach pochowanych na cmentarzach przy ul. Francuskiej w Katowicach. To miejsce kończy tę jednodniową wycieczkę po śląskich nekropoliach. Idąc w stronę Biblioteki Śląskiej, pod którą pierwotnie był katowicki cmentarz, mijam pomniki Wojciecha Korfantego, Józefa Rymera. Zresztą tam też jest jeden z niewielu grobów niemieckich: Thomasa Szczeponika, (z 1927), posła Sejmu Śląskiego, twórcy Deutsche Katholische Volkspartei.

Wiele nazwisk na cmentarzach jest niemieckiego pochodzenia. Zatrzymuję się przy wykonanym z piaskowca grobie Józefy Szramek; rodzicielki ks. Emila. Bardzo prosty a jednocześnie bardzo przejmujący jest napis: „Matka moja najukochańsza". Ten duchowny, zresztą wybitny znawca między innymi sztuki, uważał że jeśli kogoś nie stać na postawienie pomnika, niech przynajmniej grób utrzymuje w porządku.

Cały czas mijają mnie skracający drogę studenci, spieszący się zapewne do biblioteki. W części ewangelickiej ma miejsce nabożeństwo pogrzebowe. Do niewielkiej kaplicy zbliża się kondukt żałobny. W zadumie opuszczam to miejsce, przypominając sobie wiersz recytowany przez panią Malanowicz.

Strzeżcie się ci, co groby niszczycie!
skuwacie dusze z nagrobków,
bo nie tylko żywych gniew
na was spłynie
i nie tylko za życia waszego.
Potem co?
Może właśnie, na wasze nieszczęście,
Wieczność!



Niezwykłe mauzoleum

Kiedy przed kilku laty jechaliśmy do Trewiru, wiezieni tam przez męża kuzynki, który zwykle od lat wszystkich swych gości wodził wciąż tą samą trasą: do Luksemburga i do Metzu, poprosiłem go żeby najpierw jednak pojechać do dawnej stolicy *Belgica prima*. Raz ze względu na ciągoty do starożytności – to najstarsze w Niemczech miasto, założone nieopodal zbiegu Mozeli i Saary około 16 roku przed Chrystusem jako kolonia rzymska *Augusta Treverorum*, bogate w całkiem dobrze zachowane monumentalne zabytki sprzed niemal dwu tysięcy lat; było przez pewien czas siedzibą cesarstwa za Konstantyna Wielkiego (przed przeprowadzeniem stolicy do Bizancjum) i jego synów, potem przez wieki stolicą rozległego arcybiskupstwa, burzyli je wikingowie etc. etc.

A po wtóre, choć to brzmi niewiarygodnie, wiążą to uginające się pod ciśnieniem wieków miasto akurat z rodzinnymi Siemianowicami dość dziwne, a niezwykle dramatyczne więzy, co jednak jest już inną historią i zapewne do tego kiedyś wrócimy.

Tak więc wtedy, gdy w piękny, słoneczny poranek jechaliśmy drogą wijącą się wzdłuż niesłychanie malowniczej doliny Saary, w pewnej chwili samochód bez trudu wdrapał się na łagodne tu zbocza północnej części Czarnego Lasu i nagle zobaczyłem, dosłownie kątem oka, na rozjeździe dróg, gdzieś na czterdziestym kilometrze za Saarbrücken, charakterystyczny dla miejsc zabytkowych drogowskaz informujący, że jest tam zjazd do godnego uwagi *„historycznego mauzoleum"*; niestety mąż kuzynki jechał bardzo szybko i nie wypadało go zatrzymywać. Ten drogowskaz nie dawał mi jednak spokoju. Zwłaszcza że w dalszym ciągu drogi zobaczyłem po drugiej stronie rzeki, na bardzo wysokim i stromym zboczu dosłownie przyklejoną do skały interesującą budowlę, kaplicę nie kaplicę, której jednak nie skojarzyłem z tamtym drogowskazem.

Ale że jestem uparty, zacząłem szukać tu i tam, początkowo całkowicie bezskutecznie. Dopiero po powrocie do domu przypomniałem sobie o kupionych przed laty za psie pieniądze w jakimś antykwariacie stareńkich bedekerach, chyba o Paryżu, Dreźnie, a także o Nadrenii. Tkwiły od lat na samej górze bibliotecznej ściany, potwornie zakurzone. Charakterystyczna czerwona obwoluta, cienki biblijny papier, wydanie chyba trzydzieste, z końca XIX wieku. Po uważnym a delikatnym odkurzeniu okazało się, że był to strzał w dziesiątkę. Bo już niebawem znalazłem: *„Wycieczka do Pustelni (Klaus). Od dworca idzie się w 5 min do brzegu Saary, każe się przewieźć na drugą stronę, tu boczną doliną do góry. Po 4 min skrzyżowanie... w lewo prosto do Pustelni (1/2 godz.) do wioski Castel, gdzie trzeba wziąć klucze. Po 8 min* ***Pustelnia****. Otoczona parkiem kaplica, 1838 na nowo odbudowana, mieści we współczesnym sarkofagu* (oczywiście anno 1833-1838; rekonstrukcji dokonał najsławniejszy architekt XIX wieku Karl Friedrich Schinkel, mający swoje dzieła również w Polsce /Kórnik/, a zwłaszcza na Górnym Śląsku; łączony jest uparcie /choć raczej niesłusznie/ z siemianowickim zamkiem, u.m.) *szczątki zabitego pod Crécy ślepego króla Jana Czeskiego, syna... hrabiego Henryka (VII) z Luksemburga. Przepiękny widok na dolinę Saary i na Saarburg... Dobre wino"*. Musicie przyznać, że fascynująca zachęta.



Foto: Antoni Halor

Castell nad Saarą

Zajrzałem od razu do encyklopedii, ale tam cieniutkie hasło: *„Jan Luksemburski 1296-1346, król czes*[ki] *od 1310, syn ces*[arza] *Henryka VII; 1335 zrzekł się roszczeń do korony pol*[skiej] *jako sukcesji po Przemyślidach; sojusznik Krzyżaków; poległ pod Crécy"*. W jakimś przewodniku po zamkach wielkopolskich znalazłem informację, że Zamek Orla w Koźminie (woj. wielkopolskie) był w XIV w. zajęty przez Zygmunta Luksemburskiego, ale następnie odebrany przez Władysława Jagiełłę. I tyle. Sięgnąłem więc do *Roczników, czyli Kronik sławnego Królestwa Polskiego* kanonika Jana Długosza, a tam w indeksie osób chyba ze 120 odsyłaczy imiennych do hasła *„Jan Luksemburski, s*[yn] *Henryka VII, król czeski i rzymski"*. Zorientowałem się szybko, że w większości z nich kanonik, jak wiadomo patriota, nie przebierając w słowach rozstawia Luksemburczyka (wtedy jeszcze nie ślepca) po kątach. Przyczyna była prosta, Jan nie tylko (wezwany przez śląskiego Piasta Henryka VI o pomoc przeciw bratu Bolesławowi, za cenę zhołdowania swojego księstwa) stał się suwerenem Wrocławia, ale po śmierci Henryka w 1335 został panem księstwa opolskiego, kozielskiego, niemodlińskiego, bytomskiego, a także cieszyńskiego i oświęcimskiego. W rezultacie cały Górny Śląsk stał się odtąd częścią królestwa Czech i razem z Czechami przeszedł potem pod panowanie Habsburgów. Co do Jana, w jednym z ostatnich miejsc, w którym o nim mowa, w opisie sławnej bitwy, Długosz z całą pewnością poruszony (przez stulecia w całej Europie ślepy król Jan w licznych pieśniach i poematach uchodził za wzór rycerskiego zachowania) pisze: *„Król czeski Jan pragnąc przyjść z pomocą swemu krewnemu, królowi Francji Filipowi przeciw królowi angielskiemu Edwardowi najeżdżającemu raz po raz królestwo francuskie, zgromadziwszy silne wojsko z Czechów i Niemców przybywa do Francji. Nadciągają* [tam] *również królowie Majorki, Nawarry i Aragonii. Po bardzo zawziętej bitwie między królami Francji i Anglii, choć król francuski górował siłą i liczbą żołnierzy (oceniano bowiem, że miał około stu tysięcy wojowników), zwycięstwo przypadło jednak Anglikom. Kiedy królowi czeskiemu Janowi doniesiono o tym wydarzeniu, każe się prowadzić tam, gdzie wrogowie byli najbardziej stłoczeni i gdzie wrzała najzawziętsza walka* (według tradycji kazał się, z mieczem w dłoni, zanieść na krześle, u.m.). *Rzuca się na wrogów walcząc dzielnie, a kiedy król Francji z synem oraz król Nawarry uciekają – giną* (czemu towarzyszy przypis: *„śmierć króla Jana Luksemburskiego w bitwie pod Crécy jest potwierdzona w wielu kronikach"*; było to dokładnie 26 sierpnia 1346; u.m.). *Odwieziony do Luksemburga* (tu znowu przypis, niezbyt zresztą dokładny: *„Księstwo (i miasto) w Niemczech zachodnich, na pograniczu francuskim, skąd pochodzili Luksemburgowie panujący w Czechach i w Rzeszy"*. I tu następuje najbardziej ciekawa część przypisu: *„Szczątki króla Jana były kilkakrotnie przenoszone, obecnie leżą w Luksemburgu"*). Jeszcze później, w innym przewodniku z 1954 roku (Bertelsmanna) przeczytałem: *„Seerig, miejscowość znana z uprawy win... Naprzeciw, na wysokiej skale, Pustelnia (die Klause), pierwotnie kasztel rzymski, służąca mnichom jako miejsce medytacji; z grobowcem króla Jana Ślepego. Zwłoki, po* [II] *wojnie, w związku z roszczeniami Luksemburgu, przeniesione tamże"*. Głęboko zdziwiony (nie wiedząc wtedy jeszcze wcale, jak bardzo to zdziwienie jest uzasadnione), bo oczywiście byliśmy potem w Luksemburgu i nigdzie nie natknęliśmy się na grobowiec, który byłby choćby marnym cieniem tych znanych powszechnie, wspaniałych mauzoleów królewskich w katedrze wawelskiej. Niepokojące to, ale wydaje mi się dziś, że przypadkowo dotknęliśmy starego problemu psa ogrodnika. ■

Spacer jedną z pryncypalnych ulic Katowic, Jagiellońską, może być poruszający i pouczający zarazem. I to z wielu powodów.



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik spóźnionego przybysza

Rozdawnictwo i godnościowa bieda

Trudno bowiem bezrefleksyjnie minąć wielkogabarytowy gmach Urzędu Wojewódzkiego, wzniesiony w międzywojniu, służący niegdyś Sejmowi Śląskiemu i jego parlamentarzystom. Tuż obok *Dezember Palast,* dzieło życia towarzysza Zdzisława Grudnia, regionalnego cysorza, o ambicjach genseka, który notorycznie mylił Afganistan z Pakistanem, a w chwilach zwątpienia językowego uzupełniał zdania nieśmiertelnymi dziś frazami: *Wicie towarzysze, rozumicie...* Kilkaset metrów dalej siedziba Górnośląskiego Towarzystwa Charytatywnego, wyraźnie inna na tle pierzei tworzonej przez stare kamienice. Tłoczy się przed nią spory zazwyczaj, niekiedy kilkudziesięcioosobowy, tłum. A to oznacza, że dziś działacze i wolontariusze rozdają żywność, odzież czy drobne utensylia potrzebne w każdym domu.

W tłumie młodzi i starzy, kobiety, mężczyźni i dzieci, często szare twarze sponiewierane przez alkohol, denaturat czy używki. Ale całkiem niemało ludzi rzeźkich, w sile wieku, raźno komentujących ten niesprawiedliwy świat. Trudno oprzeć się wówczas wrażeniu, że pomagać trzeba wszystkim, pamiętając wszelako, że bezwarunkowe rozdawnictwo skrajnie demoralizuje i demobilizuje, zniechęca do potu, męki i wysiłku. Pomnaża profesorów biedy i prawników niedostatku. Dokuczliwa staje się też świadomość, że gdzieś w Tychach, Katowicach czy Koszalinie mieszkają na przykład stare wdowy, wyczekujące na przysłowiowy emerycki grosz, skrupulatne wyliczony przez państwowego ubezpieczyciela.

Takie choćby jak Pani Balbina, osamotniona od wielu lat, starannie rachująca każdą złotówkę, zapisana wbrew własnej woli do tej swoistej szkoły przetrwania, płacąca jednak regularnie czynsz i światło, oszczędzająca na jedzeniu, lekarstwach i środkach higienicznych. Balbina nigdy nie wybierze się do Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej, magistratu czy towarzystwa charytatywnego. Ten rodzaj supliki jest Jej całkowicie obcy, niegodny i niehonorowy.

Spotykam wiele przejawów tej godnościowej biedy i w takich sytuacjach mam pewność, że model zaopatrzenia w III, czy może już IV RP, wymaga radykalnych zmian. Tym, którzy znaleźli się na marginesach życia, z własnej czy nie z własnej winy, podać należy pomocną *dłoń hołownika*, jak powiedziałby poeta. Dbać jednak trzeba, aby ci z nich, którzy są silni, zdrowi lecz leniwi otrzymywali pomoc w zamian za swoisty *biznesplan na życie*. Dostajesz wsparcie, ale naucz się podstawowej reguły: *pomóż sam sobie, a bank, niebiosa, opatrzność i ludzie ci pomogą*. To rodzaj kontraktu z wykluczonym, wysiłek na rzecz jego mobilizacji, próba przerwania błędnego kola roszczeń, nicnierobienia i narzekań adresowanych do tajemniczych *onych*.

To także próba zniesienia *syndromu somalijskiego*, jak określa się go w żargonie naukowym. Oto bowiem okazało się, że po wojnie dwóch nędzarzy świata, Etiopii i Somalii, w obozach dla uchodźców ulokowano tysiące osób, które do perfekcji opanowały sztukę życia z pomocy międzynarodowej. Rytm ich dni, tygodni, miesięcy i lat wyznaczały regularne zrzuty z powietrza pojemników z pomocą, a nie poszukiwania szans na wyrwanie się z obozowej przestrzeni. W tych *bieda-campach* dorastają kolejne już pokolenia, mające o wojnie mgliste na szczęście pojęcie, wypatrujące jednak w niebo i czekające na ustalony rytuał cargo. Trudno też powstrzymać się przed krytyką pasywnych form pomocowych, mnożących, mimo urzędniczej woli, grupy nieudaczników, przekonanych, że należy się im wszystko, a marny ich los jest dziełem społecznego spisku, nieudolnej polityki i przypadku, zrządzeniem złych mocy, a nie rezultatem zdarzeń zawinionych przez nich samych.

Bogatsze i sprawniejsze kraje zupełnie inaczej zaopatrują godnościową biedę niźli dzieje się to w transformacyjnej Polsce. Znając organiczną niechęć do wyciągania dłoni przez tę grupę ludzi, kierują pomoc poprzez wspólnoty sąsiedzkie, skupiające lokalne autorytety i gwiazdy socjometryczne, znakomicie rozeznane w rzeczywistej sytuacji miejscowej społeczności. Może warto te wzory rozważyć, choć wymagają one większego wysiłku niźli wypłaty czy *wydawki* odzieży i żywności, jak się je nazywa we wtajemniczonych kręgach.

Bezwzględnie uprzywilejowani w tym mobilizacyjnym wysiłku winny być najmłodsi, osoby bezradne, opuszczone, lokowane w domach dziecka. *Bidule,* przy pełnym szacunku dla wysiłku ich personelu skazują pensjonariuszy na kłopoty adaptacyjne w projektowanym życiu i brak samozaradności. Stukrotnie lepiej przeznaczać pieniądze na tworzenie mieszkań usamodzielniających, z własnym budżetem i życzliwym nadzorem personelu pedagogicznego. Oto bowiem osiem dziewczynek z tyskiej ulicy Ejsmonda musi w dwupokojowym mieszkaniu uczyć się współpracy, podziału obowiązków, prania, prasowania, zakupów, oszczędności, słowem codziennej mordęgi. Biduł na ogół tego nie wymaga, choć bywają coraz liczniejsze i na szczęście zaraźliwe wyjątki.

Kontraktowanie działań to zdecydowanie lepsza droga wsparcia biedy niźli proste jej zaopatrywanie. Z całą pewnością z tą elementarną prawdą zgodziłby się Alexis de Tocqueville. *Dobroczynność ustawowa* – pisał ten niezrównany analityk amerykańskiej demokracji – *wywiera na wolność ubogiego wpływ równie zgubny, co na jego moralność.* ■

MICHAŁ JAGIEŁŁO

Weź garść słów...

Weź garść słów
wygrzebanych ze stożka piargu,
wydobytych ze śnieżnej zaspy,
ukradzionych wiatrowi,
wyłowionych z górskich jezior,
wyczytanych,
wysłuchanych,
obmytych z zapomnienia,
wyłuskanych ze skorupy,
odnalezionych we wnętrzu granitu,
wyssanych z wapiennym mlekiem,
wylizanych z lodospadu,
podarowanych ci przez łąkę i las...

Ukryj je w dziupli dłoni
i nakryj inną dłonią
– aż wypuszczą soki.

Pokrop polanę
i stół,
natrzyjcie potem swe stopy,
aby nauczyły się wchodzenia

w samotność.

Ślad

Który byłeś górą,
wierzchołkiem szczytu,
a dziś leżysz wśród innych
ułomków na brzegu jeziora
okolonego glazurą młodego lodu,
bracie mój odległy i bliski,
przodku w niedocieczonym ciągu dziejów,
krewniaku – choć bez osocza,
trzymam cię w dłoni,
ogrzewam oddechem,
i wypuszczam na taflę
zastygłego wiatru.

Nie bój się – osiądziesz
na dnie, gdy nadejdzie
czas topnienia; przetrwasz
kołowrót lat: nadkruszony,
ale prawdziwie materialny.

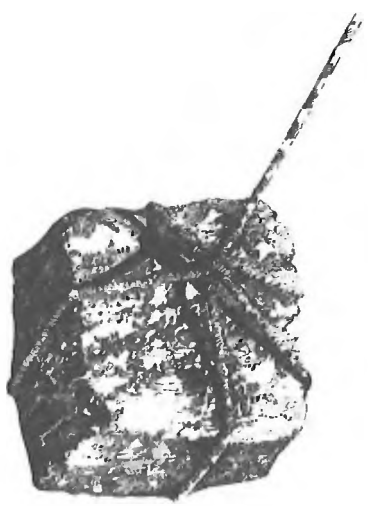
Przechowaj w sobie pamięć
o dniu w lodowej polewie,
o cieple moich rąk,
o myślach, które ci wmodliłem.

Do zobaczenia.

Sen: W bezsenną noc

Z sufitu przecieka dziewczęcy
jazgotliwy śmiech a grube słowa
mężczyzny odłupują tynk,
za oknem, a właściwie tuż obok
łóżka, motocyklista doznaje orgazmu,
z podłogi przebijają się kolczaste
krzaki telewizyjnych odgłosów,
i, co zrozumiałe, wszystko jest nie tak:
nie ma snu, nie ma wypoczynku,
jest wielkie uczucie, ale jest
też pościel z mory, czyli dręczydło
dla spieczonych na słońcu pleców,
i w ogóle zmora.
I wreszcie, nad ranem górski stok,
może w Tatrach, a może w Małych Pieninach:
objawia się krzewinka ledwo odrośnięta
od kamienistej ziemi,
ale z dużym białym słońcem
– dębik ośmiopłatkowy,
dryas octopetala,
dryádka osemplupienková,
Mountain Avens,
Silberwurz,
relikt lodowcowy, który przetrwał jedynie w górach,
wolno rosnąca, długowieczna roślina
– żyje ponad sto lat.

Pamiętasz mój oddech, gdy klęczałem
modląc się po swojemu?
Opowiedz że, no cóż,
że byłem.
Zrób to dla mnie,
wolno żyjąca
dryas octopetala.



Grafika: Wojtek Łuka

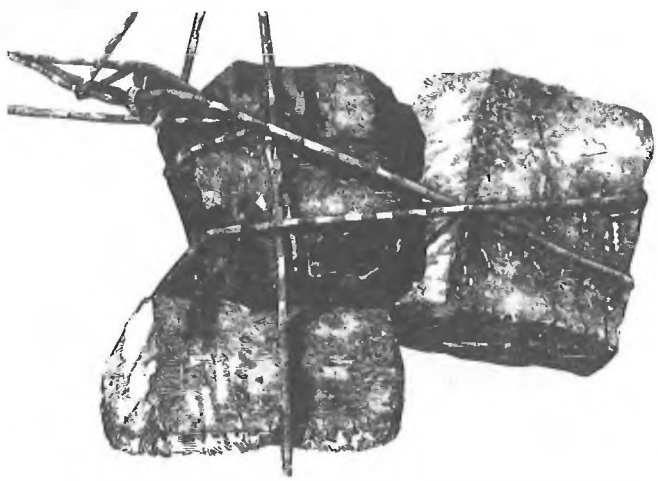
Uzależnienie

Byle nie płasko, a jeśli,
to jak ten żółty prostokąt,
zapewne rzepaku, co maluje się
w nizinnej oddali widzianej
ze szczytu.

Byle pod górę lub stromo
w dół,
i po skosach, po pionach,
przez obłości kopiastych
wierzchołków,
przez murowanice wapiennych
zerw,
przez gładzizny granitowych
uskoków,
w konwulsjach poszarpanych
grani.

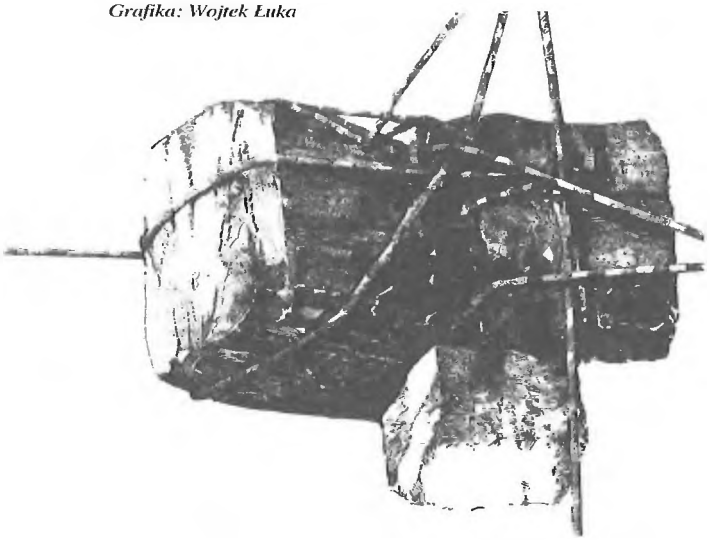
Jeśli płasko, to tylko jako podnóżek
góry: pychy, wyniesienia, samo-wybrania,
uzależnienia od tam i tu,
wejść – i zejść,
od patrzenia w siebie
oglądającego góry
po akcie,
po spełnieniu z obolałymi nogami,
po nienasycone spojrzenie,
po odpoczynek w miejscu,
gdzie boczna grzęda wrasta
w kopułę szczytową,
a w dole kołowy staw,
a na jego tle kozica z dzieckiem,
słońce i ciemna chmura,
gorąc lipca i śnieżna krupa.

Składasz dłonie: swoją i tę
– chwytasz perły,
a potem zwilżasz wargi
ich sokiem.



Grafika: Wojtek Łuka

Grafika: Wojtek Łuka



Układanka do wnuka

Kopa – może być i Kondracka,
Małołączniak – górujący
nad podłużną
płachtą Wielkiej Polany
Małołąckiej,
a tam, z boku, Rozpadła Grań,
a przed tobą – oczywiście
– Krzesanica,
z której można spaść
na amen,
więc rozważnie,
myślącymi stopy,
oddech za oddechem
w sam środek
rozbuchanego widoku
albo we mgłę zwodzicielkę,
jeszcze krok i – jakże by inaczej
– Ciemniak,
przechodzący niepostrzeżenie w
Twardy Upłaz
codzienności.

I jeszcze jedno: jeśli obłaskawisz
Wielką Turnię,
pomyśl ciepło o jej Chudej siostrze,
bo i ona będzie twoja.

Być może świat ma sens,
przynajmniej w masywie
Czerwonych Wierchów.

MICHAŁ JAGIEŁŁO

„Jestem w Chinach. W Szanghaju pada deszcz". To jeden z ostatnich SMS-ów, jaki Anna Robosz przesłała do swego znajomego w Katowicach. Nazajutrz była w Pekinie, a zaraz potem w Helsinkach.

Namiętności pani sędziny

HENRYK SZCZEPAŃSKI



Przed laty Anna Rogosz z Agnieszką Osiecką

Pani Anna co najmniej dwa razy w roku bywa za granicą. Swoją wysłużoną, ale za to niezawodną „Minoltą" robi fotografie a w notatnikach gromadzi impresje. Nieraz je publikuje.

– Ona wciąż podróżuje, każdego roku odwiedza co najmniej dwa kontynenty. Dziś dla Polaków wędrówki po świecie, to niby nic wielkiego, ale aby sobie pozwolić na takie tempo, to już nie tylko kwestia zdrowia i pieniędzy, lecz przede wszystkim pasji – mówi Krzysztof Kwiatkowski, katowicki fotografik, adresat wspomnianego SMS-a i licznych widokówek.

Otwieramy album pełen kartek pocztowych zapisanych ręką Anny. Na kilkudziesięciu stronach kolorowe kartki z różnych stron świata. Liczymy. Nie była jeszcze w Ameryce Południowej, na Antarktydzie i w Australii.

– To jest jednak rekord – zauważa Krzysztof.

Też zacznę podróżować

Ania jest łakoma świata i podróżowania – mówi Katarzyna Gärtner, kompozytorka zaprzyjaźniona z Anną Robosz. – Mam wrażenie, że Anka cały świat traktuje jak ogromny teatr i dlatego tak chętnie przemieszcza się do różnych jego zakątków.

O trasach jej niespodziewanych podróży zagranicznych często decydują względy artystyczne i towarzyskie albo chęć zrobienia komuś milej niespodzianki. Czasem wręcz nieprawdopodobnej!

– Proszę sobie wyobrazić! – dodaje p. Katarzyna – z moją grupą jechałam do Brunszwiku, na główne uroczystości w ramach obchodów Roku Polskiego, gdzie prezentowaliśmy „Korzenie". Podróżowaliśmy nocą, byliśmy zmęczeni, nad ranem dowlekliśmy się do hotelu. Dochodziła 6. Wzięłam klucze z recepcji i wchodzę na schody. Przede mną wyrasta Anna Robosz i wpadamy sobie w ramiona. Tak, tak, ona specjalnie dla mnie to zrobiła, i przyjechała na nasz koncert. Dyskretnie dowiedziała się, gdzie mieszkamy i dzień wcześniej zakwaterowała w pobliżu mojego numeru. Jej pasja udziela się innym. Chyba i ja też zacznę podróżować.

Znajoma gwiazd

Organizowanie spotkań, koncertów i recitali z udziałem najwybitniejszych twórców sztuki, już w latach 70. stało się jedną z życiowych namiętności Anny Robosz.

– To się zaczęło od szkoły podstawowej – zwierza się p. Anna – od piątej klasy zbierałam fotosy aktorów, płyty. Pierwszy adapter dostałam w prezencie dopiero, gdy skończyłam 18 lat. Moje zainteresowania aktorami, muzyką roz-

rywkową, filmem pozostały mi na całe życie. Moją sojuszniczką była mama Helena, która w 50. roku życia zrobiła prawo jazdy, a potem swoją prywatną Syrenką woziła Irenę Dziedzic i innych naszych niezwykłych gości. Gotowała różne przysmaki, bo ja nie umiałam, i zapraszała artystów do domu na obiady i kolacje. Pomagali sąsiedzi z Ustronia i koledzy z Wodzisławia. Trudno byłoby wymienić wszystkich ludzi dobrej woli i miłośników sztuki.

Z biegiem lat dziecinna ciekawość zamieniła się w pasjonujące hobby. Anna postanowiła osobiście poznawać gwiazdy sceny, estrady i ekranu. Wolne chwile poświęca na korespondencję z ulubieńcami, mniej lub bardziej oficjalne spotkania z nimi, no, a przede wszystkim na spektakle, seanse i występy z ich udziałem. Wiedzy o tym, co, gdzie i jak grają, mógłby jej pozazdrościć niejeden krytyk i recenzent. Jeśli w polskich teatrach dzieje się coś ważnego, ona wsiada do pociągu i jedzie do Warszawy, Łodzi, Krakowa lub Wrocławia. Na kilka premierowych przedstawień z Andrzejem Sewerynem wyprawiła się do Paryża. Nigdy nie zapomina o ważnych wydarzeniach swoich faworytów. Przeżywa ich historyczne występy i kreacje. Cieszy się wraz z wiwatującą widownią, towarzyszy im w garderobach, na bankietach i w prywatnych pieleszach. Ona bywa ich gościem, a oni coraz częściej zaglądają na sceny ziemi cieszyńskiej i do jej zacisznego domu w Ustroniu.

Prowadzę podwójne życie

Anna Robosz, na co dzień jest sędzią i przewodniczącą wydziału penitencjarnego w sądzie okręgowym. W przepisowej todze i łańcuchu z godłem narodowym, otwiera wokandy, przesłuchuje oskarżycieli i oskarżonych, a potem rozstrzyga, kto i na ile zawinił. Po ukończeniu prawa na Uniwersytecie Warszawskim, wróciła do rodzinnego Ustronia i stąd dojeżdża do Bielska Białej, aby zażegnywać spory pomiędzy beskidzkimi góralami albo wymierzać im sprawiedliwość. Dopiero, gdy wraca do zacisznego mieszkanka na „Manhattanie" z widokiem na dolinę Wisły, gdy wtuli się w puszysty szlafroczek a stopy wsunie w miękkie bambosze, wtedy wszystkie swoje myśli powierza Merkuremu i Melpomenie, którzy od lat patronują jej pozazawodowym zainteresowaniom.

– Teatr, film i muzyka, to jest to, co kocham najbardziej. Dopiero potem jest zwiedzanie świata i podróżowanie – mówi Robosz.

Znaczną, a może i większą część życia spędziła na sali sądowej, lecz całą resztę w podróżach lub teatrach. Czy jej dobrzy znajomi – Krystyna Janda lub Andrzej Seweryn, rozpoznaliby w niej „swoją Ankę", widząc ją na rozprawie z udziałem, podsądnych, adwokatów i prokuratorów?!

– Prowadzę podwójne życie – mówi pani Anna – bo moja dusza prawnicza wciąż przekomarza się z duszą pasjonatki polskiej sceny, estrady i sztuki. Należę do pokolenia „okularników" i tak jak potrafię, kultywuję tradycje dawnego, warszawskiego STS-u. Po studiach wróciłam na ziemię cieszyńską, ale zaczęło mi tu brakować atmosfery wielkiego miasta. Pomyślałam, że mogę zaryzykować i znanych w kraju artystów, po swojemu wykreować na Śląsku. Nosząc się z takim zamiarem, ukończyłam podyplomowe Studium Wiedzy o Teatrze, Filmie i Telewizji przy Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Łódzkiego.

Dla animatorów życia kulturalnego ziemi cieszyńskiej stała się nieoficjalną agencją artystyczną, ich emisariuszem i przyjaznym doradcą, który nawet najbardziej rozkapryszone gwiazdy stołecznego i krajowego firmamentu potrafi zachęcić do gościnnego występu gdzieś na kresach RP. Najbliższym jej sercu pozostaje tourneé artystyczne, jakie zorganizowała na Śląsku zespołowi aktorskiemu teatru Ateneum z Warszawy. Grali „Taniec śmierci" Strindberga obsadzony przez Aleksandrę Śląską, Jerzego Kamasa i Jana Świderskiego. Jedynym twórcą, który nigdy nie uległ perswazjom stanowczej ustronianki był Andrzej Wajda. Kiedyś zażartował, że dzieje ich znajomości i nie przyjętych zaproszeń będzie musiał opisać w książce pt. „Spotkanie, które się nie odbyło".

Suflerka Janowskiej

Na „słowo o Annie" namówiłem Alinę Janowską, na ogół nieskorą do wynurzeń dla prasy.

– Wydaje się, że to człowiek-wariat, ale swoim zapałem, jak pinezką, zawsze skutecznie przypina mnie do roboty. Ona jest autentyczna, ona tym żyje, a to, co robi, staje się treścią jej życia. Jest mistrzynią krótkich korespondencji przesyłanych z różnych zakątków świata. To, co tam pisze, jest zawsze finezyjnie dopełnione okolicznościowym obrazkiem. Za jej kartkami przepadają wszystkie moje dzieci i wnuki. Gdyby nie jej imieninowe i urodzinowe życzenia dla moich pociech, to nie ręczę, czy w porę sama przypomniałabym sobie o nich. Anna wie, że ja jestem zapominalska i za tę dyskretną rodzinną „suflerkę" jestem jej bardzo wdzięczna. Dzięki niej mogę zdążyć z zakupem prezentu. W pierwszym kontakcie Anka wydaje się przyciężka i nudna, tak jak miałaby za chwilę zasnąć, ale potem jest inspirująca i dowcipna, jak prawdziwa góralka. Lubimy ją i kochamy!

– Anna Robosz? – zamyśla się pani Alina, a po chwili powiada – Pisz! Sędzia, społeczny, bezinteresowny działacz kultury, człowiek wierny, poważny, spolegliwy, dokładny. Na Annie można polegać jak na Zawiszce! Wyjątkowy epistomól! Niewyobrażalnie nieobrażalna przyjaciółka moja! Pod tym mogę się podpisać.

Akumulator optymizmu

Wśród gości i bliskich znajomych Anny Robosz trzeba wymienić prof. Barbarę Lasocką z Akademii Teatralnej w Warszawie, Sławę Przybylską, Lucynę Winnicką, a także Teresę Budzisz-Krzyżanowską, profesora warszawskiej AT i aktorkę kreującą role kobiet niepokornych, pełnych wewnętrznej pasji.

– Nasza znajomość narodziła się gdzieś w okolicach „Niech no tylko zakwitną jabłonie" i „Apetytu na czereśnie", gdy grałam jeszcze w Krakowie – mówi pani profesor. – Ja byłam wtedy młodą aktorką, a Anna Robosz debiutującym menadżerem. Kojarzyła mnie z Agnieszką Osiecką – największą fascynacją jej życia. Spotkałyśmy się w Cieszynie i w Bielsku Białej. Agnieszka opowiadała o napisanych przez siebie spektaklach, a ja chyba czytałam jej wiersze? Chyba tak! Jeśli nie czytałam, to pewnie gadałyśmy z publicznością. Od tamtej pory trwa moja zażyła i serdeczna znajomość z panią Anną. Ja wciąż pamiętam o niej, a ona o mnie też nigdy nie zapomina i obdarowuje pięknymi kartkami z licznych podróży po świecie. Ta żywa pamięć jest zachętą do pracy, a dla publiczności Podbeskidzia okazją do kulturalnego relaksu. To nadzwyczajna osoba! Akumulator optymizmu! Z takiego źródła ludzie czerpią chęć życia i nadzieję na słoneczne poranki – powiedziała wybitna aktorka i laureatka nagrody za upowszechnianie wartości humanistycznych w sztuce.

Mogłabym zagrać teściową

Serdeczna znajomość Anny Robosz z Agnieszką Osiecką przetrwała do ostatnich dni przedwcześnie zmarłej artystki i została utrwalona na kartach „Pejzaży z Agnieszką" – bestsellera pióra Zofii Turowskiej.

– Popularyzując sztukę, szukam i odnajduję przede wszystkim człowieka. Prawdziwym skarbem są dla mnie kontakty z wybitnymi postaciami kultury, zapoczątkowane przy okazji spotkań organizowanych na ziemi cieszyńskiej – mówi Robosz. – Nigdy nie marzyłam o tym, aby zostać aktorką. Nie mam odpowiedniej aparycji. Jeśli miałabym kogoś zagrać, to raczej teściową niż amantkę – dodaje z uśmiechem.

Zaaranżowała ponad 160 imprez. W pamiętnikach, albumach i na foto-



Z Katarzyną Gärtner

grafiach oglądamy niekończącą się rewię najznakomitszych gwiazd teatru, filmu i telewizji. W roku 2004 została laureatką nagrody specjalnej Ministra Kultury RP. Ustronianie zorganizowali jej uroczysty benefis. Na jego odświętną oprawę złożyły się okolicznościowe recitale Aliny Janowskiej i Krystyny Tkacz z Warszawy. Zaprezentowano popularyzatorski dorobek i osobę Anny Robosz – jubilatki, która tamtego roku obchodziła koralowy jubileusz „małżeństwa" z wymiarem sprawiedliwości i „romansu" z Melpomeną. Wśród honorowych gości znalazła się Katarzyna Gärtner, luminarze kultury, palestra, sędziowie i prokuratorzy z Podbeskidzia, którzy kwestowali na rzecz dzieci niepełnosprawnych. Gdy do paryskiego mieszkania Andrzeja Seweryna dotarła wieść o jej święcie, natychmiast zadepeszował: „Droga Anno, z radością przyjmuję propozycję Honorowego Patronatu Jubileuszu 35-lecia Twojej pracy. Serdeczności!".

Były kwiaty, gratulacje i wzruszające „Sto lat" odśpiewane przez wypełnioną po brzegi widownię, na której, już po raz 151. spotkali się wierni uczestnicy tradycyjnych roboszowych rendez-vous ze sztuką. Motywem przewodnim wytwornego rautu stała się pamiątkowa strofka, którą kiedyś własnoręcznie Annie Robosz, zadedykowała Agnieszka Osiecka:

Od Lipowca śpiewko leć
to nieważne, żeby mieć,
lecz by nam się,
lecz by nam się chciało chcieć !

Ten Lipowiec – dziś jedno z osiedli Ustronia – jest Annie wyjątkowo bliski, jako miejsce urodzenia i wspomnień z dzieciństwa. Swoje przygody z pupilami Melpomeny opisała w książce „To wszystko z nudów". Miejscowy recenzent dostrzegł w niej „zawiedzioną kochankę w kulturze". Lucyna Winnicka odnotowała, że podziwia ją za upór, konsekwencję, solidność, zapal i romantyzm.

Tylko się nie odchudzaj

Z natury Anna jest podobna zegarom słonecznym, liczącym tylko jasne dni. W jej wspomnieniach zachowały się anegdoty świadczące o przyjaznym dystansie do świata i zdarzeń. Potrafi też śmiać się i z siebie samej, a to, jak zapewniają czciciele pogodnego ducha, jest gwarancją radości i dobrej zabawy na całe życie.

– Zwierzyłam się kiedyś Aleksandrze Śląskiej – wspomina – że chciałabym się odchudzić. „Broń Boże!" – zawołała. „Tylko w tak okazałym ciele mogą się rodzić tak potężne inicjatywy kulturalne".

Całkiem zabawnie było podczas spotkania z inną gwiazdą.

– W grudniu 1989 roku stałam przed garderobą Krystyny Jandy w Sali Kongresowej, gdzie aktorka występowała. Miałam odebrać autoryzowany wywiad. Zapytałam przypadkowo spotkaną kobietę:

– Czy można wejść do garderoby pani Jandy?

– Jeśli pani jest kobietą, to tak! – wspomina z uśmiechem Robosz, która nade wszystko jest entuzjastką twórczości Agnieszki Osieckiej i Katarzyny Gärtner.

– To moje ideały. Pani Gärtner zafascynowała mnie jako autorka „Tańczących Eurydyk" i „Zakwitnę różą", śpiewanych przez wrocławiankę Annę German – mówi. – Do kompozytorki pisałam listy, ale przez długie lata nie miałam okazji poznać jej osobiście. Upłynęły więcej niż trzy dziesiątki wiosen, gdy los zetknął nas z sobą podczas spotkania promującego biografię Agnieszki Osieckiej. Było to 4 lata temu. Wtedy publicznie wyznałam, że poczułam się tak jak ktoś, komu przed chwilą angielska królowa wręczyła szlachecki indygenat.

Msza z duszą na ramieniu

Zatelefonowałem do „angielskiej królowej" od lat mieszkającej w staroświeckim zameczku na wyspie, otoczonej nurtami Drzewiczki spływającej z Wyżyny Sandomierskiej i poprosiłem o przysłowiowe trzy zdania na temat wielbicielki z Ustronia.

– Ania, to omnibus, ona steruje niemal całym, tym nieformalnym i najbardziej autentycznym ruchem kultury. Dziwię się, że jeszcze nie została ministrem tego resortu! – żartuje pani Katarzyna. – Jest urodzonym animatorem, a to, co decyduje o jej nieprzeciętnej indywidualności, to niezwykle mocne uczucia do trochę nieuchwytnego żywiołu, jakim jest tożsamość narodowa. Anka odkrywa ją w poezji, dramacie, literaturze i muzyce. W Cieszyńskie, na rubieże kraju, niejedna z gwiazd zagląda tylko dlatego, że została zniewolona przez perswazje Anny. Wielu artystów jeździ w Beskidy, ale na wczasy z rodziną albo na narty, na spotkania wolą wybierać inne salony – zauważyła kompozytorka.

W tym roku do augsbursko-ewangelickiego kościoła Jezusowego w Cieszynie Anna Robosz zaprosiła Katarzynę Gärtner, która wraz z 9-osobowym zespołem wykonała słynną niegdyś mszę beatową zatytułowaną „Pan przyjacielem moim". Skomponowany przez nią utwór liczy już lat 35. Po raz pierwszy został wykonany w kościele pw. św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej pod Warszawą. Wtedy podczas bożonarodzeniowego nabożeństwa celebrowanego przez ks. proboszcza Leona Kantorskiego (duchowego mentora Normana Daviesa i twórcy podkowiańskiego kościołogrodu) – grali i śpiewali „Czerwono-Czarni" – prekursorzy polskiego „mocnego uderzenia".

Podczas koncertu nad Olzą przy organach zasiadła kompozytorka a wśród wykonawców znaleźli się: Janusz Kruciński z Warszawy, Anna Ozner i Grzegorz Hryniewicz z Zielonej Góry. Narracja, scenariusz i reżyseria nastrojowego widowiska przypadły w udziale Kazimierzowi Mazurowi (Tomaszkowi z „Nocy i dni"), a chórem parafialnym dyrygowała Joanna Sikora.

– Na koncert w kościele Jezusowym jechaliśmy z duszą na ramieniu – wspomina Gärtner. – Msza Beatowa, jak wiadomo, to nie gregoriańskie chorały, ale raczej rewia nowoczesnej muzyki rozrywkowej. Trzeba było odwagi Anny, aby na takie przedsięwzięcie namówić tamtejsze środowisko. Ona nie miała wątpliwości!

Msza w nowej aranżacji zauroczyła melomanów znad Olzy. Artystom zgotowano owację na stojąco. Bukiety kwiatów i serdeczne podziękowania złożono nie tylko wykonawcom, ale i Annie Robosz, która wciąż wypełnia ważną misję spiritus movens świata kultury Beskidu Śląskiego. ■



„36”

Tytuł francuski jest nieco dłuższy: po liczbie 36 następuje nazwa ulicy QUAI DES ORFEVRES, rozsławionej w świecie przez George'a Simenona i liczne filmowe dramaty policyjne rozgrywające się w Paryżu. Tytuł wskazuje głównego bohatera: posterunek nr 36, a w nim dwie brygady do walki z zorganizowaną przestępczością, czyli bandytyzmem. Na czele obu wyspecjalizowanych grup policyjnych stoją dwaj komisarze: Leo Vrinks i Denis Klein, których poza miejscem pracy łączy także kobieta: Camille – żona Leo Vrinksa należała niegdyś do Denisa Kleina.

Miedzy dwoma komisarzami toczy się w filmie ukryta i jawna walka. Są to potężni, godni siebie rywale. Godni, nie znaczy wcale, iż przymioty jednego nie ustępują cnotom drugiego. Raczej jest tak, iż każdy z nich jest zły, ale w inny sposób. Pytać można by jedynie o to, w którym ocalało nieco więcej dobra? I o tym jest ten film.

Reżyser – Olivier Marchal, jest, rzecz to nader rzadka, byłym policjantem. I to się w tym filmie czuje. To widać i słychać.

„36” – to pierwszorzędny dramat policyjny, a w tym gatunku kino francuskie w pewnych okresach nie ustępowało produkcjom amerykańskim. Krytycy i historycy kina znaleźli dla francuskich filmów policyjnych trafną nazwę: filmy czarne, kino czarne, a ów kolor rozciągał się na dramaty policyjno-kryminalne. Miało ono swoich wielkich aktorów. Komisarzami, inspektorami byli Louis Jouvet, Jean Gabin, Yves Montand, Alain Delon. W filmie „36” stanęli naprzeciwko Gérard Depardieu (Denis Klein) i Daniel Auteuil (Leo Vrinks).

Ten film jest swoistym pojedynkiem tych dwóch najświetniejszych dzisiaj aktorów francuskich. O Depardieu wiadomo to od lat trzydziestu. Auteuil w ciągu ostatnich piętnastu lat, każdym kolejnym filmem wspinał się coraz wyżej. Po tym dramacie policyjnym można o nim mówić z przekonaniem jako o wielkim aktorze. Kto ten pojedynek wygrał – to nie jest takie ważne. Może Auteuil otrzymal lepiej napisaną rolę. Ostatecznie liczy się temperatura samej rywalizacji: między postaciami filmu, i między artystami.

Doskonały jest początek filmu: dwaj policjanci (jednym z nich jest Leo Vrinks) kradną z gmachu Komendy Głównej tablicę z nazwą ulicy Quai des Orfevres, którą za kilkanaście minut wręczą odchodzącemu na emeryturę Ediemu, którego wszyscy kochali, szanowali i podziwiali, a najbardziej Titi (młody policjant), który nawet napisal specjalnie na tę uroczystość rymowaną laudację ku czci Ediego. Równolegle z tą uroczystością odbywają się w mieście napady, porachunki, samosądy. Zostaje pobita pewna barmanka, była prostytutka, informatorka Leo, o czym zapewne dowiedzieli się bandyci.

Atmosfera w mieście jest zła, władze miasta mają za złe policji, że nie radzi sobie z zapewnieniem obywatelom bezpieczeństwa i spokoju. Bandyci działają bez skrupułów, czują się bezkarni. Co gorsza, ani Leon, ani Denis nie mają do nich dostępu, mimo iż każdy z nich ma swoich informatorów.

I to jest problem potraktowany w tym filmie niezmiernie poważnie. To prawda: nie ma takiej policji na świecie, która by nie korzystała z wiedzy informatora. Lecz kim jest ów informator? Mniejszym czy większym przestępcą, zależnym od policjanta, często przezeń szantażowanym.

W filmie Oliviera Marchala informatorzy odgrywają istotną rolę: Leo w zamian za dwa, trzy nazwiska bandytów terroryzujących Paryż, daje silne alibi przestępcy na przepustce, nazwiskiem Silioni, który wyszedł po to, aby zabić swego wspólnika, który go posłał za kratki na cztery lata. Leo jest świadkiem tego zabójstwa, z samochodu, w którym pozostały ofiary, ucieka prostytutka, która przez moment widzi twarz Leo. To do niej trafi informator Denisa Kleina, przyparty przezeń do muru, a pozyskana tą drogą wiedza pozwoli Kleinowi obalić alibi Silioniego, i na dwa tygodnie przed odsiedzeniem czteroletniego wyroku posadzić go na dobre, do końca życia. Ale i – to jest po stokroć ważniejsze: usunie ze swojej drogi groźnego rywala – Leo Vrinksa, któremu za to, co zrobił, grozi kara dziesięciu lat więzienia.

Albowiem ponad rutynową policyjną robotą, czyli tropieniem i wyłapywaniem bandytów, toczy się gra polityczna na szczytach władzy. Szef obu komisarzy – Mancini, odchodzi na nowe stanowisko, będzie komendantem policji na szczeblu centralnym, ale nie chce zostawić po sobie spraw nie załatwionych. Z jego awansem wiąże się kwestia obsadzenia zwalnianego stołka. On sam widzi w roli swego następcy Leo Vrinksa, lecz równie dobrym kandydatem jest Denis Klein. Porównywalne są ich osiągnięcia, lecz Mancini wie, że Leo, nierzadko naginając prawo, służy sprawie, i jego celem byłaby dobra, możliwie najlepsza służba, natomiast Klein nie kryje wielkich apetytów: chce władzy, chce przywilejów jakie daje władza, czyli wpływy.

Mancini – sam łasy na przywileje, sam nastawiony na wielką karierę, w gruncie rzeczy oportunista – przekazując swoje stanowisko Leo Vrinksowi, chciałby – być może – w ostatniej chwili wykonać gest nieco ponad swoje zwyczaje. Nie za wysoko, a jednak powyżej reguł, do których, w imię kariery, nagiął swój charakter. Naturalnie, wygra Denis, a Leo trafi do więzienia.

Partia, jaką rozgrywa Denis i to nie tylko z Leo, bo z całym światem, w tym także z własną żoną, która czuje, a nawet wie, że jej mąż jest policjantem niespełnionym, a awans jedynie tuszuje to niespełnienie, nie pomniejszając jego skali, ani go nie usuwając. Denis Klein prowadzi grę metodami bandyckimi. O ile Leo Vrinks, będąc świadkiem zabójstwa i dając zabójcy alibi, zbliżył się do przestępcy na niebezpieczną dla swej reputacji odległość, o tyle Denis niczym się nie różni od bandytów, których ściga. Pytanie, dlaczego tak jest, nie pada wprost, lecz przenika ów film na wskroś.

Nie ma mowy o zachowaniu niewinnej duszyczki, jeśli latami robi się to, co robią Leo Vrinks i Denis Klein. I cała masa podobnych im ludzi tej samej profesji. Większość chce awansować, dożyć emerytury. Nierzadko trzeba iść na rożne układy z bandytami. Coś za coś. I całkiem niepostrzeżenie przychodzi taki moment, gdy cala wściekłość zostaje skierowana przeciwko koledze, przeciwko drugiemu policjantowi. Rezultat jest taki, że obaj komisarze, tak jak polowali na bandytów, tak teraz polują na siebie. I nie w tym rzecz, którego z nich darzymy, mimo wszystko, sympatią. Rzecz w tym, że na siebie polują.

Reżyser Olivier Marchal dysponował znakomitym scenariuszem. Rozwiązanie, którego nie zdradzę, jest zaskakujące, a przygotowane zostało dyskretnie, precyzyjnie, wszystkie trybiki zachodzą na siebie idealnie, mechanizm intrygi pracuje bez zgrzytów. Można wytknąć twórcom pewne akcenty melodramatyczne, ale doskonałe zdjęcia i muzyka, a nade wszystko wielkie aktorstwo, pozwalają uznać „36” za wielki wyczyn kinematografii francuskiej.

FELIKS NETZ

Katechizm dla błyskotliwych

WITOLD TURANT

Ks. Prałatowi
Herbertowi Hlubkowi

A jednak to angielski katolicyzm dał światu całą plejadę znakomitych pisarzy, którzy byli w stanie zadać imperialnemu i postimperialnemu społeczeństwu całkiem znienacka najbardziej kłopotliwe pytanie natury etycznej i jednocześnie wskazać odpowiedź całkiem prostą i oczywistą, która leżała na ulicy niczym przeczytana gazeta na podłodze metra. Żeby było jeszcze dziwniej spora część tej plejady, to katolicy z odzysku - konwertyci, z kardynałem Newmanem, należącym do najtęższych głów i piór Kościoła drugiej połowy XIX wieku. Co najciekawsze w Oxfordzie i w Cambridge zapanowała swego rodzaju moda na katolicyzm, należało się nim przynajmniej interesować, co dość zabawnie opisał Evelyn Waugh. Warto tu podkreślić, że nie mówimy o pisarzach irlandzkich, których wielu, jak np. Oscar Wilde, William Butler Yeats czy James Joyce od katolicyzmu odchodziło. Mówimy o pisarzach par excellence angielskich jak, poza wymienionymi wcześniej, For Madox Ford, Hillaire Belloc i wielu innych, a wśród nich, last byt not least, Gilbert Keith Chesterton.

Pisarz ten w Polsce znany jest jako autor „Przygód księdza Browna" oraz kilku powieści, wśród których do najciekawszych należą „Człowiek, który był Czwartkiem" czy „Napoleon z Notting Hill". Jednakże to „Przygody księdza Browna" wydają się prawdziwym kluczem do nie tylko twórczości Chestertona, ale także do jego umysłowości i wrażliwości, która doprowadziła go do nawrócenia, podobnie jak dwóch znakomitych kolegów po piórze: Grahama Greene'a i Evelyna Waugh.

A było to tak: G. K. zajmował się dziennikarstwem, które nazywał „najłatwiejszym zawodem na świecie" wspólnie z Hillaire'm Bellokiem i wkrótce zasłynął z mistrzowskiego posługiwania się logiką. Jego konstrukcje były niepodważalne, a na dodatek szokująco błyskotliwe. Jego styl nie tylko potoczysty, ale i odwołujący się do mowy potocznej, co w czasach, gdy wyroczniami w kwestii stylu i w ogóle estetyki literackiej byli Oscar Wilde i Algernon Charles Swinburne dowodziło nie lada odwagi.

Zaczęło się od opuszczenia pozycji imperialnych podczas wojny burskiej. Pisane wraz z Bellokiem artykuły krytyczne wobec stanowiska rządu i brytyjskości, takiej, jak ją ówcześnie rozumiano, zyskały obu przyjaciołom złośliwy przydomek „Chesterbelloc" i opinie bardzo kontrowersyjnych facetów. Ale to był dopiero wstęp. Opublikowane w latach 1904 i 1908 powieści z jednej strony zdawały się podążać za rodzącą się dopiero modą literacką w kierunku surrealizmu, z drugiej jednak strony niosły wyraźne personalistyczne przesłanie. Ale szybko na czołach krytyków pojawiła się zmarszczka. Ich sen przy redakcyjnych pulpitach zakłócał fakt, że jak na modernistę, Chesterton był za mało dekadencki, a jak na pisarza jawnie chrześcijańskiego, nie przyprawiał swych utworów odpowiednią szczyptą (a niech by tego była i chochla – myśleli sobie krytycy) religijnego dydaktyzmu.

Inny, ale tylko pozornie, tor twórczości Chestertona, to eseje – polityczne, społeczne i religijne. Dziś o tych ostatnich, jako, że ukazały się na polskim rynku jednocześnie trzy najważniejsze pozycje. „Heretycy" (1905) i „Ortodoksja" (1909) to jakby przygotowanie i wprowadzenie do tomu najważniejszego, zatytułowanego „Wiekuisty człowiek" (1925). Jeśli potraktować daty publikacji jako pewien klucz, okaże się, iż jest to klucz wyjątkowo dobry i skuteczny, albowiem otwiera drzwi do nawrócenia autora. Nie chcąc ani nadużywać, ani, broń Boże, nieudolnie imitować stylu Chestertona, muszę jednak stwierdzić, iż taki fakt jak nawrócenie, jest z pewnością najważniejszy w życiu pisarza i dosyć ważny w życiu jego czytelników, albowiem muszą się zastanowić, czy dalej podążać śladem jego myśli i wewnętrznych przeżyć, czy też z angielska powiedzieć „enough" i rozejrzeć się za innym przewodnikiem duchowym.

Gdy Gilbert Keith zasiadał do pisania „Heretyków", jeszcze jako anglikanin, sytuacja chrześcijaństwa była dosyć szczególna, choć on uważał, iż taka była od samego początku, albowiem chrześcijaństwo od śmierci Chrystusa na krzyżu jest religią szczególną, czemu poświęcił wiele miejsca w „Wiekuistym Człowieku". A to co najmniej z trzech powodów: po pierwsze, Bóg stał się także człowiekiem, co stanowi paradoks pierwszej klasy, a paradoksy to była specjalność Chestertona. Ani Budda, ani Mahomet nie mieli w sobie pierwiastka boskiego. Po wtóre, choć prawdą jest, że wszyscy trzej umarli, to jedynie Chrystus zmartwychwstał. I wreszcie jedynie chrześcijaństwo jest prawdziwie optymistyczne i uniwersalne. Argumentem przemawiającym za tym ostatnim twierdzeniem jest fakt, iż nauka Chrystusa była równie trudna do zaakceptowania dla jemu współczesnych, jak trudna jest dla nas. Co zaś do uniwersalizmu, to najlepszą ilustracją tej tezy może być paradoksalne z pozoru (jakże by inaczej u Chestertona) stwierdzenie, iż nauka ta nie ma nic wspólnego z czasami, w których była głoszona.

„Można powiedzieć wiele rzeczy, ale bezwzględnie nie to, że idee Jezusa z Nazarety pasowały do Jego czasów, a nie pasują do naszych. Na ile pasowały do Jego czasów, widać chyba z zakończenia Jego historii."

Natomiast Mahomet był dzieckiem swoich czasów i takaż była jego nauka:

„Gdyby Mahomet urodził się w dziewiętnastowiecznym Acton, moglibyśmy szczerze wątpić, czy natychmiast wypełniłoby się to przedmieście haremami po cztery żony w każdym. Urodził się on jednak w szóstym wieku w Arabii i w jego prawach małżeńskich możemy dostrzec wpływ warunków życia panujących w Arabii szóstego wieku."

Ale wróćmy do „Heretyków". To wbrew tytułowi bardzo aktualna książka. Gdyby słowa takie jak „dynamitard" czy „celtofil" zastąpić odpowiednio słowami „terrorysta" czy „neopoganin", nabralibyśmy podejrzeń, że została napisana po pamiętnym 11 września. Ale nie. Książka ta liczy sobie już sto lat i wszystko wskazuje na to, że jeszcze co najmniej przez kilka nic a nic nie straci na swej aktualności. Można by powiedzieć, że w tym zbiorze esejów zajął się autor tropieniem i demaskowaniem bzdur, ale bliższe prawdy będzie stwierdzenie, iż zajął się tropieniem bzdur upowszechnianych przez najtęższe umysły swej epoki, media i temu podobne instytucje społecznego zaufania. I teraz dopiero z przerażeniem możemy stwierdzić, iż nawet filozoficzna czy intelektualna tandeta niewiele od tamtych czasów

się zmieniła. Albowiem, jak pisze autor we „Wstępnych uwagach o ważności ortodoksji", ostatnimi czasy, tj. mniej więcej od ponad dwustu lat upowszechniła się „... praktyka nieskończenie bardziej absurdalna i nieskuteczna niż palenie człowieka za poglądy. Polega ona na głoszeniu, że poglądy są w ogóle nieważne; a rozpleniła się bujnie w dwudziestym wieku, w tym schyłkowym i dekadenckim okresie Rewolucji Francuskiej".

Nic ująć. Dodać można kilka nad wyraz dekadenckich faktów, jak rewolucja bolszewicka czy holocaust, ale one były już niejako wpisane w ten racjonalistyczny „zbiór bzdur", który miał swoich brytyjskich apologetów w nie byle jakich osobach, z którymi Autor odważnie polemizuje – G. B. Shaw, H. G. Wells, W. B. Yeats i wielu innych znanych twórców i myślicieli tamtych czasów. Nietrudno też odgadnąć, z kim polemizowałby współcześnie. Zgadywać natomiast nie trzeba, kto z wielkich naszej epoki był jego entuzjastą. Ci z Państwa, którzy postawili na Karola Wojtyłę, wygrali. Mówiło się swego czasu o procesie beatyfikacyjnym brytyjskiego konwertyty, a „resortem", jaki miałby objąć było wstawiennictwo za dziennikarzami i literatami. W pewnej chwili jednak sprawa nieco zwolniła tempa, jako że advocatus diaboli odkrył u kandydata na ołtarze słabość do mocniejszych trunków, jeśli tak można nazwać gin z tonikiem. Debata trwała dość długo, być może nawet trwa nadal, bo zakładam, że nie jest łatwo przekonać kogoś piastującego stanowisko o równie groźnej nazwie jak a.d., że dla dziennikarza, zwłaszcza brytyjskiego, szklaneczka ginu z tonikiem popołudniową porą, to coś na kształt jeśli nie bulki z masłem, to szklanki wina do obiadu dla Francuza czy Włocha.

Mówiąc jednak całkiem serio, to do najcięższych zarzutów postawionych ludzkości zarówno w „Heretykach", jak i w „Ortodoksji" należy bałwochwalczy stosunek do rozumu. Wniosek? Jak zwykle paradoksalny: Jeśli próbujemy wynosić niepowołany do tego, ułomny ludzki rozum na ołtarze, to religia musi być bosko logiczna – i taka jest, co odkrywały najtęższe umysły Kościoła – od św. Pawła, poprzez Orygenesa, św. Tomasza z Akwinu – i tak dalej, aż do współczesności. Oczywiście nie mogę, mimo tego co wcześniej napisałem, umieścić w tym czcigodnym szeregu Chestertona, albowiem był on zaledwie eseistą próbującym co najwyżej prostować niemądre stereotypy. Prowadził polemiczny dialog z racjonalizmem i ateizmem. Nie formułował, nie wykładał i nie zmieniał żadnej doktryny. Uważał, że to, co zmienne w naszej duchowości, jest elementem czysto ludzkim, natomiast elementem boskim jest to, co nie zmieniło się i nie zmieni. Co to takiego? Ależ przecież wszyscy to wiemy, nawet gdy czasem zapominamy, bądź przypisujemy temu ateistyczną zmienność.

W tamtych czasach wciąż gorący był spór o teorię Darwina i jej konsekwencje. Zresztą do dziś wszyscy wciąż poszukujemy brakującego ogniwa, bo mimo, że domniemanych ogniw odkryto już mnóstwo, wciąż okazuje się, że brak im czegoś. Mówiąc po chrześcijańsku, musimy odnaleźć tę czaszkę, która pierwsza pomieściła nie tylko mózg funkcjonujący już z ponad zwierzęcą sprawnością, ale w której działanie tego mózgu było wynikiem zaistnienia duszy. Jak do tej pory znajdujemy jedynie relikty z epoki „sprzed" i z epoki „po".

Jednak to bezskuteczne, jak dotychczas, poszukiwanie prawdziwego „Adama" i wyciąganie zbyt daleko idących wniosków to nie jedyne pretensje pod adresem racjonalistów. Jest wśród nich i lekceważenie paradoksów wiary, niewiara w cuda, zbytnia pobłażliwość wobec herezji, arogancja wobec ortodoksji, ignorowanie mistycznej strony życia i wiele, wiele innych poważnych zarzutów, które wynikają w taki czy inny sposób z podejmowanych przez człowieka, nasilających się szczególnie po Rewolucji Francuskiej, prób uśmiercenia Boga.



G. K. Chesterton

Wiem, że to, co napisałem w poprzednim akapicie może zabrzmieć jak motto do jakiejś krucjaty podejmowanej przez Radio Maryja, ale nawet jeśli tak zabrzmi, będzie to tylko zbieżność pozorna, albowiem tego typu zjawiska dla Chestertona nie miały nic wspólnego z Kościołem, ani tym bardziej z wiarą. Byłyby jedynie manowcem, na który mogła zwieść nadmierna czy ślepa, by nie powiedzieć bezrozumna, ufność wobec tzw. religijności ludowej. Autor „Heretyków" nie wdawał się w tego rodzaju analizy i polemiki. Rozwijał za to (zauważmy, ile metafizycznych drzwi to słowo-klucz u Gilberta Keitha otwiera) swoją wizję opartą na wszechobecnym paradoksie. Ów paradoks widoczny jest w bosko-ludzkiej postaci Chrystusa, w cudzie życia, także ludzkiego, któremu odmawiamy waloru cudowności, bo zbyt długo trwa, a bajki o Merlinie nauczyły nas wiary w cuda gwałtowne i natychmiastowe (wskrzeszenie Łazarza czy przemiana wody w wino ostatecznie ujdą, ale wyniesienie skromnego młodzieńca z prowincji na szczyty władzy i hierarchii już niekoniecznie). Innym przykładem jest krytyka czegoś, co dziś nazwalibyśmy, luzactwem myślowym, polegającym na wypowiadaniu z wielką lekkością poglądów o znaczeniu fundamentalnym, bez świadomości możliwych konsekwencji, w czym celują politycy, ale nie tylko. Et voila!:

„Myślimy, że nie ma dla nas znaczenia, czy kto inny jest optymistą czy pesymistą, zwolennikiem Kartezjusza czy Hegla, materialistą czy spirytystą. Weźmy jednak pierwszy z brzegu przykład. Na dowolnej popołudniowej herbatce u cioci słyszymy nierzadko, jak ktoś oświadcza: „A co to życie jest warte!" Traktujemy tę wypowiedź identycznie jak słowa: „Kiepska dzisiaj pogoda." Nikt nie uważa, że taka opinia może mieć jakieś skutki, czy to dla człowieka, który ją wygłosił, czy dla reszty świata. A przecież gdyby potraktować ją serio i z wiarą, świat stanąłby na głowie. Mordercom wręczalibyśmy medale za uratowanie kogoś przed życiem; strażnicy stawaliby przed sądem za uratowanie kogoś przed śmiercią; trucizny byłyby dostępne zamiast lekarstw; wzywalibyśmy lekarza do osoby miewającej się niepokojąco dobrze; Królewskie Towarzystwo Humanitarne zostałoby rozpędzone na cztery wiatry jak horda dzikich zabójców. Nigdy jednak nie rozważaliśmy kwestii, czy konwersacyjny pesymista wzmacnia czy rozbija społeczeństwo; żywimy bowiem przeświadczenie, że teorie się nie liczą".

No i co? Ledwie minęło sto lat od czasu napisania tych słów, a świat coraz chętniej i na coraz dłużej staje na głowie. Jednocześnie ortodoksja, w rozumieniu autora dzieła o tym tytule nie mająca nic a nic wspólnego z tępotą czy ograniczeniem umysłowym, mylona z integryzmem czy fundamentalizmem bądź ze zwykłym fanatyzmem ma coraz bardziej zaszarganą opinię.

– No cóż – powie ktoś spostrzegawczy. – Człowiek jest tylko człowiekiem. Jest to spostrzeżenie w zasadzie słuszne. Tyle, że G.K. Chesterton wolałby zapewne, jak wielu z nas, byśmy mówili, iż jest aż człowiekiem. I zapewne to było jedną z przyczyn powstania tej swoistej trylogii. Można by ją nazwać czymś w rodzaju katechizmu. Ale katechizmu szczególnego, przeznaczonego dla ludzi mądrych, a nawet błyskotliwych. Gdzie takich szukać? Jak to? Przecież mądrym i błyskotliwym wyznawcą może być każdy. Tak jak każdy może zostać świętym. Wystarczy bardzo chcieć.

Natomiast laur niewątpliwie należy się tłumaczkom trylogii – Magdzie Sobolewskiej („Ortodoksja" i „Człowiek wiekuisty") i Jadze Rydzewskiej („Heretycy") oraz wydawcom – „Frondzie" i „Apostolicum", którzy odważyli się dostrzec niemal po stu latach aktualność dzieła Chestertona i dojmujący brak jego obecności w polskiej myśli katolickiej.

Ze STANISŁAWEM GOLĄ
rozmawia JAN PICHETA



Erozja Erosa

– Debiutował Pan w prasie 45 lat temu. Przed ponad 40. laty ukazała się Pana pierwsza książka, a do dziś opublikował Pan już 30 tomów wierszy, felietonów i opowiadań. Tak poważne jubileusze skłaniają do refleksji. Widać to zresztą w „Erotykach zielonych", Pańskiej ostatniej książce poetyckiej, która traktuje głównie o przemijaniu.

– Przemijanie jest związane z erotyką. Erotyka jest bronią przeciwko przemijaniu, zresztą nie zawsze skuteczną. Biologia w tych sprawach zwycięża.

– Napisał Pan tom wierszy o – jeśli tak można powiedzieć – erotyzmie zasłużonym czy nawet o erozji Erosa...

– Pokazałem różne relacje ludzkie na temat erotyzmu, różne opcje – od poważnych do niepoważnych, od radosnych do bardziej głębokich. Jest nawet erotyk eschatologiczny, w którym mówię o najistotniejszych sprawach dla człowieka, bardzo szeroko, na innym poziomie rozważań. Chciałem przede wszystkim ujawnić, jak ludzie przeżywają erotykę. Osobistych wierszy jest kilka. Reszta dotyczy innych ludzi. Pragnąłem pokazać erotykę w kontekście społecznym, dotyczącym nawet różnych zawodów, jeżeli oczywiście można mówić o takim pojęciu jak erotyka społeczna. Wydaje mi się, iż można erotykę określić raczej tak, jak to uczynił Konstanty Ildefons Gałczyński wobec innych zjawisk, a więc jako tkliwą dynamikę. Dynamika dotyczy bowiem również społeczeństwa, przemian w sferze wartości, tego, jak się zmienia spojrzenie np. na miłość. Chciałem więc także pokazać, co literat spostrzega wśród młodego pokolenia. – Powiedz, jak mnie kochasz? – pytał przywołany już tutaj poeta. Zastanawiałem się więc, jak zmieniła się jakość kochania. Czy na plus, czy na minus? Na pewno młodzi ludzie wyśmialiby dziś sposób randkowania ojców. Z drugiej strony dostrzegam także ciągłość kochania. Miłość podlega bowiem ciągłej poetyckiej obserwacji.

– Wydaje się, iż dziś mamy do czynienia z jeszcze większą swobodą obyczajów erotycznych, niż w czasach naszej młodości. Zmiany ustrojowe 15 lat temu przyniosły nam nie tylko wolną prasę czy telewizję, ale również domy publiczne, filmy i sklepy erotyczne.

– Trend na cielesność, na ciało widać w postawie młodych ludzi. Kiedyś ubierało się i rozbierało bardziej elegancko. Dziś nawet zakładanie kolczyków wygląda inaczej, niż 40 lat temu. Rozszerzyło się na całe ciało. Zwraca uwagę także frywolność w miejscach publicznych. Owszem ruch hipisowski istniał już wtedy, ale komuny to coś innego; tych rzeczy zresztą nie znam i nie toleruję. Coraz częściej także mówiąc o miłości, myślimy o seksie. Mam jednak świadomość, że główny rodzaj miłości nadal kroczy w kierunku chrześcijańskim. Seks jest więc tylko dopełnieniem miłości. Najważniejszy bowiem nie jest seks, lecz przenikanie ducha. Ci, co mocno kochają, mogliby zapewne więcej powiedzieć, gdyż nie jestem w tych sprawach ekspertem. Przypomnę jednak, że już w starożytności ceniono mądrość, miłość i dobroć. Istniała miłość obejmująca wszystko. O seksie nie było mowy, choć erotyzm był znany.

– We wcześniejszych Pańskich zbiorach erotyka nie zajmowała tyle miejsca. Dojrzał Pan w końcu do pisania o miłości?

– Człowiek się rozwija i dochodzi do poetyckich rozwiązań, o których wcześniej nie miał pojęcia. Dlatego moje erotyki są „zielone".

– Wiersze tomu „Erotyków zielonych" zawierają wiele dedykacji dla bardzo różnych dziewczyn. Czy to Pańskie muzy?

– Ludzie, o których pisałem, chcieli, abym dedykował im wiersze. Dlatego muzy są zarazem moje jak i „wspólne". Ja o nich piszę, a inni się nimi cieszą. Tzn. ja się cieszę, kiedy o nich piszę, a inni się cieszą nimi stale. Oczywiście pewne muzy są wartością trwałą do końca. O tym się jednak nie mówi, gdyż to intymne sprawy.

– Jak inspirującą rolę w Pańskiej twórczości odgrywają psalmy?

– Inspirują, gdyż też są m. in. o miłości – małej czy wielkiej. Psalmy traktują poważnie poszukiwanie miłości transcendentalnej – to, co człowieka dotyka najbardziej. Poeta nie tylko bawi się sztuczkami, lecz sprawami odwiecznymi, które istnieją poza naszym życiorysem. Stawia pytania ostateczne. Ja też próbuję stawiać pytania, czy istnieje miłość prawdziwa lub – mówiąc słowami poetki – co świat ma z dwóch osób, które nie widzą świata? Twórca zadaje pytania, na które nie ma w zasadzie odpowiedzi. Taka jest zresztą rola poety, każdego artysty.

– Fiodor Dostojewski uważał, że jedyną naprawdę istotną sprawą, którą powinna się zajmować literatura, jest kwestia istnienia Boga.

– Istotnie, w każdym wierszu twórca dotyka, a przynajmniej powinien dotykać spraw ostatecznych.

– Ze sprawami ostatecznymi związany jest też motyw ikaryjski, który przejawia się niemal od zarania Pańskiej twórczości. O ile jednak na początku był Pan Ikarem zachwycony, to obecnie mityczna postać nie jest już tak jednoznacznie wielka. Dojrzał Pan do zdystansowania się od niej?

– Wątek ikaryjski wraca często w mej twórczości. To chyba z tęsknoty za latem, z pogoni za słońcem... Zawsze tkwiła we

mnie chęć przemian, ulga, jaką dają przestrzeń, słońce... Z czasem jednak dystansowałem się od Ikara. Nie wiadomo bowiem, po co stracił życie, nie dokonawszy niczego. Taki akt heroiczny trudno nazwać bohaterstwem, choć każdy pragnie przemian i nosi ideę Ikara w sobie. Czyż jednak nie trzeba trzymać się... przyziemności, gdyż jest wspaniała? Gdyby Bozia chciała, to by dała nam skrzydła. Owszem skrzydła są w marzeniach. Cielesność stawia nas w naturalnej izolacji, którą mamy w sobie. Dlatego jesteśmy przyziemni. Bardziej uskrzydlone są marzenia, ale to niewiele znaczy.

– Innym istotnym motywem Pańskiej twórczości są Beskidy. Chyba nie sposób tego uniknąć, skoro mieszka Pan u podnóża Koziej Góry, na skraju wspaniałego beskidzkiego lasu, zwanego przez pomyłkę Cygańskim. Czy jednak nie korciło Pana wyjechać w jakąś podróż artystyczną?

– Korci mnie, by zobaczyć Rzym, ale na pielgrzymkę się nie nadaję, jestem zbyt wielkim indywidualistą, a na prywatny wyjazd brak środków.

– Czy 40 lat temu spodziewał się Pan, że wyda aż tyle książek?

– Nie sądziłem wówczas, iż mogę tyle napisać. Traktowałem pisanie z wielką pokorą, a tu wyszło z tego tyle tomów.

– W dodatku żyje Pan w nieustającym niedostatku; wszak utrzymuje się Pan tylko z pisania wierszy. Czy nie najlepsza sytuacja życiowa w dzisiejszych czasach sprzyja rozwojowi poetyckiemu?

– Tak. Oczywiście nie mogę się chwalić życiowym powodzeniem. Od czasu do czasu zdarzają się jednak stypendia i nagrody w konkursach literackich. Samo natchnienie nie wystarczy dla rozwoju poetyckiego. W minionych czasach zdarzali się, co prawda, wizjonerzy, pustelnicy czy prorocy jak Daniel, ale wiadomo, że trudno zdobyć się na wielkie czyny o pustym żołądku. Zresztą obecnie książka, zwłaszcza poetycka, znalazła się nieco na uboczu głównych nurtów kultury. Poszerza się – moim zdaniem – szal techniki, dominacja mediów elektronicznych, kultury obrazkowej. Mimo to wierzę, że literatura się odrodzi. Mamy już pierwsze tego drobne symptomy. Od czytelnika z Krasnegostawu otrzymałem ostatnio tomik poezji z dedykacją: – *Wspaniałemu poecie...* i pół litrem ukraińskiej wódki. W tej wspaniałości jest oczywiście dużo przesady, ale cieszy mnie, iż ktoś jeszcze nie tylko pisze, lecz potrafi się zauroczyć wierszami innych ludzi. W tych zwariowanych czasach wiele osób nadal jest głodnych poezji. To dziwne i pocieszające, gdyż pozwala przetrwać dni ciężkie pod względem finansowym. Sądzę bowiem, że o wielką sztukę dba się coraz mniej. Może w Krasnymstawie władze są bardziej wrażliwe na poezję niż na Śląsku. U nas nie organizuje się wielkich imprez poetyckich. Jeśli są imprezy, to takie, na których serwuje się duże piwo i kiełbasę.

– Czym jest Bielsko-Biała dla człowieka, który o nim pisze przez 40 lat?

– Napisałem nawet tom poświęcony rodzinnemu miastu – „Sen nocy leśnej". Dla poety bowiem jest ważne to, w jakim czasie tworzy i w jakim miejscu. To jest przecież miasto rodzinne, choć nie najlepiej się w nim czuję, ale to też jest powód, żeby o nim pisać. W Bielsku-Białej niewiele się zmieniło. W ostatnich latach przybyło hipermarketów i nowych osiedli, których nie znam. Dla mnie Bielsko-Biała jest nadal enklawą spokoju z lat sześćdziesiątych minionego wieku, miastem pełnym bimbających tramwajów. Teraz jest więcej turystów, niż kiedyś, ale codzienność skrzeczy, jak skrzeczała. Przybyło meneli w bramach i żebraków. Człowiek omija te miejsca z daleka, żeby nie popadać w stres. Jest, jak jest...

– Nie pisze Pan tylko o miejscu, lecz również o ludziach, którzy tu żyją. Poświęcił Pan tomik sylwetkom ciekawych bielszczan, a nawet napisał – wydany w formie książkowej – szkic o jedynym bielskim mistrzu olimpijskim – Marianie Kasprzyku. Cóż fascynującego znalazł poeta w mistrzu walki bokserskiej? Czy tylko to, iż toczył pojedynki nie tylko na ringu, lecz również w pobliżu Pańskiego domu, w Czerwonym Kapturku?

– W szkicu o Marianie Kasprzyku poetycko przedstawiłem jego życiorys i przemiany, jakie przebył w życiu – od ambitnego sportowca i zawadiaki w burzliwej młodości po człowieka wyciszonego, który refleksyjnie postrzega świat.

– Pisał Pan o mistrzu pięści bez upiększeń, nawet o jego wadach...

– Człowiek złożony jest także ze słabości; nie można ich pominąć nawet w takim portrecie. Pisałem jednak równocześnie ciepło, przychylnie, bez ironii i złośliwości, aby naszkicować prawdziwy portret człowieka. Jest on zresztą niedokończony, gdyż Mariana poznaję coraz bardziej z dnia na dzień – jego humor i powagę. Bliższy kontakt nawiązałem z nim dopiero dwa lata temu, gdyż przedtem nie znałem go jako człowieka. Dopiero teraz poznajemy się bliżej niemal codziennie przy kawie.

– Rozumiem, że w Bielsku-Białej nie można postrzegać świata, jak w Toskanii postrzegał go Zbigniew Herbert, który mówił, że świat jest piękny, a ludzie są dobrzy?

– Świat jest piękny, tylko ludzie są nieobliczalni, choć są częścią świata. Jesteśmy elementami świata, a dokuczamy mu. Świat składa się z przyrody i przygody. Usiłujemy gwałcić prawa natury i być źli wobec siebie. Jeśli tak można rzec, jesteśmy tu, w Polsce, niedołężnymi katolikami. To się widzi, słyszy, czuje. Tak widzę Polaków. Sam zresztą się trochę tak właśnie czuję – krytycznie myślącym katolikiem.

– Równolegle z poezją pisywał Pan również opowiadania i felietony, w których jednak widać było warsztat poetycki. Czy posługiwał się Pan prozą, aby znalazł ujście także Pański polemiczny temperament?

– Tak. Pisuję prozę nasyconą językowym humorem i absurdalnymi często skojarzeniami. Temperament ma każdy twórca, nie tylko prozaik. W tej chwili jako... klasyk nie powinienem mieć już bujnego temperamentu, ale trochę inny, bardziej refleksyjny. Czas na umiar. Nie interesuje mnie jednak pisanie bez humoru. Nikt nie poleci przez stulecia bez urodzonej lekkości pióra. Tego nie można się nauczyć. Lekkość jednak ujawnia się dopiero przy czytaniu. – Ach, jak lekko ktoś to napisał – mówią ludzie, nie wiedząc, ile to kosztuje męki!

– Tomasz Mann mawiał, że pisarz to taki człowiek, któremu pisanie przychodzi z o wiele większym trudem, niż innym ludziom...

– Dla poety, który nie traktuje swego pisania w sposób niedzielny, bo zainwestował wszystko w pisanie, jest to ciągła, uciążliwa porodówka. Człowiek nie może sobie pozwolić nawet na balangę.

– Życie bez balangi? To nie współbrzmi z potoczną wizją poety, zwłaszcza przeklętego, outsidera...

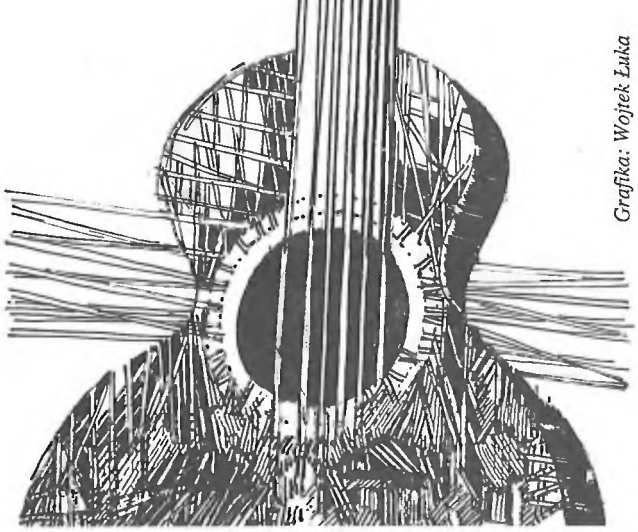
– Gdybym pozwalał sobie na balangi, byłbym uczestnikiem zdarzeń, a poeta jest bardziej obserwatorem. Inaczej zapomniałby, że ma coś napisać... Wsiąkłby w uczestnictwo i zapomniałby, że ma coś do spełnienia.

– Jak widzi Pan wobec tego rolę poety we współczesnym świecie?

– Nie widzę już oczywiście tej roli jak w romantyzmie, gdy poeta walczył o rząd nad duszami. Dziś pełni raczej rolę tonizującą wobec spraw tego świata – terroru, mafii, krzyku rozpaczy. Kto ma powiedzieć o tym światu w przyswajalnej formie, jeśli nie poeta? Robią to także media, ale w sposób tak hałaśliwy. Piorą mózgi ludziom przy pomocy informacyjnej kotłowaniny. Tymczasem ludziom potrzebne jest wyciszenie i próba odpowiedzi na podstawowe pytania egzystencjalne, m.in. poprzez poezję, a nie hałaśliwe środki przekazu.

– Czy przy pomocy poezji można jeszcze naprawić świat?

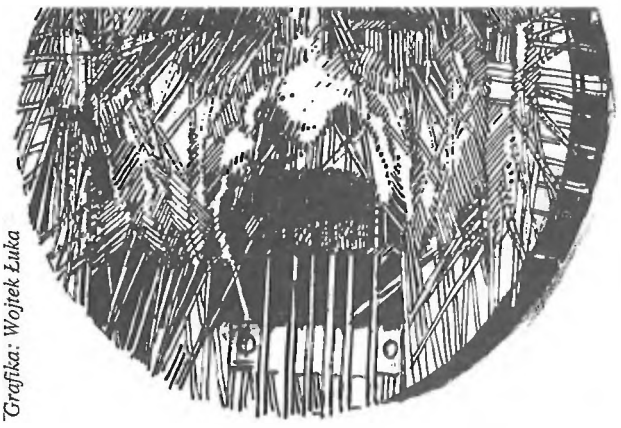
Myślę, że poezja nie naprawia świata, tylko stawia mu pytania, żeby świat się opamiętał. Owszem, kiedyś wydawało mi się, że świat naprawiamy każdym wierszem. Jest to marzenie idealisty. Idealizm zostaje w piszącym człowieku do końca, bo bez idealizmu nie ma poezji. Ona jest bowiem rodzajem baśni i marzenia. Gdybym był pragmatykiem, przestałbym pisać. Zawsze mówiłem także, iż nie mógłbym być raperem, czyli komuś czymś na chwilę zaimponować. Mam bowiem nadzieję, że moja poezja będzie komuś jeszcze potrzebna za 50 lat, nie tylko dziś... Choć może z kolei raperzy myśleliby, że szkoda, iż ten Gola nie jest raperem, bo pisałby słowotokiem i mieszał wszystkie słowa ze wszystkimi. Dziś modny jest także hip-hop... Taniec – połamaniec. Za moich czasów tego nie było. Teraz jednak bardziej liczy się język ciała. Wygibusy są widowiskowe, a poezja zawsze była konfesyjna. Mówi szeptem o najważniejszych sprawach. Poeta szepce do przyszłych pokoleń. Największe prawdy wypowiadane są szeptem, bo inaczej nie jest to możliwe. Nie chcę już jednak za dużo mówić, bo trzeba by napisać, że z poety stałem się gadułą, a gadulstwo to nie jest poezja. Przeciwnie, jest nią wybór słów, selekcja, a nie gadanie bez końca... ■



Grafika: Wojtek Łuka

Rock'n'roll

ŁUKASZ SOJKA



Grafika: Wojtek Łuka

Jak to jest?
Powiedz, jak to jest?
Gdy możesz iść, lecz nie wiesz gdzie
Jak głaz, co toczy się

Bob Dylan „Like A Rolling Stone"

Droga zwija się w dywan pod powieką. Jest noc więc widać tylko zarysy krzaków w bocznym oknie i odrealniony kawałek świata, który reflektory wykrawają z ciemności pędzącej na spotkanie przedniej szyby.

Późno – pierwsza w nocy – droga pusta. Przez pół godziny nie minął ich żaden samochód. Dzięki temu można jechać szybko i równomiernie. Fosforyzująca wskazówka waha się w okolicy liczby sto, nie oddalając się zbytnio ani w lewo, ani w prawo.

Silnik mruczy pod maską usypiająco.

Marych zasypia z głową wtuloną w pokrowiec na gitarę. Jemu wolno – nie prowadzi.

Mrok wślizguje się pod powieki i po chwili Marych jest już zawieszony wygodnie pomiędzy snem a jawą.

Nie potrafi spać w aucie „tak naprawdę". Świadomość pracuje cały czas, tylko jest bardziej gruboskórna. Wszystkie wrażenia prześlizgują się po powierzchni i lądują w mroku, za tylną szybą.

W samochodzie wisi gęsty zapach potu, zmęczenia i trawionego piwa – tradycyjny element powrotu po wieczorze wypruwania sobie flaków na scenie.

Z koncertami bywa różnie. Kiedy jest dobrze, to po graniu nogi uginają się jak pod wpływem – nie wiadomo czego. Wystarczy pół piwa i muzyka, żeby wprowadzić się w dziwny stan podniecenia, pulsowania. Cała skóra przyjemnie swędzi od kontaktu z powietrzem, które przelewa się przed oczami.

Wtedy kawałki robią się dłuższe. Blues jest naprawdę błękitny. Smutny albo drapieżny, ale coraz bardziej soczysty. Marych widzi, że ludzie przy stolikach słuchają i że to co słyszą odbija się w ich twarzach. Wtedy przymyka oczy, tak, że świat nabiega krwią. Przestaje słuchać muzyki; zanurza się w nią jak w ciepłe morze. Zanurza się niespokojnie, czując, że traci pod stopami dno. Wie że w ciepłych morzach polują rekiny.

Bas wygina powietrze na kształt mydlanej bańki. Dźwięk basu jest sferyczny, jakby dookoła wzmacniacza tworzyły się kręgi. Dźwięk jest przecież falą.

Marych czuje jak niskie tony omywają jego kostki. Są najbardziej naturalne – ziemia przez sam fakt swojego istnienia pulsuje basem...

Jeżeli bas jest falą przypływu, to perkusja przypomina bardziej wojska inwazyjne lądujące na plaży. Bębny grzmią jak salwy armatnie, terkot broni maszynowej, eksplozje pocisków i tupot nóg. Perkusja jest głosem wojny; przemocy, która rodzi się na krawędzi chaosu i uporządkowania, ruchu i statyki, światła i mroku. W każdym z nas jest coś z bestii – bo każdy nosi w sobie pierwotny, nieokiełzany pierwiastek życia – czystej twórczości, która musi się stykać ze światem martwych przedmiotów. Tym na zewnątrz i tym, który tkwi w nas samych. Każdy ma w sobie jakąś wojnę.

Marych otwiera lekko powieki łowiąc spojrzenie dziewczyny siedzącej w głębi, przy stoliku. Przez moment patrzą sobie w oczy. Jest w tym coś lubieżnego, tak, że Marych podświadomie zaczyna wolno poruszać biodrami. Ręce delikatnie i niepewnie dotykają strun, zupełnie jakby pierwszy raz trzymał gitarę w ręku. Szukają miejsc najbardziej wrażliwych. Gitara cicho mruczy. Marych zamyka oczy, pogrąża się w ciepłej, wilgotnej przestrzeni.

Ruchy są teraz bardziej zdecydowane – momentami trochę brutalne, za chwilę bardzo delikatne. Gitara pojękuje.

Najważniejsze to znaleźć odpowiednią pozycję. Takie miejsce na gryfie – inne za każdym razem, gdzie urywa się granica pomiędzy człowiekiem a instrumentem. Kiedy już się je zna – wszystko toczy się dalej samo.

Marych nie do końca kontroluje dźwięki, czuje jak przepływają przez niego, gdzieś spoza świadomości. Rodzą się tam, gdzie on i gitara stanowią jedność. Może płyną od tej dziewczyny spod ściany, a może jeszcze od Kogoś, albo Czegoś Innego.

Przez ciało przetaczają się nabierając prędkości pociągi adrenaliny.

Marych uchyla powieki i znów łowi spojrzenie dziewczyny. Czuje się trochę jakby właśnie się z nią kochał, a trochę jakby to ona podglądała go podczas uprawiania miłości.

Muzyka narasta, zbliżając się do granicy bólu.

Szybkie urywane nuty, wciąż narastające tempo. Jeszcze kilka mocniejszych uderzeń i jeden monumentalny akord, wieńczący wszystko na podobieństwo orgazmu.

Napięcie opada. Muzyka płynie teraz jakby popychana tylko siłą inercji. Rozlewa się leniwie jak rzeka, która zerwała tamy i po pierwszej chwili niszczycielskiego szału spokojnie bierze w swe panowanie zalane tereny.

Marych wraca do rzeczywistości i do siebie. Znów czuje, że w dłoniach trzyma przedmiot wykonany z drewna i metalu. Dziewczyna przy stoliku wolno sączy piwo. Nie patrzy na niego.

Pot spływa po czole i po dłoniach. Koniec. Można zagrać balladę.

Ludzie są trochę zdezorientowani, tak jakby właśnie się obudzili. Nie bardzo wiedzą – klaskać, czy nie. Tak jakby cisza, a właściwie tylko brak muzyki – wzmacniacze przecież cały czas cicho szumią – tak jakby ta pół-cisza była jeszcze częścią utworu.

Wszyscy mają na twarzach wypisaną świadomość tego, że biorą udział w misterium. To jest magia. Jej najlepsze wcielenie.

I nagle bez magicznych zaklęć Marych jest znowu na tylnym siedzeniu samochodu, który podskakuje na przejeździe kolejowym.

Jest zmęczony. Przez moment cofa się myślą parę godzin wstecz.

Do znudzonych twarzy pijaczków i prawie pustej knajpy, w której muzyka brzmi ospale i prostacko.

Właściciel daje im zwitek banknotów z miną, która nie budzi miłych skojarzeń.

A czego się, kurwa, spodziewał? Szła dzieweczka?

Przed knajpą paru napuchniętych od sterydów palantów w dresach nabija się z długowłosych „pedałków".

Marychowi chce się wyć. Po raz kolejny obiecuje sobie, że wyjedzie w góry – na tydzień, dwa, może na miesiąc. Żeby się wyciszyć. Żeby wrócić silniejszy.

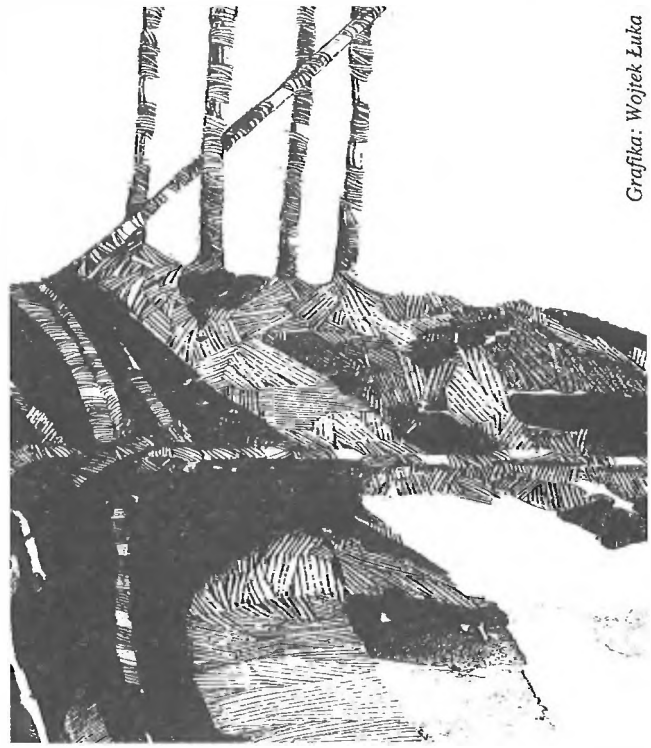
Silniejszy, lepszy, naładowany nową energią. Wróci i już nigdy nie będzie grał chałtur dla ludzi, którzy nie zadają sobie trudu żeby słuchać.

Będzie grał koncerty dla dziewczyn w dzwonach, którym wilgotnieją wargi i twardnieją sutki przy pierwszych dźwiękach „Dazed and Confused" albo „When The Music Over". I będzie schodził ze sceny na miękkich nogach, a wszyscy będą poklepywać go po plecach i gratulować...

Droga tymczasem nawija się na kola samochodu. Kola, które toczą się – zupełnie jak kamienie. ■

Stadiony mentalności

JOANNA STORCZEWSKA-SEGIETA



Grafika: Wojtek Łuka

Trawa na stadionach pachnie sukcesem. Jest sprężysta, zwarta, równa i intensywnie zielona. Konkretna. Nie ma żadnych wybujałych źdźbeł, fantazyjnie upstrzonych jakimś innym odcieniem, na przykład seledynem. Nie ma tu miejsca na rozpraszające fragmenty łagodnej łąki. To musi być wysokiego gatunku dywan, po którym stąpają wyłącznie świadome własnej historii sportowe charaktery.

Sukces. Sukces ma koronę dożywotnią. Dla zdrowej, silnej natury bezsprzecznie niedoskonałego człowieka trybuny śpiewają pieśni. Na ten sygnał dumnie skłania się publiczności potęga. Mięśnie pęczniejają w oczach jak brzuchy żłopiące wodę i mimo, że opadną, gdy ciało wszystko wypoci i otrząśnie się z lepkiego brudu, to na finał złoży w surowej, zimnej pościeli olimpijskie złoto w czystej postaci. Walka skończona.

Sukces niekoniecznie musi być rozpięty na mięśniach. Bywa chory na serce, na astmę, bywa krótkonogi albo otyły, wstydliwy, płochy, cichy, a mimo to wszyta pod skórę pigułka odwagi nakazuje mu przyjść na stadiony. Stadiony mentalne, inne niż sportowe, choć ta sama pachnąca glorią trawa, w którą trzeba uwierzyć, że jest pod stopami. A potem zacząć walczyć, żeby się stała polem zwycięstw. Czy to zrozumiałe? Każdy, kto pokonał w życiu obojętnie co; strach, wroga, słabości, nałogi, ma sukces, więc niech się pokaże na stadionie mentalności. Będzie olimpiada.

Te same kategorie jak w sporcie; skok wzwyż a może skok ponad siebie samego, przyklejonego stopami do ziemi, patrzącego z zadartą głową na tych, którzy bywają ponad. Skok w dal, a może skok przed siebie, żeby nie dreptać w miejscu jak w przyciężkich bamboszach, ominąć nadmiar drobnych kroczków, które ciągle zostawiają człowieka w tyle, za innymi, którzy już się odważyli albo robią to od urodzenia – pokazują słabym plecy. Pchnięcie kulą, a może kulą u nogi, którą tysiące razy z uległości człowiek przywiązuje do siebie, a potem z przyzwyczajenia już jej nie odrzuca. Rzut młotem, a może kowadłem, żeby wreszcie wyzwolić się z trudnych wyborów, których czasem nie wypada lub niełądnie jest dokonać. I z pewnością jeszcze bieg na obojętnie jaki dystans, byleby przed siebie.

Jest dobry dzień. Pora pokonać kruchość. Wszystko jest możliwe; na ludzkiej potencji zawsze wisiał znak zapytania. Nie ma nic bardziej budującego niż zadziwić samego siebie. Idą słabe charaktery, jeszcze niepewne swego, choć już odważniejsze. Jeszcze ciągle starym zwyczajem dziękują za „dzień dobry" i przepraszają, że szukają szatni. Ostatni raz w ten sposób muszą poczuć, że istnieją. Paplają bezwiednie zestaw zwrotów grzecznościowych, których nadmiarem ciągle pucują buty tych pewniejszych siebie. Smakują powietrza, które na stadionach składa się z tlenu, azotu, animuszu i optymizmu po dwadzieścia pięć procent każdy. Wdech, wydech, wdech pogłębiony, którego fizjologia niestety nie pozwala zatrzymać.

Stadiony mentalności to takie miejsca w ludzkiej wyobraźni, które nie kłamią. Uczciwie mówią, kim człowieku jesteś. Tam przymierają sceny objuczone blaskiem błazenady, a błyszczą te zakurzone zakazaną prawdą. Trawa jest tak samo zielona jak na wszystkich stadionach, sprężysta, zwarta, równa – konkretna.

Pachnie sukcesem i zaprasza na podium. Człowiek, który nigdy nie walczył, stoi sam na dużej przestrzeni, wokół trybuny. Ludzie patrzą niego. Czy się podejmie? Czy da radę? Czy się wycofa, a może rozpłacze. Trybuny czekają. Mają te same prowokujące spojrzenia, ironiczną twarz. Człowiek ma szansę udowodnić, że się ukłoni dopiero po wszystkim. To miejsce jest przyjemne, ale nie można tam zostać na stałe. Powinno się je skopiować do życia. To stadion mentalności, zawody olimpijskie w programie ziemskiej przygody. Dyscypliny narzuca codzienność. Publiczność mija na schodach. Rywal uśmiecha się w lustrze. ■

Łyżeczka na stole

JOANNA STORCZEWSKA-SEGIETA

W miejscu bezludnym i białym, takim na podobieństwo porcelanowej klatki, w której nic się nie robi oprócz bujania na patyczku, dużo się myśli. Najwięcej o rzeczach nieodwracalnych, takich jak cofanie czasu czyli królowej rzeczy niemożliwych. Świadomość ludzka czuwa – w nagłej potrzebie cofnięcia kilku drobnych chwil dokuczliwie przychodzi do głowy, że nawet wystawiana co wieczór w teatrze ta sama sztuka, o tym samym tytule, z niezmiennie tymi samymi aktorami ubranymi w te same kostiumy, nie jest tą samą sztuką. Każda jest inna.

Pewna kobieta z ulicy Jesiennej po miesiącu myślenia wyłącznie o sprawach jednego razu, których dokonała i żałuje, zapisała w dowodzie osobistym na stronie *uwagi*: „nie ma takiej twarzy, w którą nie można by napluć, nie ma takiego chlewu, którego nie można podpalić, nie ma takiego dna, na którym nie można zedrzeć paznokci, żeby go pogłębić. Nie ma. Ale jest taka ilość alkoholu, której wypić nie można, bo jednym kieliszkiem więcej pluje się w twarz matki i ojca, dzieci i przysięgi małżeńskiej, a to jakby zedrzeć na dnie palce do krwi. Pluje się w twarz Boga a to jakby spalić chlew, który był domem, zanim koniak przestał być tylko dla gości. Czym jest taka wolność?! Zasadą sprzeczności? Biesiadnym dramatem? Złotą klatką?".

Kobieta z ulicy Jesiennej poczuła w tej wolności zimną pustkę. Brakowało jej domu, który stworzyła. Tęskniła do siebie z dziećmi. Do niewylewnego męża też. Jej życie stało się dużym białym talerzem. Codziennie, od rana do nocy, czuła jego chłód, dopóki nie zasnęła. Nie mogła zrobić kroku, nie mogła uciec ze śliskiej powierzchni, a osiedlowy sąd najwyższy za żaluzją codzienności widział tylko kobietę na odwyku.

Zgłosiła się na leczenie z własnej woli. Dokuczył jej bezgranicznie powtarzający się koszmar i dni, które potraciły noce. Odzyskała je w szpitalu. Były męczeńskie. Tyle myśli i smak wódki, co potrząsa ciałem jak w padaczce. Obezwładniająca suchość w ustach. Poznała prawdziwą ciemność, jej przerażające wcielenie ułożone ze sprzętów nakładających się na siebie i tworzących nowe kształty. Tym formom wyrastały ręce, rękom szpony. Słychać było szepty nieobecnych. Delikatnie dzwoniły szklane korale w jakimś innym miejscu na ziemi słyszalne tu, w pustym, ciemnym pokoju. Okno otwierało oczy. Na jasnej plamie światła wpadającego przez wąską szparę między zasłonami, przemykały czyjeś cienie. To mogły być cienie liści zza okna, ale niekoniecznie. Wyglądały jak ludzkie ręce. Trzęsły się. Łapały coś, czego nie było.

W takie noce odbywał się pogrzeb kobiety z ulicy Jesiennej. Na znak żałoby zamykano jedną małą budkę monopolową na nieznanym osiedlu, a w reszcie sklepów i knajp ludzie bawili się w najlepsze. W kościele było pusto. Jej starzy rodzice, jej dojrzewające dzieci i niewylewny, ale dobry mąż klęczeli przy krzyżu płacząc nad śmiercią Jezusa. Organista grał fałszywie, kiedy dwóch marnych pijaczków wnosiło do kościoła skrzynię zbitą z koślawych desek, w której kolebało się jej nie ubrane ciało. Przez duże szpary do środka wpadało szare światło. Słyszała dzwony. I nie trumna ani lament rodzinny, ale właśnie te dzwony obudziły ją do życia.

Na mityngach kobieta mawiała: „stąpałam już po miękkiej jak puch podłodze na giętkich jak trawa nogach. Dotykałam ścian, które się oddalały. Jadłam z psiej miski. Widziałam ludzi, których nie było, śniłam w tramwaju, wierzyłam w duchy i rozmawiałam z nimi. Nigdy nie płakałam. Spadałam ze schodów. Leżałam. Bardzo często leżałam. Na podłodze, na chodniku, raz na chwilowo zamkniętej jezdni, miliony razy przy piwnicy, dopóki dzieci nie wyszły z domu. Byłam stolicą upadku. Na mojej piersi jak flaga wisiała szmata godności. Teraz moja tożsamość zamyka się w małej łyżeczce leżącej na kuchennym stole".

Fakt, że łyżeczka stanowiła całą prawdę o życiu, kobieta odkryła siedząc na stołówce. Piła herbatę, która smakowała jej jak tytoń. To była całkiem dobra herbata, nietaniej firmy, w torebkach z doskonalej bibułki, o mocy angielskiej Earl Grey i zapachu Chin, ale smakowała jak tytoń. Posłodziła odrobinę. Cukier pomieszała srebrną łyżeczką z pięknego zestawu, który podarował jej wuj na dziesiątą rocznicę ślubu. Dzieci przywiozły tę łyżeczkę do zakładu, bo kobieta chciała mieć coś, co będzie przypominało jej o domu. A tymczasem kawałek ozdobnego srebra przypominał jej o pięciu pozostałych, które poszły w zastaw i nie wróciły.

Łyżeczka do herbaty, łyżeczka od herbaty... W życiu kobiety z ulicy Jesiennej często wszystko było w stronę „od". Wtedy zaczęła szukać w swoim świecie miejsca numer dwa. Znalazła je przy barze. Żeby coś zmienić, musiała walczyć. Do walki potrzebna była odwaga. Przy barze odwagę można było wypić. I niespodziewanie, zamiast nabrać siły, stała się człowiekiem zwiniętym w kłębek, leżącym na białym, śliskim talerzu.

Ta łyżeczka jak mało co wyznaczała środek samotności kobiety. W tej sali, gdzie piła herbatę nikogo nie było, oprócz stróżów terapii. Jedna łyżeczka. Jedna. Gdyby były dwie, byłby dom. Byłby dzień z treścią. Ktoś siedzący obok też słodziłby herbatę.

Kobieta porównała, że tak jak i ona, łyżeczka była całkiem bezczynna. Skupiała na sobie płytki chwile i widok na odległość pół metra. Wydawała się być zapomniana i znudzona i tylko Bóg jeden wiedział jak nerwowa i pozorna była ta jej stagnacja. Bo patrząc na cokolwiek, co mogło zmienić spokojny bieg zdarzeń; niezdarny pies, co potrąci kosz na śmieci i go przewróci, a z niego wypadnie nadpsute jabłko, które z kolei podniesie z ziemi dziecko, ugryzie je, zatruje się, a niestrawność znów rozpocznie coś dalej, kobieta dopuściłaby do siebie lęk. W grę wchodzą też inne mniej błahe i bardziej niepoważne sprawy o zachodzących na siebie konsekwencjach. Patrząc na zmiany, które z lekka zmuszają do przewidywania, można się zdenerwować. A tego robić nie można. Trzeba być bezczynnym.

Ta srebrna łyżeczka utożsamiała wiele męczących prawd, o których pragnie się zapomnieć w czasie leczenia. Ale oprócz tego była także optymistycznym znakiem, bo pomimo, że stała się wspomnieniem pięciu pozostałych łyżeczek, mimo że manifestowała samotne siedzenie przy herbacie, że nieruchomiało przy niej całe życie kobiety na odwyku, to zapowiadała, że jest herbata i śniadanie bez alkoholu. I na tym skojarzeniu kobieta rekonstruowała swoją tożsamość.

Kobieta z ulicy Jesiennej na koniec mityngu mówiła swoim przyjaciołom w nałogu, że życie wróci do normy, gdy rzucona byle jak na stół łyżeczka, będzie wyłącznie bałaganem. ■

Temat śmierci obecny jest w sztuce od wieków. Różnie bywa jednak problematyzowany i obrazowany. To, co jest, bez względu na czas i szerokość geograficzną, poddawane analizom socjologicznym, historycznym i filozoficznym stało się punktem wyjścia rozważań na gruncie polskiej literatury współczesnej. Agnieszka Nęcka zastanawia się, w jaki sposób z problem (rzekomej?) niedyskursywizacji śmierci radzą sobie pisarze.

Podążając ku wieczności...

AGNIESZKA NĘCKA

„Skoro ludzka egzystencja w świecie ma strukturę wielopoziomowego nałogu (uzależniamy się od istnienia, a samo istnienie uzależniamy od innych, realnych lub fantazmatycznych istnień), prywatna może być tylko śmierć" – twierdzi Urszula Śmietana. Ale „zagadnienia śmierci – jak zauważyła Ewa Pindór – niepodobna [...] ująć w słowach, jest ono bowiem tak złożone, że trzeba się poddać, przemilczeć. Śmierć okazuje się niewyrażalna w ludzkim języku". Wynika to z właściwości ontologicznych, jakie się jej przypisuje: ostentacyjność, niepojętość, przezroczystość, nieczytelność, całkowitość, nieobecność, niesłowność. Cokolwiek byśmy o niej nie powiedzieli (na co wielokrotnie zwracali uwagę badacze tematyki) – ujmując ją przecież fragmentarycznie, gdyż z reguły mówimy o śmierci pojedynczej, jednostkowej – zawsze napotkamy na opór komunikacyjny, gdyż albo powiemy za dużo, albo za mało. Nasza wypowiedź będzie niefortunna lub konwencjonalna. Przemysław Czapliński tłumaczył ów problem w następujący sposób: „śmierć, będąc nieobecnością, nie może bowiem zostać adekwatnie uobecniona w języku. Nie jest zjawiskiem językowo dotykalnym". Mimo wszystko polska proza „nowa i najnowsza" dostarcza przykładów świadczących o podejmowaniu przez pisarzy prób poradzenia sobie z problemem „niewyrażalności".

Sam moment zgonu fascynował zresztą artystów od wieków. Próby zobrazowania śmierci, nadania jej „fizyczności" najczęściej za pomocą personifikacji miały na celu oswojenie tego, co tajemnicze, niedostępne ludzkiemu poznaniu. „Niby wszystko się zgadzało – będzie konstatował po śmierci babci narrator *Dwóch sztuk (telewizyjnych) o śmierci* Andrzeja Stasiuka – ale oryginał to nie był. I to wcale nie dlatego, że się nie ruszał, był zimny i w ogóle... Nie bałem się wcale, tylko cholernie mi coś nie pasowało. Byłem zły, że się nie załapałem na ten jeden jedyny moment, jak to się dzieje, na tę jedną chwileczkę, o której wszyscy przez całe życie myślą. Nawet jak nie, to i tak myślą, chociaż nie wiedzą. Bo tak naprawdę to tylko ten moment jest ciekawy. Reszta to są lektury nadobowiązkowe. Człowiek może, ale nie musi. Nic zresztą specjalnego. Na ogół syf, nuda i cały czas ten sam serial. A tutaj szło o to małe «pstryk», o tę przerwę w dostawie, o tę planszę «Przepraszamy za usterki». To mnie kręciło. Nie to, co potem, bo co «potem», to widziałem".

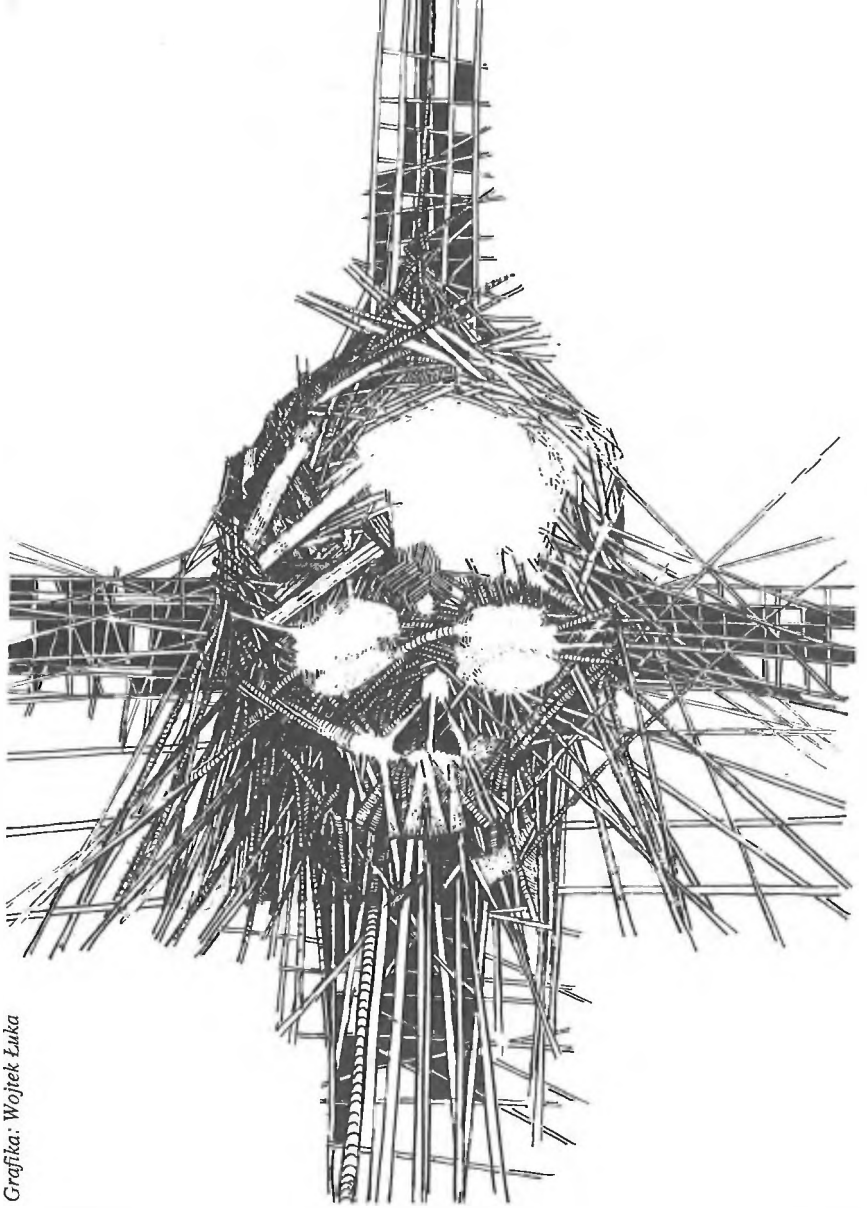
Z tego poniekąd powodu (ciekawości) tematowi śmierci poświęcono wiele analiz. Uważano, że można badać wszystko poza samym momentem umierania, który wymyka się kategoriom opisu. Powiadano, że o śmierci dyskutować można jedynie za pośrednictwem języka mitu. Zastanawiano się nad tym, w jaki sposób język może być przekaźnikiem jakości metafizycznych i jak taki opis może osiągnąć egzystencjalną autentyczność. Z drugiej strony zauważano, że – skoro nie mogą istnieć świadectwa doświadczenia śmierci – literatura musi tworzyć hipotetyczne wyobrażenia. W końcu dostrzeżono, że o doświadczeniu śmierci opowiada się za pomocą i z perspektywy tego, kto był świadkiem zgonu Innego.

Zresztą, jak na marginesie *Zapisków z nocnych dyżurów* Jacka Baczaka, zauważył Dariusz Nowacki: „starość-umieranie-śmierć jako przedmiot refleksji istnieje jednocześnie w centrum i na marginesie naszej kultury. Trwa w tej materii zadziwiający ruch myśli, który jest równoczesnym podejmowaniem i wypychaniem tematu, toteż trudno wyobrazić sobie obszar bardziej zafałszowany niż istnienie problematyki śmierci w kulturze".

Celem niniejszych rozważań nie jest rozwiązanie kwestii wyrażalności śmierci (czy samego momentu zgonu), aczkolwiek sprawy te wiążą się niejako z możliwością obnażenia momentu umierania. Przyjmijmy zatem, że najważniejszy w odkrywaniu intymności „schodzenia" ze świata będzie sposób jego opisu.

Śmierć zwykliśmy traktować jako sferę *sacrum*. Mówienie o niej inaczej niż z patosem, byłoby jeszcze jakiś czas temu uznane za „niepoprawne". W *Białych kliszach* Zyty Rudzkiej znajduje się następujący opis starszych kobiet: „ich ciała skurczyły się i pofałdowały. Fałdy skóry pozbawione teraz tłuszczu zwisały luźno jak żaboty i chwiały się z każdym poruszeniem ciała. Były na powrót jak dzieci. Trzęsące się z zimna, krzyczące na widok strumienia wody lejącego się z gumowego węża dużą siłą na ich suche plecy. Krzycząc i płacząc wzywały swoje matki. Namydlenie [...] zaczynało się od pergaminowej czaszki, porośniętej suchymi pojedynczymi włosami, bardziej teraz znowu przypominającymi włosy płodowe, niźli włosy ludzkie. Potem szyja, schowana i zapadnięta w tułów, worki z piaskiem zakończone brodawkami, wzdęty brzuch z triumfalnym węzłem dawnej pępowiny, sterczącym w górze i obwieszczającym triumf trwania i starości, kości biodrowe, jak dwa talerze, pomiędzy którymi ręka w gumowej rękawiczce nieledwie chciała odnaleźć ślad płci, teraz nieokreślonej i rozciągniętej, jak kieszeń torbacza. I już tylko nogi zakończone stopami niczym szczątki wyłowionych raf koralowych i podziurkowane, z licznymi wyrostkami i guzami".

Powyższy fragment stanowi niejako zaprzeczenie sakralnego dyskursu, jakiego zwykło się używać do rozprawiania o starości. Staruszki, kiedyś pełne życia i urody, teraz przypominają bezbronne dzieci. Łatwo zrobić im



Grafika: Wojtek Łuka

krzywdę, ponieważ istnieje obawa przed tym, że ich suche, wyniszczone kości nie wytrzymają naporu wody. Ale nawet takie mówienie o starości, powodujące odsłonięcie jej prywatności, uwzniośla ją. Pomagają w tym upoetyzowane porównania wykorzystane do skonstruowania tej sceny.

Jeszcze dalej w obnażaniu starości posunął się w swej prozie Baczak. Na jego *Zapiski z nocnych dyżurów* składa się czterdzieści jeden rozdzialików-notatek powstałych podczas pracy w charakterze sanitariusza. Rację ma Nowacki, pisząc, że: „powiedzieć z kolei [o *Zapiskach*... – A.N.], że sam temat jest tu wstrząsający, że to odrębne, naznaczone niezwykłością i brakiem precedensu, odkrywanie śmierci i umierania, że Baczak mówi nam o czymś, czegośmy wcześniej nie wiedzieli – to bodaj dopuścić się przesady".

Tekst to „dziwny", bowiem – jak zauważył krytyk – nie da się ani podważyć, ani potwierdzić „prawdziwości" jego treści. Jedyne wyjaśnienie to takie, iż wierzymy Baczakowemu dyskursowi intuicyjnie. Autor *Wielkiego wczoraj* interpretuje *Zapiski z nocnych dyżurów* jako „oswajanie śmierci". Byłoby to, najprościej rzecz ujmując, mówienie o niej w celu zmniejszenia strachu przed nieznanym. Zdaniem Nowackiego *„Zapiski*... poprzez swoją kronikarską prostotę, oszczędność w obrazowaniu, precyzję i rzeczowość wypowiedzi, nie tyle docierają do jakiejś «prawdy» o zamierającym życiu, ile są osobliwym policzkiem wymierzonym sposobowi istnienia tematu w kulturze". Jan Błoński – komentując ów tekst – pisał, że mamy do czynienia ze słowną ascezą – nie ma tu niczego niepotrzebnego, żadnego zbędnego słowa. Jest to narracja zachowująca prostotę notatnika, która nabiera także cech poetyckich. Zaś Urszula Śmietana dodawała: „Podglądamy bowiem bohaterów, którzy konają w swój własny, niepowtarzalny, a jednocześnie okrutnie banalny sposób. Pod okiem i piórem «salowego» [Baczaka – A.N.] padają ostatnie bastiony prywatności, autor nie sili się bowiem na żadne eufemizmy – z premedytacją i reporterską pasją opisuje «Ciała słabe, blade, pokurczone, powykrzywiane, pełne blizn i zadrapań», które podmywa, przewija, masuje, czasem obleka w śmiertelną koszulę i uklada do wiecznego snu".

Wiele tu obrazów ciał „suchutkich, pokrytych skórą w dotyku gładką jak papier, a pełną tysięcy zmarszczek i fałdek. Ciał najczęściej chudych, kościstych, o wyraźnych żyłkach, które pękały, gdy robiło się zastrzyk, czy pobierało krew. Zostawały wtedy ciemne, sine plamy". „Patrzyłem na ciała – stwierdzi narrator – które czasem przerażały swoim zniszczeniem i zdeformowaniem".

Baczak zapisuje obserwacje dotyczące ludzi niepotrafiących panować już nad swoim ciałem, jak Jasiu, któremu „ślina zmieszana z jedzeniem ciekła cały czas po brodzie i koszuli", Władziu „mający powykręcane nogi i obelżynę na biodrach wielkości dwóch złączonych dłoni. Żywe plamki mięsa, z którymi nie mogliśmy sobie długo poradzić, nie chciały zarosnąć skórą" czy Rudek, który pewnej nocy czołgał się do toalety, gdyż nie chciał brać swoich kul, by nie obudzić innych.

„Zapiski... – zdaniem Śmietany – to wnikliwe analizy gasnącego spojrzenia, studia mikrogrymasów na tężejących twarzach, wykresy amplitudy bólu, uchwycone melodie płaczu. I chociaż dramatyczna prawda o biologicznym terminalu łagodzona jest wszechobecnością sacrum, to jednak cały ten «dół materialno-cielesny»: te sztuczne szczęki moczone w szklankach, nieszczelne cewniki, ropiejące odleżyny, kikuty amputowanych kończyn, wszystkie kałuże krwi, wymiocin, ekskrementy składają się na taki obraz człowieczeństwa, z którym trudno się zgodzić i pogodzić".

Intencją autora *Zapisków*... nie było ośmieszenie choroby, starości ani zbanalizowanie śmierci. Odzierając owe doznania z prywatności, opisując je bez zahamowań i poczucia wstydu, sprawił, iż sakralny akt zgonu stał się czymś bardziej naturalnym, bliższym, bo potwierdzającym człowieczeństwo. Przedstawianie w taki sposób starości i śmierci, w jaki czyni to Baczak, powoduje – wcale nie paradoksalnie – że „im bardziej odrażające i upodlone wydaje się ludzkie ciało, tym większa świętość/świetlistość z niego promieniuje. Ten intencjonalny retusz jest interpretacją, czy nawet ideą (tu – szlachetną, krzepiącą), choć – zgodnie z deklaracjami autora – nie miała mieć ona dostępu do jego *Zapisków*. Jednak obok wątku metafizycznego i naturalistycznego «lekcja anatomii« Jacka Baczaka podejmuje antropologiczną refleksję nad stosunkiem człowieka do ciała. Nie sposób zrozumieć go w jego sakralno-plugawym dualizmie, nie pozostaje więc nic innego, jak przyjąć je i poddać się mu. *Zapiski*... nobilitują chorobę, starość i śmierć, a jednocześnie banalizują je przez pokazanie ich seryjności i powtarzalności. Wbrew intencjom autora, który każe wierzyć w *non omnis moriar*, opisane przez niego «rozbieranie

do snu» wydaje się rozbieraniem się do nicości. Paradoksalnie, wrażenie to potęguje materialna obecność Litery i Kreski, które obnażają wszystko i wszystko biorą w posiadanie".

Zapiski... mogłyby być próbą „uchwycenia" momentu umierania czy raczej kolejnym dowodem na niemożliwość takowego zabiegu. „Jedni krzyczeli przez kilka nocy, by następnej zamilknąć, inni zasypiali cicho po obiedzie. I gdy przychodziliśmy przewinąć, posadzić na krześle – braliśmy w ramiona – już nieboszczyka. Umierali nagle i bez krzyku jak zgaszona świeca" – notuje narrator Baczakowej prozy.

Każda próba mówienia o czyimś zgonie zawiera się w króciutkiej informacji na temat samego zdarzenia („Na oddziale zobaczyłem nosze pod pokojem Heli. Zmarła w nocy"). Brak tu zgłębiania tego, co się stało, opisów „schodzenia" ze świata czy też pytań o powody. Wyjaśnienie śmierci jest proste: choroba i starość. Tak po prostu musi być i trzeba się z tym pogodzić. Chęć zmiany tego stanu albo buntu nie dość, że byłaby beznadziejna, to jeszcze podpadałaby pod kategorię groteski.

„Z twarzą mokrą od potu, z błyszczącymi w półmroku oczami, półleżący zaczął nad ranem jęczeć. Przerażenie zaczęło ustępować miejsca wycieńczeniu. Jego chrapliwy, nierówny oddech urwał się rano, gdy jeszcze było ciemno. Przed południem ciało znieśli do kostnicy. Widziałem kogoś, kto wiedział, że umiera. Widziałem jego strach. Ogarniał całe ciało, cuchnący potem. Nie było tu żadnego majestatu [podkr. – A.N.]".

Baczak, pokazując prywatność umierania, przekonuje, że nie ma w tym nic świętego i wzniosłego. Śmierć jest intymna w tym sensie, że mierzymy się z nią sami, ale jest też doświadczeniem dostępnym każdemu człowiekowi, a jako takie intymnym być przestaje. Autor *Zapisków...* główny nacisk kładzie na podkreślenie naturalności umierania.

Nie podmywanie, zmienianie mokrych i brudnych prześcieradeł czy układanie sparaliżowanych nóg i rąk było przyczyną naruszania intymności umierających. Nie wzbudzało też poczucia wstydu. „Tylko przy jednej czynności odczuwałem najdłużej zażenowanie. Gdy myłem i czyściłem szczoteczką z resztek jedzenia sztuczne szczęki i wsadzałem z powrotem do kubków z wodą. Ten, kto o to prosił, najczęściej przywiązany na stałe do łóżka, też był zażenowany. I obydwoje czuliśmy dziwny i paradoksalny fakt, że oto jest naruszona intymność. Intymność jedzenia, przeżuwania, połykania. Intymność posiłku. Ostatni azyl prywatności. Wśród pejzażu nagiej i bezbronnej, schorowanej starości".

Wpływ śmierci i samego „procesu umierania" jest podobny do tego, jaki na człowieka ma nałóg – odbiera mu podmiotowość. „Widziałem wokół siebie jego powolne i bezpowrotne zanikanie [podkr. – A.N.]. Zostawał niepewny stan egzystencji, półsenny, półprzytomny. Zamykanie się własnego świata, świadomości i pamięci w sobie. Kurczenie się aż do ciemnej nory pełnej niepokoju i strachu. Do odczuwania głodu, bólu, artykułowania jednego, dwóch słów. Miazgi wspomnień i wizji przepływającej przez umysł. Czasem tylko w nocy wyrywającej im z piersi kilkuminutowy jęk".

Zmarli nie są już tym, kim (czym) byli za życia. „Stefan nie był już kimś. Stał się czymś. Nie potrafiłem tego określić, ale czułem zupełnie jasno, że tak właśnie jest". Moment zgonu odbiera umiejętność postrzegania ciała w aspekcie człowieczeństwa, gdyż na oczach Innego (świadka zdarzenia) podmiot zamienia się w przedmiot.

Obcowanie na co dzień ze śmiercią sprawia, że przestaje ona robić na sanitariuszu wrażenie. Może musi tak być, by człowiek potrafił zachować zdrowy rozsądek. „Starałem się milczeć, gdy ktoś dyskutował o umieraniu. Chciałem milczeć" – stwierdzi narrator *Zapisków...* Być może powodem chęci czy też przymusu wewnętrznego zachowania milczenia jest potrzeba oddania czci tym, którzy już odeszli. A może chodzi o to, że tak naprawdę nie ma czego roztrząsać. Lub odwrotnie – tylko poprzez milczenie można prawdziwie wyrazić umieranie. Za taką interpretacją przemawiałaby forma owych zapisków. To notatki, krótkie, oszczędne w słowach, utrwalające suche informacje. Jest tak, jakby autor był głęboko przekonany o niemożności opowiedzenia o śmierci. Toteż nie stara się udawać niczego innego. Paradoksalnie, dzięki takiej narracji, obnaża intymność umierania. Pokazuje to, co jest nie do pokazania. Owe niedopowiedzenia bywają bowiem często wymowniejsze niż skonkretyzowany opis.

Zdaniem Przemysława Czaplińskiego sposobem mówienia o umieraniu w prozie lat dziewięćdziesiątych jest uciekanie się do strategii spektaklu, czyli ujmowanie problemu w kategoriach obrazu. Wybranie takiego modelu przedstawiania – zdaniem krytyka – pociąga za sobą zatracanie wymiaru spotkania w relacji: widz-obraz, a wszystko to prowadzi do bierności społecznej, czyli braku zainteresowania Innym rozumianym jako „każde nie-Ja". W konsekwencji reakcja na śmierć ma charakter estetyczny, nie zaś altruistyczny. Teoria spektaklu potwierdzać by się miała w opinii badacza również i w tym, że oglądanie pozwala zastępczo przeżywać, zwalniając niejako od myślenia i poszukiwania wyjścia poza kulisy spektaklu. Ponadto spektakl – czy raczej jego element składowy: obraz – jest dowodem istnienia.

Autor *Ruchomych marginesów* ma wiele racji, albowiem – jak zauważa – śmierć w obydwu komentowanych przez niego książkach (*Dwie sztuki [telewizyjne] o śmierci* Stasiuka i *Zapiski z nocnych dyżurów* Baczaka) jest postrzegana przez pryzmat sztuki, a jej sens daje się zobaczyć. Celem działania bohaterów tych próz staje się odnalezienie sensu w całości spektaklu, powiązania części, zaobserwowania wyglądów i zachodzących w nich zmian. Natomiast „życie nie ma innej transcendencji niż śmierć, jedyną zaś iluzją przekraczania śmierci jest jej przedstawienie".

Spektakl jednak wyklucza bycie szczerym. Chęć obnażenia intymności śmierci czy też samego momentu umierania byłaby w takim przypadku jedynie pozorna. Nie mogłyby zmienić tego zapewnienia narratora *Zapisków...*, który – deklarując autentyzm swojego zapisu – pisze już na samym początku: „Niniejsze notatki i rysunki powstały dosłownie w czasie nocnych dyżurów. Zostały oparte na faktach. Zmienione są tylko imiona opisanych postaci".

Zdaniem Dariusza Czai „książka Baczaka jest nade wszystko bardzo prywatnym, kameralnym zapisem egzystencjalnego doświadczenia, inicjacji w sens (bezsens?) choroby, umierania, śmierci". Myślę, że trzeba by do spostrzeżeń autora *Świata podrobionego* dodać przypis, według którego „spektakulizacyjne" rozprawianie o śmierci objawiałoby się w „zamykaniu" obserwacji dotyczących umierania w obrazach, będących czymś na kształt fotograficznych zdjęć. Chodziłoby o uchwycenie oznak zewnętrznych – jako jedynych dostępnych objawów schodzenia z tego świata – obserwatorowi, o jak najwierniejsze ich zanotowanie. Stąd takie właśnie obrazy starości i jej konsekwencji, składające się – jak ujął to Bobiński – na „niezwykły klimat książki, tworzony na równi przez drastyczną prostotę zdarzeń, ujmującą szczerość doznań, istotę i dostojność znaczeń". Baczak łączy *sacrum* i *profanum* tak, by jego opisy były jak najbliższe postrzeganej rzeczywistości. „Taki świat trzeba – pisał Czapliński – przedstawić ubogo, bo temat obrany przez autora przenicowałby każdą przesadę i każdą konwencję". Po czym dodawał, że sposób zapisu motywowany jest również rozumieniem roli, jaką ma on do spełnienia. Nie będzie chodzić o nawiązanie kontaktu, nazwanie prawdy albo wyrażenie siebie. W tym przypadku idzie o wyrażanie ciszy. Trzeba „nasłuchiwać, wchodzić w swoją niepewność" – powiada narrator *Zapisków...* „I tylko tyle. To jest wszystko. Każde więcej będzie nieuczciwe i złe".

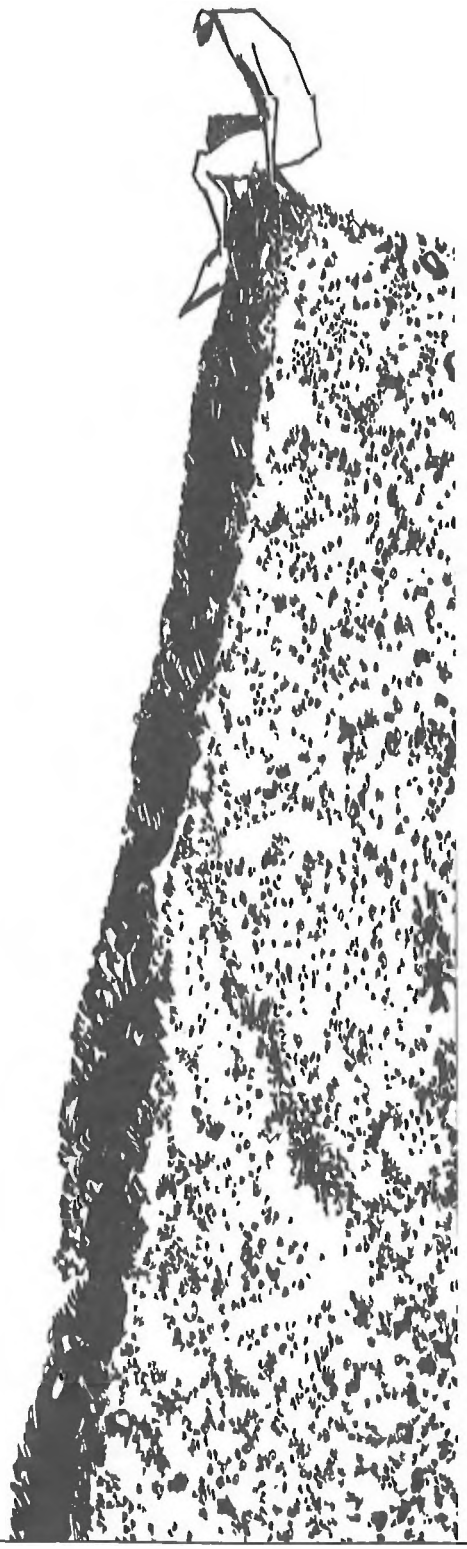
Jedno jest pewne: wszyscy zdążamy ku wieczności... ■

EDMUND WOJNAROWSKI

CIESZĘ SIĘ WIĘC JESTEM! - zawyłem z radości

– *Po co, na co* i *dlaczego* – na te pytania,
co to filozofom, wraz z tym, w *jakim celu?*
od wieków służą do łamania głowy sobie i innym – machnąłem ręką.
Wątpliwość mistrza Gottfrieda: *Dlaczego jest coś, zamiast nic* –
też się gdzieś podziała.
I choć na tych miejscach rozparł się dylemat:
Czy rzeczywiście mam się z czego cieszyć,
to krótko pobył.
Szybko się ulotnił.
Radość moja, że jestem, go spłoszyła?
Bo jestem, choć mnie mogło nie być.
Jak tych, których nie ma.
Bo może i oni kiedyś także będą, lecz kiedy to będzie.
Czy w ogóle będzie? Oto jest pytanie.
No, a ja jestem już. Jestem tu i teraz, więc jak się nie radować...
Tu i teraz?
Czyli nie w ogóle?
A jeśli tak, to już nie jeden raz mogłoby mnie nie być?
Zaś skoro mnie nie było, to kiedy to było?
I jaka przyczyna była praprzyczyną?
Stosunek przerwany? Może płód spędzony?
Bo skoro Wszechświat jest w rękach Wszechmocy,
to czy może w nim nie być czegoś, co być może?
Ja zaś być mogłem, skoro już istnieję.
Spotkało mnie więc bycie niebędącym?
Spotkało czy mnie nie spotkało?
Ale zostawiam filozofom filozofowanie,
Czasu szkoda.
Tyle go, żyjąc, natraciłem przecie, gdy włos rozszczepiałem na czworo.
A teraz jest okazja, skoro się nadarza.
Dziewczę uchyliło rąbka tajemnicy
i się niecierpliwi, co ja na to powiem.
Może to nie okazja, lecz czysty przypadek?
Wyszedł mi naprzeciw, choć o mnie nie wiedział,
gdy mnie tu nie było, zanim zaistniałem.
Też dzięki takiemu przypadkowi może.

Jak las płonąłem, róż zaś nawet na lekarstwo.
Znowu więc oksytocyna
czym prędzej spływa z przysadki wprost do krwioobiegu?
Może zdąży mózg zakneblować,
I nie wrócą już pytania w *jakim celu, dlaczego, po co, na co?*



Grafika: Wojtek Łuka

WSZYSTKO ZWIĘDNIĘTE

nawet nastolatkom
piersi opadły jak senne powieki.
Pobliska rzeka wbrew Heraklitowi
Przestała płynąć i paruje stojąc.
Słońce wypala ochotę do życia,
i nie ma znaczenia wedle jakich zasad:
Ptolomeusza czy też Kopernika.
Poza cieniem już nikt nic nie szuka.
Lenistwo osowiało, choć może się cieszyć,
że jest nareszcie usprawiedliwione.
Wiatr się ocyka, bo kroki słychać.
I by nie było żadnych wątpliwości,
po czym konkretnym jest ta pozostałość,
z mgły otrzepuje resztki ruin, co je czas nie strawił,
pozostawiając do chodzenia po nich.
Wiatr zdążył na czas, bo słychać migawkę.
Ktoś widać zdjęcie zrobił na pamiątkę,
że to zobaczył, co widzieć wartało.
A może nie wartało?
A nuż pragnienia zaszły zbyt daleko.
Być może bielmem nawet,
że już nic nie widać.
To zaś, co słychać, to wierutne bajki,
pomiędzy które próbuje się włożyć
wszystko po kolei.
Kroki znów ruszyły.
Żeby poczekać, aż całkiem umilkną, siadłem na kamieniu.
Głowę wziąłem w dłonie,
by z niedowierzania przestała się kiwać.
I zamkąłem oczy.
Co nowego? może chciałem ujrzeć.
Niestety. Nil novi.
Morały dalej żrą się o pierwszeństwo.
Gdy od jednego chcesz być trochę dalej,
to do drugiego musisz się przybliżyć.
Jakąś Amerykę ktoś ciągle odkrywa
i nie ma chwili bez krzyku: eureka!
Ci nawet tak krzyczą, co znajdują guza.
A jednak się rusza – utrzymuje tłuszcza,
bo dziś nie trzeba kryć swoich pewności.
Zaś wątpliwości?
Być albo nie być – na taki monolog
możesz natrafić najwyżej w teatrze, gdyż wszystko już jest.
Choć nic tak, jak trzeba.
A na samym końcu ktoś akurat biegnie
w siedmiomilowych butach wprost od pucybuta.
Coś mu z nich wychodzi; słomaż by to była?
Trudne do pojęcia, ale przecież w bajkach
dzieje się różnie i nikt się nie dziwi.
Czas może najwyższy zacząć opłakiwać
to, co jeszcze będzie.
Bo to, co było,
Tego dawno nie ma.

Świat zamiast dookoła osi
w proch się obraca.
A cóż poza tym?
Przy gorejącym krzaku zebrali się wszyscy,
ażeby upiec jakąś własną pieczeń.
Z mieszanki *Goplana* wyciągam *Hamleta*.
Nie ma wątpliwości, że to jest trufel,
bo tak jest napisane.
Ale taka pewność jest urągowiskiem
z powątpiewania Królewicza Danii.
– Zjeść go więc czy nie zjeść? – oto jest pytanie, przy którym
nie wiadomo, czy, aby je zadać,
pewność jest potrzebna? Czy raczej wątpliwość.
I to jest wszystko,
bo reszta wydana.
Grosz jakiś został z tego kapitału,
chociaż go przecież nie zakopywał.
Nic tylko ból,
lecz przy tej inflacji to i tak jest nieźle.
No, bo nawet jeśli z ucieczki przed losem
chciałbym sobie urządzić igrzyska,
to czy na klęskę przeznaczenia mógłbym jeszcze liczyć?
Liczność nad licznościami,
powiedział rachmistrz,
i wszystko liczność.

Grafika: Wojtek Łuka



EDMUND WOJNARowski

Tworzenie prawa II Rzeczypospolitej

22 listopada 2005 r. w Auli Wyższej Szkoły Zarządzania i Nauk Społecznych w Tychach odbyła się konferencja naukowa *Początki Państwa Polskiego po I wojnie światowej: budowa systemu ustrojowego oraz polskiego porządku prawnego*. Zorganizowała ją Katedra Administracji WSZiNS przy udziale Katedry Historii Prawa Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Konferencję otwarł rektor WSZiNS, prof. Marek S. Szczepański, który zastrzegł, że nie jest historykiem prawa, dlatego też jego wystąpienie pt. *„Dobra niepodległość" i cnoty obywatelskie* poświęcone zostało dzisiejszej RP. W pierwszej części zajął się grzechami państwa. Wymienił ich pięć. Pierwszy to nienależyte wypełnianie przez państwo przypisanych mu wobec obywateli obowiązków, takich jak dbałość o zdrowie, wykształcenie, bezpieczeństwo. Grzech drugi, który prof. Szczepański scharakteryzował określeniem *Zapomniany Dostojewski*, polega najogólniej na rozziewie między zbrodnią i karą. Trzeci to korupcja. Tu prelegent posłużył się terminem *Zakłopotany Monteskiusz*, bowiem właśnie wzajemne powiązania kryminalne różnych grup sprawiły, że nie sprawdził się u nas wprowadzony przez francuskiego myśliciela trójpodział władzy. Grzechem czwartym jest powstanie „nowej nomenklatury" i powyborczy „podział łupów", wynikający z politycyzacji stanowisk. Piąty i ostatni – to amoralny nepotyzm, wpisany jakby w to, co nazwane zostało „republiką kolesiów".

W drugiej części swojego wystąpienia prof. Szczepański przedstawił listę środków, które są konieczne dla uzdrowienia państwa. Przede wszystkim konieczna jest decentralizacja – cesja władzy i finansów na rzecz społeczności lokalnych. Ponadto Polska powinna stać się krainą zerowej tolerancji nawet wobec drobnych wykroczeń. Rekrutacja na stanowiska powinna być czytelna (o ich obsadzie powinna decydować kompetencja kandydatów). W relacjach między władzą, biznesem, organizacjami pozarządowymi musi obowiązywać przejrzystość. Ostatnia sprawa to „pożegnanie z szyldami", czyli taka zmiana ordynacji wyborczej, która pozwoli na wybieranie konkretnych ludzi, zamiast kandydatów z partyjnych list. To wprowadzenie stworzyło aktualny kontekst dla kolejnych wystąpień, poświęconych kształtowaniu się prawa w odrodzonej po zaborach Polsce.

Najpierw dr Andrzej Drogoń wygłosił referat *Akty ustrojowe „okresu przejściowego" 1918-1921*. Ustrój państwa powstawał praktycznie od zera. Od wypracowania legitymacji prawnej dla kreatorów początków drugiej RP. Prelegent zwrócił uwagę na fakt, że obdarzony ogromną władzą Józef Piłsudski, nie wybrał autorytaryzmu. Dr Drogoń podkreślił też, że nie decydował jeden człowiek, bo ogromną rolę w tworzeniu ustroju państwa odegrali: Dmowski, Paderewski, Witos i Korfanty, którzy tworzyli „zespół niezgrany", potrafiący jednak współpracować na tyle skutecznie, że już w 1921 roku możliwe było uchwalenie konstytucji marcowej, co było zakończeniem tzw. okresu przejściowego.

Z kolei prof. Adam Lityński w wystąpieniu *Ku własnemu prawu we własnym państwie. Tworzenie prawa sądowego w II RP* omówił wcale niełatwe początki budowy prawa karnego i cywilnego. Państwo polskie powstało z ziem pozostających przez lata pod trzema zaborami, na których obowiązywało pięć systemów prawnych. Prof. Lityński zwrócił przy tym uwagę na wielką rolę w kształtowaniu polskiego prawa sądowego Komisji Kodyfikacyjnej – organu apolitycznego, pomocniczego dla rządu. Wniosek o powołanie tego ciała złożony został 1 IV 1919 r. a już 3 IV KK została powołana, posłowie bowiem zdecydowali się na samoograniczenie – zrezygnowali w tym przypadku z dyskusji. Podkreślając zasługi KK prelegent wskazał także na pewną jej wadę. Otóż w skład komisji wchodzili wybitni prawnicy, znakomici profesorowie, którzy w swojej pracy dążyli do doskonałości, co opóźniało bardzo zwłaszcza tworzenie kodeksu prawa cywilnego.

Następnie prof. Dorota Malec z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie w wystąpieniu zatytułowanym *Sądownictwo administracyjne jako element państwa prawa u progu II RP* przywołała tezę, że państwo praworządne zespolone jest z prawem administracyjnym. Sądownictwo administracyjne bowiem w państwie takim pełni rolę swoistej „klapy bezpieczeństwa". Istnienie sądownictwa administracyjnego jest równocześnie zaprzeczeniem państwa absolutnego czy policyjnego. Przy tworzeniu polskiego prawa administracyjnego korzystano ze wzorów francuskich, austriackich i pruskich. O znaczeniu zaś sądownictwa administracyjnego w państwie prawa najlepiej świadczy fakt, że czterdziestu sędziów powołanych do Najwyższego Trybunału Administracyjnego rozpatrywało rocznie ni wręcz ilość spraw

Wprawdzie dr mówiąc o aktach wych z lat 19 wspomniał o san ści przewidzianej dla społeczeństwa go, był to jednak krótki fragment wodu. Można z wiedzieć, że tylk pienie prof. Józef *Autonomia Śląsk stawy ustrojowe* koncentrowało si blemach naszego Prelegent zwróc uwagę na fakt, że status auto przypadł najmniejszemu w twu II RP. Przypomniał też wozdawcą prezentującym pr *skiej Konstytucji* był Józe dziadek późniejszego premie Wymieniano wówczas trzy ny, które zadecydowały o p Śląskowi autonomii:

– szczególne umiłowanie s ności przez miejscową ludn

– odmienność Śląska w z tego, że przez 600 lat pozos za Polską

– sytuację przedplebiscyt

Prof. Ciągwa dwa pierw menty nazwał „niepow „Umiłowanie samorządn jest czynnikiem mierzalny mienność" też nie była w t jakimś szczególnym wyr można nawet powiedzieć mienne były w ogóle ziemi jące pod rządami trzech Jedynym więc poważnym kiem pozostawała „sytuac plebiscytowa", głosowanie miało bowiem zadecydow stwowej przynależności której koncentrowały się d myslowe. Następnie prof ukazał skomplikowane rel dzy ludnością miejscową szami. M. in. zwrócił uwag lację prawną, która dawa szeństwo w zatrudnianiu równych kwalifikacjach com Śląska.

Następnym punktem miała być dyskusja. Okazał nak, że poza naukowym cel rencji organizatorzy miel drugi, sekretny i starannie uczczenie jubileuszu prof. A tyńskiego. Udało się – znak storyk prawa był kompletn czony. O jego zasługach przedstawiciele uczelni, z był w jakiś sposób związan tyską WSZiNS oraz U. Śl. b ście z Uniwersytetu Jagiel i uczelni w Białymstoku. D cji i życzeń dla Jubilata prz także zespół naszego miesię

BOGDAN

Poczet dowódców powstań śląskich



Karol Gajdzik

Karol Gajdzik (1885-1955) był przedstawicielem tego pokolenia Ślązaków, którzy całe swoje życie poświęcili walce o odzyskanie niepodległego bytu narodu i zjednoczenie Śląska z Macierzą.

Życie dowódcy 4 Pułku Wojsk Powstańczych przypadło na koniec XIX wieku i ponad połowę następnego stulecia. Urodził się on w czasach gdy nie przebrzmiały jeszcze echa Kulturkampfu, rozwijała swoją działalność Hakata i komisja kolonizacyjna, przeżył pierwszą wojnę światową, powstanie śląskie, doczekał Polski niepodległej, doświadczył klęski września 1939 roku i hitlerowskich obozów zagłady wreszcie zetknął się z represjami stalinowskimi. Wychowany w domu w duchu patriotycznym (uważał się za potomka żołnierza powstania kościuszkowskiego) przeszedł twardą, lecz dobrą szkołę życia w armii cesarza Wilhelma II. Uczestnicząc w jej kampaniach poznał arkana sztuki wojennej i zdobywał umiejętności dowódcze niższego szczebla.

Na wyróżnienie w biografii Gajdzika zasługuje działalność polityczna i czyn walki zbrojnej. Był on przede wszystkim żołnierzem usiłującym głównie orężem wywalczyć drogę do zjednoczenia Śląska z niepodległą Polską. Gdy jednak w grę nie wchodziło zbrojne rozstrzygnięcie, w konspiracji i w walce politycznej szukał sposobu odnalezienia miejsca na mapie politycznej Europy dla swej małej Ojczyzny mającej odrodzić się w nowym kształcie ustrojowym, jako część Polski demokratycznej i republikańskiej. Możliwość pomocy dla sprawy polskiej widział w międzynarodowej solidarności narodów środkowej Europy, czynem dokumentując swe przekonanie o słuszności hasła „za Wolność Naszą i Waszą". Karol Gajdzik zdobył wiedzę i doświadczenie wojskowe służąc nie tylko w armii niemieckiej; był także Kawalerem Krzyża Waleczności tzn. członkiem organizacji, która powstała 5 XI 1917 r. na froncie rosyjskim, a jej założycielem był generał brygady armii carskiej, Stanisław Bułak-Bałachowicz. Jego oddziały wyróżniły się m.in. w walkach o wolność Estonii, Litwy i Polski. Kawalerów Krzyża Waleczności obowiązywało *10 Przykazań Rycerskich*, które bardzo głęboko utkwiły w żołnierskim sercu K. Gajdzika i wytyczyły drogę jego życia. Oto one:

1. Wiara w Boga, sprawiedliwość i męstwo – oto cechy prawdziwego Rycerza.
2. Nim rozpoczniesz walkę z wrogiem, zwalcz wszelkie zło w samym sobie.
3. „Za Naszą i Waszą Wolność" – to nasze hasło. Szanuj więc wolność tego Kraju, w którym przebywasz.
4. Bądź świadom swych czynów oraz gotów bądź ponieść wszystkie ich konsekwencje.
5. Piękny czyn jest lepszy od najpiękniejszych haseł.
6. Nie wyjmuj oręża bez potrzeby, ale i nie chowaj bez użytku.
7. Umiej przebaczyć. Gdyż i sam nie jesteś święty.
8. Nie buduj szczęścia swego na nieszczęściu innych.
9. Dla Kawalera Krzyża każdy wierzący w Boga jest Bratem.
10. Śmierć w boju. W obronie Krzyża jest dla Rycerza najświętszym zaszczytem i nagrodą.

Wyznawca tych zasad 21 I 1919 r. został zaprzysiężonym członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska z nominacją na komendanta placówki w Przelajce. W przygotowaniach do pierwszego powstania uczestniczył jako dowódca kompanii siemianowickiej. Dom jego spełniał m.in. funkcję składu broni.

Karol Gajdzik był człowiekiem nadzwyczaj ambitnym, konsekwentnym w działaniu, w sytuacjach ekstremalnych nawet porywczym, zawsze jednak cieszącym się sympatią wśród ludzi i dużym autorytetem. Zajęty konspirowaniem i wojskowością, a później polityką, gospodarowanie domem i majątkiem przekazał w ręce żony Rozalii z domu Krajuszek. Już podczas służby w armii pruskiej ujawnił nieprzeciętny talent wojskowy, uzyskując pochwały od zwierzchników, medale i odznczenia. Pod kierunkiem polskich instruktorów praktykował sztukę wojenną. Ponadto zasady sztuki marsowej studiował teoretycznie zarówno u autorów niemieckich, jak i polskich, dzięki czemu poznał najnowsze tendencje w rozwoju żołnierskiego rzemiosła i szybko przewyższył swoich kolegów.

Jego kariera wojskowa była zawrotna. W ciągu kilku miesięcy z pruskiego sierżanta awansował na dowódcę pułku. Swój talent rozwinął w trzecim powstaniu śląskim. Najpierw przyczynił się poważnie do opanowania gmin Huta Laura i Siemianowice, a później Królewskiej Huty, Chorzowa oraz Świętochłowic, Lipin i Hajduk Wielkich. Następnie jako samodzielny dowódca 4 Pułku w pełni rozwinął swoje umiejętności w walkach na froncie I Dywizji majora Jana Ludygi-Laskowskiego. Cechowało go zdecydowanie i szybkość działań w dążeniu do stoczenia bitwy lub dezorganizacji sił przeciwnika. Na polu bitwy nie unikał niebezpieczeństw. nauczył się po mistrzowsku bronić ufortyfikowanych pozycji, wykorzystując warunki naturalne oraz operując umocnieniami polowymi, a potem niespodziewanie przechodząc do kontrnatarcia i zaskakując przeciwnika. Działając w obronie oblegnych przez Niemców śląskich osad przemysłowych był zwolennikiem zakładania obozów w obronnych miejscach na tyłach przeciwnika, zmuszając w ten sposób wroga do ataku na własne pozycje. Umiał też działać z zaskoczenia, przebywając w trudnych warunkach terenowych atakował niespodziewanie pozycje wroga. Tocząc bitwy, oszczędzał wojsko, unikając walki na wykrwawienie i do ostatniego naboju. Sprzeciwiał się zdecydowanie wydawaniu bitew w przypadkach, gdy istniały niewielkie szanse na zwycięstwo. W wypadku dużej przewagi wroga potrafił zręcznie się wycofać i podczas odwrotu utrzymać karność w oddziałach oraz zdolność natychmiastowego podjęcia walki.

Jego uznanymi atutami były: dobre rozeznanie sił i pozycji nieprzyjaciela, szybkie manewrowanie, działanie przez zaskoczenie, wykorzystanie warunków terenowych w czasie bitew i przemarszów, współpraca z miejscową ludnością i troska o dobry stan fizyczny i moralny żołnierzy. Sam przy tym świecił niezwykłym hartem ducha i żelazną wolą, znosząc cierpliwie zimno, głód i wszystkie niewygody żołnierskiego losu. Gajdzik był dowódcą wymagającym, a nawet szorstkim wobec swych podwładnych. Surowo karał niesubordynację i występki, ale też szczycił się tym, iż żadnego żołnierza nie skazał na karę śmierci. Uczulony na wszelkie przejawy niesprawiedliwości, nie pozwalał podkomendnych krzywdzić i osobiście niejednokrotnie wstawiał się za nimi u wyższych władz wojskowych upominając się o należne im zaopatrzenie, awanse i odznaczenia.

Prowadził nerwowy tryb życia; najpierw rewizje, nieustająca groźba aresztowania przez Niemców i możliwość dekonspiracji, później jako dowódca Wojsk Powstańczych ciągle borykał się z brakiem pieniędzy na wojsko i spierał się ze służbami kwatermistrzowskimi o buty, ubrania i żywność dla żołnierzy. Był lojalny wobec przełożonych, nie angażował się zbytnio w politykę i swary partyjne.

W okresie II Rzeczypospolitej był przykładem dla okolicznej młodzieży zrzeszonej w oddziałach Młodzieży Powstańczej, jak walczyć o narodowe przetrwanie i zachowanie dobrego imienia Polaka.

Jeszcze raz dał dowód wielkiego patriotyzmu, gdy we wrześniu 1939 roku, mimo choroby i wieku, wziął na swe barki ciężar odpowiedzialności za obronę rejonu Bańgowa i Przelajki. Włożył wtedy ogromny wkład pracy organizacyjnej, budując od podstaw swój oddział powstańczej samoobrony (z wydzielonym patrolem konnym).

Odznaczony był: pruskim Krzyżem Żelaznym, austriackim medalem „Za Dzielność" i polskimi: Krzyżem Orderu Virtuti Militari (dekorowanym przez samego J. Piłsudskiego), Krzyżem Walecznych, Krzyżem Niepodległości, Krzyżem na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi, Gwiazdą Górnośląską, Śląskim Krzyżem Powstańczym, Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi.

ZDZISŁAW JANECZEK

Prawda o śląskim wrześniu 1939 (2)

12 lipca 2005 prokurator Ewa Koj wydała *Postanowienie o umorzeniu śledztwa w sprawie zabójstw ludności cywilnej i jeńców wojennych*, do których doszło w Katowicach we wrześniu 1939 r. Ze względu na wagę tego dokumentu redakcja zdecydowała się na opublikowanie go w całości. Część pierwszą zamieściliśmy w numerze grudniowym, w tym – dokończenie.



W panewnickim lesie

Zdjęcie ze zbiorów IPN O/Katowice

Już w czasie wkraczania wojsk niemieckich w dniu 4.09.1939 r. rozpoczęły się zatrzymania osób w mundurach (harcerskich, powstańczych i wojskowych) oraz osób cywilnych wskazywanych przez ludność niemiecką lub sympatyzującą z Niemcami, jak i przez członków Freikorpsu. Zatrzymania miały miejsce na ulicy, w mieszkaniach i schronach. Wśród zatrzymanych znaleźli się mieszkańcy Katowic oraz ci, którzy przybyli do Katowic wycofując się z terenów zajmowanych przez Niemców (Ruda Śląska, Chorzów). Zatrzymanych przeważnie prowadzono do budynku konsulatu niemieckiego mieszczącego się przy ulicy Zawadzkiego nr 8. Tam ich legitymowano, po czym dzielono na dwie grupy – jedni to ci co mieli książeczki wojskowe, drudzy, znaczna większość, nie posiadający takich dokumentów. Tę drugą grupę żołnierze niemieccy poprowadzili z rękami podniesionymi do góry ulicą Sokolską do placu Wolności, ulicą 3-go Maja do Rynku, gdzie na ulicy Zamkowej wprowadzono ich na podwórze za restauracją „Sachera", należącą do Frydländera.

Stojący na ulicach tłum lżył prowadzonych, opluwał i obrzucał kamieniami. W podwórzu zatrzymanych rewidowano zabierając portfele, dokumenty oraz inne drobne przedmioty. **Nad niektórymi z ofiar znęcano się. Ciężko pobity został aptekarz z Chorzowa Edmund Baranowski, zatrzymany we wczesnych godzinach rannych w swoim domu i przyprowadzony przez Freikorps do Katowic (k.51) oraz dwóch piętnastoletnich chłopców, przy których w czasie rewizji znaleziono amunicję. Największa grupa liczyła ok. 40 osób. Składała się z kilku osób cywilnych oraz mundurowych – harcerzy, powstańców, wojskowych. Gdy została wprowadzona na podwórze, na ziemi leżały już zwłoki sześciu osób. Egzekucje wykonywali żołnierze i członkowie Freikorpsu. Łącznie rozstrzelano ok. 80 osób, wśród nich byli: Nikodem Renc, Józef Renc (k. 64, k. 601), Franciszek Feige, Konstanty Woźniczka – zabrani ze swoich mieszkań, Leon Łukaszewicz, Władysław Pierończyk – zatrzymani na ulicy, Aleksander Rzeszótko – zabrany ze schronu budynku, w którym mieszkał przy ul. Sobieskiego, Edmund Baranowski. Na polecenie członków Freikorpsu zwłoki zostały wywiezione w dwóch turach przez pracowników zieleni miejskiej platformą konną przykrytą plandeką do kostnicy cmentarza żydowskiego, szpitala przy ul. Raciborskiej i cmentarza przy ul Sienkiewicza.** Byli też tacy, którym

udało się uniknąć tego dnia egzekucji w podwórzu. Antoni Strugała w ostatnich dniach sierpnia otrzymał wezwanie do Komendy Dzielnicowej Policji przy ul. Słowackiego. Tam polecono mu patrolowanie placu Wolności, dostał karabin i 40 sztuk amunicji. Tuż przed wkroczeniem wojsk niemieckich wraz z rodziną schronił się w piwnicy budynku przy ul. Wolności, skąd rankiem 4.09.1939 r. został zabrany przez członków Freikorpsu. Przed egzekucją uchroniła go interwencja żony, która przekonała wysokiego rangą funkcjonariusza o tym, że nie brał udziału w walkach. Z podwórza przy ul. Zamkowej został zabrany samochodem ciężarowym do hotelu Christlicher Hospiz przy ul. Jagiellońskiej. W piwnicach hotelu było więzionych wielu mieszkańców Katowic, a przeprowadzano tam wstępne śledztwo. Po kilku dniach Strugała trafił do więzienia w Katowicach, wreszcie do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Adolf Kowalik był dekoratorem w Teatrze Śląskim. Został wzięty przez Niemców z teatru razem z powstańcami, którzy się tam bronili i zaprowadzony na podwórze przy ul. Zamkowej. Jeden z żołnierzy zwrócił uwagę na to, że ubrany jest w płaszcz roboczy i zapytał dlaczego. Gdy ten wyjaśnił, iż w teatrze pracuje i miał dyżur, został zabrany na przesłuchanie, a potem wywieziony do obozu w Dachau. Rafał Kocik, uczestniczący jako harcerz w obronie Chorzowa, w dniu 3 września wycofał się w kierunku Katowic. Przy teatrze został przydzielony do dwuosobowego patrolu żołnierskiego i wraz z nimi pilnował odcinka Gliwicka, Załęska Hałda, Park Kościuszki. Wieczorem usuwali flagi ze swastykami wywieszane przez niemiecką ludność cywilną i członków Freikorpsu. Nad ranem, gdy na placu Wolności został zastrzelony jeden z żołnierzy, schronił się w piwnicy budynku. Jakaś kobieta przyniosła mu ubranie i kazała ściągnąć mundurek harcerski. Gdy do miasta wkroczył Wehrmacht wyszedł na ulicę i wmieszał się w tłum, został jednak zatrzymany przez dwóch członków Freikorpsu i zaprowadzony do konsulatu niemieckiego, a stamtąd na ul. Zamkową. Tam, widząc zwłoki kilku osób, wysunął się przed swoją ok. 40-osobową grupę i gdy usłyszał odgłos strzałów upadł, a na niego zabici. Mimo braku obrażeń leżał nieruchomo. Po około 20 minutach rozstrzelano w tym samym miejscu kolejną grupę. Wtedy dostał drgawek, a wykonujący egzekucję oddali do niego serię strzałów. Został ranny i stracił przytomność. Późnym wieczorem, kiedy na podwórzu wszystko ucichło wydostał się spod zwłok i wszedł do najbliższej bramy, gdzie na trzecim piętrze jakaś kobieta dała mu wodę, by zmył brud i krew. Potem udało mu się wymknąć z miasta i wrócić do Klimzowca do rodziców. Do egzekucji doszło również w podwórzu hotelu „Hospitz" przy ul. Jagiellońskiej, gdzie rozstrzelano między innymi Edmunda Trzeckiego, Władysława Lorenca i Martę Bimczok.

Oprócz masowej egzekucji przy ul. Zamkowej członkowie Freikorpsu i wkraczającego wojska dopuszczali się zabójstw i egzekucji na terenie całego miasta i jego dzielnic. Część tych zabójstw została udokumentowana materiałem dowodowym. Ich ofiary zwożone były głównie do kostnicy szpitala przy ul. Raciborskiej. Nie wszystkie udało się ulokować w kostnicy, wiec układano je na terenie przyległym do szpitala (k. 603). W dniu 4.09.1939 r. przywieziono tam między innymi zwłoki ok. 14 umundurowanych harcerzy w wieku ok. 14 lat. Wszystkie ciała miały rany postrzałowe wlotowe u nasady nosa. W dniach 5 i 6.09.1939 r. zwłoki grzebano w mogile zbiorowej wykopanej na cmentarzu przy ulicy Panewnickiej, posypywano je chlorem. Jak wynika z zeznań świadków, łącznie na cmentarz przywieziono ok. 80 ciał (k. 109). Nie ma możliwości precyzyjnego ustalenia tej liczby, ze względu na fakt, iż ewentualna ekshumacja musiałaby zostać przeprowadzona na cmentarzu, gdzie już wcześniej grzebano zwłoki. W czasie okupacji władze niemieckie, chcąc zatrzeć ślady mogiły przez jej środek poprowadziły ścieżkę cmentarną. Obecny obrys mogiły prawdopodobnie nie pokrywa dokładnie rzeczywistego miejsca pochówku. Ciała zmarłych grzebano również w pojedynczych mogiłach na terenie innych cmentarzy w Katowicach. Jednocześnie do szpitala na Raciborskiej trafiali ranni: polscy i niemieccy żołnierze, osoby cywilne. Operował je jedyny lekarz pozostający w szpitalu chirurg Mieczysław Grabowski. Z jego zeznań wynika, iż łącznie do kostnicy tego szpitala w dniach od poniedziałku do środy zwieziono ok. 80 zwłok. W Dębie koło kościoła freikorzyści zastrzelili powstańca Franciszka Grygera, którego wcześniej wyprowadzili na ulicę z domu (k. 16, 38, 65). Henryk Kurek razem z bratem Pawłem oraz kolegami z drużyny harcerskiej Mikołajem Cubertem i Józefem Mahoczkiem na ulicy Barbary natknęli się na niemiecki patrol, który, mimo że zastosowali się do polecenia i podnieśli ręce do góry, zaczął do nich strzelać. Henryk Kurek został zastrzelony, a pozostałym udało się zbiec. Emerytowany stróż ogródków jordanowskich przy ul. Barbary – Teodor Szyszka wraz z pracującym tam Walentym Pronobisem w odwecie za nieotworzenie bramy zostali rozstrzelani przez niemieckich żołnierzy. Jan Olejniczak po wyprowadzeniu ze swojego domu został zastrzelony na ul. 3-go Maja. Emanuel Mnich został zabrany ze swojego domu przy ul. Opolskiej w dniu 4.09.1939 r., wyprowadzony na ulicę i zastrzelony przez członków Freikorpsu na placu Wolności. Teofil Patalong ur. 1869 r., powstaniec śląski, w dniu 6.09.1939 został zabrany z domu przez żołnierzy niemieckich, którzy ulicą Bocheńskiego doprowadzili go do dołów po piasku w pobliżu kolei, gdzie wykonali egzekucję przez zastrzelenie. Zwłoki zostawili w dolach, zabrała je rodzina. Wśród ofiar są również mieszkańcy sąsiednich miast, którzy wycofywali się w stronę Katowic przed wojskami niemieckimi: Jan Apostolus i Ernest Janik (k. 670). **Praktycznie przez kolejne dwa tygodnie po zajęciu przez Niemców Katowic trwały poszukiwania i aresztowania osób biorących udział w obronie Katowic, posiadających broń i figurujących na specjalnych listach (k. 377). Część z nich trafiła do więzienia przy ulicy Mikołowskiej, a stamtąd do obozów koncentracyjnych. Innych rozstrzeliwano na terenie cegielni Grünberga w okolicach ul. Karbowej na wysokości Parku Kościuszki lub na terenie lasów panewnickich. Dzięki świadkom tych egzekucji w 1946 r. udało się odnaleźć trzy mogiły, z których we wrześniu 1946 r. dokonano ekshumacji. Zawierały one 46 zwłok,** w tym jedne płci żeńskiej. Nie znaleziono żadnych dokumentów, które ułatwiłyby identyfikację. Rodziny zidentyfikowały zwłoki Izydora Szczepanka, Józefa Musialika i Emanuela Oślizlo, Waltera Urbanka. Nie ustalono natomiast ile osób straciło życie w wyniku egzekucji na terenie cegielni, ani też gdzie je pochowano. W oparciu o akta USC ustalono 34 osoby, odnośnie których figuruje zapis o zgonie w dniu 4.09.1939 r. lub odnalezieniu zwłok w pierwszych dniach września. Zgony zgłaszało gestapo lub policja, rzadziej osoby bliskie. Ponieważ nie udało się dotrzeć do rodzin w/w, celem ustalenia, które zgony mogły być wynikiem zbrodni, listę zweryfikowano z kartoteką Ofiar Faszyzmu znajdującej się w zespole Śląskiego Instytutu Naukowego przechowywaną w Archiwum Państwowym w Katowicach. W oparciu o to dodatkowo ustalono, iż w okresie od 4.09.1939 r. do 15.09.1939 r. rozstrzelano następujące osoby: Ignacego Hassa lat 28, Ryszarda Hassa lat 34, Adama Parczyka lat 39, Michała Odrzywołka lat 43, Emanuela Oślizlo lat 47, Pawła Psiuka lat 58, Stefana Zajkowskiego lat 44, Alojzego Czaję lat 31, Karola Kali-

wodę lat 56 z Katowic, Augusta Krzewitza lat 42, Engelberta Swadźbę lat 29 z Chorzowa, Jerzego Zimmermanna lat 32, Romana Cipę lat 36 z Rudy Śląskiej, Hermana Mierzwiaka lat 43, Juliusza Krause lat 54 ze Świętochłowic, Wilhelma Shindlera lat 27.

Wobec utracenia przez następcę ZBOWiD-u w Katowicach materiałów archiwalnych, na które powołano się przy wskazaniu źródła informacji o wyżej opisanych zgonach, nie ma możliwości ustalenia dokładnego miejsca i okoliczności rozstrzelania tych osób. Można jedynie przypuszczać, iż była to egzekucja mająca miejsce na ul. Zamkowej, w cegielni, w lasach panewnickich lub w bliżej nieustalonym miejscu na ulicach Katowic.

Nadto nie można w sposób precyzyjny ustalić liczby ofiar zbrodni popełnionych przez wkraczający do Katowic żołnierzy Werhmachtu i członków Freikorpsu, zwłaszcza, że część osób poległa w trakcie walk zbrojnych. W przybliżeniu można podać liczbę ok. 150 osób.

Natomiast z dokumentów niemieckich wynika, iż liczba ofiar po stronie niemieckiej była następująca: Gw (straż graniczna) – 3 zabitych, 4 rannych, Org. E. (hitlerowskie bojówki utworzone po drugiej stronie granicy składające się z niemieckich dezerterów z armii polskiej) – 6 zabitych, 2 rannych, 239 Dywizja 6 – zabitych, 20 rannych. Freikorps – 89 (k. 672).

Wieczorem 8 września 1939 r. ok. godz. 19.00 na ulicę Mickiewicza wjechały dwa wozy pancerne, z których podpalono synagogę. Ponieważ zewsząd dochodziły odgłosy strzelaniny tłum powtarzał pogłoskę, iż w synagodze bronili się powstańcy. Z zeznań bezpośrednich świadków zdarzenia (k. 79) wynika, iż już w godzinach rannych tego dnia Niemcy zabrali od stróża klucz z synagogi, a pracowników straży pożarnej oficer niemiecki powiadomił, iż wieczorem zostanie podpalona bóżnica żydowska. Ok. godz. 20 straż pożarna została wezwana do gaszenia tego pożaru. Na miejscu strażacy otrzymali zakaz lania wody na synagogę, a jedynie dopilnowania, by ogień nie rozprzestrzenił się na sąsiednie budynki. Ok. godz. 3.30 dach i kopuła tego budynku zawaliły się, a do tego czasu wojsko pilnowało, aby nie gasić pożaru.

W oparciu o treść publikowanych dokumentów niemieckich z okresu okupacji i opracowań historycznych ustalono, iż za wkraczającymi do Polski oddziałami Wehrmachtu dn. 4 września 1939 r. w województwie śląskim pojawiły się specjalne grupy operacyjne Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa, zwane Einsatzgruppen. Były to doraźnie utworzone jednostki, w których skład wchodzili funkcjonariusze różnych formacji policyjnych i SS. Mimo, że podlegały one dowódcom armii, do których zostały przydzielone, kierownictwo „policyjno-fachowe" spoczywało bezpośrednio w rękach szefa policji niemieckiej Himmlera. Raporty o przebiegu przeprowadzonych akcji dowódcy Einsatzgruppen składali bezpośrednio do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy względnie do referatu specjalnego Głównego Urzędu Policji Bezpieczeństwa oznaczonego kryptonimem Unternehmen Tannenberg. Na terenie Górnego Śląska działała Einsatzgruppe do zadań specjalnych (z.b.V) SS Obergruppenführera Udo von Woyrscha, która pozostawała na Śląsku w dniach od 6 do 12.09.1939 r.

Uzyskano materiały procesowe ze śledztwa przeciwko Udo von Woyrschowi prowadzonego przez Prokuraturę w Stuttgarcie. Przedmiotem tego postępowania były masowe rozstrzeliwania dokonywane przez członków grupy operacyjnej z.b.V policji bezpieczeństwa na terenach przemysłowych Górnego Śląska po rozpoczęciu kampanii na Polskę we wrześniu 1939 r. Zostało ono umorzone dn. 20.04.1977 r. z przyczyn trwałej niezdolności podejrzanego do udziału w rozprawie. Miał wówczas 81 lat i zgodnie z opinią lekarską pod względem umysłowym miało miejsce u niego „wyraźne osłabienie koncentracji i zakłócenia pamięci z częściowo znacznym zamętem". Postępowanie to toczyło się również przeciwko członkom sztabu grupy operacyjnej z.b.V: Otto Raschowi (dowódcy oddziału Sipo SS Brigadeführer), Hansowi Trummlerowi (SS Standartenführer, kierownik prowokacyjnej akcji dywersyjnej na niemiecką stację celną pod Łagiewnikami), Otto Hellwigowi (SS Obersturmbannführer, zastępca Rascha) oraz pułkownikowi Policji Porządkowej Friedrichowi Wolfstiegowi. W stosunku do pierwszych trzech postępowanie umorzono wobec ich śmierci, a w stosunku do ostatniego w związku z niemożnością ustalenia oskarżonego. Po przekazaniu postępowania do Prokuratury w Hamburgu rozszerzono je o kolejnych osiemnastu oskarżonych, wobec których umorzono postępowanie częściowo wobec śmierci sprawców, częściowo wobec nieustalenia ich tożsamości, a częściowo wobec faktu, iż materiały nadesłane przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich nie nadają się do udowodnienia winy pojedynczym oskarżonym.

Z załączonych dokumentów wynika też, iż dowódcy grup operacyjnych otrzymali rozkaz rozstrzelania wszystkich członków polskich związków powstańczych bez sądu wojennego. Rozkaz ten został wydany przez Richsführera SS bezpośrednio dowódcom poszczególnych oddziałów (k. 342, 346) Jak zeznał jeden z nich Hubert Schwerhoff – dowódca oddziału operacyjnego 1/I – po wkroczeniu na obszar Polski mieli zbrojnie i bezwzględnie zwalczać każdy stwierdzony i podejrzewany opór polskiej ludności.

Eksterminacyjna działalność *Einsatzgruppe* na terenach objętych agresją była analizowana wielokrotnie w zakresie procesie głównych zbrodniarzy wojennych w Norymberdze, a następnie stała się przedmiotem oddzielnego postępowania przed II Amerykańskim Trybunałem Wojskowym w Norymberdze, które znane było jako „sprawa nr 9" lub „proces Ohlendorfa." Wspomniane procesy koncentrowały się jednak jedynie na działalności *Einsatzgruppe* operujących na terenie b. ZSRR.

Współudział w zbrodniach dokonanych na terenie Katowic, zwłaszcza w pierwszych dniach wojny, mieli członkowie Freikorpsu. Były to bardzo sprawne oddziały ochotnicze, dobrze wyposażone i umundurowane. Członków tej formacji charakteryzował fanatyzm, ślepe posłuszeństwo wobec dowódców oraz okrucieństwo. W 1939 r. stanowili straż przednią armii niemieckiej na Śląsku i podejmowali działania wojenne przeciwko polskim formacjom broniącym Śląska zanim jeszcze wkraczały regularne wojska. Mieszkańcy, którzy identyfikowali się z narodowością niemiecką, witali ich jako wyzwolicieli i chętnie zasilali ich szeregi. Dla Ślązaków identyfikujących się z narodowością polską Freikorzyści byli bandą. W zeznaniach świadków pojawiły się nazwiska niektórych członków Freikorpsu biorących udział w zatrzymaniach Polaków i zbrodniach na nich dokonanych. Byli to Adolf Bonk, Jan Błaszczyk.

W ramach oceny prawnej czynów będących przedmiotem niniejszego śledztwa należy stwierdzić, iż stanowiły one w czasie ich popełnienia oraz stanowią obecnie przestępstwa będące zbrodniami przeciwko ludzkości, a także zbrodniami wojennymi – w rozumieniu ustawy z dnia 18 grudnia 1998 roku o *Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu* (Dz. U. Nr 155 poz. 1016 z późn. zm.).

Każdy z czynów polegających na pozbawianiu życia pokrzywdzonych określonych części dyspozytywnej niniejszego orzeczenia stanowi zbrodnię zabójstwa określoną w art. 1 pkt 1 dekretu z dnia 31.08.1944 roku *o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy, winnych zabójstw i znęcania się*

nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego (Dz. U. z 1946 roku nr 69 poz. 377 z późn. zm.) oraz art. 123 § 1 pkt 3 i 4 kodeksu karnego z 1997 roku pozostających w zbiegu kumulatywnym (właściwym) unormowanym w art. 11 § 2 kk. Przyczyną uzasadniającą konieczność zastosowania w tym wypadku zbiegu właściwego jest to, iż obydwa przepisy normują postacie szczególne przestępstwa zabójstwa, które w typie podstawowym unormowane jest obecnie w art. 148 § 1 kk. Pozbawianie życia osób cywilnych poprzez zastrzelenie na ulicach oraz w ramach zbiorowych egzekucji należy potraktować jako zbrodnie wojenne wyczerpujące znamiona przestępstw z art. 123 § 1 pkt 4 kk. Okoliczność ta wynika z faktu, iż tego rodzaju zachowania określane jako „mordowanie ludności cywilnej" było także sprzeczne z postanowieniami prawa międzynarodowego obowiązującymi w okresie II wojny światowej. Pogląd taki unormowany został w ramach definicji zbrodni wojennych zawartej w art. VI „b" Statutu Międzynarodowego Trybunału Wojskowego sądzącego głównych sprawców zbrodni z okresu wojny. Natomiast jeśli chodzi o zabójstwa obrońców miasta zatrzymanych z bronią w ręku lub w czasie zdobywania kolejnych punktów oporu, to w świetle faktu, iż zostali oni przez władze polskie wezwani do wykonywania osobistych świadczeń wojennych, byli jeńcami wojennymi. W tym wypadku zbrodnia zabójstwa została popełniona wbrew postanowieniom prawa międzynarodowego, w szczególności art. 4 *regulaminu dotyczącego praw i zwyczajów wojny lądowej* stanowiącego załącznik do podpisanej przez ówczesnego przedstawiciela Niemiec *Konwencji dotyczącej praw i zwyczajów wojny lądowej* (Dz. U. z 1927 roku nr 21 poz. 161) nakazującego humanitarne traktowanie jeńców wojennych. W tym zakresie wszelkie przypadki i formy tłumaczenia przez wyższych funkcjonariuszy Rzeszy przyczyn odstąpienia w przypadku tych pokrzywdzonych od zasad traktowania jeńców wynikających z prawa międzynarodowego były bezzasadne.

Karalność wszystkich przestępstw stanowiących przedmiot niniejszego postępowania nie uległa przedawnieniu, gdyż są one zbrodniami przeciwko ludzkości określonymi w art. 3 ustawy z dnia 18 grudnia 1998 roku o *Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu* (Dz. U. Nr 155 poz. 1016 z późn. zm.), i stanowią zbrodnie wojenne, których ściganie też nie ulega przedawnieniu. Wszystkie te przestępstwa, co wcześniej wykazano, zostały popełnione w ramach motywacji określonej w tym przepisie – z powodu przynależności pokrzywdzonych do grupy narodowościowej. Należy również zwrócić uwagę na to, iż podobne przestępstwa traktowane były wcześniej na gruncie judykatury właśnie jako zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości. Orzeczenia o takiej treści zapadały m.in. w trakcie procesu norymberskiego, gdzie stwierdzono, że działalność polegająca m.in. na mordowaniu jeńców i ludności cywilnej miała charakter przestępczy, stanowiący czyny objęte Statutem Międzynarodowego Trybunału Wojskowego, a tym samym były zbrodniami przeciwko ludzkości oraz zbrodniami wojennymi. Czyny objęte orzeczeniami wydanymi w Norymberdze odnoszą się również do zdarzeń będących przedmiotem niniejszego postępowania. Pierwszy z procesów zakończył się wyrokiem ogłoszonym w dniach 30.09. i 01.10.1946 r. w Norymberdze i obejmował 21 oskarżonych: *Hermanna Göringa, Rudolfa Hess'a, Joachima von Ribbentropa, Wilhelma Keitl'a, Ernesta Kaltenbrunera, Alfreda Rosenberga, Hansa Franka, Wilhelma Fricka, Juliusa Streicher'a, Waltera Funka, Hjalmara Schacht'a, Karla Dönitz'a, Ericha Raeder'a, Baldura von Schirach, Fritza Sauckel'a, Alfreda Jodl, Franza von Papen'a, Artura Seyss-Inquart'a, Alberta Speera, Constantina von Neurath'a i Hansa Fritzsche'a, Martina Bormanna*. Tego ostatniego sądzono zaocznie, gdyż uciekł z więzienia. Heinrich Himmler natomiast popełnił w dniu 23 maja 1945 r. samobójstwo i tym samym nie zdołano go postawić przed sądem.

W toku niniejszego śledztwa nie było możliwości ustalenia bezpośrednich sprawców opisanych zbrodni, nie ma natomiast wątpliwości, iż sprawcą kierowniczym był Heinrich Himmler, który wydał dowódcom Einsatzgruppe rozkaz rozstrzelania wszystkich członków polskich związków powstańczych oraz Udo von Woyrsch, przekazujący ten rozkaz członkom z.b.v działających w dniach od 6 do 12. 09. 1939 r. w Katowicach.

Prokurator
Oddziałowej
Komisji
Ścigania Zbrodni
przeciwko
Narodowi Polskiemu
w Katowicach

Ewa Koj

Pouczenie:

Stronom przysługuje prawo przejrzenia akt sprawy i złożenia zażalenia na powyższe postanowienie do prokuratora nadrzędnego (art. 306 § 1 i 2 kpk.)

Jeżeli prokurator nadrzędny nie przychyli się do zażalenia, kieruje je do sądu (art. 306 § 2 kpk).

Sąd może utrzymać w mocy zaskarżone postanowienie lub uchylić je i przekazać sprawę prokuratorowi celem wyjaśnienia wskazanych okoliczności bądź przeprowadzenia wskazanych czynności (art. 330 § 1 kpk).

Jeżeli prokurator nadal nie znajdzie podstaw do wniesienia aktu oskarżenia wyda ponownie postanowienie o odmowie wszczęcia śledztwa lub o jego umorzeniu. Postanowienie to będzie podlegało zaskarżeniu tylko do prokuratora nadrzędnego (art. 330 § 2 kpk).

W razie utrzymania w mocy zaskarżanego postanowienia, pokrzywdzony, który wykorzystał uprawnienia przewidziane w art. 330 § 1 i 2 kpk może wnieść akt oskarżenia do sądu w terminie 1-go miesiąca od daty doręczenia zawiadomienia o postanowieniu. Akt oskarżenia winien spełniać wymogi określone w art. 55 § 1 i 2 kpk.

Inny pokrzywdzony tym samym czynem może aż do rozpoczęcia przewodu sądowego na rozprawie głównej przyłączyć się do postępowania (art. 55 § 3 kpk).

Na rozstrzygnięcie co do dowodów rzeczowych zażalenia przysługuje również osobie, od której odebrano przedmioty lub która zgłosiła do nich roszczenie (art. 323 § 2 kpk).

Zażalenie na powyższe postanowienie wnosi się za pośrednictwem prokuratora, który wydał postanowienie.

Termin do wniesienia zażalenia wynosi 7 dni od daty doręczenia odpisu postanowienia i jest zawity. Zażalenie wniesione po upływie tego terminu jest bezskuteczne (art. 122 § 1 i 2 i art. 460 kpk).

Zarządzenie:

1. Stosownie do art. 100 § 2 i 140 kpk odpis postanowienia doręczyć pokrzywdzonym: Kazimierz Rolnik, Jerzy Głąb, Jan Wosiek (t. IV)

.....
(data i podpis)

(Wytłuszczenia w tekście od redakcji)

O zagrożeniach środowiska naturalnego media w Polsce informują bez przeszkód od ponad 20 lat. To dostatecznie długa lekcja, by wreszcie zaczęła przynosić pozytywne skutki. Także w podnoszeniu społecznej świadomości ekologicznej. Jak jest naprawdę?

Częściową odpowiedzią na to pytanie są wyniki badań sondażowych, prowadzonych w ramach wieloletniego programu „Środowisko a zdrowie" na temat postrzegania przez Polaków właśnie problemów środowiskowych w kontekście zdrowia człowieka. Badania te, inspirowane, jak cały program resortów: środowiska i zdrowia, wymaganiami unijnymi oraz zaleceniami Światowej Organizacji Zdrowia (WHO),przeprowadzali w latach 2003–2005 pracownicy Instytutu Ekologii Terenów Uprzemysłowionych w Katowicach przy współpracy Instytutu Badania Opinii i Rynku PENTOR.

Objęto nimi zarówno zwykłych obywateli jak i przedstawicieli organizacji pozarządowych, jednostek administracji samorządowej oraz uczniów szkół podstawowych i gimnazjalnych. Wyniki trzyletnich badań wskazują na rosnącą świadomość ekologiczną Polaków, poczynajac od lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiatych, ale... nie jest to ocena jednoznaczna.

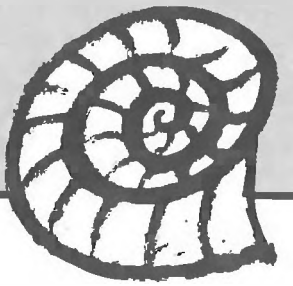
Zdecydowana większość

badanych, bo aż 80 proc. dostrzegła oczywisty związek pomiędzy środowiskiem a zdrowiem. Świadomość wpływu skażeń środowiskowych na pogorszenie stanu zdrowia mają zarówno mieszkający na terenach zdegradowanych ekologicznie jak i zaliczanych do czystych. A więc Polacy z wielkich aglomeracji jak i rolnicy. Nie znaczy to jednak, że posiadają wystarczajacą wiedzę o największych zagrożeniach ekologicznych. Widzą sens ochrony środowiska poprzez segregację śmieci i odpadów, dbałość o tereny zielone i czystość otoczenia czy stosowanie benzyny bezołowiowej. Nie byli świadomi potrzeby działań profilaktycznych związanych choćby z zapobieganiem skażeniom chemicznym czy narastajacemu hałasowi.

Znacznie wyższy stopień świadomości ekologicznej prezentowali przedstawiciele organizacji pozarządowych. Dla nich oczywista jest nie tylko prosta zależność pomiędzy stanem środowiska przyrodniczego a zdrowiem. Na zdrowie wpływa również w ich opiniach środowisko pracy, domu oraz otoczenia społecznego. W tym kontekście najgroźniejszym czynnikiem pogarszajacym jego stan jest...

EKOLOGIA

Kolumny dofinansowane ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach



Ekoświadomość...

Wyniszczający stres

Na pierwszym miejscu, wśród zagrożeń środowiskowych, umieściło go aż 66,7 proc. respondentów. Na drugiej pozycji przedstawiciele organizacji pozarządowych wymieniali toksyczne substancje chemiczne, dalej – zły stan środowiska przyrodniczego, następnie – uzależnienia, nałogi oraz brak poczucia bezpieczeństwa. Dostrzegli również zagrożenia środowiskowe, wpływające zarówno na stan zdrowia fizycznego jak i psychicznego, samopoczucie czy w ogóle jakość życia. Wsród nich wskazywali na takie m.in. czynniki jak: klimatyzacja, dym tytoniowy, kondycja gospodarcza i społeczna kraju, zmiany klimatu, promieniowanie elektromagnetyczne, genetycznie modyfikowana żywność i wszechobecne decybele.

W gminach

Największym i najczęściej wymienianym przez 87,8 proc. respondentów, zagrożeniem środowskowym, okazało się bezrobocie i w ślad za nim, zła sytuacja materialna rodzin. Istotnymi problemami społecznymi gmin, jak wynika z badań, są także patologie społeczne jak: alkoholizm, narkomania i przemoc. Gminy doceniły również potrzebę uporządkowania gospodarki odpadami, budowę i modernizację sieci wodociągowej i kanalizacji, budowę dróg, ochronę terenów zielonych, poprawę stanadardu życia w ogóle.

Badani przedstawiciele jednostek samorządowych przyznali równocześnie, że informacja o zagrożeniach środowiskowych jest dostępna i zapotrzebowanie na nią wciąż rośnie.

W szkołach

Wsród uczniów „sondowanie" stanu ekoświadomości odbywało się w 2005 roku. Bez mała cała ich grupa, bo 94 proc. dostrzegła silny związek pomiędzy zanieczyszczeniami środowiska a zdrowiem. Niestety, świadomość tego faktu nie pokrywa się z ogólną wiedzą uczniów na temat zagrożeń ekologicznych. Ich zdaniem największy wpływ na zdrowie człowieka ma zanieczyszczone powietrze. Mało kto orientował się, że groźne są również zanieczyszczenia zawarte w żywności, wodzie czy glebie, które mogą przenikać do organizmu zarówno drogą oddechową, pokarmową jak i przez skórę. To każe przypuszczać, że młode pokolenie nie bardzo uświadamia sobie związki i zależności pomiędzy poszczególnymi elementami środowiska.

Warto też odnotować, że uczniowie wskazywali też zagrożenia społeczne. Najbardziej niepokojacym ich jest nie tylko szkolny... stres!

Młodzież wiedzę o zagrożeniach przyrody, środowiska i jego wpływie na stan zdrowia najczęściej czerpie z radia i telewizji. W nieco mniejszym stopniu źródłem wiedzy na ten temat jest szkoła, rodzice i prasa.

Wszelkie badania opinii społecznej mają sens tylko wówczas, gdy są wykorzystywane, promowane, służą społeczeństwu. W tym przypadku tak się dzieje.

Wykonawcy programu „Środowisko a zdrowie" czyli zespół pracowników Instytutu Ekologii Terenów Uprzemysłowionych (współpartnerem programu jest Instytut Medycyny Pracy i Zdrowia Środowiskowego w Sosnowcu) ogromną wagę przywiązują do jego promocji!

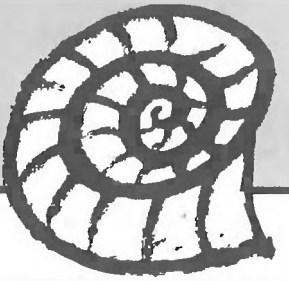
Mgr inż. Wanda Jarosz z Instytutu Ekologii Terenów Uprzemysłowionych, kierująca zespołem odpowiedzialnym w IETU za wykonanie środowiskowej części tego programu nie ma wątpliwości: ... „najważniejszym jego zadaniem jest przekazanie społeczeństwu praktycznej wiedzy na temat oczywistych związków pomiędzy zagrożeniami ekologicznymi i społecznymi a zdrowiem każdego z nas. A jeśli udaje nam się połączyć w sposób nowoczesny badania sondażowe reprezentatywnych grup społecznych z systematycznym przekazywaniem informacji o rezultatatch osiąganych w projektach badawczych, to chyba dobrze wypełniamy swoją misję".

Trzeba dodać, że misję tę docenił sam minister środowiska, honorując ją nagrodą za szczególne osiągnięcia badawcze i wdrożeniowe.

JOLANTA MATIAKOWSKA

EKOLOGIA

Kolumny dofinansowane ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach



Ważne pytania (1)

Rozmowa z dr. hab. PIOTREM SKUBAŁĄ

biologiem, etykiem środowiskowym, Uniwesytetu Śląskiego w Katowicach



Wymieranie

– Jak rozumieć we współczesnym świecie pojęcie ekologii?

– To nauka, która opisuje strukturę i funkcjonowanie przyrody, traktujac ją jako nierozerwalną całość. Mówi o zależnościach i wzajemnych wpływach między organizmami a środowiskiem abiotycznym oraz o związkach pomiędzy tymi organizmami. Próbuje zrozumieć, przybliżyć funkcjonowanie biosfery i wszystkich tworzących ją zespołów życia. W moim rozumieniu ekologia zmierza do opisania tajemnicy życia na Ziemi.

Uświadamia też konieczność szacunku dla życia w każdej jego postaci. W biosferze, na naszej planecie wszystko z wszystkim jest powiązane. Amerykański biolog Barry Commoner wyraził to następująco: „Każda rzecz jest powiązana z wszystkimi innymi rzeczami".

Z punktu widzenia ekologii każda forma życia jest tak samo ważna. Człowiek nie jest tu wyjątkiem.

– Tymczasem współczesnemu człowiekowi wydaje się, że podporządkował sobie Ziemię. Jaki jest tego bilans? Nasza cywilizacja jest sukcesem czy klęską?

– Na pewno nie jest to sukces, gdy uświadomimy sobie, że żyjemy w epoce szóstego wymierania. Ziemia miała w swojej historii momenty kryzysowe. Pięciokrotnie dochodziło do wielkich katastrof. Najgroźniejsza z nich wydarzyła się mniej więcej 250 mln lat temu. Wówczas najprawdopodobniej w Ziemię uderzyło ciało kosmiczne. Spowodowało to wyginięcie 95 proc. gatunków żyjących w morzach i 70 proc. gatunków lądowych. Było to trzecie, wielkie wymieranie.

Po raz pierwszy jednak się zdarza, że sprawcą kolejnego, szóstego już wymierania żyjących na Ziemi gatunków jest sam człowiek. Według optymistycznych szacunków uczonych, każdego roku ginie bezpowrotnie na naszej planecie pięćdziesiąt tysięcy gatunków. Niemała grupa uczonych jest przekonana, że liczba ta jest jeszcze większa i każdego roku znika z naszej planety do stu pięćdziesięciu tysięcy gatunków. Obecnie tempo niszczenia życia jest szybsze od naturalnego. Od pięciu tysięcy do dwudziestu pięciu tysięcy razy! Wniosek jest prosty. Ludzkość, nasza cywilizacja rozwija się kosztem utraty życia na Ziemi!

– Wiemy przynajmniej ile gatunków na niej żyje?

– Niestety, nie! Potrafiliśmy określić liczbę gwiazd w Drodze Mlecznej, odległość Ziemi od Słońca, masę elektronów, liczbę genów wielu gatunków (ostatnio udało się rozkodować nawet genom szympansa!). Nie umiemy nadal odpowiedzieć na fundamentalne pytanie: jakie i ile gatunków żyje z nami na Ziemi, współtworzy ją? Mimo że od dokładnego poznania Ziemi, jej budowy, funkcjonowania i wszystkich występujących w biosferze form życia zależy nasza egzystencja. Dowodzą tego globalne już obszary niszczonej przyrody.

Ocieplanie się klimatu, powiększająca się dziura ozonowa, kurczenie się w zastraszającym tempie dżunglii tropikalnej (jej powierzchnia zmniejsza się co sekundę o obszar kilku boisk do piłki nożnej!), wymieranie tysięcy gatunków roślin i zwierząt w Basenie Śródziemnomorskim, zniszczenie w ponad 65 proc. powierzchni naturalnej Indii i podobnej procentowo powierzchni Argentyny czy wreszcie choroby spowodowane zanieczyszczeniem powietrza, na które cierpi m.in. lwia część ludności Bangkoku – to zaledwie nieliczne fakty świadczące o tym, że jesteśmy obywatelami cywilizacji śmierci.

– Jest możliwe powstrzymanie obecnego procesu szóstego wymierania?

– Sytuacja nadmiernego wykorzystywania przestrzeni ekologicznej jest w miarę dobrze zdiagnozowana. Międzynarodowa grupa ekspertów pod kierunkiem prof. Mathisa Wackernagla ze Stanów Zjednoczonych pragnąc ocenić zasoby Ziemi i stopień ich eksploatacji przez ludzkość, opracowała w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku koncepcję tzw. stopy ekologicznej. Jest to mówiąc najprościej miara naszej konsumpcyjnej pazerności. Na stopę ekologiczną danej populacji składa się obszar niezbędny do wytworzenia żywności i wszelkich innych dóbr, wprowadzania odpadów do środowiska oraz budowy infrastruktury. Oblicza się ją w hektarach dla poszczególnych państw, kontynentów, wreszcie pojedynczych osób. Ta wskaźnikowa metoda pozwala dość precyzyjnie ocenić wielkość obciążenia środowiska, jego przekroczenia, czy ekologicznego deficytu. Z tych pomiarów wynika, że w latach 60. ubiegłego wieku ludzkość wykorzystywała 60 proc. zdolności produkcyjnych Ziemi, obecnie już 120 procent! W 2050 roku tempo korzystania z rocznych możliwości produkcyjnych biosfery może sięgnąć nawet 220 procent!!! A to oznacza katastrofę, skoro... Według wskaźnika stopy ekologicznej dziś przeciętny Amerykanin korzysta z dóbr odpowiadających blisko 10 ha powierzchni, Polak z 3,6 ha, mieszkaniec Chin jeszcze z 1,5 ha powierzchni. I apetyty konsumpcyjne na całym świecie rosną błyskawicznie.

– Jak przeciwstawić się konsumpcyjnej orgii, zawrócić z drogi nadmiernego czerpania z zasobów przyrody?

– Na wykładach, spotkaniach z młodzieżą często zadaję pytanie: co zrobić, by zmienić świat i od przysłowiowego jutra było inaczej? Co może się stać, by ludzie zaczeli myśleć bardziej przyjaźnie o Ziemi, przyrodzie, środowisku, w którym żyją. Przede wszystkim trzeba skutecznej edukować, tłumaczyć czym jest przyroda, jak funkcjonuje i jakie jest miejsce człowieka w ekosystemie życia. Przypominać, że świat, przyroda są jednością. Niszczenie jednej z form życia oddziaływuje negatywnie na pozostałe. Uświadamiać, że życie każdego z nas uszczupla wyczerpywalne zasoby przyrody, a lekceważąc ją przyśpieszamy proces samozniszczenia.

A przecież żyjemy wyłącznie dzięki bogactwom natury i jej zasobom. Nawet wtedy, gdy korzystamy z komputera i wydaje nam się, że przenieśliśmy się do doskonałego, wirtualnego świata. Patrząc na osiągnięcia myśli ludzkiej, zdobycze cywilizacji, nieprawdopodobne wynalazki trudno nam uwierzyć, że może zdarzyć się wielka katastrofa. Ale to tylko dowodzi granic czy wręcz ograniczoności naszego myślenia.

– Nauka nie zawsze chce uznać te granice, może dlatego ludzkość nadal żyje w ekologicznej beztrosce...

– Przysłowiowe światełko w tunelu już się zapaliło. Od trzydziestu – czterdziestu lat coraz popularniejsze, nie tylko wsród ludzi nauki staje, się nowe myślenie ekologiczne, alternatywna filozofia, nazywana środowiskową, która coraz skutecznej przeciwstawia się prymatowi ekonomii. Miejmy nadzieję, że stanie się ona wielkim wyzwaniem świadomych społeczeństw świata, zaniepokojonych obecnymi i prawdopodobnymi w niedalekiej przyszłości skutkami niszczycielskiej cywilizacji.

Rozmawiała:
JOLANTA KARMAŃSKA



PODKOPKI

Trójkąt rozwartokątny

Ten kluczowy dla każdego w miarę normalnego państwa układ relacji można przedstawić obrazowo w kształcie trójkąta, którego wierzchołki stanowią instytucje prawa i bezpieczeństwa, dążące – zgodnie z powołaniem – do maksymalnego ograniczenia działań świata przestępczego. W Polsce naszych czasów ta czytelna, prosta figura geometryczna znajduje się jednak w stanie nieustannego przekształcania, lecz w niepożądanym zgoła kierunku. Otóż dwa kąty oznaczające chwalebne siły sprawiedliwości i porządku publicznego stają się coraz bardziej ostrokątne, za to zyskuje na zwartości zachłanny kąt bezprawia i przestępczości wszelkich odmian. W dziejach tej raczej dobrodusznej krainy nie był to jeszcze nigdy aż do tego stopnia trójkąt rozwartokątny, w którym nieustannie kurczą się kąty – w istocie mizerne już kąciki – reprezentujące w tym układzie służby prawa i ładu, za to zyskuje na bezkarnych wpływach ponury kąt wszelkiej maści zbirów, oszustów i rabusiów. Nie ma dnia, by nie okazało się, jak bardzo nasza Temida jest podatna na pokusy korupcji i płatnych zleceń, zaś afery i skandale w sądownictwie i policji zdają się nie mieć granic.

Tak zwany prosty obywatel, w tym kontekście raczej życiowy niedołęga, znajduje się od lat w stanie nieustającego szoku, skoro co gazeta i program telewizyjny, to nieprzerwany ściek kryminalnych sensacji. Co by jednak nie rzec, lecz akurat na brak mocnych wrażeń nikt nie może się skarżyć. Nie to co w czasach zgrzebnego PRL-u, gdy do najważniejszych problemów zaliczono programową walkę z nudą. Szczególnie w odniesieniu do młodzieży, której nudziło się, nudziło i nudziło i to jeszcze z bliżej nieznanych powodów. Mniej więcej pół wieku temu, gdy wraz z nastaniem pierwszych znaków politycznej odwilży (termin od aluzyjnej powieści Ilii Erenburga) rozpoczął się czas rozmrażania postalinowskiej rzeczywistości, jednym z naczelnych haseł ideologicznej odnowy życia stała się właśnie walka z obezwładniającą nudą. Trwało to mniej więcej do wydarzeń marcowych, gdy zbyt rozhasaną młodzież uciszały skutecznie tęgie pały. Wcześniej, jak w znanej piosence z roku 1964 pt. „To wszystko z nudów", Agnieszka Osiecka snuła rzewną opowieść o młodzieżowej bandzie Rudej Barbary, co to „nie miała cierpliwości, nie lubiła pod Pedetem się obijać, nie słuchała dobrych rad"... A przecież: „To wszystko z nudów, wysoki sądzie, to wszystko z nudów".

Patrząc z obecnej perspektywy świat przestępczy tamtych czasów wydaje się być rodem z głębokiej prowincji. A już szczególnie kręgi podziemia gospodarczego reprezentowane przez jakichś tam mankowiczów, spekulantów i paskarzy. Oto pracownica rzeźni uspołecznionej wychodziła z pracy owinięta połciem słoniny. Tam znów ekspedientki trzymały na zapleczu nieobecną na półkach kawę „Santos". Kto inny wynosił potajemnie paski klinowe. No i poczciwi łapówkarze odwzajemniający się czym bądź, nie mówiąc już o butelkach gruzińskiego koniaku. Przestępstwa drobnotowarowe na miarę czasów – za to jakie kary!

Jak ten przestępczy plebs ma się do supergangsterów gospodarczych III RP, czy bosów potężnych gangów z obstawą płatnych zbirów! Śmierć przy śniadanku legendarnego Nikosia. A zasadzka na śp. Andrzeja Kolikowskiego, czyli „Pershinga", bossa potężnego Pruszkowa, którego zabili z zimną krwią Ryszard Bogucki i „Rzeźnik", bezwzględny Ryszard Niemczyk, co wkrótce dał dyla z wadowickiego kryminału – nim przepadł na cztery lata. No i te powroty tropionych gangsterów na wojskowych transportowcach i to nawet z drugiej półkuli w warunkach najwyższej, międzynarodowej konspiracji.

Zanim jednak doszło do rozprzestrzenienia zorganizowanej przestępczości a wkrótce do powstania potężnych mafii, siła i wszechmoc pieniądza musiały zyskać skuteczne wsparcie w powiązaniach przestępczych elit ze światem polityki i władzy, przy wsparciu skorumpowanego wymiaru sprawieliwości a nie bez osłony policji, co raz po raz wychodzi na jaw. Przeciętny dobroduszniak pochylony nad „Faktem" czy wpatrzony w telewizor, z pilotem w ręku dowiaduje się niemal co dnia, że „Sąd się sprzedał" a znany już teraz z nazwiska „gdański adwokat po cichu ustalał z sędziami i prokuratorami przebieg procesów i korzystne dla bandytów wyroki". Afera tu – afera tam – jak Polska długa i szeroka. No bo jak to możliwe, że akurat „Z Centralnego Biura Śledczego w Poznaniu wyciekły ściśle tajne wiadomości o informatorach Biura w środowiskach przestępczych", które trafiły do gangsterów! I jak to się działo, że „Podczas zakupu sprzętu komputerowego dla policji i więzień wyprowadzono miliony do spółki, której siedzibą to opuszczona wiejska chałupa" z tabliczką nieistniejącej firmy tuż przy granicy z Rosją.

W zalewie niezliczonych afer, skandali i sensacyjnych demaskacji wydarzeniem roku stało się jednak aresztowanie byłego szefa śląskiej policji, generała Mieczysława Kluka, oskarżonego nie tylko o towarzyskie związki z czołowymi gangsterami mafii paliwowej z Częstochowy – Arturem K. i Przemysławem K., szefem firmy Note. To iż dzięki życzliwości wszechmocnego wówczas komendanta kilka tysiecy policyjnych radiowozów zaopatrywało się w benzynę tak fatalnej jakości, że zacierały się silniki, nie ma w tym przypadku większego znaczenia. Przecież baron paliwowy Artur K. wyszedł z aresztu właśnie za poręczeniem Ojców Paulinów z Jasnej Góry, którzy wyłożyli w dowód chrześcijańskiej poręki aż 2 mln złotych.

A jednak wszystko jest możliwe, wystarczy, że nieprawdopodobny przypadek gdzieś się w końcu wydarzy na dowód, że niczego nigdy wykluczyć nie można. Kto dałby na przykład temu wiarę, że nieprzejednany tropiciel zbrodniczych gangów, słynący z żelaznej ręki i śledczej pasji w likwidowaniu przestępczych hord i gospodarczego podziemia – on, szef największej w kraju komendy wojewódzkiej policji, który pasowany był na komendanta głównego, nie tylko nie okaże się pogromcą bezkarnej od lat, potężnej mafii paliwowej, ale jej przekupnym informatorem.

Nie, to się nie mieści we łbie, że absolutnie tajny dokument o powołaniu międzyresortowej grupy do ścigania przestępców paliwowych, zawierający nazwiska oficerów policji i inspektorów skarbowych z całego kraju, że taki dokument został znaleziony podczas rewizji u prezesa szczecińskiej BGM, firmy odgrywającej kluczową rolę w największej aferze paliwowej tych lat, i że mógł być przekazany przez generała komendanta zajmującego się „rozpracowaniem" tejże mafii. A równocześnie został udostępniony tekst opisujący te przestępcze działania, opracowany przez podległy komendantowi wydział policji.

Był maj odurzający zapachem kwitnących sadów i bzów, gdy rozegrała się scena, której by nie wymyślił zawodowy scenarzysta specjalizujący sie w tematyce kryminalnej i gangsterskich serialach. Do willi generała we wsi Miedźno pod Częstochową zapukali mężczyzna i kobieta. Gdy okazało się, że są z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, zwalisty, podpity mężczyzna sięgnął po pistolet. Nie zdążył go jednak przeładować i padł unieruchomiony w kajdankach. Konwój w drodze do krakowskiej prokuratury musiał się zatrzymać przy jednym z komisariatów, bo generał stał się niezwykle agresywny. Zaskoczeni policjanci ujrzeli skutego byłego komendanta wtaczanego do komisariatu na czworakach. A że nie chciał dmuchać w alkomat, trzeba było pobrać do badania krew.

Czy oskarżenia i dowody potwierdzą się, wykaże proces. Lecz jeśli tak, to mogą w jednej celi znaleźć się były szef KWP i szczególnie groźny bandzior, bo skoro wszystko jest możliwe? Jaką linię obrony przyjmie pozyskany dla tej sprawy adwokat – okaże proces. A mogą posypać się teraz głowy, bo co generał w stanie spoczynku, do tego w więziennym uniformie, ma jeszcze do stracenia.

A wracając do przedstawionego na wstępie coraz bardziej rozwartego trójkąta sądzę, że obrona generała M. Kluka powinna dążyć do wykazania, iż wzrost przestępczości, szczególnie o skomplikowanych powiązaniach, powoduje stałą bezsilność prawa, które z natury rzeczy nigdy nie nadąża za rozwojem przestępczości. A już szczególnie tej o wielorakich związkach ze światem władzy i polityki. W takim jednak razie wkład generała i jego sprawy w doprowadzeniu prawa do większej skuteczności może okazać się wręcz zbawienny. Byłaby to już inna sytuacja rzutująca także na złagodzony wyrok – jak zawsze gdy karę równoważy odpowiednia do poniesionej ofiary wdzięczność.

SKORPION

ANEGDOTY

HENRYK BZDOK



Roman Maciuszkiewicz – artysta, który z mistrzostwem posługuje się nie tylko pędzlem ale także piórem, przebywał kiedyś na plenerze w Pszczynie, na spotkaniu u tam zamieszkałych przyjaciół zapytany został o to, czy też popełnił kiedyś jakiś autoportret, „masz taką malarską twarz, powinieneś ją utrwalić". Kiedy rano wstanę – odpowiedział Roman – myjąc się, goląc, smarując płynem skórę i czesząc włosy, uważam, że czynię wystarczająco wiele dla jej utrwalenia.

MYŚLI RÓŻNE O KONWERSACJI

Konwersacja nie jest wyprawą po wiedzę, jest tylko pościgiem za efektem.

JOHN KEATS

Nadmiar zgody zabija rozmowę.

JOSEPH ADDISON

Wciśnij kilka rodzynek konwersacji w pozbawione smaku ciasto egzystencji.

O. HENRY

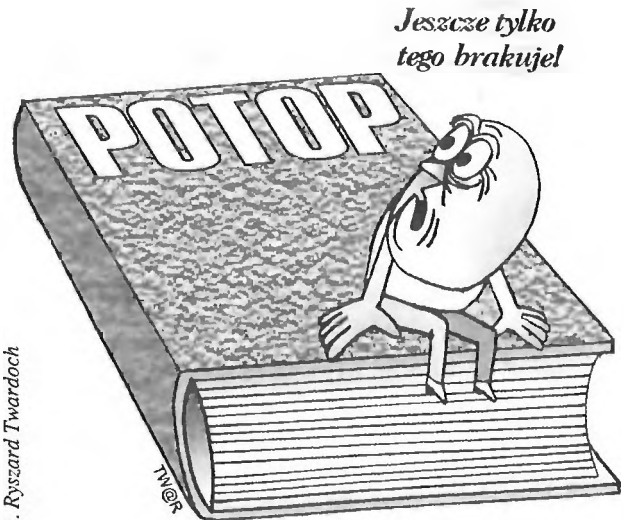
Nie ma niczego takiego jak konwersacja. To czysta iluzja. Są przerywane monologi, to wszystko.

REBECA WEST

Kiedy ludzie mówią nam o innych, zazwyczaj są nudni. Kiedy mówią o sobie, są niemal zawsze interesujący.

OSCAR WILDE

(tłum. F.N)



Rys. Ryszard Twardoch

PODKOPKI

FRASZKI

CZESŁAW CZAIKA

NAGROBKI

Leppera

Tu leży niby rolnik,
Lista grzechów długa,
Co się rwał do polityki,
A stronił od pługa.

Pani Bochniarz

Nie spodobało się Panu,
Że chciała być mężem stanu.

Tymińskiego

Kolejny kiks
Lidera „X".

Bubla

W synagogach jubel,
Że nie wygrał Bubel.

Tuska

Już od wczesnej młodości
pociąg miał do wysokości.

Borusewicza, marszałka Senatu

Nic, że nieżywych zasilił gremium,
Bo znowu działać może w podziemiu.

Jurka

Choć żył bogobojnie,
Popadł w niełaskę,
Gdyż będąc żonatym,
Brał w łapy laskę.

Jacka Kurskiego

Drzyjcie wszyscy święci.
Bo gotów po swojsku
Wytropić kiedy wasz dziad
W czyim służył wojsku.

P.S.
Opinia o nas jest taka:
Zaimponowaliśmy światu,
Czyniąc wielkiego Polaka
Z mężczyzny małego formatu.

Cynobrowy kapelusz Inglota

EDWARD SZOPA



Rys. Edward Inglot

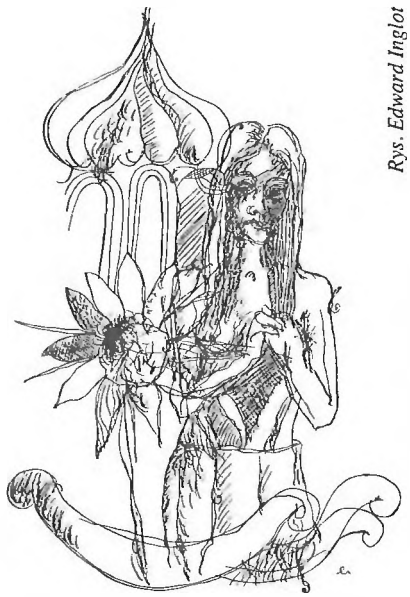
Na dworcu wita mnie z radosną, choć powściągliwą wylewnością, Edek. A jakże, z zatkniętym za pazuchą kajetem, w którym wciąż i wciąż rysuje obgryzionym ołówkiem „łby", głównie własne oraz natchnione w swym wyrazie wielce intrygujące scenki. Większość opisuje równie zastanawiającymi wierszykami. Proszę go o szkicownik i od razu przystępuję do jego kartkowania. Zatrzymuje mnie na dłużej jeden z autoportretów opatrzony następującym zapisem: *Rzekę niosę w ramionach / jak kołyskę małą / i sny dziecięce / i dziecięcą pieśń / w zakolach serca / zawilec kwitnie biało / i łąka nostalgią rośna.*

Autor inskrypcji wyjaśnia, że on ciągle pisze ten sam, nigdy nie dokończony wiersz. Z czasem pewnie wyda jakiś kolejny zbiorek, a właściwie fragmenty tego wciąż niespełnionego poematu...

Drogę do domu pokonujemy powolnie, gdyż całkowicie zatapiamy się we wspomnieniach; znamy się wszak od wczesnej młodości. A spotykaliśmy się bardzo często, głównie w miejscach, gdzie zwykły się krzyżować Kultura ze Sztuką. Najpiękniejsze rozmowy to te, które prowadziliśmy w jego pracowni. Gościliśmy się również w swoich domach, a także udzielaliśmy sobie wiele miejsca – on w swoich rysunkach i na płótnach, ja natomiast na łamach czasopiśmienniczych i stronicach książek...

– Tak, tak, wytknąłeś mnie nawet jako „Edka od łbów" – w głosie przyjaciela dźwięczy ciepła nutka. – Jestem w stanie nawet ten fragment „Didi", choć nie wiem czy zbyt wierne, zacytować: „– Pan mnie już przecież pocałował. A tak! Wtedy na ulicy, jeszcze w Sofii. No tak, pan mnie przecież pocałował w... łeb! Omal nie dławię się jabłkiem. Łapie mnie spazmatyczny śmiech. Zawsze mnie bawią przejęzyczenia (sam też niekiedy padam ich ofiarą), czy niewłaściwe użycie słów i terminologii, ale ten oto lapsus weseli mnie wyjątkowo. A sam do tej prześmieszności doprowadziłem. Otóż opowiadałem mojej orientalnej piękności, że mam przyjaciela malarza, który maluje wyłącznie łby. Stąd wśród znajomych mówi się nawet: Edek od łbów.

Nie, nie trzaska portretów konkretnych ludzi, tylko twarze; surowe oblicza hieratycznych, udręczonych życiem starców, najczęściej pochylonych nad bochnem chleba, studziennych (istniał taki zawód), dziewcząt bezpanieńskich o nieco przedwcześnie odkształconych macierzyństwem rysach, ale w zamian za to o pięknych piersiach, bynajmniej nie wezbranych pokarmem, boleściwych świątków. Twarze smutne i przygnębiające, cała plejada typów pogodzonych ze światem. Przy wnikliwym spojrzeniu okazuje się, że mężczyźni, to właściwie wyłącznie autoportrety, a kobiety zaś, to studia jedynej jego modelki – żony. Nie po-



Rys. Edward Inglot

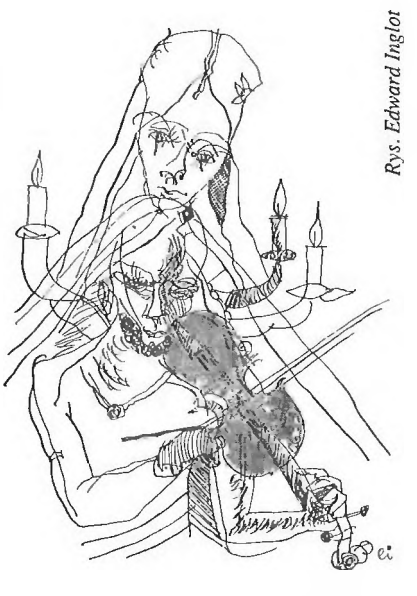
wiem – „Iby" dalece niebanalne w wyrazie, robią głębokie wrażenie. Prezentacje te czasem, być może, bywają w odbiorze trudne, ale obraz po obrazie następuje u widza oswojenie, akceptacja. I nawet przyjaźń. Wszak w ekspozycjach odnajdujemy swe wewnętrzne stany, poddajemy się również chwilom skupienia wręcz modlitewnego. Po wyjściu z wystawy (pracowni) wciąż zdaje się nam towarzyszyć smutna i dziwna para z atrybutem królewskości w postaci korony nasadzonej na skronie. Odprowadza nas tylko, bo przecież zdążyliśmy się polubić, czy też wiedzie je ciekawość, gdzie teraz zmierzamy..."

Niestety, frapująca i natychmiast rozpoznawalna sylwetka artysty znikła z ulic Bytomia. Edward Inglot osiadł w Lublińcu. I właściwie ustały żywe dotychczas kontakty, nie licząc rzadkich, bo prezentuje się niechętnie, spotkań na jego wystawach...

Niepostrzeżenie zbliżamy się do jego domu. I zgodnie z oczekiwaniem w ogródku pośród bujnego kwiecia zadziera dyszel pług – to jeden z „happeningowych" rekwizytów (symbol mocnych więzi autora z ziemią), jakimi ogniś zwykł poszerzać wypowiedzi malarskie. Jestem pewny, że w domu natknę się też na konika na biegunach przeniesionego z dzieciństwa w dorosłość, jako kolejnym łącznikiem ze źródłem. Oraz, że zostanę poczęstowany pajdą razowca – symbolem dzielenia się nie tylko podstawowym dobrem domowym ale i sztuką...

Przedtem jednak udajemy się do sadu. Tu też znajdujemy kolejny eksponat z dawnych prezentacji – wózek, który niegdyś wypełniały „szpeje" malarskie. Teraz służy wyłącznie celom bytowym. Ale to nie zaczarowany czterokół jest celem spaceru, lecz kozy – podstawowy zasób inwentarza żywego, Obecny stan posiadania i stałej a niezmordowanej troski gospodarza, wynosi sztuk trzy – diaboliczny kozioł, ciut chyba za pękata mama i aniołkowata córcia, gotowa do nawiązania natychmiastowej przyjaźni.

Dzielę wzrok między przychówkiem a jego pasterzem. Pytam rozczulonego Edka, co go ostatnio szczególnie wzruszyło. Bez namysłu odpowiada, że prawdziwy ogrom przeżyć dostarczyła mu lektura książki Wiliama Whartona *Niezawnione śmierci*. A targnął nim wstrząsający opis rodzinnej tragedii... Wtedy to zapragnął coś dla tego człowieka zrobić. Oczywiście po swojemu, a więc zabrał się do pracy nad albumem o swej twórczości, w którym zawarł artystyczną spowiedź ze swego żywota. Też przecież niełatwego. Owo cacuszko bibliofilskie o dość dużej nośności graficznego znaku i lirycznej wypowiedzi przekazał autorowi przez jego syna, który w Opolu prowadził lektorat angielskiego. Zaś po roku, kiedy głośny autor przyjechał do Polski, aby promować swoją ostatnią książkę *Rubio*, doszło do umówionego



Rys. Edward Inglot

spotkania. A wówczas dosłownie pojaśniał hol w Bristolu – od wyzwolonej wreszcie radości! Okazało się jednocześnie, że wzięty pisarz jest również malarzem i od niego też otrzymał w rewanżu podobny album...

Edward znów przeżywa tamte wzniosłe chwile, głaszcze z czułością przymilną kózkę. Korzystam z okazji i przechodzę do następnych, jeszcze bodaj mocniejszych przeżyć: – Słyszałem wiele dobrego o udanej prezentacji twoich praz na Kazimierzu w Krakowie?

– Od lat chodziła mi po głowie wystawa, którą chciałem poświęcić w hołdzie Chagallowi. No i z szefem galerii Szalom ustaliliśmy, iż spełnienie tego zamysłu może nastąpić podczas Festiwalu Kultury Żydowskiej. Niech ci będzie, że dla uświetnienia tej głośnej imprezy. Do pokazu przygotowywałem się przez rok, a objął prawie 100 prac. Na pytanie dziennikarki, skąd ta cześć dla Marca Chagalla, skoro moja twórczość w niczym nie podobna do autora *Zegara z błękitnym skrzydłem* odpowiedziałem, że to uwielbienie nie bierze się przecież z satelictwa, lecz z miłości do kunsztu malarskiego i fascynującego pojmowania sztuki mistrza z Witebska... Tak, tak, satysfakcje, jeśli muszę się koniecznie do nich przyznać, okazały się wcale, wcale...



Rys. Edward Inglot



Rys. Edward Inglot

Ku uciesze capa, który decyduje się właśnie, aby mnie, przybłędę, jeśli nie wręcz nasadzić na rogi, to przynajmniej fest tryknąć, odchodzimy od zagrody i zmierzamy wreszcie do domu. Artysta nie ma tutaj, w Lublińcu, pracowni, więc też wszystkie pomieszczenia pospołu ją zastępują. Także i potrosze galerię z retrospektywną wystawą. Wkraczam więc znów oto w świat stworzony przez poezję, która wyrasta z umowności i symboli oraz z tropów kulturowych. Oczywiście, jak to bywa u tego artysty, podstawą każdego dzieła jest kreska (misterna i zawsze ruchliwa, i napięta, która raz nieledwie muska, to znów wcina się brzytewnie, czasem chlaśnie zaś na odlew), dając najczęściej rysunek czysty, niekiedy lawowany. Najczęściej na misterną siatkę linii nakładają się plamy barwne. Zamazy farby to ostre i niepokojące znaki zdarzeń, które doprowadziły do dramaturgicznego przedstawienia. Zwłaszcza te pierwsze prace epatują nagłymi zmianami nastroju, uderzają w oczy kolorami ostro, niczym pokrzywami. Z czasem jednak zarzuca szokujące nieraz nagłości, wyhamowuje jakby, staje się bardziej skupiony. I wyciszony. Ale tak już chyba bywa u artystów – dojrzałość (życiowa i warsztatowa) uczą jednego: pokory. A ta wyraża się zawsze w prostocie. I umiarze...

Na domową prezentację składają się głównie portrety, przede wszystkim owe zasmęcone autoportrety. Zewsząd więc obserwują mnie łagodne i cierpliwe spojrzenia zwielokrotnionego przyjaciela. Gdzieś chyba na sam koniec świata biegnie aleja z czochrającymi się nad nią drzewami. To znów zatrzymuje dąb na rozstajach. Odwiecznie święte drzewo. Nic dziwnego zatem, że jak to między swojakami bywa, przytulała się doń przez dziesiątki lat kapliczka. Ciężko przeżył gwałtowną rozłąkę. Teraz z nawyku, no i przyrodzonych uprawnień także, odbiera pokłony i błogosławi troskliwie krokom wędrowców. Obok improwizuje skrzypaczka, dalej pysznią sią akty kobiece. Nie są to jednak pozujące modelki, lecz dalece odlalkowane, pełnokrwiście ucieleśnione kobiety. Nie brak również sękatego starca coraz mocniej obejmującego bochen chleba, chyba broni go przed ulatującymi z jego kapelusza wróblami...

Tu wypada koniecznie wspomnieć, iż w latach 80. Edward Inglot wydał zbiorek swoistych rysunkowierszy pt. *Razowiec*. O tego typu publikacji marzy chyba każdy malarz, posiadający ambicje poetyckie. Ideału, co prawda, nikt jeszcze nie osiągnął, i nie dokonał tego również Inglot, ale spróbował się przynajmniej do niego zbliżyć. I taką właśnie próbę, zresztą w dużej mierze udaną, podjął autor intrygującego dziełka.

Dalej zgrzebna chata zapamiętana z dzieciństwa z ognistym wiatrem...

Każda z postaci zawsze występuje w koronie. W cierniowej czy diademowej? Twórca owych insygniów tłumaczy mi, iż dzięki tym atrybutom wyraża głęboki szacunek do człowieka. I nie są ani nakładane, ani też opasywane – po prostu korony, jako że są przymiotami naturalnymi, wyrastają z głowy, jak powiedzmy banalnie – grzebień kogutowi!

No i jak przypuszczałem, gdzieś we wnęce okiennej tkwi konik na biegunach. Nadal jest pooblewany woskiem, bowiem podczas ulubionych kiedyś a słynnych „happeningów" służył do rytualnego spalania rysunku...

Acha, nie mogę pominąć jeszcze dwóch eksponatów osobliwej kolekcji – małżeńskich portretów: Ilony i Edka. Wykonał je onegdaj Staszek Mazuś. To dwie różne szkoły malarskie, ale ten sam poziom, podobna również wrażliwość. Wytwory odrębnych warsztatów twórczych bytują więc zgodnie. Ba, aprobują swą inność – Edward zawsze intrygował portrecistów, a Ilona nigdy nie zawodziła przecież jako modelka.

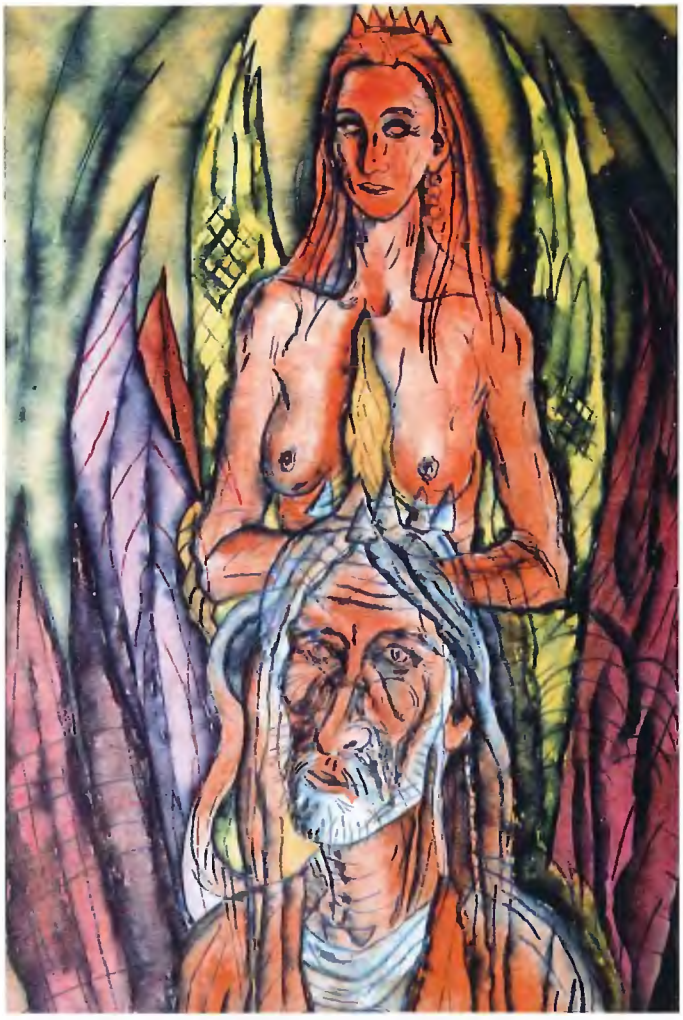


Rys. Edward Inglot

– Przy herbacie pytam kustosza niezwykłego muzeum o najbliższe plany twórcze. Zwleka z odpowiedzią, gdyż z postanowieniami bywało często na opak. Ryzykuje jednak: – Pokaże coś za dwa lata.

– No to, jak na ciebie, Edward, gwałtownie wzmagasz tempo! A to „coś", czym się ma okazać?

– Tak, przygotowywuję wystawę, już od dawna ten zamysł za mną chodzi, a objawi się pod tytułem: *Oswajanie wieczności*. A najkrócej – poprzez swoje obrazy pragnę oswoić zaświaty. Nadrzędny motyw tej historii, bo zanosi się przecież na długi ciąg, to stary, kwitnący sad śliwkowy – symbol steranego życiem człowieka, który jednak nadal kwitnie i owocuje. Będzie to zatem egzemplifikacja wszystkich moich twarzy, a również portrety podwójne: artysta i jego żona. Zilustruję proces odchodzenia. A więc od barwnych i ożywionych, z czasem spopielałych, sprowadzonych w końcu do szarości i czerni. Natomiast ostatni, zamykający wystawę autoportret pokaże twarz zieloną. To kolor nieśmiertelności i pojednania w cynobrowym (barwa żarzącego się światła) kapeluszu... Dobrze, dobrze, potwierdzę twój domysł – pokaz odbędzie się, a jakże, w przyjaznej mi galerii kazimierzowskiej w Krakowie. ■



Edward Inglot







KOMPANIA PIWOWARSKA

1629
TYSKIE
BROWARY KSIĄŻĘCE

SPONSOR „ŚLĄSKA”



Leszek Żegalski „SZEŚĆ PORTRETÓW", akryl płótno



Henryk Waniek „ULICZKA", olej płótno, deska



Stanisław Mazuś „ROZTAŃCZONE", olej płótno



Renata Bonczar „ZAUŁEK MIKOŁOWSKI", olej płótno



Franciszek Dziadek „ŚWIETLIK", papier pastel

XV IMPRESJE MIKOŁOWSKIE



Franciszek Maśluszczak „Z DNIA CUD", akryl płótno

Wyspa jednorożców

Już po raz któryś, wchodząc na Rynek w Mikołowie, odnoszę wrażenie, że tym swoim urokiem retro pokpiwa on sobie trochę z Le Corbusiera: „Naprawdę sądzisz, że to ty wymyśliłeś architekturę na wymiar człowieka?" A jest w tym mieście jeszcze wiele innych, ciekawych miejsc, które przemawiają za tym, aby to właśnie tu organizować plastyczne plenery. Tak się też dzieje od lat i to z dobrym skutkiem. Dlatego z chęcią przyjechałem do Miejskiego Domu Kultury zobaczyć już XV Międzynarodową Wystawę Poplenerową *Impresje Mikołowskie*.

Z plenerową twórczością bywa różnie. Zdarza się, zwłaszcza kiedy twórcy orientują się, że organizatorzy oczekują od nich dokumentacji miejsca w stylu telewizyjnego cyklu *Piórkiem i węglem,* iż plonem spotkania artystów są wymęczone, szkolne studia, będące w zasadzie „wyrazem wdzięczności" za gościnę i niczym więcej. Na szczęście organizatorzy pleneru mikołowskiego, czyli Urząd Miejski, Galeria MDK oraz Muzeum w Gliwicach niczego przyjeżdżającym tu plastykom nie narzucają. Dlatego *Mikołowskie Impresje* to nie tylko pejzaże ukazujące urodę miejscowego „naturalnego środowiska", malarskie „zapisy" architektury miasta, ale i bardzo seksowne anielice z prac Joanny Sierko-Filipowskiej z Komorowa, pręgowane jak zebry jednorożce oraz inne fantastyczne stwory powołane do istnienia przez Daniela Pieluchę z Działoszyna (jednorożca namalował również Stanisław Tabisz z Krakowa), czy też tajemnicze wyspy z widocznym w dali żaglowcem i unoszącymi się nad nimi kolorowymi parasolkami pędzla Barbary Warzeńskiej ze Szczecina.

Mikołów i morze? Mikołów i jednorożce? Mikołów i stół z kawałkami weselnego tortu na talerzach (utrzymana w szlachetnej gamie kolorystycznej, nawiązująca do kubizmu martwa natura Kiejstuta Bereźnickiego z Sopotu)? Co jest grane? Jakąś odpowiedź na te pytania znaleźć można w bardzo śmiesznym, ale jednocześnie wręcz metafizycznym wstępie do katalogu wystawy, zatytułowanym *Do tablicy*, napisanym przez Henryka Wańka z Wyspy (tak naprawdę to obecnie z Warszawy). Z wyspy bezludnej oczywiście, którą ten świetny pisarz i malarz opuszcza tylko raz w roku i cytuję: *Z początkiem lipca przepływam ocean wpław, kierując się na Mikołów, aby tam uczestniczyć w Impresjach. Dziwne to wszystko, wziąwszy pod uwagę, że za plenerami właściwie nie przepadam. Może dlatego, że Mikołów też jest poniekąd wyspą (...).* Sam Waniek wprawdzie nie maluje tego miasta oblanego morzem, więcej – wyszukuje sobie w nim jakieś bardzo konkretne obiekty architektoniczne do sportretowania, ale poprzez kompozycję, zwłaszcza zaś perfekcyjne wykorzystanie koloru sprawia, że jego obrazy pokazują nam bardzo nastrojowe miejsca magiczne, trochę z bajki, trochę ze snu. Równie kolorowy i bajkowy jest Mikołów widziany przez Franciszka Maśluszczaka z Warszawy. Całkiem inaczej przedstawia miasto Renata Bonczar (Katowice), której nie interesuje malownicze, odrestaurowane centrum. Artystka wybiera sobie stare domy i zabudowania, niegdyś pewnie okazałe, teraz spękane, przybrudzone, naznaczone przez czas. Powstają w ten sposób bardzo sugestywne, świetne malarsko wariacje na temat przemijania i rozkładu. W podobnej poetyce utrzymane są prace Franciszka Dziadka z Mikołowa. Większą część powierzchni jego obrazów zajmują prawie monochromatyczne bryły budynków, ożywione grą światła. Tę jednorodność, która, być może, byłaby nieco monotonna, rozbijają wprowadzane tu i ówdzie zdecydowane, kolorowe plamy, co sprawia, że statyczne z natury obiekty architektoniczne ożywia jakiś niespokojny rytm. Mikołów portretuje także Ryszard Patzer z Sopotu. Widać jednak, choćby w pracy *Zaułek w Mikołowie,* że (choć to obraz jak najbardziej realistyczny) bardziej od przedstawienia fragmentu miejskiego pejzażu interesuje go takie zabudowanie płaszczyzny, które przemawiałoby do widza dramaturgią wyłącznie elementów czysto malarskich. Kolorem, napięciem wynikającym z niemal geometrycznej kompozycji, fakturą. Gdyby miniaturową postać ludzką zastąpić czarnym prostokątem, gdyby typowy blok mieszkalny w głębi zastąpić prostopadłościanem, gdyby – krótko mówiąc – pejzaż zamienić w czystą abstrakcję, miałaby ona taką samą siłę wyrazu.

Na obrazach Aliny Sibery z Wielunia, utrzymanych w konwencji może najbardziej kojarzącej się z historyczno-plastycznym znaczeniem słowa „impresja", fragmenty Mikołowa możemy oglądać (może nawet – tylko odgadywać ich obecność w przesyconym światłem powietrzu) jedynie przez okno, bo są to właściwie bardzo subtelne portrety kobiet. Również Leszka Żegalskiego z Belgii bardziej od malowniczych zaułków interesowały wyraziste twarze. Roman Banaszewski z Krakowa nie tworzy klasycznych portretów, jednak szkicowe studia rysów (to w tym przypadku chyba bardzo odpowiednie słowo) ludzkich są zasadniczym elementem składowym kompozycji. Andrzej Kacperek z Mysłowic i Stanisław Mazuś z Tych także nie zajmowali się w swoich pracach szacownym, bo wzmiankowanym już w średniowiecznych dokumentach grodem. Woleli pejzaż bardziej rustykalny, co zaowocowało interesującymi kolorystycznie pracami. Kolorem przyciągają uwagę także *Hałdy* Stefana Poniewiery z Gostynia. Poprzemysłowe „góry", dzieło człowieka, są w jakimś tam sensie „miejskie", jednak sposób ich przedstawienia sprawia, że – gdyby koniecznie szukać określenia dla tego rodzaju sztuki – najbardziej odpowiednim byłoby chyba „pejzaż fantastyczny". Tak samo dałoby się scharakteryzować obraz *Przed burzą 5 min*. Włodzimierza Kolka, chociaż jego poszukiwania idą bardziej w kierunku abstrakcji.

Celowo przy nazwiskach autorów prac wymieniałem ich miejsce zamieszkania, bo w ten sposób najlepiej można pokazać, że odbywające się od lat mikołowskie plenery mają rzeczywiście charakter ogólnopolski. Jednak w plenerach uczestniczą również goście zagraniczni. W tym roku była to para z Holandii – Elly Kalf i Piet Snellaars oraz Lu Pin z Szanghaju (autor pomnika Fryderyka Chopina). Kogo zabrakło? Zacytujmy jeszcze raz Henryka Wańka: *To czysty przypadek, że w tym roku nie było nawet pół Czecha. Zwykle ich jest pod dostatkiem.*

Zazwyczaj plonem śląskich plenerów są obrazy ciemne i dość przygnębiające, oddające ekologiczną degradację regionu. Mikołów jest wyjątkiem. Bo najbardziej uderzającym wyróżnikiem poplenerowej wystawy jest kolor, więcej – radość kolorów. Radość udzielająca się widzowi. Zachęcam do przekonania się o tym osobiście. Wprawdzie w Mikołowie było można oglądać te obrazy głównie w grudniu, ale wystawa rusza w objazd. W styczniu powędruje do Olkusza, potem do Gliwic i dalej. Naprawdę warto przyłapać *Mikołowskie Impresje* gdzieś w drodze, bo – jak pisze Henryk Waniek o ekspozycji – *Wszystko bardzo ciekawe, piękne i mądre, co mnie nie dziwi, bo nie byle kogo zaprasza się tutaj.*

JAROSŁAW STARZYK

Odzyskana sala

Dokładnie pamiętam, co myślałam sobie stojąc latem 2000 roku na zgliszczach sali baletowej w Operze Śląskiej w Bytomiu. 24 sierpnia strawił ją i sporą część budynku, pożar. Patrzyłam na rumowisko i myślałam sobie ze zgrozą, że odbudowa zajmie długie lata. Tymczasem, na szczęście, myliłam się. Nową salę oddano do użytku już 14 grudnia 2004 roku.

Nadano jej imię założyciela Opery Śląskiej – wielkiego śpiewaka Adama Didura, stawiając mu w ten sposób żywy i pełen muzyki pomnik. Co więcej, nie przypomina ona dawnej „baletówki". Okazało się, że gdy opadły pierwsze emocje związane z pożarem, stwierdzono, iż spod warstwy spalonej ściany wyzierają ciekawe ornamenty, których wcześniej tam nie było. Ogień „odkrył" oryginalne ściany, wybudowanej w 1901 roku sali koncertowej, bogato zdobione wymyślną sztukaterią. – Nie mieliśmy pojęcia o istniejących pod spodem sztukateriach, ponieważ nie zachowały się żadne zdjęcia sali sprzed 1927 roku – mówiła wówczas Krystyna Jankowiak, kierownik Biura Organizacji Widowni Opery Śląskiej i autorka pracy magisterskiej o historii budynku.

Coś, co dla każdego gościa jest Operą Śląską, to są naprawdę dwa budynki. Zostały zbudowane w stylu neoklasycyzmu, w latach 1899-1901, na podstawie projektu berlińskiego architekta Aleksandra Böhma. Do użytku budynek został oddany w 1903 roku. Powstał teatr i sala koncertowa. W 1927 roku przeprowadzono wielki remont sali koncertowej zwanej Filharmonią, a jej przebudowę powierzono sławnemu architektowi Hansowi Poelzigowi. Uznano, że trzeba poprawić akustykę. Wykonano nowe sklepienie, a wnętrze kopuły wyłożono dyktą. Nie zniszczono jednak oryginalnych ścian. Mijały lata. Sala zatraciła swój koncertowy charakter i stała się salą prób dla baletu. Tak było do feralnej nocy 24 sierpnia 2004 roku. Sala baletowa spłonęła doszczętnie. – Mieliśmy wiele szczęścia, że pożar objął tylko dużą salę baletową. Niestety, podczas akcji gaśniczej zalaniu uległy pomieszczenia pod nią, czyli sale korepetytorów, chóru i restauracja. Ocalała sala orkiestrowa, hall kasowy i pracownie. Z trudem dajemy sobie radę – mówił wówczas Tadeusz Serafin, dyrektor Opery Śląskiej.

Tymczasem rozpoczto przebudowę. Postanowiono przywrócić pierwotny klimat wystroju. Nie jest to jednak wierne odtworzenie. Projekt wystroju wnętrz wykonali Józef Kuklok-Opolski i Andrzej Skocza z Architektonicznego Biura Projektów AB-Projekt w Tychach. Nad salą dobudowano kopułę, w której umieszczono nową salę baletową. – Największą trudnością, z jaką spotkaliśmy się podczas prac, był fatalny stan techniczny obiektu – mówi Bohdan Filipów, kierownik budowy z Przedsiębiorstwa Budownictwa Ogólnego i Usług Technicznych ŚLĄSK w Katowicach, które było generalnym wykonawcą remontu. – Prace remontowe wykonywaliśmy w czynnym obiekcie. Tu następowała kolizja. My „hałasowaliśmy", a zespoły chciały ćwiczyć. To jednak była fajna robota, chociaż bardzo trudna.

Zachowane elementy sztukaterii pozwoliły na częściowe odtworzenie pierwotnego układu ścian.Sufit zaprojektowano jako kasetonowy ozdabiając go elementami sztukaterii. Układ sufitu podkreśla rozmieszczenie 9 stylizowanych, kryształowych żyrandoli. Posadzka jest granitowa. Sala utrzymana jest w kolorystyce pastelowej. W jej centralnej części jest scena. Nie ma na stałe zamontowanej widowni.

W ten sposób Bytom, kosztem około 10 milionów złotych, głównie z budżetu państwa i budżetu województwa, wzbogacił się o nową salę, która może pomieścić blisko 200 widzów. Jest to obecnie jedyna sala na Śląsku, wbudowana specjalnie dla prowadzenia działalności koncertowej. Chociaż to miejsce przyciąga melomanów dopiero od roku, odbyło się w nim wiele prawdziwych muzycznych wydarzeń, o bardzo wysokim poziomie artystycznym. – Bardzo zależało nam na przywróceniu sali charakteru „koncertowego". W ten sposób możemy wzbogacić ofertę Opery Śląskiej. Pokazać nasze zespoły. Tu występuje orkiestra i chór, pokazując się w zupełnie nowym repertuarze – tłumaczy Tadeusz Serafin.

I tak Orkiestra Opery Śląskiej zmierzyła się z powodzeniem z muzyką symfoniczną. Repertuar był niezwykle trudny, gdyż wykonany został m.in. Koncert na orkiestrę Witolda Lutosławskiego i koncert fortepianowy e-moll Chopina z solistą Piotrem Palecznym. Chór Opery Śląskiej przygotował koncert kolęd, który cieszył się niezwykłą popularnością, tak że już na kilka tygodni wcześniej zabrakło biletów. Koncert będzie zresztą jeszcze powtórzony w styczniu. Sala im. Adama Didura nie tylko jest miejscem występów rodzimych zespołów Opery. Melomani mogli już tu wysłuchać znakomitych recitali fortepianowych: Aleksieja Orlowieckiego, Miku Omine i Takashi Yamamoto (laureata IV nagrody Konkursu Chopinowskiego, który przyjechał w zaledwie kilka dni po zdobyciu nagrody). Grał też Kwartet Śląski, śpiewał Wiesław Ochman, ale pomysłów na wykorzystanie nowej sali jest więcej. – W styczniu koncert noworoczny, w lutym – karnawałowy. Potem planujemy recital Stefanii Toczyskiej. Chcemy stworzyć cykl „Mistrz i uczniowie" i zapraszać najwybitniejszych pedagogów katowickiej Akademii Muzycznej z wychowankami. Zaprosimy też zagraniczny zespół kameralny. W marcu spróbujemy wznowić „Cosi fan tutte" Mozarta, ale dostosowując inscenizację właśnie do Sali im. Adama Didura. Nagromadzenie imprez jest spore. W przyszłym sezonie już myślimy o prezentacjach muzyki barokowej. Będziemy zapraszać gości, ale sami chcemy też zagrać „Pory Roku" Vivaldiego. Szykuje się też następny koncert symfoniczny, na razie myślimy nad programem – wylicza Tadeusz Serafin.

JOLANTA OGIŃSKA



Sosnowiec. Gmach kina „Zagłębie". Początek XX w.

Zagłębiowska mozaika kultur

Pierwszego dnia grudnia 2005, w auli Kolegium Języka Biznesu Uniwersytetu Śląskiego, w Sosnowcu, odbyła się IV Sesja Zagłębiowska. Organizatorami, jak co roku, byli: **Dyrekcja Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu, Dyrektor Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach oraz Kierownik Międzyinstytutowej Pracowni Życia Literackiego na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim.** Tematem konferencji (kontynuującej, dokumentowane książkami, spotkania wcześniejsze: *Literackie Zagłębie, Biografie z Zagłębia, O twórczości Jana Pierzchały*) uczyniono *Mozaikę kultur w Zagłębiu Dąbrowskim*. Słowo wstępne wygłosili: dyrektor MBP – Mieczysława Szulc, prezydent Sosnowca, patron honorowy – Kazimierz Górski oraz prof. dr hab. Marian Kisiel, który przewodniczył pierwszej części konferencji. Drugą poprowadził dr Paweł Majerski.

Referaty przygotowane przez prelegentów pozostawały ze sobą w ścisłej relacji i okazały się spójną, wzajemnie uzupełnianą, tytułową „mozaiką". Pierwsze wystąpienia skupiały się na roli poczucia regionalnej tożsamości. Prof. dr hab. Ewa Kosowska (pod jej nieobecność referat odczytała dr Anna Gomóła) w wystąpieniu zatytułowanym *Tożsamość regionalna – tożsamość kulturowa* zwróciła uwagę na potrzebę zakorzenienia w regionie, w którym się mieszka, natomiast dr Bogumiła Barańska przedstawiła niezwykle interesujące wyniki badań socjologicznych, dotyczących wpływu wiedzy na kształtowanie się tożsamości regionalnej, przeprowadzonych w Zagłębiu, z których wynikało – na przykład – że kobiety z tego okręgu są lepiej wykształcone od mężczyzn, a w całym regionie dominują osoby w wieku od 40 do 70 lat. Problem istnienia/nieistnienia „gwary zagłębiowskiej" poruszyła natomiast dr Magdalena Pastuch. Okazało się, że aż 90% mieszkańców Zagłębia uważa, że „gwary" owej nie ma, gdyż używane tu regionalizmy mieszczą się w obrębie obowiązującej normy językowej.

Kolejny referat dotyczył kwestii mniejszości żydowskiej w Będzinie, Sosnowcu i okolicach. Dr Wojciech Jaworski podkreślał, że do II wojny światowej Żydzi stanowili największą mniejszość narodową w regionie. Po tym wystąpieniu usłyszeliśmy zajmującą rozmowę z gościem specjalnym sesji, panią Haliną Szpilman – żoną Władysława Szpilmana, która przytaczała nieznane anegdoty, opowiadała o zainteresowaniu, jakie wywołała książka *Pianista* i film Romana Polańskiego w tak odległych miejscach, jak Ameryka Południowa czy Japonia. Spotkanie z Haliną Szpilman związane było z planowanym remontem domu przy ulicy Targowej w Sosnowcu, w którym muzyk się urodził. Ale było także swoistym uhonorowaniem urodzin Szpilmana, który piątego grudnia skończyłby 94 lata...

Następne dwie prelekcje dotyczyły mniejszości religijnych w Sosnowcu. Prof. dr hab. Grażyna B. Szewczyk przesłała referat o ewangelikach, obecnych tu już w wieku XIX. O historii Parafii Prawosławnej pw. Świętych męczennic Wiery, Nadziei, Luby i ich matki Zofii przy ulicy Kilińskiego (dawnej Cerkiewnej), opowiedział natomiast ks. Sergiusz Dziewiatowski, zwracając uwagę na fakt, że to właśnie Sosnowiec integruje życie prawosławne całego regionu śląsko-zagłębiowskiego.

Dwa ostatnie wystąpienia dotyczyły życia literackiego i teatralnego w Zagłębiu. Dr Paweł Majerski w tekście zatytułowanym *Tam i Teraz. Cztery uwagi na temat życia literackiego w Zagłębiu Dąbrowskim* analizował początkowe badania nad kulturą literacką regionu, dokonywane zresztą z perspektywy śląskoznawczej. Wskazywał istotną w kształtowaniu tożsamości regionalnej rolę powieści inicjacyjnych, cytując m.in. fragmenty *Trojga znad czarnej rzeki* Jerzego Przeździeckiego. Przywoływał także, utrwalające obraz regionu, teksty Andrzej Niemojewskiego, Stanisława Ciesielczuka, Wacława Stacherskiego, Edwarda Kudelskiego. Z kolei dr Dorota Fox podkreślała ogromną wagę istnienia teatru, który musiał powstać, by wieś mogła stać się miastem, i jego wpływu na poszukiwanie tożsamości kulturowej (pierwszy, tzw. Teatr Zimowy, otwarto jeszcze przed nadaniem Sosnowcowi praw miejskich w 1902 roku). Doskonałym podsumowaniem referatów prelegentów stało się wystąpienie prof. dra hab. Włodzimierza Wójcika, który po raz kolejny, z niesłabnącą pasją, przypomniał istotę tożsamości regionalnej i poczucia wspólnoty mieszkańców. Spotkanie oficjalnie zamknęła zastępca dyrektor MBP w Sosnowcu – Elwira Kabat-Georgijewa.

Poza prelekcjami uczestników konferencji odbyła się również promocja, zredagowanej przez Mariana Kisiela i Pawła Majerskiego, książki o Janie Pierzchale, będącej pokłosiem sesji poprzedniej. W przerwie natomiast, w gmachu Biblioteki Głównej, otwarto wystawę *Mozaika kultur*. Podczas ekspozycji zaprezentowano materiały i dokumenty związane z bytnością mniejszości narodowych, językiem czy szkolnictwem: pamiątki po znanych rodach zamieszkałych w Sosnowcu – Dietlów, Schönów i Lamprechtów oraz przepiękne zdjęcia – wykonane przez komisarza wystawy Elżbietę Oleksiak, prowadzącą Dział Regionalny Miejskiej Biblioteki – a przedstawiające kościoły, synagogi, cerkiew, stare cmentarze, zamki i pałace z Zagłębia Dąbrowskiego.

Podobne inicjatywy pozwalają lepiej poznać i zrozumieć kulturę, zróżnicowanie, ale i swoistą jedność regionu, w którym przyszło nam żyć. Dokumentują i popularyzują dziedzictwo kultury zagłębiowskiej. Pomagają w końcu rodzić emocjonalny związek i poczucie wspólnoty, na które zwracał uwagę Włodzimierz Wójcik. Oby, zamknięta właśnie, IV sesja nie była ostatnią. Oby ta, zaplanowana na rok 2006, była równie udana, a inicjatywa przetrwała kolejne lata.

MAGDALENA BOCZKOWSKA

Obudzili szalone emocje

FESTIWAL

Kiedy na początku listopada przeprowadzono sondę na ulicach Katowic, zadając przechodniom pytanie, co wiedzą o instytucji kultury Ars Cameralis i rozpoczynającym się za kilka dni XIV Górnośląskim Festiwalu Sztuki Kameralnej – większość nie potrafiła udzielić odpowiedzi. I wbrew pozorom nie ma w tym nic przerażającego, wszak założenie kameralności tej imprezy narzuca wąski krąg odbiorców, skupionych wyłącznie wokół tych wydarzeń, które ich interesują. Dyrektor ARS Cameralis, organizator Festiwalu Marek Zieliński, mówił: „Ludzie byli i są nieufni wobec sztuki. Festiwal poprzez postulat kameralności ma odbudować struktury i więzi międzyludzkie".

XI Festiwal zainicjował proces przewrotnie nazwany „budzeniem emocji". I tak zaczęło się ostrożnie: od kulturalnych (2002 rok). Niewątpliwym wówczas wydarzeniem stal się koncert Johna Zorna, nowojorczyka żydowskiego pochodzenia, zafascynowanego twórczością Hansa Bellmera do tego stopnia, że okładki wielu swoich płyt ozdobił motywami jego prac. Setna rocznica Hansa Bellmera, urodzonego w Katowicach malarza, rzeźbiarza, fotografika i pisarza stała się także znakomitą okazją do prezentacji twórczości artysty. Na koncert Zorna zabrakło biletów, zjechali fani niemal z całej Europy.

Kolejny Festiwal w 2003 roku, tuż przed naszym przystąpieniem do Unii, „budził emocje europejskie", starając się pokazać wspólne korzenie i bogactwo kultury Starego Kontynentu z jednoczesnym zaakcentowaniem jej odmienności. Zdominowali go muzycy. Niezapomniany koncert portugalskiej grupy Madredeus zauroczył słuchaczy niezwykłym nastrojem, oprócz rodzimej muzyki hiszpańskiej zespół zaprezentował utwory inspirowane kulturami innych narodów. Skandynawski jazzman Ketil Bjornstad zadziwił subtelnym łączeniem muzyki klasycznej z nowoczesnymi brzmieniami, podobnie koncert Czecha Petra Matuszka. Finałowy koncert hiszpańskiego barda Paco Ibaneza, obranego ojcem duchowym obrońców wolności, zapadł na długo w pamięci.

XIII Festiwal (2004 rok) był kontynuacją współpracy rozpoczętej przed kilku laty pomiędzy województwem śląskim a regionem Nadrenii Północnej-Westfalii. Po prezentacjach dorobku artystów śląskich w Niemczech i artystów niemieckich na Śląsku pokazano przedsięwzięcia, które poza zaznajomieniem śląskiej publiczności z wybitnym poziomem wystaw artystycznych, koncertów, spektakli teatralnych, literatury oraz filmów miały na celu „budzić przyjazne emocje" (pomiędzy kulturami, regionami, ludźmi...). Spośród wielu festiwalowych wydarzeń warto przywołać wystawę prac Josepha Beuysa, uznawanego za jednego z najważniejszych artystów XX wieku, wielkiego przyjaciela Polski, współtwórcę głośnej Grupy Fluxus. Ekscytujący był również blok imprez filmowych ukazujących dokonania kinematografii Nadrenii Północnej-Westfalii.



Foto: ARC

W Chorzowie wystąpił łączący rytmy etniczne z nowoczesnością Lenine, brazylijski gwiazdor rocka.

Tegoroczny XIV Górnośląski Festiwal Sztuki Kameralnej odbył się pod znamiennym hasłem: „budzimy szalone emocje". Zorganizowano 30 imprez w ciągu piętnastu dni. W Katowicach, Bielsku-Białej, Bytomiu, Chorzowie, Mikołowie, Pszczynie, Rybnej, Tarnowskich Górach i Tychach. Miłośnicy muzyki mieli w czym wybierać. Od łączącego rytmy etniczne z nowoczesnością Lenine – brazylijskiej gwiazdy rocka, poprzez „architekta zgiełku" Arto Lindsaya, koncerty jazzowe w wykonaniu Polish-German Double Trio i niezaprzeczalnie najbardziej oczekiwany koncert Piotra Anderszewskiego z Orkiestrą Kameralną AUKSO pod dyrekcją Marka Mosia w Filharmonii Śląskiej.

Z ogromnym zainteresowaniem spotkał się interdyscyplinarny projekt *Ślady Pamięci* poświęcony twórczości Tomasza Struka. Ten przedwcześnie zmarły twórca wywarł ogromny wpływ na swoje pokolenie. Nie zawiedli się także miłośnicy filmu. Zaczęli od szalonego śmiechu na filmach Bustera Keatona i Harolda Lloyda, poprzez studium obłędu w filmach Andrzeja Żuławskiego do przedpremierowego pokazu video artu Lecha Majewskiego, jednego z tworzyw, które złożą się na retrospektywną wystawę artysty w Nowym Jorku.

Nie sposób pominąć szokującego projektu Zbigniewa Libery i Darka Foksa *Co robi łączniczka?* Zabawa z wyobraźnią może wykreować ze zbioru zapamiętanych scen nieprzewidywalne obrazy. 63 fotomontaże Libery z Powstania Warszawskiego, opatrzone krótkimi opowiadaniami Foksa, przenoszą w świat na równi iluzoryczny co rzeczywisty.

Widownia festiwalowa to w przeważającej części ludzie młodzi. Bywa, że biegają prawie na wszystkie imprezy, ale do końca pozostają tylko na tych, które wzbudzają ich szczególne zainteresowanie. Jeden z najbardziej przejmujących spektakli, *Umarłą klasę* Tadeusza Kantora (obraz sfilmowany przez Andrzeja Wajdę), obejrzała sala wypełniona po brzegi, ale już *Wielopole, Wielopole* przeżywała kilkuosobowa garstka. Może należało zacząć od „pokoju dzieciństwa", po którym łatwiej byłoby przejść do klasy wypełnionej manekinami tych, którzy odeszli?

XIV Górnośląski Festiwal Sztuki Kameralnej już przeszedł do historii. Do następnego, jubileuszowego pozostał rok. I nieważne, jakie tym razem będzie budzić emocje, ponieważ zawsze będzie to festiwal takich propozycji muzycznych, teatralnych, plastycznych, literackich czy filmowych, wobec których nie można przejść obojętnie. Nie bez znaczenia pozostaje również jego ogromny walor poznawczy. I to nie tylko chodzi o „merytoryczne wiadomości", a może przede wszystkim o naukę postrzegania różnorodności. O umiejętność odbioru tego, co nas otacza, o odczuwanie wielu odcieni emocji, o możliwość powrotu do nieznanych korzeni kulturowych, o zgłębianie czasem odchodzącego już świata. Ten kontakt, bardzo kameralny, w małych przestrzeniach, wąskich gronach inspiruje do tworzenia swoistych miksów tradycji z nowoczesnością, czytelnych ponad podziałami wieku, granic, języka, kultur.

MARIA SZTUKA

3 x Kutz – teatr, telewizja, film



Foto: ARC

„Damy i huzary" to frekwencyjny hit Starego Teatru. Ten spektakl gra się na okrągło. Gościł w Chorzowie, ale pokazywano go już także Polonusom za Oceanem.

„Takie przeglądy czy festiwale zwykle robi się z jakiegoś niecodziennego powodu, podniosłej okazji. Zwykle bywa to jakiś jubileusz albo święto. Tym razem będzie inaczej. Gościmy Kazimierza Kutza i jego dzieła... bez powodu i bez okazji – napisano w folderze chorzowskiego Teatru Rozrywki. – Po prostu chcemy, by śląska publiczność jeszcze raz mogła się przekonać o skali jego talentu i znaczeniu tej twórczości we współczesnej kulturze polskiej. Odwrócimy utarte wyobrażenie o pracy artystycznej Kutza, akcentując przede wszystkim jego obecność w teatrze, intensywną zwłaszcza w ostatnich latach". Zaproszono zatem zespół Teatru Narodowego z Warszawy ze *Śmiercią komiwojażera* Arthura Millera oraz krakowskich aktorów ze Starego Teatru, którzy dwukrotnie przedstawili *Damy i huzary* Aleksandra Fredry. W finale odbyło się otwarte spotkanie, które zatytułowano *Kazimierz Kutz i jego goście. Rozmowa między generacjami*.

Ponadto na scenie w Galerii pokazano serię wybitnych spektakli telewizyjnych, które artysta wyreżyserował w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Były to: *Opowieści Hollywoodu* Christophera Hamptona (z roku 1986), *Noc Walpurgii albo Kroki Komandora* Wiktora Jerofiejewa (1991), *Do piachu* Tadeusza Różewicza (1989), *Stalin* Gastona Salvatore (1992), *Emigranci* Sławomira Mrożka (1995) oraz *Kartoteka rozrzucona* Tadeusza Różewicza (1998). „Z konieczności – to kolejny cytat z folderu – musieliśmy dokonać selekcji, ale i tak ten wybór przekonuje, że i na tym polu dorobek Kutza jest wręcz imponujący. Tak pod względem ilościowym, jak i przede wszystkim artystycznym". Dodajmy, że ten nurt chorzowskiego przeglądu zwieńczyła rozmowa z Kutzem, a właściwie jego błyskotliwy monolog o warsztacie reżysera telewizyjnego.

Kilka filmów pokazano w kinie „Panorama". Świadomie zrezygnowano z najgłośniejszych śląskich obrazów, a także z dziel powstałych w latach 80. i 90. Cofnięto się zatem aż o 40 lat, by przekonać się, że Kutz już wtedy mówił własnym głosem, odświeżając język filmowych opowieści i wprowadzając nowatorskie formy narracji. Publiczność zobaczyła *Nikt nie woła*, *Milczenie* i *Upał*.

Teatr, telewizja, film... Trzy oblicza reżyserskiego wizerunku tego niezwykłego artysty i człowieka. Które z nich jest najważniejsze? Które najbardziej znaczące?

Nie, nie. Na te pytania nie odważę się odpowiedzieć, nie tylko dlatego, że chorzowski przegląd nie mógł w tym pomóc. Nie mógł, bo przecież musiałby trwać kilka tygodni, może nawet miesięcy, a nie dni. Ten dorobek jest trudny do ogarnięcia (na pewno wiedzą coś o tym krytyk teatralny Elżbieta Baniewicz – autorka monografii o Kutzu czy Jan F. Lewandowski, który niedawno wydał filmologiczną książkę o wybranych dziełach autora *Soli ziemi czarnej*). Jednoznaczna odpowiedź musiałaby zatem być więcej niż ryzykowna, nawet gdyby ją zawrzeć w jakimś potężnym eseju. Jak bowiem zestawić na jednej szali ponad 20 widowisk telewizyjnych, mniej więcej tyle samo filmów fabularnych zrobionych z myślą o kinie (nie liczę wieloodcinkowej telewizyjnej *Sławy i chwały*), no i – też mniej więcej – podobną liczbę spektakli teatralnych, najczęściej dużych i wieloobsadowych? Jest wszak jeszcze jeden, najistotniejszy powód, dla którego nie warto spekulować na temat tego, co w Kutzu i z Kutza jest najcenniejsze: teatr, telewizja czy film? Jego trzeba widzieć w całości (zespalając w jedno również jego twórczość publicystyczno-eseistyczną, no i publiczną, polityczną). Nie da się Kutza podzielić. Jeśli w Chorzowie to zrobiono, to tylko ze względów „praktycznych" i „organizacyjnych". Tutaj zatem tylko garść refleksji.



Foto: Janusz Szewczyk

Od lewej: Krzysztof Karwat, Feliks Netz, Kazimierz Kutz, Henryk Waniek, Magdalena Piekorz i Wojciech Kuczok.

Telewizyjne *Opowieści Hollywoodu* przypomniały, jak wiele Kutzowi zawdzięczają aktorzy. Nawet ci najlepsi w kraju, najbardziej samodzielni, najwszechstronniejsi. Nawet tacy jak Janusz Gajos. Przecież rola Ödöna von Horvatha w sztuce Hamptona stanowiła bodaj najgłębszy przełom w jego zawodowej karierze. Wyprowadziła go w zupełnie nowe przestrzenie teatralne. Dokładnie od tego momentu, od roku 1986, wiemy, że Gajos to aktor, którego twórcze możliwości właściwie są nieograniczone (inna rzecz, że sam spektakl otworzył nowy rozdział w dziejach Teatru TV).

Krakowskie *Damy i huzary* też coś udowodniły. Choćby to, że z Jerzego Treli, który po swych wspaniałych rolach u Swinarskiego nigdy już nie przestanie być kojarzony z literaturą romantyczną, można zrobić aktora komediowego. Kto nie wierzy, niech żałuje, że nie widział go w roli Majora.

Warszawska *Śmierć komiwojażera* zaś przypomniała, że Arthur Miller napisał sztukę genialną. Niby o tym wiemy od kilkudziesięciu lat, ale kto w Polsce w ostatnich czasie z takim powodzeniem, jak w tym przypadku, sięgał po ten typ literatury? Kto w czasach triumfu różnego rodzaju brutalistów nie przestraszył się realistycznego sztafażu, bez którego tutaj nie można się obyć? W tym spektaklu Andrzej Dudziński zadebiutował w teatrze. I z miejsca zrobił świetną scenografię. Czy gdyby pracował z kimś innym, byłoby to możliwe?

A co udowodniły publiczne spotkania z Kutzem? Wiele by o tym mówić. Poprzestańmy na jednym: jest nie do zdarcia.

KRZYSZTOF KARWAT



Kopciuszek z Brodway'u

Z determinacją i konsekwencją Gliwicki Teatr Muzyczny – czyli, wciąż warto to odnotować, dawna Operetka Śląska – przekształca się w scenę musicalową. To droga już długa: od *Zorby* do *42th Street* minęło kilka sezonów. W tym czasie odmłodzono zespół, poeksperymentowano z tytułami i twórcami. Czyżby więc wreszcie przyszedł czas na pełny sukces?

Zorba był nadspodziewanie dobrze odrobioną lekcją obowiązkową. *Chicago* pierwszym dużym sukcesem, *Footloose* dzielnie dotrzymywał mu kroku. Na tej drodze zdarzały się też porażki w stylu *Oklahomy*. Czy więc w Gliwicach udało się zbudować teatr musicalowy? Warto zwrócić uwagę na ograniczenia obiektywne – chodzi nie tylko o wieloletni operetkowy nawyk, zarówno zespołu, jak i publiczności, ale także o małą pudełkową scenę. Porywanie się na realizację w niej brodwayowskiego musicalu musi zakrawać na szaleństwo. Ale czyż nie było szaleństwem wystawianie w Operze Śląskiej *Aidy* (tej ze scenografią Wiesława Langego) czy *Nabucco*? Warunki sceniczne bywają istotnym ograniczeniem, ale nigdy nie stanowią ostatecznej determinanty.

Polska prapremiera *42th Street* posiada parę niepodważalnych zalet oraz jeden dodatkowy atut. Zaleta pierwsza to scenografia. Jacek Boduch jej głównym elementem uczynił przesuwane półprzeźroczyste lustra. Dzięki temu mała, pozbawiona naturalnej głębi scena zyskała kilka wymiarów, została więc zwielokrotniona, poszerzona. Zaleta druga to choreografia – zespół taneczny nareszcie do dynamiki dołączył zachłanność, śmiało zagarnia przestrzeń, także proscenium przed orkiestronem. Bo musical musi kipieć dynamiką, być żywiołem, wulkanem. Wreszcie zaleta trzecia to zaangażowanie artystów z zewnątrz. I nie chodzi tutaj nawet o Grażynę Brodzińską, która z gliwicką sceną współpracuje regularnie, ale przede wszystkim o Bernarda Krawczyka. To jego osobowość spina i organizuje musical, choć jest to pierwszy kontakt Krawczyka z tym gatunkiem scenicznym. Swoją postać reżysera Juliena Marsha tworzy finezyjnie, trójwymiarowo – gra wymagającego, zarzynającego zespół tytana (i tyrana) pracy. Równocześnie nie wzbudza nienawiści, lecz podziw, jest autorytetem, legendą, kreatorem i – niemal – półbogiem. A mimo to – wydaje się ludzki. pod perfekcjonizmem i oschłością kryją się uczucia, wrażliwa osobowość, której nie zależy bynajmniej jedynie na stu tysiącach dolarów zainwestowanych w sztukę i spodziewanych zyskach. Krawczyk na wszystkich poziomach pozostaje przekonujący; jak prawdziwy perfekcjonista scenicznego rzemiosła zrzuca kolejne maski, odsłania to, co chce widzowi pokazać. Jego Marsch to – jak się ostatecznie okazuje – człowiek sztuki, w którym artysta zwycięża przedsiębiorcę, producenta, inwestora. Imponderabilia okazują się ważniejsze od kapitału – mimo, iż na pozór wydawać by się mogło, że jego decyzja o powierzeniu debiutantce zastępstwa gwiazdy jest rozpaczliwą próbą ratowania biznesu.

Tyle o zaletach. Teraz o środowiskowym atucie. Gliwicki Teatr Muzyczny „wstrzelił" się w moment przestoju w chorzowskim Teatrze Rozrywki pod względem produkcji klasycznych musicali brodwayowskich. Ostatnie sezony w Chorzowie to *Dyzma* – musical od początku do końca polski i *Krzyk według Jacka Kaczmarskiego* – produkcja przejmująco polska, ale już bez musicalu. Ponoć w chwili, gdy Polska weszła do Unii Europejskiej, zakup licencji na musicale przestał już być dla naszych teatrów loterią – może uda się przekonać właściciela praw autorskich do sensu realizacji w kraju, gdzie ulicami spacerują białe niedźwiedzie. Jesteśmy już w UE jak Francja i Niemcy, więc taksa musi być równa. W tej sytuacji lepiej udało się gliwickiemu teatrowi kierowanemu przez Pawła Gabarę. Jakim „szwungiem", o to trzeba pytać Gabarę.

Chętnie zobaczyłbym *42th Street* w Chorzowie z Marią Meyer zamiast Brodzińskiej jako Dorothy Brock, z Izą Malik w roli Peggy Sawyer i Jacentym Jędrusikiem kreującym Marsha. Ale – wszystko stało się zgodnie z duchem tej historii. *42th Street* wystawiono w Gliwicach, pozostających w cieniu wielkiej chorzowskiej sceny. I tutaj okazało się, że jest to najlepsza realizacja musicalowa tego teatru. Pokazująca, że bez „obrotówki" i wielkich własnych gwiazd – można zrobić wspaniały spektakl. Z kolei rolę Peggy Sue powierzono studentce krakowskiej PWST, Ukrainee Oksanie Pryjmak. Wygrała casting do tej roli z udziałem 30 aktorek. Nie stworzyła kreacji wielkiej ani porywającej, ale też nie była zupełnie bladym tłem. Pomogła jej w tym Brodzińska, grając raczej zblazowaną i chłodną operetkową divę niż zachodzącą gwiazdę musicalu.

Formalnie *42th Street* stanowi rodzaj metateatru, teatru o teatrze, spektaklu o tworzeniu spektaklu. Nie sądzę jednak, by widz zwracał na ten fakt większą uwagę. Ważniejsza wydaje się treść – tak naprawdę nadzwyczaj banalna, a równocześnie niezwykle atrakcyjna i nośna. Nie jest bowiem niczym innym jak wpisaniem fabuły w archetyp bajki o Kopciuszku. Z tą tylko różnicą, iż w bajce szansa staje przed Kopciuszkiem dzięki gestowi wróżki, natomiast w *42th Street* Kopciuszek – zgodnie z zasadą *american dream* – musiał na nią zasłużyć talentem i pracą. Jedyna rzecz, z powodu której sukces *42th Street* nie podnosi mnie do owacji na stojąco (manierą śląskiej publiczności jest oklaskiwanie każdej niemal premiery w wiodących teatrach na stojąco, ale w ten sposób dewaluuje się *standing ovation*, bo czym w takim razie nagrodzimy realizacje naprawdę wielkie?) to fakt, że libretto tego musicalu jest rekreacyjne, a nie kreacyjne. Brak tu dramatu, katharsis, mamy tylko rozrywkę – i owszem, wyśmienitą. Ale w pewnym momencie sama rozrywka zaczyna bywalca teatrów nudzić, wszak chodzimy doń nade wszystko – dla przeżycia.

MARCIN HAŁAŚ

MIĘDZY NUTAMI



Chopin i Schumann Grychtołówny

14 listopada w sali koncertowej katowickiego Radia zaprezentowała się (na zaproszenie Instytucji „Silesia") dawno nie słyszana na Śląsku Lidia Grychtołówna. Powitano ją w Katowicach jako jurorkę właśnie zakończonego Konkursu Pianistycznego im. Chopina, a przede wszystkim jako wielką damę polskiej pianistyki. Wykonanie przez artystkę dużego programu – w połowie Schumanowskiego, w połowie Chopinowskiego (Schuman: *Arabeska C-dur* op. 18, *Fantazja C-dur* op. 17, Chopin: cykl *Mazurków* op. 24, walce z op. 34 oraz *Grande valse brillante Es-dur* op.18) kusi potraktować jako „odpowiedź" na dylemat, który nieodwołalnie pojawia się w związku z warszawskim konkursem: jak grać Chopina, jak grać muzykę romantyczną? Pokonkursowe recenzje i refleksje, jakie już w tej chwili ukazały się w polskiej prasie fachowej i niefachowej, zadziwiają różnorodnością i relatywizmem kryteriów.

Słuchając gry Lidii Grychtołówny można było doznać wielkiego uspokojenia: różnorodność kryteriów nie musi być źródłem frustracji: i z niej można czerpać pewność, przynajmniej o tym, że może być „inaczej". Nostalgicznie zakorzenione w przeszłości „polskiej szkoły pianistyki" interpretacje artystki, ustawiające się na przeciwnym biegunie współczesnej anty-konwencji, okazały się nadal przekonujące. „Wielka" pianistyka Grychtołówny, o silnie zarysowanej dramaturgii, iście retoryczna, imponuje słuchaczowi i pragnie nim zawładnąć. Wyzwala w nim chęć zapolowania na jednorożca, a to, jak na dzisiejsze czasy panowania generacji melomanów zblazowanych i rozpuszczonych „brakiem kryteriów" – bardzo wiele.

Bach według Świtały

Profesor jednej z wiodących klas fortepianu w katowickiej Akademii Muzycznej Wojciech Świtała powtórzył niegdysiejszy pomysł Władysławy Markiewiczówny zorganizowania publicznego turnieju swoich uczniów o „puchar Bacha". Markiewiczówna kazała swym pupilom zestawić Bachowskie *Preludia i fugi* z etiudami Chopina. „Modliłam się do etiud" – wyznała po latach uczestniczka tamtego turnieju Lidia Kozubek, wyznając, jak trudnym zadaniem było zmierzenie się na publicznym recitalu z żelazną konstrukcją i karkołomną (antyfortepianową!) fakturą utworów Bacha. *Wohltemperiertes Klavier* to muzyka do studiowania, próbowania, przegrywania fragmentami w zaciszu szkoły, zaryzykowałabym nawet twierdzenie, że jest to muzyka do oglądania – ale nie w myśl popularnego pejoratywnego pojęcia *Augenmusik*, lecz z punktu widzenia mocno dziś interesującej teorii dominacji „akustyki" i „optyki" w sztuce poszczególnych epok i jej odbiorze.

W każdym razie, cykl Bacha to studium konstrukcji. Tymczasem na koncercie wypada zaprezentować *Preludia i fugi* jako perły klawiszowej faktury, rzeczy o romantycznej wręcz rozpiętości nastroju – od żywiołowej wirtuozerii do najgłębszego liryzmu i medytacyjnej koncentracji. Ów romantyzm, „postawienie" na odcienie ekspresji, modulowanie tempa, dynamiki, artykulacji był cechą dominującą uczniowskich wykonań, których słuchaliśmy w Szkole Muzycznej im. Karłowicza pod koniec listopada. Można uznać go za cechę konstytutywną „szkoły Świtały". Trudno mi wyróżnić któreś z kreacji młodych pianistów: Mirelli Malorny, Emilii Reszki, Pawła Lisa, Adama Wojciechowskiego i Anny Czaickiej (która wykonała podwójny „przydział" utworów), gdyż przypadło im w udziale wykonanie rzeczy nierównych pod względem trudności i możliwości stylizowania muzyki. Pierwsze *Preludium i fuga* z I tomu Wohltemperiertes Klavier – w tonacji C-dur, jest pozornie łatwe technicznie, ale niezmiernie trudno kierować się w nim pamięcią tempa z powodu jego „maszynowego" rytmu. „Etiudowe" *Preludium i fuga* Cis-dur pozwala grać Bacha poprzez pryzmat Czernego i udać na chwilę, że się nie słyszało o „Bachowskiej" artykulacji. W *Preludium f-moll* można się na chwilę przedzierzgnąć w Schuberta, i tak dalej. Młodym pianistom najlepiej wyszły te utwory, które pozwalały trochę „uwspółcześnić" oryginał. Tak postępowali z Bachem najwięksi.

Karłowicz na Święto Szkoły

Dla dyrekcji, pedagogów i uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej im. Karłowicza osoba patrona to nie szyld, lecz zobowiązanie do pamięci, m.in. poprzez inicjatywy koncertowe i wydawnicze. Na swoje 60-lecie placówka wydała unikatową płytę CD z nagraniami utworów młodzieńczych Karłowicza (napisanych podczas studiów w Berlinie). Do płyty tej jeszcze powrócę, a dziś chciałabym wspomnieć o jej „żywym wydaniu", to jest koncercie rzeczonych utworów w wykonaniu pedagogów, uczniów i absolwentów Szkoły. Koncert ten (12 grudnia) udał się nadzwyczajnie. Program – ułożony chronologicznie – ukazał ewolucję stylu młodego kompozytora, autentyczne „wykluwanie" się talentu, na początku wcale nie przekonującego. Młodzieńcza miniatura fortepianowa (w wykonaniu Izabelli Ossolińskiej z klasy fortepianu Magdaleny Lisak) i dwa duety wokalne, prezentowane przez Anetę Drążkiewicz z klasy Agaty Kobierskiej, Weronikę Kępkę z klasy Benona Maliszewskiego, Aleksandrę Grzywocz z klasy Justyny Bachowskiej i Karolinę Czajkowską z klasy Jolanty Dańczyk (akompaniament: Ewa Hentosz-Ryka) tkwiły jeszcze w konwencji XIX-wiecznej, i to nie najwyższego lotu. Skrzypcowe *Impromptu* wykonane z dużą sprawnością przez Adama Beiera, ucznia Urszuli Grabek i pianistkę Annę Lasek-Starzec, plasowało się, razem z fortepianowym *Andante*, które zaprezentował w postaci pełnej polotu Alan Rymarczyk (klasa Bożeny Dymek) plasowały się gdzieś w okolicach akademickiej twórczości Statkowskiego czy Pachulskiego. Skromniutka muzycznie *Serenada* na altówkę to za mało, jak na „numer popisowy" (jej wykonanie przypadło Magdalenie Balcer z klasy Mieczysława Dancewicza i pianiście Wojciechowi Skowrońskiemu).

Jak zwykle, zachwycił publiczność talent wirtuozowski małego Tymoteusza Biesa z klasy Doroty Zawieruchy (wykonał dość efektowną, klasycyzującą *Sonatinę d-moll*). Z tego samego roku (1898) pochodzi jednoczęściowa *Sonata B-dur* – okaz modernistycznej wirtuozerii w wielkim, ale jeszcze nie oryginalnym stylu. Przez pułapki fakturalnych niezgrabności tego trudnego, surowego utworu szczęśliwie przebrnął Tomasz Lupa – absolwent „Karłowicza". Kulminacją koncertu było piękne, romantyczne wykonanie pierwszej części *Koncertu skrzypcowego* przez Pawła Miczkę z klasy Urszuli Grabek (akompaniament: Anna Lasek-Starzec) oraz znakomita, zgrana prezentacja dwóch części *Serenady* op. 2 przez szkolną orkiestrę smyczkową pod batutą Wojciecha Sąkóla.

MAGDALENA DZIADEK



***Rocznik Sosnowiecki 2004.* Tom XIII: *Pamięć miejsca.* Red. M. Kisiel. Muzeum w Sosnowcu. Sosnowiec 2005, s. 240.**

Szczęśliwa trzynastka

Już po raz trzynasty ukazał się *Rocznik Sosnowiecki*. Tym razem, jak sugeruje tytuł *Pamięć miejsca,* tom poświęcony jest przeszłości miasta.

Tradycyjnie *Rocznik* podzielony jest na kilka części. Pierwsza z nich dotyczy historii miasta, a konkretnie powstania Niwki – jednej z dzielnic Sosnowca. Autorami opracowań (do których dołączono wkładkę ze starymi mapami oraz planami omawianego regionu) są Robert Krzysztofik i Michał Mączka. Zainteresowani dziejami miasta znów mogą poszerzyć swoją wiedzę.

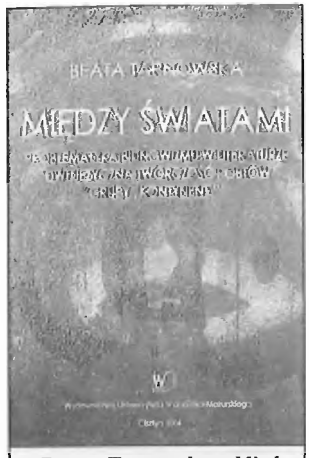
Drugi rozdział, zatytułowany *Literatura i nauka,* zawiera szkice upamiętniające wybitnych ludzi związanych z Sosnowcem. I tak Paweł Majerski pisze o Wacławie Stacherskim – młodym poecie i żołnierzu, który zginął w komorze gazowej obozu koncentracyjnego w Brzezince; Marek Piechota rozprawia o profesorze Zbigniewie Jerzym Nowaku – historyku literatury, tekstologu i edytorze; Zdzisław Gębołyś swój tekst poświęcił zmarłemu w 1999 roku Janowi Przemszy-Zielińskiemu oraz utworzonej przez niego Sosnowieckiej Oficynie Wydawniczo-Autorskiej „Sowa-Press". W sekwencji tej znajduje się także szkic Adama W. Jarosza przybliżający działalność Pracowni do Badań nad Życiem Literackim Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego.

Kolejny dział, pojawiający się w *Roczniku* po raz pierwszy, tworzą recenzje naukowe. Autorzy (redaktor tomu Marian Kisiel, Agnieszka Nęcka, Barbara Pytlos) profesjonalnie opisują wydawnictwa poświęcone pisarzom i badaczom z Zagłębia Dąbrowskiego, m.in. regionalny słownik biobibliograficzny oraz zbiory *Literackie Zagłębie* i *Biografie z Zagłębia.*

Dwie ostatnie części mają w *Rocznikach* stałe miejsce: to sylwetki laureatów Nagrody Miasta Sosnowca, sprawozdania z wystaw, wykładów, koncertów i warsztatów organizowanych w Muzeum Miejskim oraz „kronika wydarzeń". Sylwetki laureatów za rok 2004: Stanisława Jędryki (dorobek artystyczny), Mariana Kisiela (działalność publicystyczno-naukowa) i Małgorzaty Dadzibug (osiągnięcia sportowe) przybliża Agnieszka Nęcka. Sprawozdanie Muzeum przedstawił Zbigniew Studencki. Publikację zamyka *Kronika miasta,* w której najważniejsze wydarzenia z życia Sosnowca rejestruje – prowadząca Dział Regionalny Miejskiej Biblioteki Publicznej im. G. Daniłowskiego – Elżbieta Oleksiak.

Rocznik Sosnowiecki jest wydawnictwem cyklicznym, ukazującym się od 1992 roku. W zamierzeniu miała to być pozycja popularnonaukowa, przedstawiająca zarówno sprawy bieżące miasta, jak i jego historię, kulturę, gospodarkę. Zamierzenie to udaje się realizować, o czym świadczy niewątpliwie i zbiór najnowszy. Zamieszczone w nim artykuły współtworzą spójne i równocześnie treściowo różnorodne kompendium wiedzy o Sosnowcu. *Rocznik* ma służyć przede wszystkim mieszkańcom. Rejestrując wydarzenia, opisując miejsca i ludzi, spełnia rolę kroniki ich życia (choć nie tylko ich) i przyczynia się do utrwalania historii – tej dalszej oraz bliższej.

MAGDALENA BOCZKOWSKA



Beata Tarnowska: *Między światami.* Problematyka bilingwizmu w literaturze. Dwujęzyczna twórczość poetów grupy „Kontynenty". Wydawnictwo Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Olsztyn 2004.

Językowe światy literackie

Pojęcie bilingwizmu jest w zasadzie powszechnie znane, ale przy próbie jego zdefiniowania zazwyczaj napotykamy na trudności. Bo czy z dwujęzycznością mamy do czynienia już przy minimalnej nawet kompetencji językowej w jednym z dwu języków, czy tylko w sytuacji, kiedy opanowanie dwu języków jest wybitne i równorzędne? Odpowiedź na to i wiele innych pytań dotyczących szeroko rozumianego bilingwizmu można znaleźć w właśnie w książce Beaty Tarnowskiej.

Autorka analizując szczegółowo stan badań i przyjmując za słuszne poglądy Edwarda Balcerzana, który wyróżnił bilingwizm twórczy, bilingwizm twórczy niepełny i bilingwizm funkcjonalny, skupia uwagę przede wszystkim na zjawisku bilingwizmu literackiego. W pierwszej części książki pojawia się obszerna i bardzo ciekawa egzemplifikacja zjawiska, która ma na celu „wyznaczenie modelowych czynników formowania się dwujęzycznego pisarza oraz różnorodności (...) nieraz niemożliwych do zweryfikowania motywów, jakimi kierowali się wybierający język swej twórczości". Pośród autorów wykorzystujących w swej pracy literackiej język adoptowany wymienia Tarnowska między innymi Jana Kasprowicza, Stanisława Przybyszewskiego, Bolesława Leśmiana, Josepha Conrada, Ciarána Carsona, Vladimira Nabokowa, czy Josifa Aleksandrowicza Brodskiego, któremu wybór języka angielskiego pozwolił na zachowanie należnego dystansu wobec lat dzieciństwa oraz był „metaforą ucieczki z więzienia, jakim było totalitarne państwo".

Zasadnicza część książki poświęcona jest dwujęzycznej twórczości poetów dawnej grupy „Kontynenty", do której należeli między innymi Adam Czerniawski, Bogdan Czaykowski, Andrzej Busza, Florian Śmieja czy Bolesław Taborski. Tarnowska nie ogranicza się tylko do omówienia jakże bogatej działalności przekładowej poetów londyńskich, ale przedstawia także, pozostawioną wcześniej przez krytyków poza kręgiem zainteresowań badawczych, ich twórczość oryginalną w języku angielskim (tu przede wszystkim angielska poezja Bolesława Taborskiego, Janusza Artura Ihnatowicza i Andrzeja Buszy). Opisując anglojęzyczną poezję ostatniego z wymienionych poetów autorka zwraca uwagę na pojawiające się w niej odwołania do sztuk niewerbalnych takich jak malarstwo, czy synkretycznych jak na przykład film. Ten erudycyjny rozdział o przekładzie intersemiotycznym zostaje dopełniony szkicem o motywie Ahaswera w poezji Andrzeja Buszy.

Książkę zamykają szkice poświęcone recepcji przekładów Adama Czerniawskiego w angielskiej krytyce i roli jaką odegrały tłumaczenia na język angielski dramatów między innymi Karola Wojtyły autorstwa Bolesława Taborskiego.

Książka *Między światami...* to przede wszystkim cenna i kompetentna pomoc w pracy dla historyka literatury, ale także interesująca lektura dla wszystkich, którym kwestie językowe, literackie i teatralne nie są obojętne.

BOŻENA SZAŁASTA-ROGOWSKA



Grażyna Maroszczuk: *Dyskurs i historie. O powieściach Andrzeja Szczypiorskiego*. Wydawnictwo Gnome. Katowice 2004, s. 120.

Dyskurs i historie Andrzeja Szczypiorskiego

„Interesuje mnie moralna sfera działalności człowieka. Literatura ma zawsze stawać po stronie słabszego" – pisał w *Amerykańskiej whisky* Andrzej Szczypiorski. W minionym (2005) roku przypadała 5. rocznica śmierci pisarza, uznawanego za jedną z najbardziej znaczących postaci literatury (polskiej i niemieckiej). Nic dziwnego, że twórczość autora powieści podejmujących zarówno problematykę odpowiedzialności moralnej za zbrodnie II wojny światowej, jak i stanowiących rezultat doświadczeń reporterskich „czułego rejestratora polskiego życia społeczno-politycznego", obudowana została licznymi komentarzami krytycznymi traktującymi jednak jego teksty „dość intuicyjnie i wyrywkowo". Na tym tle najnowsze opracowanie dorobku autora *Początku – Dyskurs i historie. O powieściach Andrzeja Szczypiorskiego* Grażyny Maroszczuk – jest bez wątpienia książką poznawczo wartościową i w oryginalny sposób podejmującą próbę „zmierzenia się" z jego powieściami wydanymi po 1968 roku. Nie mamy do czynienia z syntezą dorobku pisarza. Badaczka, „wpisując" w szeroki kontekst omawiane przez siebie publikacje Szczypiorskiego, postanowiła przyjrzeć się uważniej utworom okresu „dojrzałego" autora *Mszy za miasto Arras* i skoncentrowała swe badania „wokół zagadnienia dynamiki procesów oddziaływania na odbiorcę w wybitniejszych realizacjach prozatorskich pisarza". Uwaga recenzentów skupiała się głównie na ideowym aspekcie powieści, pomijając kwestie genologiczne tych tekstów. Zamysł Maroszczuk był inny: obserwuje „sposoby kształtowania komunikatów w płaszczyźnie świata przedstawionego [...] paraboliczny schematyzm fabuły, schematy będące podstawą kompozycyjną utworów zaliczanych do literatury obiegów popularnych, podpowiadające zabiegi sterowania procesem lektury w powieściach przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych". Autorka, której zainteresowania literaturoznawcze skupiają się wokół zagadnień retoryki wypowiedzi narracyjnej w tekstach literackich i paraliterackich, „nachyla" termin „dyskurs" w stronę ujęcia retorycznego i traktuje go jako „wypowiedź «zaprojektowaną w celu oddziaływania na odbiorcę»". Snuje refleksje o stylu prozy, analizując strukturę składniową tekstów złożoną przede wszystkim z prostych fraz, które – co oczywiste – mają znaczną „zdatność komunikatywną", omawia komunikaty perswazyjne w *Początku, Nocy, dniu i nocy* oraz *Grze z ogniem* pozwalające na sterowanie odbiorem lektury. Pokazuje *explicite*, na bogatej egzemplifikacji sposoby budowania porozumienia z czytelnikiem poprzez pytania retoryczne, zdania warunkowe, wartościujące epitety, określenia waloryzujące elementy świata przedstawionego. Ciekawią ją zabiegi „retoryzacji" pokazane m.in. w *Mszy za miasto Arras* (parabola, monolog wypowiedziany w funkcji „ekspresji rozrachunkowej", kody retoryczno-użytkowe: „dysputa", dialog sokratejski, sympozjon biesiadny, traktat, mowa agitacyjna, kazanie), dające możliwość „podwójnie zaprogramowanego odbioru" (wymuszonego cenzurą), przez co Szczypiorski uzyskiwał „schizofreniczny" charakter swoich tekstów.

Maroszczuk dokonuje interpretacji za punkt wyjścia obierając warstwę narracyjną. Na marginesie poczynionych dzięki temu uwag, zastanawia się nad kategorią „atrakcyjności" prozy autora *Amerykańskiej whisky*. Zdaniem badaczki teksty prozatorskie Szczypiorskiego (*Msza za miasto Arras; Początek; Noc, dzień i noc* oraz *Gra z ogniem*) usytuowane są pomiędzy obiegiem literatury wysokoartystycznej i popularnej. Umiejętne granie „zmyśleniem", atrakcyjne żonglowanie sprawdzonymi konwencjami, które za sprawą literatury „wysokiej" obarcza się ważkimi treściami, przeczącymi trywialności schematu, ciekawa intryga jako atut i krok ku „odnowieniu przymierza z odbiorcą" to – jak przekonująco dowodzi badaczka – powody zapewniające powieściom autora *Gry z ogniem* „poczytność" i sukces wydawniczy. Maroszczuk pokazuje fenomen pociągania sukcesu jednej książki drugą oraz idące za sukcesem medialnym nagrody. Na przykładzie powieści *Noc, dzień i noc* odsłania „zagadkę" bestselleru. „Sukces czytelniczy utworów pisarza – pisze Maroszczuk – przypada w momentach przełomów polityczno-społecznych. W kontekście prowadzonych rozważań *Msza* jest powieścią o kryzysie, *Początek* to głos pisarza przeciwko zagrożeniom ujawniającym się w rzeczywistości spetryfikowanej. Stąd w twórczości Szczypiorskiego wyraźne odwołania do form będących świadectwem sytuacji przejściowych: notesu, eseju, felietonu, artykułu publicystycznego. Pisarz zabiera głos, mówi o sobie i współczesności, towarzyszy jej przemianom, próbuje opisu zjawisk i poszukuje uogólnień w rzeczywistości określonej przez świadomość czasów niepewnych".

Przywołując recepcje krytyki, Maroszczuk interpretuje, uzupełnia wcześniejsze rozpoznania recenzentów, zastanawiając się równocześnie nad tym, czy Szczypiorski – występujący często w pozycji pisarza-terapeuty – jest „twórcą jednego dzieła". Widać, że autorka bez problemu panuje nad materiałem badawczym, płynnie przeskakuje między powieściami Szczypiorskiego, łącząc je z tekstami publicystycznymi, krytycznoliterackimi, reportażami. Pokazując struktury organizujące teksty, „zanurzenie" ich w gatunkach, konwencjach, udowadnia powody popularności pisarza.

Osobną sferą zainteresowań tematyzowanych w *Dyskursie i historiach* stanowią diametralnie różne odczytania *Początku* w Polsce i Niemczech Zachodnich. Polemika z tezami o pojednaniu, współistnieniu narodów środkowoeuropejskich, cenienie przez polską krytykę publicystyki (akcentującej problemy życia politycznego), funkcjonowanie tekstu – jako przekładu – w świadomości niemieckojęzycznych odbiorców to tylko nieliczne aspekty, o których rozprawia Maroszczuk.

Słowem, *Dyskurs i historie* to książka spójna, a jej autorka przekonała, że na twórczość z pozoru tak dobrze znanego pisarza, za jakiego uznawany jest Andrzej Szczypiorski, można spojrzeć z nowej, ciekawej perspektywy.

AGNIESZKA NĘCKA

Modlitwa do płatków róży



Marta Fox: *Święta Rito od Rzeczy Niemożliwych*, Wydawnictwo „Siedmioróg", Wrocław 2005, str. 311.

Marta Fox nieustannie zaskakuje czytelników. Autorka bestsellerowych powieści młodzieżowych, poetka i powieściopisarka skoncentrowana przede wszystkim na problematyce miłosnej tym razem napisała powieść autobiograficzną.

Co ją skłonilo do tego? Myślę, że spotkania z czytelnikami, którzy zawsze chcą wiedzieć jak najwięcej o osobie autora. Sądzę, że również głębokie przeświadczenie, że literatura jest najlepszym sposobem kreowania swego życia. „Chcę mieć wrażenie, że wiele ode mnie zależy" – zdradza Fox, nie po raz pierwszy ujawniając przemożne pragnienie autokreacji. Pragnienie paradoksalnie nieprzystające do realiów globalnego świata, w którym tak naprawdę tak niewiele od nas zależy. Autokreacja jest na ogół pożywką autobiografii, w której opisuje się własne życie i dzieli się własnymi przemyśleniami.

„Święta Rito od Rzeczy Niemożliwych" nie jest jednak autobiografią. Jest powieścią o wyraziście zorganizowanej fabule, osnutej co prawda na wydarzeniach z życia autorki, ale zbudowanej z elementów fikcji literackiej. Jej bohaterka jest literacką transformacją pisarki. Nosi co prawda imię i nazwisko Marty Fox, ale duchowo jest spokrewniona z bohaterami tak słynnych powieści autobiograficznych, jak „Cierpienia młodego Wertera" Goethego czy „Noce i dnie" Marii Dąbrowskiej. Podobnie jak oni bohaterka „Świętej Rity" „więcej kamufluje niż wyjaśnia" – jak definiował istotę powieści autobiograficznej przywoływany także i przez Martę Fox Josif Brodski.

Najnowsza książka Marty Fox jest rodzajem terapii, jaką – wedle własnych słów – zafundowała sobie autorka, „kobieta po przejściach", jakby określiła ją Agnieszka Osiecka. „Święta Rito od Rzeczy Niemożliwych" to literatura, która leczy nie tylko autorkę, ale i jej czytelników. Niesie bowiem nadzieję, pokazując, jak brać się za bary z życiem, które nie oszczędza ciosów, ale nie pozwala też upaść, co chwila szykując niespodziewane zwroty.

Powieść Marty Fox jest także – jak zdradza to już sam tytuł – modlitwą. Zaczyna się wierszem – inwokacją do świętej Rity, której kult w Polsce nie jest zbyt rozpowszechniony, a której grono wyznawców – po lekturze książki Marty Fox – na pewno ma szansę się powiększyć. Któż nie potrzebuje bowiem wstawiennictwa świętej, która od piętnastego wieku pomaga w beznadziejnych sprawach?! Atrybutami świętej Rity są: róża – symbol piękna, miłości, ale i cierpienia oraz pszczoły – symbol pracowitości. Na kartach powieści Marty Fox święta Rita staje się patronką kobiet (mężczyznom w beznadziejnych sprawach pomaga święty Juda). I to kobiet – niezależnie czy tego chcą, czy też od tego się odcinają – definiowanych przez sukcesy mężczyzn.

Dlatego powieść „Święta Rito od Rzeczy Niemożliwych" jest też swoistym manifestem pragnienia kobiecej niezależności. Pragnienia okupionego często samotnością, a przez to coraz bardziej wzmagającą się potrzebą miłości. Do świętej Rity – po lekturze książki Marty Fox – powinny uciekać się kobiety, które nie chcą siebie widzieć w roli ofiary, które uczą się wyrażać swoje życzenia i które odkrywają, jak mają mówić o swoich potrzebach. To książka o kobietach „samoswoich" – jak określa to Marta Fox. „Święta Rito od Rzeczy Niemożliwych" to manifest feminizmu. Nie feminizmu wojującego, na oślep okładającego zdominowany przez mężczyzn świat, a feminizmu racjonalnego, krok po kroku zdobywającego potrzebną kobietom do samorozwoju przestrzeń. Przestrzeń, w której jest miejsce dla mężczyzn, ale tylko tych. którzy potrafią uszanować kobiece prawa i którym nie przeszkadza równy im ich status.

„Święta Rito..." to również opowieść niesłychanie liryczna – nie w tonie, na jakim wybrzmiewa, ale w sensie bliskości gatunkowej z liryką. To opowieść o życiu poetki, w której mowa potoczna przeplata się z poezją własną i innych bliskich bohaterce i Marcie Fox, poetów. Warto przy tym podkreślić, że wiele epizodów i konstruujących je dialogów to niemal gotowe sceniczne etiudy lub filmowe scenopisy. Marta Fox ma czule ucho na dialog – co uwidoczniło się już we wcześniejszych utworach, a co powieść ta w zupełności potwierdza. Jest w niej obecny także jeszcze inny żywioł – humor. Pobrzmiewa w nim autoironiczny dystans.

Jak każda powieść autobiograficzna także i „Święta Rita" jest osadzona bardzo wyraźnie w realiach codzienności i wydarzeń, które rozgrywają się na oczach autorki. Czerpie z nich soki. Marta Fox sięgnęła po dwa najżywiej dyskutowane i przeżywane w pierwszych miesiącach roku 2005 tematy: lustracji oraz znaczenia życia i dzieła Jana Pawła II. W dniu, w którym pojawiła się tzw. „lista Wildsteina" Marta Fox – jako pokrzywdzona, córka pokrzywdzonego otrzymała w IPN teczkę swego ojca, prześladowanego przez ubecję żołnierza AK. W dniu, w którym jedna z jej córek wyszła za mąż, zmarł Ojciec Święty. To są dwa wydarzenia konstruujące dramaturgię powieści Marty Fox. Tematem głównym „Świętej Rity" jest poszukiwanie odpowiedzi na pytanie o sens życia. Eksplikuje to wprost jeden z najważniejszych rozdziałów tej książki – rozdział, w którym toczy się rozmowa bohaterki z córką, starającą się zinterpretować nie dający spokoju matce sen. Właśnie tu pada znamienne pytanie: „Czy wiesz, o co w twym życiu chodzi?".

Jak zracjonalizować coś, czego nie sposób bez uciekania się do metafizyki wyjaśnić – to dylemat odwieczny jak świat. Okazuje się, że bardzo bliski bohaterce powieści i co oczywiste, jej autorce – osobie „niekościelnej" według słów ks. prof. Józefa Tischnera, a przecież w jakimś sensie religijnej. Powieść zaczyna się inwokacją do świętej Rity, przeplatana jest antyfonami do niej. Kończy ją „Appendix" – rozdział-suplement pióra Elżbiety Binswanger-Stefańskiej wyjaśniający znaczenie „trzynastki" – liczby, która w szczególny sposób określa pontyfikat Jana Pawła II. To liczba – jak dowodzi specjalistka od numerologii – symbolizująca śmierć i jednocześnie nadzieję na nowe życie, na zmartwychwstanie. Życie jest więc oswajaniem lęku przed śmiercią, która prowadzi do nowego życia. Niedowiarkom pomaga zrozumieć to święta Rita od Rzeczy Niemożliwych. Piórem Marty Fox.

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA

Szewczykowe Katowice



Wilhelm Szewczyk: *Wiwat Katowice*. Eseje, szkice, felietony. Wybrała Grażyna Barbara Szewczyk. Structura, Katowice 2005, s. 231.

W roku 2006 przypadają dwie rocznice związane z życiem Wilhelma Szewczyka: 5 stycznia - 90. rocznica urodzin, 8 czerwca - 15. rocznica śmierci. W tym miesiącu, w czwartek, 26 stycznia, w Sali Portretowej GTL (w siedzibie redakcji „Śląska") odbędzie się o godz. 17.00 spotkanie zatytułowane „MIEJSCE WILHELMA SZEWCZYKA W LITERATURZE I W ŻYCIU ŚLĄSKA".

Mija 90. rocznica urodzin Wilhelma Szewczyka. To kolejna, bodaj już trzecia, jego pośmiertna książka. Najpierw ukazał się zbiór szkiców i tekstów publicystycznych pt. *Każdy ma swój życiorys*, a potem *Wspomnienia* – wyjątkowo cenne, bo zbierające materiały słabo lub w ogóle nieznane. Tym razem tom złożono głównie z felietonów publikowanych w prasie katowickiej: „Dzienniku Zachodnim", „Trybunie Robotniczej", „Wieczorze". Całość – uzupełniona szkicami, które wcześniej stanowiły część innych książek i publikacji zwartych – podzielono na kilka rozdziałów: *Historia pewnego albumu, Spojrzenie na miasto, Znane zakątki, Wspomnień czar, W domu Szewczyka bywali* oraz *Jestem ze stajni Szewczyka* (ten ostatni tekst jest dziełem Jerzego Moskala, znanego grafika i scenografa, wieloletniego współpracownika Redaktora; Moskal zadbał też o kształt plastyczny książki). Szkice, felietony i gawędy literackie scala temat główny – są nim Katowice. Miasto, w którym wprawdzie Szewczyk ani się nie urodził, ani nie wychował, to przecież z nim związał całe swe zawodowe i prywatne życie. Tutaj mieszkał, tworzył i redagował przez ponad pół wieku. Wyrwę w katowickim życiorysie pisarza stanowiły tylko lata niemieckiej okupacji.

Zdawać by się mogło, że tak wypreparowana książka musi mieć wątpliwy adres czytelniczy. Przecież te teksty – przynajmniej większość z nich – były pisane doraźnie (tak, jak się to zwykle w gazetach robi). A jednak jest inaczej, nawet odległe artykuły – powiedzmy te z późnych lat 50. – niosą głęboki walor poznawczy, i to nie tylko w tych przypadkach, gdy ich tematem jest historia, która przecież się nie starzeje. Weźmy na przykład publicystyczny drobiazg zatytułowany *Koniec pewnej uczelni*. To rzecz o krótkim żywocie katowickiego Studia Dramatycznego. Parę faktów, parę nazwisk, diagnoza rozwoju i upadku Szkoły. Tylko tyle, a jednak – także po latach – wystarczy. Przywołany został fragment krajobrazu kulturalnego Katowic sprzed pół wieku. Fragment, który – trzeba wiedzieć o tym także dzisiaj – był istotny nie tylko w dziejach jednej sceny. Takie przykłady można by mnożyć. Słowem – tę książkę warto przeczytać, bo zawiera setki, tysiące wiadomości i faktów z życia Katowic wczorajszych i przedwczorajszych. Dla licznych miłośników tego miasta – rzecz nieoceniona.

Erudycja Wilhelma Szewczyka i jego rozlegle zainteresowania, wsparte bogatą, imponującą wręcz lekturą i wiedzą, tytaniczną pracą, także bezpośrednimi kontaktami z wieloma luminarzami kultury – to fakt powszechnie znany. *Wiwat Katowice* tylko je potwierdza. Przed lekturą można było jednak mieć obawy, czy te teksty – po latach – nie okażą się mimo wszystko obciążone ideologicznymi prawidłami epoki, w której powstawały. Czy były to obawy uzasadnione?

Wilhelm Szewczyk był nie tylko pisarzem, publicystą i wybitnym redaktorem, ale także bez mała oficjalną instytucją, w czasach ukazywania się „Poglądów" – posłem na Sejm, członkiem niezliczonych gremiów. Był hedonistą, niekwestionowanym bossem katowickiej cyganerii literacko-artystycznej, ale także – namaszczonym nie tylko przez przyjaciół i czytelników – kodyfikatorem życia kulturalnego na Górnym Śląsku. Cóż, jego publiczny wizerunek składał się – wykorzystajmy metaforę Moskala – z „awersu" i „rewersu". „Miał opinię spolegliwego wobec władzy – przypomina Moskal. – Ale dlaczego i z jakich powodów ta władza znajdowała zawsze jakieś powody, aby go usunąć z partii, żeby postawić go przed komisją kontroli partyjnej. Z jakichś przecież powodów wszystkie trzy pisma, które redagował, zostały zlikwidowane, a on pozbawiony pracy".

Te pytania zostały zawieszone w powietrzu, i chyba jeszcze dotąd nikt nie dał na nie wiarygodnych odpowiedzi. Ta książka też ich nie przynosi. Wilhelm Szewczyk pozostaje zagadką. Po lekturze *Wiwat Katowice* – chyba jeszcze bardziej niezgłębioną. Odnajdujemy w niej bowiem świadectwa jego nieustannych kłopotów z władzą, urzędnikami i cenzurą, jednocześnie przecież – a wiemy to nie tylko od Moskala – ciągle musiał się z owymi „czynnikami" układać. I układał się. Niekiedy przegrywał i płacił wysokie rachunki (chyba najwyższe w latach stalinizmu; zainteresowanych odsyłam do prac Krystyny Heski-Kwaśniewicz na ten temat). Na dowód przywołajmy słowa samego Szewczyka: „Niewinna wzmianka w czwartym numerze «Odry» o tym, że w Berlinie zespół liczący 27 osób wystawił *Cyrulika Sewilskiego*, dając tym samym pierwsze przedstawienie operowe w Niemczech powojennych, wywołała taką burzę w sercu pewnego urzędnika, że stawiwszy się przed jego oblicze musiałem wysłuchać solidnej reprymendy. – A więc to już do tego doszło, że pochwalacie takie zdarzenia?! I to na Śląsku?! Zamiast je potępić i napisać, żeby Niemcy zabrali się raczej do odbudowy zniszczonych krajów?! Muzyczki im się zachciewa, a wy to po prostu kwitujecie".

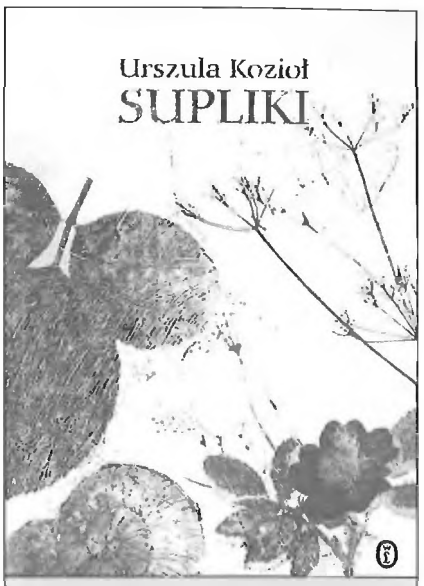
Ile – takich i podobnych – rozmów musiał w swym życiu odbyć Szewczyk? Nie tylko w latach 40. i 50. Także później, choć pewnie miały już one inny przebieg, wszak pozycja Szewczyka jako najważniejszego śląskiego mentora rosła. Nawet najwyżsi rangą dygnitarze musieli się z nim liczyć. Ale zawsze na jego drodze (i zespołów redakcyjnych, którymi kierował) pojawiał się – taki czy inny – „pewien urzędnik". Katowice – doprawdy – nie były dobrym miejscem dla ludzi kultury. Zmuszały środowiska twórcze do konformizmu, nawet oportunizmu. Dawały im do zrozumienia, że są drugorzędne („Katowice to nieprzyjemne miasto" – notował Szewczyk w roku 1946).

Przez takie właśnie konteksty trzeba czytać dawne teksty dziennikarskie Szewczyka, a one muszą budzić uznanie. Obawy, że znajdziemy w nich jakieś „ideologiczne obciążenia", które trzeba przepuścić między palcami, by dotrzeć do tego, co ważne i nośne dzisiaj, okazały się niepotrzebne. Doprawdy niewiele jest takich miejsc w tej książce, które trzeba by po latach weryfikować. Broni się także język i ton tych felietonów i gawęd.

Prawdopodobnie, czytelniczo najatrakcyjniejszy jest cykl zatytułowany *Znane zakątki*. To seria króciutkich tekstów o dzielnicach Katowic, ich najważniejszych ulicach i placach, knajpach i hotelach. Oto prawdziwe Szewczykowe Katowice – nasycone historią, polską i niemiecką, daleką i bliską, ludźmi i strzępami anegdot. To lepsze od najlepszej monografii. Znajdą wdzięcznego czytelnika także *Wypisy ze Złotej Księgi*, czyli wybór rysunków, grafik i dowcipnie podpisanych zdjęć, wyjętych z domowego archiwum Szewczyka.

KRZYSZTOF KARWAT

W rytmie skargi



Urszula Kozioł: *Supliki*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2005, ss.72.

Ostatnio po latach milczenia powracają poeci. Przypominają się nowymi wierszami, w których rozpoznajemy t e n głos i blask. Tak wraca Urszula Kozioł, „jedna z najwybitniejszych i najbardziej cenionych w świecie polskich poetek" – czytamy w nocie wydawniczej na okładce tomu *Supliki*. Poetka przemawia głosem z dawna nie słyszanym, potrzebnym, „nawet jeśli zdaje się wołaniem na puszczy". Ostatni zbiór jej wierszy ukazał się w 1997 roku. Wieńczył on płodny okres w twórczości Kozioł, jakim okazały się lata 90., gdyż, o czym warto tu wspomnieć, Urszula Kozioł publikuje swoje wiersze niezwykle rzadko. Może dobrze się stało, iż ostatnią książką poetycką pisarki był obszerny wybór *Stany nieoczywistości,* bo po lekturze całości wierszy, ten powrót tym bardziej zdumiewa. Urszula Kozioł zmieniła nie tylko formę (wiele tu poezji prozą i poezji fragmentu), ale także ton i przesłanie. Co zwraca uwagę, to tak duża ilość wierszy o samym procesie pisania. Dopiero pod koniec lektury tomu zrozumiemy, a powie nam o tym sama poetka wprost w dwu fragmentach, że to, co ona nazywa „wierszem" i nad czego budową, tworzywem, skupi całą niemal swą uwagę, jest dla niej tożsame ze światem. Tak często zatem przywoływany proces zapisu, jest rejestracją istnienia w świecie:

słowo zachodzi za słowo
zapada wczesny wiersz;
ktoś z wyżyn zsyła litery
w których nam nie do twarzy

(*Wyrywki*)

Uderza obecność poematów prozą, do których należy obszerny cykl *Traktatów*. Tak w przeciwieństwie do swych rówieśników, choćby Krystyny Miłobędzkiej, o której tomie *Po krzyku* mówi się, iż jej wiersz został doprowadzony do doskonałości, autorka *Postojów słowa* poszerzyła frazę, miast ją ścieśniać do granic oporu materii semantycznej języka. Wiele nowych wierszy odwołuje się również do tzw. klasycznego okresu jej twórczości. Przypominają go swą lotnością, tą nie do powtórzenia, i niemożliwą do odnalezienia gdzie indziej linią melodyczną. Za najprawdziwsze perły uznać też trzeba cykl *Ronda*. Jak nikt potrafi Urszula Kozioł zapisać nieuporządkowanie myśli na krawędzi snu i jawy, o czym dawno przekonaliśmy się czytając powieść *Ptaki dla myśli* i jej kontynuację w noweli *Noli me tangere*.

Supliki to również arkadie powrotu ku wodzie (Urszula Kozioł zawsze była, „poetką wody"), które przynoszą zapisy refleksji nad rzekami. I miłości do drugiego człowieka, do piękna, jakim jest życie. To przecież o miłości pisała kiedyś Kozioł doskonałe strofy:

Jesteś za blisko
za naocznie jesteś
żebym cię mogła zobaczyć raz wtóry.
Oto liść jeden przybył
w naszym drzewie
a nie wiem – który.

(„...")

Zatem nie zdumiewa po latach obecność takich afirmacji:

„w każdej chwili od nowa
gotowa jestem śpiewać moją miłość
do ciebie
wiesz, że do ciebie
i w każdej chwili na nowo
umieram z zachwytu
nad urodą tego świata
choć ten właśnie wyślizguje mi się z rąk".

(****miecz Damoklesa*)

Czy *Scherzo,* najbardziej osadzone w melodii dawnych wierszy poetki, którego epilog znajdujemy w *Wyrywkach 6:*

animulko
babulko
bidulko
już rozchodzą się nasze drogi
ty na niebie zakwitniesz chmurką
ja się stanę pluskiem do wody.

W nowym tomie Kozioł dominuje afirmacja piękna. To ono pozostaje, odzwierciedlone w znamiennym wierszu napisanym specjalnie dla „Biblioteki w kamieniu" w Arpino w 2003 roku, w którym czytamy prośbę: „Przechodniu stań i teraz / ty mi o sobie opowiedz / Spróbujmy razem ocalić / tę rozpoczętą rozmowę".

Supliki, czyli skargi to wielki temat Urszuli Kozioł. Oto otwierający tom głośny już wiersz *W barwach amaro*. Jeszcze długo po lekturze tego poematu unosić się będzie, jak nie ustępująca chmurka grożąca deszczem w słoneczny dzień, fraza: „– Iwolski śmiał się". Trzeba przyznać, że takich utworów jak *W barwach amaro* poezja polska już dawno nie notowała. Jak się okazuje, unoszący się nad nim duch romantyzmu nie przeminął.

Wiersz, jak już wspominałem, tożsamy jest dla poetki z życiem. Więc trwa, musi i powinien trwać nieustanny proces jego stwarzania. To on pozostaje jedynym gwarantem istnienia:

Chwila w której rodzący się wiersz
zostaje zroszony tchnieniem
mojej duszy
chwila
w której to tchnienie
przenika go na wylot
chwila
w której wiem wiersz
zanim powstanie
w której już przestaje być ważne /
czy go zapiszę czy nie
chwila
w której odkrywam
że ów wiersz jest
stał się mną
i że nikt inny prócz mnie
tego doznać nie może

(*Wyrywki 1*)

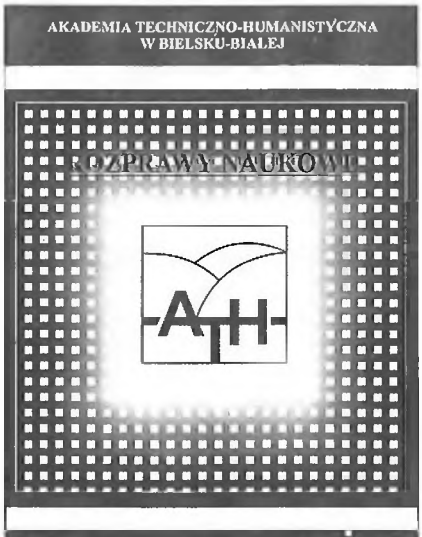
I wreszcie finalny utwór, *Wygaszanie,* napisany z wielkim rozmachem. To spiżowy pomnik dla tragedii istnienia. Bo „celem życia jest śmierć" – echo tego zdania włożonego w usta kilkunastoletniej bohaterki autobiograficznych *Postojów pamięci,* powraca. Słuszna zdaje się głośna lektura tego krzyku przechodzącego w gardłowy szept, błaganie. Ta wielka poezja rządzi się wielkimi emocjami:

Wyjrzyj Hanno spójrz na gościniec
czy nie spieszą mi bracia na odsiecz
czy nie słychać tętentu
czy nie widać by się pył kłębił
szybkolotnym tumanem
gdy próbuję przeniknąć ciemność
która mnie nagle spowiła.
Gdzie jesteś jaskółko czemu nie zawrócisz
mnie niskim lotem z nazbyt stromej
dróżki pochyłej
która teraz spycha mnie w dół.

Odurzona purpurą ciernia
odchodzę
oszołomiona barwami słowa
odchodzę
urzeczona łoskotem milczenia
odchodzę
odchodzę odchodzę

Poezja Urszuli Kozioł jest prawdziwa, nie boi się natchnienia. A jej lektura zapiera dech w piersiach. Chce się mówić o tych tekstach i chce się nimi dzielić z innymi.

ERYK OSTROWSKI



Stanisław Gębala: *Teatralność i dramatyczność. Gombrowicz – Różewicz – Mrożek.* Wydawnictwo Akademii Techniczno-Humanistycznej, Bielsko-Biała 2005, s. 248.

Trzy teatry

Książka Stanisława Gębali, poświęcona trzem teatrom – Witolda Gombrowicza, Tadeusza Różewicza i Sławomira Mrożka – jest ważnym przedsięwzięciem wydawniczym, swego rodzaju *summą* dotychczasowych zainteresowań badawczych uczonego. Jest to przy okazji książka znakomicie napisana, interpretacyjna, walnie poszerzająca naszą dotychczasową wiedzę o najwybitniejszych osiągnięciach polskiego dramatu i teatru w XX wieku. Można powiedzieć, że w swej fragmentaryczności przynosi ona niezwykle istotne „odkrycia". Pokazuje mianowicie niedostrzeżone dotąd (lub dostrzeżone w stopniu minimalnym) pokłady sztuki pisarskiej Wielkich Współczesnych. W tym sensie jest to praca odkrywcza i fundamentalna.

Dlaczego autor skoncentrował się na Gombrowiczu, Różewiczu i Mrożku, by tak powiedzieć: **głównych** awangardystach polskiego teatru dwudziestowiecznego, a pominął Witkacego? Wyjaśnienie jest proste: Stanisława Gębalę interesuje dramat i teatr **drugiej połowy** XX wieku, kiedy w sposób zasadniczy zmieniły się warunki istnienia naszej kultury literackiej. Trzej opisani przez niego dramaturdzy radykalnie przeobrazili wizerunek polskiego teatru, weszli w obręb zainteresowania sztuki światowej, stali się znakami tożsamości polskiej kultury na świecie. Zresztą, co trzeba odnotować, wszyscy oni (w różnym stopniu) byli na styku literatury krajowej i emigracyjnej, oddziaływali na kształt dramatu europejskiego i światowego, przyczynili się do odnowienia języka teatru. Stanisław Gębala na te aspekty zwraca szczególną uwagę.

W swojej książce dokonuje on koniecznych redukcji. Inaczej być zresztą nie może, bo niepodobna objąć w jednej pracy całego doświadczenia Gombrowicza, Różewicza i Mrożka. Formuła „studiów i szkiców" wydaje się tutaj zresztą fortunna, bowiem w nowszej praktyce polonistycznej zastępuje ona starą – dziewiętnastowieczną jeszcze – praktykę monograficzną, w której „pewność" badacza tożsama była przewidywalnej „gruntowności" odczytań. W dobie szybko zmieniających się reguł historycznoliterackich jednolitości odczytań, metodologii i strategii, klasyczna monografia odchodzi w przeszłość. Ostatecznie, co wiemy z doświadczenia, lepiej może w serii szkiców oddać to, czego nie sposób ująć w klamry jednej interpretacji.

Ujmuje w tomie Stanisława Gębali jego podejście do tekstu literackiego. Jest ono – zawsze – konkretne, niejednokrotnie błyskotliwe, a już – zawsze – błyskotliwe analitycznie. Badacz powoli podąża za autorem, nie tworzy hipostazy rzeczywistości prawdopodobnych, ujmująco sekunduje myśli dramaturgów. A są oni przecież odmienni. Ich dorobek tylekroć odczytywany, stale poddawany rozmaitym korekturom, bezustannie wchodzący w obręb zainteresowań młodszych pokoleń, tutaj okazuje się dorobkiem nie tylko istniejącym w wymiarze tekstowym, ile – przede wszystkim – światopoglądowym. Dramat (teatr) jest dla Stanisława Gębali obszarem spięć mentalnych, terytorium nie tylko sztuki słowa, ale także sztuki zapatrywań, relacji interpersonalnych. W tym sensie perspektywa Ja-Ty jest istotą teatru.

Gombrowiczowi poświęca autor trzy szkice, Różewiczowi osiem szkiców, Mrożkowi także osiem. Rzecz leży nie tyle w ilości napisanych przez owych dramaturgów sztuk, ile w ważności problemów, które przez owe sztuki są poruszane. I wreszcie w sposobie, w jaki Stanisław Gębala podchodzi do istoty rzeczy. Komentarz sąsiaduje tutaj z interpretacją, dopisek z gruntowną analizą rzeczywistości przedstawionej. Upatruję w takim podejściu nowoczesnego sposobu pisania. Zza przegród tekstowych wyłaniają się pełniejsze twarze dramaturgów.

Witoldowi Gombrowiczowi przygląda się autor w trzech odsłonach. Najpierw w sposób ogólny charakteryzuje jego teatr, a następnie analizuje jego *Iwonę...* i – wedle znanego już polonistom określenia – „arcydramat" *Ślub*. Trzeba powiedzieć, że uwagi Stanisława Gębali, na tle uwag już wcześniej przez badaczy poczynionych, brzmią nie tylko świeżo, ale także konsekwentnie autorsko. Gombrowiczowi poświęcił autor wiele lat swojego polonistycznego życiorysu, niejedną pracę. Tutaj mierzy się więc nie tylko z Gombrowiczem i Gombrowiczologami, ale i z sobą. Jego analizy czyta się z wielkim zaciekawieniem, jest w nich bowiem nie tylko gruntowna znajomość reguł literatury, ale i dystans do tych reguł. Poruszamy się wszyscy po okręgu słów, wchodzimy w relację Ja-Ty. Bodaj tutaj najlepiej została wyrażona autorska (niezwerbalizowana przecież) koncepcja, wedle której literatura (dramat) jest wprawdzie sztuką słowa, lecz życie (teatr) jest sztuką związków ludzkich. Nie ma między tymi „przestrzeniami" **słowa** i **wyrazu** takich relacji, które nie sprowadziłyby się ostatecznie do tego, co nazwać można **spotkaniem**. Związkiem Ja i Ty.

Szkice o teatrze Różewicza nie tyle zmierzają w stronę syntezy, ile w stronę dopełnienia obrazu już istniejącego. Stanisław Gębala jest autorem świetnej książki *Teatr Różewicza* (1978), teraz w serii artykułów na nowo mierzy się ze sztukami autora *Przyrostu naturalnego*, próbując określić zarówno ich ponowoczesną estetykę, jak również ich trudną materię sensu. Niektóre z tych szkiców (czy „dopisków") mają charakter odczytań pionierskich (np. *Śmierci piękne i brzydkie*), inne w sposób wręcz brawurowy próbują zawrzeć w pigułce to, co wymyka się całościującemu spojrzeniu (np. *Metateatralna refleksja Różewicza*). Zarówno rzeczy mniejsze, jak i większe zgodnie tutaj z sobą sąsiadują. Odczytuję ich obecność w książce jako ważny „głos" w sprawie Różewicza. Za szczególnie ważne uznaję dopełnienia interpretacyjne dotyczące *Kartoteki*. Ten dramat, do którego Tadeusz Różewicz powrócił po kilkudziesięciu latach, ukazuje w interpretacji Stanisława Gębali spętaną przez „tragikomiczną dramatyczność" tożsamość Polski i Polaków. Eksperyment teatralny, który przerósł w dogłębnej analizie prawdziwe życie...

Szkice o teatrze Sławomira Mrożka są wręcz przebojowe. Stanisław Gębala nie jest bezkrytycznym ich odbiorcą i interpretatorem, o czym przekonuje świetnie napisany komentarz *Trzy monografie*. I tutaj mamy do czynienia z ową, by tak ją nazwać, „poetyką fragmentu". Badacz rozpoczyna od „form dramatycznych" Mrożka (więc: od zagadnień ogólnych), by po świetnym szkicu o tym, [...] *jak Mrożek budował swój teatr*, przejść do analiz szczegółowych, w których relacje Ja-Ty odnajdują swoje głębokie znaczenie. Ważne miejsce zajmują tutaj interpretacje dramatów *Rzeźnia* i *Emigranci*, w których badacz dopatruje się – z jednej strony – kresu dramaturgii Ja (*Rzeźnia*), z drugiej natomiast – odnajduje arcydzielność rozwiązań dramaturgii Ja i Ty (*Emigranci*). Ta porywająca intelektualnie propozycja będzie miała zapewne w przyszłości swoją kontynuację.

Jestem głęboko przekonany, że otrzymaliśmy książkę ważną, intelektualnie przenikliwą, interpretacyjnie doniosłą. Stanisław Gębala, od lat sumiennie śledzący polski teatr XX wieku, zaliczany jest do najwybitniejszych znawców dorobku Witolda Gombrowicza, Tadeusza Różewicza i Sławomira Mrożka. Jego studia i szkice z tego zakresu od dawna wchodzą do kanonu polonistycznych opracowań. Dobrze więc się stało, że Autor zdecydował się na tę książkę. Z pewnością będzie to pozycja, po którą poloniści będą wielokrotnie sięgać.

WŁODZIMIERZ WÓJCIK

Wiesław Malicki: *Take-away Thoughst. Myśli na wynos. Gedanken zum miznehmen.* Impressum, Opole 2005 r., s. – być może 30.

Większość ludzi – jak i autor tej notki - nie ma zdolności do aforystycznego formułowania swoich przeżyć, zachwytów, doświadczeń. Stąd bierze się popularność Gomeza de la Serny, Brechta oraz różnych złotych myśli „Ludzi wielkich, średnich i psa Fafika" (że tak przywołam dobry, stary *Przekrój*). Dlatego myślę, że i zbiorek *Myśli na wynos* zdobędzie sobie czytelnika. Bo to zgrabne sformułowania. Np. *Głód syci*. Drażni mnie natomiast wszystko pozostałe w tej publikacji. Bo to nie książeczka, tylko teka luźnych, kartonowych kartek z aforyzmami w trzech wersjach językowych (polski, niemiecki, angielski). Czy autor chce nam w ten sposób zasugerować, że mamy poszczeglne strony sobie wywieszać jako „motto dnia"? Nie do zniesienia jest też *Wstęp* Zbigniewa Kresowatego, który usiłuje dowieść, że te „myśli nieuczesane", a przez to w miarę ucieszne, są – nie wiem czym? systemem filozoficznym? objaśnieniem każdego misterium? – w każdym razie wynikają z „mądrości Starca z gór", który jest w *aforystyce nawet wybitny i kto wie, czy nie najoryginalniejszy w Polsce*.

A mogło być tak bezpretensjonalnie.

f.p.

Arkadiusz Frania: *ale się nie obudzę*. Instytut Wydawniczy „Świadectwo", Bydgoszcz 2004 r., s. 64.

Autor, członek ZLP, mieszka w Częstochowie, jest poetą i krytykiem literackim. Też literaturoznawcą. W swojej poezji lubi się odwoływać do malarstwa (Modigliani, Margritte, Manet, Weiss). Chyba nieprzypadkowo taki wybór. Najdłuższy bowiem cykl z tego tomiku zatytułowano *zapisuję sen*, co wyraźnie odnosi się do surrealizmu, pijackich wizji Włocha i symbolicznego (w jakimś sensie) malarstwa ucznia Matejki. Cieszy, że autor próbuje się wydobyć z kręgu „kultury śródziemnomorskiej" i beztrosko notuje sobie obrazki mieszczące się (nie liczyłem sylab) w konwenji japońskich haiku. Przykłady:

biedronka czesze
lniane włosy babiego lata
I:
w kołysce z pajęczyny
sen czyści myśli muchy

Edmund Borzemski: *Nie gasić gwiazd*. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 2005 r., s. 116.

Edmund Borzemski, historyk, poeta (autor 5 tomików wierszy wydanych przez „Wers" – wydawnictwo ZLP w Opolu) swoją nową książeczką *Nie gasić gwiazd* zainaugurował Serię Jubileuszową XX-lecia Konfraterni Poetów z Krakowa. Zbiór otwierają trzy wiersze poświęcone odejściu Jana Pawła II, pełne żalu, napisane na gorąco. W ogóle wiele w tym tomiku utworów związanych z wiarą, inspirowanych *Biblią*, odwołujących się do świąt i świętych. Autor nie zamyka się jednak w przedziale zwanym poezją religijną. Egzystencjalne sytuacje często odnosi do mitologii greckiej, przywołuje też postacie ze świata współczesnej kultury (Marlena Dietrich, Leonard Cohen). Żeby poezji „nie opowiadać" na zakończenie wiersz *Pijak i poeta: Obaj/ piszą / ten sam / wiersz. // Obaj / patrzą / w rozgwieżdżone / oczy nocy. // Obaj / boją się / świtu / bo dzień / to udręka. // Obaj / żyją / na przeczekanie / wszystkiego*.

f.p.

Alicja Baluch: *Kreska i kreska*. Wydawnictwo WIP „@lander", Kraków 2005 r., s. 72.

Alicja Baluch jest członkiem SPP, literaturoznawcą i krytykiem literackim. Ilustruje w dodatku „czarną kreską" swój tomik. Nie znam jej poprzednich książek, wydaje mi się na podstawie ich tytułów, że nie wyszła poza konwencję tego zbioru. Autorka próbuje w swoich wierszach wchodzić w mity, baśnie, podania po to, by trochę rewidować ich przesłania, symbolikę i dosłowność. Bawi się przy tym słowem, grafiką wiersza, wszystkim, co zapewne pozostaje w magazynie jej wiedzy LITERATUROZNAWCY. Może warto na chwilę zapomnieć o „mitologemach" i napisać to, co się czuje? Chyba warto, skoro powstał wierszyk „To Ty byłeś", cytuję: *Stary Dziwak / Mędrzec znad Zbrucza / z którym nie mogłam / już żyć z dnia na godzinę // Brakuje mi Ciebie / nie wracaj*.

f.p.

Doris Lessing: *Podróż Bena*. Tłum. Anna Gren. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2005 r., s. 176.

To dalszy ciąg *Piątego dziecka*, powieści o miłości matki do odrzucanego przez wszystkich innych odmieńca. Kim jest Ben? Upośledzonym umysłowo, niedorozwiniętym mężczyzną? „Brakującym ogniwem" w procesie ewolucji? Na to wskazują pojawiające się w książce wątki (m.in. wyprawa do Brazylii). Tytułowa podróż to jednak nie dosłowne przemieszczanie się w przestrzeni, choć bohater rzeczywiście zmienia miejsca i nawet poruszanie się po ulicach miasta jest dla niego pełną niebezpieczeństw wędrówką. Chodzi tu raczej o powrót do własnego świata, powrót niemożliwy, bo ten świat przestał istnieć przed tysiącami lat. Zatem próba odnalezienia swojego miejsca jest z góry skazana na niepowodzenie, mimo że we wrogim generalnie otoczeniu Ben znajdzie paru sojuszników, którzy będą usiłowali mu pomóc. W streszczeniu może się wydawać, że chodzi o powieść z gatunku fantasy. Ale to, że Ben jest „człowiekiem pierwotnym", który na skutek niewytłumaczalnego kaprysu natury pojawił się w świecie współczesnym, to tylko pretekst do pokazania relacji między „światem normalnym" a „innym", żeby nie powiedzieć „obcym". Niestety, ta konfrontacja nie wypada dobrze dla nas, „normalnych" i „przystosowanych".

j.s.

Jan Pyszko: *kamyki światła*. Nawsie 2005 r., s. 64.

Poeta zaolziański. Co to znaczy? Czy tylko tyle, że żyje gdzeiś tam w pobliżu mitycznego Jabłonkowa? Akurat w jego poezji nie ma tych politycznych odniesień do polsko-czeskiego konfliktu dotyczącego tych ziem. Być może dlatego jego wiersze (przekłady polskich na czeskie) najpierw odkryli Czesi. Cóż, nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Dopiero później trafił do swoich – poeta nie zajmujlcy się geopolityką, tylko słowem. 63-letni debiutant, piszący bez żadnych koniunkturalnych oporów, wprost:

A człowiek
był jest i będzie
Człowiekiem
bo wie bardziej
niż rozum rozumie

Za swoją działalność Jan Pyszko doczekał się odznaczenia za propagowanie polskiej kultury.

j.s.

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Śląski Prószków i inne Pruszkowy

Nad potokiem Prószkowskim, dopływem Odry, leży Prószków. Ta stara wieś opolska należała do rodziny Prószkowskich i w r. 1319 była zanotowana w dokumentach jako *Proscow*, potem – w r. 1333 -jako *Proskow*, czyli własność Ślązaka *Proszka*, znanego już w roku 1204 z nadania dla klasztoru w Trzebnicy. W 1560 r. Prószków otrzymał prawa miejskie, a w r. 1563 wybudowano tu zamek Prószkowskich (niem. von Proskau). Pisze o tym wszystkim prof. Stanisław Rospond (1906-1982) w swoim *Słowniku etymologicznym miast i gmin PRL* (Wrocław 1984, str. 306).

Powtórzmy: *Prószków* pochodzi od *Proszka*. A jaka jest etymologia tego staropolskiego imienia, od którego także urobiono inne *Pruszkowy* (koło Warszawy, Kalisza, Kościana, Łaska)?

Derywat *Proszek* stworzono za pomocą przyrostka *-ek* od postawy słowotwórczej *Prosz*, ta zaś – poświadczona w źródłach staropolskich już w r. 1193 – jest zdrobnieniem-skróceniem od imion złożonych typu *Prosimir* (od *prosić* + staropolski *mir* – „pokój"). Od owego *Prosza* pochodzą podkrakowskie i podraciborskie *Proszowice*, pierwotni *Proszowicy* – „potomkowie człowieka, który nosił imię Prosz".

A dlaczego śląski *Prószków* zapisany jest przez *„ó"*, te pozostałe natomiast – przez *„u"*? W nazwie podopolskiej miejscowości utrzymał się związek etymologiczny z *prosić* - pierwszym członem imion typu *Prosimir*, będących bazą derywacyjną postaci *Prosz, Proszek, Prosisz, Prosina, Proszyna*. Podtrzymanie uzasadnionego etymologicznie *„ó"* jest na Śląsku o wiele łatwiejsze, bo najstarsi mieszkańcy naszego regionu do dziś wyczuwają jego obecność w poszczególnych formach. Mówiąc prościej: w ich ustach *Prószków, Bóg, dół, wóz, stóg, mój, twój* i inne wyrazy z *„ó"* brzmią ciągle *„Prószków"*, *„Bog"*, *„doł"*, *„woz"*, *„stog"*, *„moj"*, *„twoj"* (nie jest to, oczywiście, takie *„o"* jak w *oku, orzechu* czy *oknie*, ale coś, co można określić jako dźwięk pośredni między *„o"* i *„u"*).

Pruszkowy z *„u"* też mają historyczne zapisy z pierwotnym *„o"*. Ale tak jak w języku ogólnopolskim dawne długie *„o"* – po zaniku w połowie XV wieku rozróżnienia między dawnymi długimi i krótkimi samogłoskami – coraz bardziej zbliżało się w wymowie do *„u"*, by w końcu całkowicie się z nim utożsamić brzmieniowo (formy *Bóg, Bug, róg, ruch, dół, duch, mózg, muza, nów, nurek, wóz, wuj, mój, mucha* – czy zapisywane przez *„ó"*, czy przez *„u"* – wymawiane są z jednakowym dźwiękiem *„u"*), tak samo w nazwach miejscowych wywiedzionych od *Proszka* zlało się ono w wymowie z *„u"*. A że w dodatku coraz silniej dawała o sobie znać fałszywa etymologia, wiążąca takie nazwy z czasownikiem *prószyć* – wymawianym *„pruszyć"*, w pewnym momencie zaczęły się pojawiać zapisy z *„u"* (np. w odniesieniu do *Pruszkowa* mazowieckiego: *Villa Pruskowo* 1580). Dodajmy, że przejściu *„o"* w *„u"* sprzyjała też pozycja fonetyczna po spółgłosce *„r"*. W każdym razie w wypadku miejscowości koło Warszawy, Kalisza, Kościana i Łaska ostatecznie utrwaliła się obowiązująca dziś pisownia *Pruszków*.

Zauważmy, że i *Prószkowscy* czy *Prószyńscy* zapisywani są różnie, np. *Prószyńscy* – Konrad (działacz oświatowy, pisarz, wydawca), Kazimierz – wynalazca filmowy i Stanisław – kompozytor – przez *„ó"*, *Ksawery Pruszyński* – pisarz i publicysta – przez *„u"*.

Skoro wiemy już, dlaczego *Prószkowy'//Pruszkowy* mogą być różnie zapisywane, zatrzymajmy się jeszcze przy śląskiej wymowie *„ó"* jak *„o"*, która na pewno pomogła w utrzymaniu się wariantu z *„ó"* w wypadku *Prószkowa* podopolskiego.

Otóż była ta śląska realizacja fonetyczna koronnym argumentem w dyskusji ortograficznej sprzed 30-40 lat dotyczącej *Barbórki*. Warszawski językoznawca prof. Witold Doroszewski (1899-1976), przez lata prowadzący radiowy poradnik językowy, forsował pisownię *„Barburka"* – przez *„u"*, twierdząc, że skoro *„o"* nie ujawnia się w postaciach pokrewnych (tak jak w formach typu *dół – dołu, wróg – wroga, stóg – stogi* itp.), nie ma sensu utrzymywanie zapisu *Barbórka* z *„ó"*. Znaleźli się na szczęście językoznawcy, głównie z południa Polski, którzy upomnieli się o śląską fonetykę w nazwie górniczego święta, też przecież ze Śląskiem przede wszystkim związanego: ponieważ *Barbara* w regionalnej wymowie to *Barbora*, wywiedziona od niej *Barbórka* jest tak oczywista jak wyrazowe pary w rodzaju *środa – śródka, trzoda – trzódka, droga – dróżka* czy *broda – bródka*. Ta argumentacja przekonała wszystkich i dzisiaj jedynie obowiązującym zapisem jest *Barbórka* – przez *„ó"*.

Inaczej ułożyły się ortograficzne losy *Jakuba*. Etymologicznie uzasadniony byłby *Jakób* – z hebrajskiego *Iaaqob* – „niech Bóg chodzi za dzieckiem, niech się nim opiekuje" (w innych językach *Jacobus, Jacob, Jakob, Jako, Jakov, Kabos, Jacopo, Giacomo, Giacobbe, Giacomino*). Ale w Polsce już od XIII wieku zaczęły przeważać zapisy z *„u"* – tak jak w każdej książce telefonicznej o wiele rzadsze – w stosunku do postaci *Jakubiak, Jakubik, Jakubiec, Jakubowski* – są nazwiska *Jakóbiak, Jakóbik, Jakóbiec* czy *Jakóbowski*.

Także uzasadnione etymologicznie zapisy *bót* (z czeskiego *bot* – od francuskiego *botte*), *nóta* (łacińska *nota* – „znak") czy *bróżda* (dawn. *brozda* – z pierwotnej prasłowiańskiej *borzdy*) siedemdziesiąt lat temu zmieniono na *but, nuta, bruzda* z powodu braku morfonologicznej motywacji.

Z kolei *ogórek* powinniśmy pisać przez *„u"* (Rosjanie do dziś mają zapisany przez *„u"* rzeczownik *ogurec*, Niemcy – *Gurke*, a Szwedzi – *gurka*), bo słowo to przyszło do Słowian (a od nich przejęli je Niemcy) z Azji przez Grecję (*angurion, ankuri* – z perskiego *angur*). Ale już w XVI wieku prawie powszechna była obowiązująca dziś pisownia *ogórek* – przez *„ó"*, bo wyraz skojarzono fałszywie z *górą*!

Warto jeszcze tylko dodać jako ciekawostkę, że wrocławianin Jan Stanko, kanonik kapituły krakowskiej i lekarz nadworny Kazimierza Jagiellończyka, który spisał w r. 1472 około dwóch tysięcy terminów polskich dotyczących roślin i zwierząt (pierwszy polski słownik przyrodniczy!), posłużył się poprawną z etymologicznego punktu widzenia pisownią *ogurek*.

JAN MIODEK

Maszyna do umierania

W wierszu Tymoteusza Karpowicza o tytule *Na fotografii* jest mowa o bohaterze lirycznym, o jakiejś osobistości lub osobności, która *tak się skupia w ramce / i dla jasności większego formatu / już tylko na nas patrzy*. Jak wiadomo, tej osobności, zatrzymanej na zawsze i bez odwołania, życie już nie przeinaczy, nie wyrwie z żadnej nicości. Zapewne każde zdjęcie jest pamiątką, która ma wyręczyć niedostatek pamięci o ludziach. Albo portretem trumiennym. Tadeusz Kantor wyznał: „Fotografia uśmierca ludzi (...). Zdjęcie ma coś ze śmierci, postaci są schwytane jak myszy w pułapce, nędzne, bez przyszłości i bez przeszłości".

W Centrum Scenografii Polskiej w Katowicach przypomniano i wnętrze teatru, który był pułapką na ludzi, i portret trumienny. Wystawę fotografii Romana Martinisa z przedstawień Kantora można było odczytać jak archiwum, dokumentujące kolejne spektakle Kantora na przestrzeni ponad dwudziestu lat. Ale była też świadectwem osobistym, poruszającą fabułą o artyście i jego dziele. Martinis zetknął się z teatrem Tadeusza Kantora w 1969 roku, kiedy Cricot 2 uczestniczyło w festiwalu Premio Roma. W Rzymie Martinis zobaczył *Kurkę wodną*. To pierwsze spotkanie dało początek wieloletniej fascynacji twórczością Kantora. Achille Perlili, włoski przyjaciel reżysera, napisał: „Fotografie Martinisa są wyrazem absolutnego zrozumienia metodologii twórczej (...), i co ważniejsze – wyrazem totalnego uczestnictwa w tym, co działo się na scenie i poza nią. Nie jest to tylko chłodna rejestracja akcji spektaklu, zatrzymanie w kadrze ruchu aktorów, czy też uchwycenie napięcia pomiędzy nimi a reżyserem, ale pełne uczestnictwo w życiu tego plemienia, nakłonionego przez swego szamana do przygody".

Szaman nakłaniał do przeżycia nie tylko przygody, ale i podróży. Fotografie Martinisa w skrócie, w zbliżeniach, ukazują wędrówkę teatru Kantora. Prowadzą przez zmienne przestrzenie, inaczej opowiedziane sytuacje sceniczne. Martinis niektóre z przedstawień rejestrował jak reporter, pokazywał akcję sceniczną i jej spotkanie z publicznością, tworzył wielogłosowe, dynamiczne kolaże. Jednak większość fotografii jest chłodnych, zdystansowanych, skupionych na fragmencie, wycinku świata - zawsze wyraźnie wyznaczającym opozycję między przedmiotem a modelem, który w tym świecie, w tym teatrze bywał przedmiotem. Niekiedy jesteśmy pewni, że utrwalono nie spektakl, ale próbę z jej kameralnym, skupionym zmęczeniem. Martinis wykorzystywał czasami moment pauzy, wyciszenia, oczekiwania na grę. Pokazał aktorską i człowieczą bezbronność, wydającą się nie rozumieć kostiumu, który spowija jak kokon lub kaftan bezpieczeństwa. Jeżeli aktorowi Kantora dany był odpoczynek, to tylko taki, jak we wnętrzu kolejowego przedziału, kiedy zapadł wieczór, ale nie wygaszono świateł.

Fotografie uszeregowano w zgodzie z chronologią przedstawień – od świadectw *Kurki wodnej*, aż do *Dziś są moje urodziny*. Sekwencje czarnobiałych obrazów przedzieliły oprawione w ramy komentarze, przynoszące w znośnej dawce konkretne wskazówki interpretacyjne. Tak naprawdę jednak mało intrygowały komentarze i niewiele znaczyła chronologia. Wizualne przyczynki do Kantora nie chciały być ciągiem fiszek w archiwum teatru. Znacznie ciekawsza, gęsta, jednorodna była kartoteka z góry zapowiedzianej śmierci.

W teatrze Kantora obrazy były nie tyle składnikiem narracji, co jej najważniejszym nośnikiem. Miejsce gry było miejscem pamięci. Ona sama snem o pamięci - zdeformowanym, a więc rzeczywistym i prawdziwym. Ale obsesję w akt wypowiedzi artystycznej przeobrażało konstruowanie świata przedstawionego z dialogu tak samo umocowanych symbolicznie, tak samo zdolnych do działania przedmiotów, machin i manekinów. Rzeczy i nierzeczy przeżywały to samo życie lub ciągłą agonię. Porozumienie z publicznością musiało być pozaracjonalne, bo zrywało – warstwa po warstwie – umowę estetyczną, spełniało się w solidarności już nie teatru, ale śmierci. Umieranie nie ma nic wspólnego z brzydotą albo deformacją. Sztuka umierania jest po prostu tak nieludzka, że abstrakcyjna.

Jaka fotografia, jaka ikonografia mogła być wierna dogrzebywaniu się śmierci? Jan Kott pisał o Kantorze-Charonie, przeprawiającym umarłych na drugą, ważniejszą stronę. Gdybym chciał sfotografować taką przeprawę, skupiłbym się na Charonie. Pokazałbym, jak ponaglającym gestem dłoni zaprasza do łodzi. Albo do wnętrza ciemności. Najważniejszym bohaterem teatru Kantora był on sam. Na fotografiach Martinisa został utrwalony ze swymi władczymi pozami, neurotycznymi minami, z całą zachłannością rąk dyrygujących rytmem spektaklu. Ręce były zachłanne, pragnęły wszystko zagarnąć dla siebie, ale oczy, usta, nawet nozdrza tylko wchłaniały – czołobitność manekinów i wiernopoddańcze ruchy machin.

Ktoś uwiecznił całą klasę na fotografii. Manekiny dzieci już się przygotowały do odpowiedzi. Już wiedzą, że śmierć to trudna lekcja, już poznały ją na pamięć. Staruszkowie źle się czują w ciasnych, wąskich ławkach szkolnych. A jeszcze nosić muszą rakowate narośle własnych, drewnianych sobowtórów z dzieciństwa. Kantora nie ma na tych zdjęciach. Ale jest obecny lub sprawdza obecność w umarłej klasie, w szkole śmierci. Po zrealizowaniu spektaklu *Nigdy tu już nie powrócę* Kantor namalował serię obrazów. Jednemu z nich dał tytuł *Mam dość siedzenia w obrazie, wychodzę*. Wychodzę, oczywiście, w kierunku śmierci. Deformuję się, opuszczam formę, czyli życie. Trzeba po mnie posprzątać. Śmierć jest najlepszą posługaczką. Fotografie Martinisa to nie tylko obrazki z teatru, który upodobał sobie śmierć, ale także kronika osobistego umierania Kantora.

Wernisaż wystawy dopełniono pokazem zapisów filmowych przedstawień Kantora. Publiczność, głównie młodzież szkolna i studenci, zobaczyła *Umarłą klasę* i *Wielopole, Wielopole*. Spotkanie z ruchomym obrazem wpędziło większość odbiorców w pułapkę popłochu i metafizycznego zmieszania. Jak gdyby zaproponowano spotkanie z lamusem, który choć wielki i ogromny, obsiadły muchy. Kott pisał po śmierci Kantora: „Pamięć teatru jest krucha. Trwa pod powieką ostatnich widzów". Tyle że równie ważne jest inne trwanie. Inna pamięć. Kantor, odrzucając literaturę, odrzucił także pamięć, którą można uczynić instrumentem, tekstem. Pamięć w teatrze Kantora jest śmiertelną chorobą, zadaną człowiekowi przez kulturę i historię. Takiej chorobie można tylko zrobić zdjęcie, uwiecznić ją na światłoczułej kliszy. Nie da się jej wyleczyć. Nikt nie wyjdzie z niej żywy. Ale ta pewność, że życie jest lekcją śmierci, wymaga zrozumienia nie jakiegoś dogmatu teatralnego, ale losu Kantora, wywołanego w teatrze do odpowiedzi. Dopóki był teatr, zrozumienie wchodziło przez skórę publiczności, unaoczniało się w bezpośrednim spotkaniu, oddalało czy wręcz unieważniało racjonalne hipotezy.

RYSZARD JASNORZEWSKI

Cricot 2. Fotografie Romano Martinisa ze spektakli Tadeusza Kantora. **Wystawa ze zbiorów Ośrodka Dokumentacji Sztuki Tadeusza Kantora CRICOTECA w Krakowie. Centrum Scenografii Polskiej Muzeum Śląskiego w Katowicach. Ekspozycję przygotowano w ramach programu XIV Górnośląskiego Festiwalu Sztuki Kameralnej. Listopad-grudzień 2005 roku.**



Foto.: Romano Martinis. Niech szczezną artyści



Foto.: Romano Martinis. Umarła klasa



Foto.: Romano Martinis. Nigdy tu już nie powrócę



Foto.: Romano Martinis. Wielopole, Wielopole

Podsumowanie regionalizmu

ZNAKI I TWARZE MIASTA

III Konferencja Edukacji Regionalnej zorganizowana w dniu 15 listopada 2005 r. w 140. rocznicę uzyskania praw miejskich przez Katowice była podsumowaniem kilkuletnich starań Urzędu Miasta Katowice i Bractwa Gospodarczego Związku Górnośląskiego w zakresie upowszechniania wśród młodzieży szkolnej i nauczycieli tematyki edukacji regionalnej, jak również promocji materiałów związanych z historią miasta. Wszystkim przedsięwzięciom patronował Piotr Uszok, prezydent Katowic.

Miejscem spotkania nauczycieli katowickich szkół i wszystkich zainteresowanych regionalizmem był Miejski Dom Kultury „Koszutka". Gośćmi konferencji byli: prof. dr hab. Antoni Barciak, który przekonywał wszystkich zebranych o tym komu, po co i dlaczego potrzebna jest edukacja regionalna, Jadwiga Lipońska-Sajdak – dyrektor Muzeum Historii Katowic przedstawiła historię miasta w aspekcie potrzeb edukacyjnych młodzieży a dr Waldemar Szendera przedstawił krótki raport opisujący konieczność prac badawczych nad środowiskiem przyrodniczym Katowic.

Z pewnością atrakcyjnym materiałem edukacyjnym, który otrzymali wszyscy uczestnicy konferencji, była płyta CD zawierająca film pt. „Narodziny miasta Katowice" autorstwa Andrzeja Złotego – prezesa Bractwa. Film zawiera prezentacje multimedialne opracowane przez Biuro Informacji i Promocji Urzędu Miasta Katowice i BGZG. Przybliża tematykę nazewnictwa na terenie Katowic, Katowice i Śląsk w dawnej kartografii, mapki schematyczne do ćwiczeń lekcyjnych. Ponadto do wszystkich trafiło również opracowanie książkowe pt. „Moja Ziemia..." zawierające publikacje: prof. Jana Malickiego (Kultura literacka mieszczan śląskich w XVI wieku), ks. prof. Jerzego Myszora (Ślązacy na uczelniach europejskich), Krystyny Siejny (Ewdukacja regionalna), Andrzeja Złotego (m.in. Katowice w średniowieczu i w dawnej kartografii oraz Słowianie i Śląsk). O historii strojów górniczych w początkach XIX wieku pisze w „Mojej Ziemi..." dr Zdzisław Jedynak, a Łucja Staniczkowa proponuje tematykę zajęć z regionalizmu dotyczącą m.in. postaci Walentego Roździeńskiego, Johana Christiana Ruhberga.

Z pewnością Katowice znalazły się w czołówce śląskich miast, które w tak systematyczny sposób pracują od dawna nad poziomem edukacji regionalnej, nad przybliżaniem dzieciom i młodzieży przeszłości miasta, regionu i ludzi, którzy ją tworzyli. (wk)



Konferencja podsumowująca stan edukacji regionalnej w katowickich szkołach zgromadziła liczne grono zainteresowanych osób, nie tylko nauczycieli.





Mapa Martina Helwiga z 1561 roku – jeszcze bez Katowic.

WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY

Nr 10 • STYCZEŃ 2006

Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk"

KOSZĘCIN

Rekordy minionego roku

W styczniu miłośnicy Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk" będą mieli okazję do wielu spotkań z „ambasadorem" naszej rodzimej kultury. (szczegółowy program str. 96) Miniony rok był pasmem sukcesów: 143 razy artyści „Śląska" byli oklaskiwani na scenach w Polsce i za granicą. Zespół wyjeżdżał do Francji, Czech, Niemiec, Rumunii, na Ukrainę, do Stanów Zjednoczonych i Kanady. W sumie zagraniczne tournée objęły 64 koncerty, to jest o 27 więcej niż w 2004! Zespół oklaskiwała rzesza wspaniałej publiczności w kraju i za granicą, ponad 170 tysięcy widzów. Podczas koncertów krajowych „Śląskiem" zachwycało się blisko 113 tysięcy osób, za granicą owacyjnie witało ich prawie 60 tysięcy wielbicieli!



Zespół odebrał dwie Złote Płyty za albumy: „Karolinka" i „Święta Noc", nagrał kolejną część Złotej Kolekcji „Śląska" - pieśni góralskie „Hej, te nasze góry!". Przygotowano, opracowane przez znakomitego choreografa Juraja Kubankę, tańce romskie, które w grudniu dołączyły do programu „Śląsk w Europie". Zespół rozwinął znacznie drugą gałąź swojej aktywności programowej - działalność edukacyjną i poprzez Śląskie Centrum Edukacji Regionalnej, przez cały rok, przybliżał polski folklor gościom koszęcińskiego Zamku. Wśród wielu słów uznania i wyróżnień jakie spadły na koszęcińskich artystów był m.in. Śląski Oskar i Honorowy Dyplom Fidelis Poloniae - wyraz uznania Małopolskiego Forum Współpracy „Polonia".

W grudniu artyści zainaugurowali cykl kwartalnych koncertów organizowanych we współpracy z Teatrem Śląskim, prezentujących wspaniałą kondycję Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk" oraz obrazujących realizację poszukiwań artystycznych. Dla ukazania maestrii i wielkości „Śląska" koncerty w katowickim teatrze będą odbywać się w pełnym, 120 osobowym składzie: chór, balet i orkiestra. Z bogatego repertuaru 14 programów, Zespół będzie wybierał te, w których może pokazać się w pełnej krasie.

Prapremiera w Teatrze Rozrywki

CHORZÓW

Rozmowa ciałem



5 stycznia w Teatrze Rozrywki odbędzie się niezwykła prapremiera. „Zabawka" - to spektakl autorski Jakuba Lewandowskiego - pomysł, reżyseria, choreografia i scenografia, do muzyki Harolda Budda i zespołów „Mapstation", „Kuchen" i „Gry with FM Einwaeit and his orchestra". Autorką kostiumów jest Elżbieta Terlikowska.

Jakub Lewandowski jest absolwentem Studium Animatorów Kultury w Kaliszu (taniec współczesny), Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu (wychowanie wczesnoszkolne i sztuki na Wydziale Pedagogicznym) oraz stypendystą Centrum Choreograficznego Mathillde Monier w Montpellier (Francja), gdzie - poza uczestnictwem w projektach tanecznych - odbył staż. Debiutował w Teatrze Tańca Współczesnego ALTER w Kaliszu jako tancerz w spektaklu „Między czasem a czasem" (1998). Występował w spektaklach Teatru im. W. Bogusławskiego w Kaliszu, oraz w realizacjach TVN. Od września 2004 r. jest członkiem zespołu baletowego Teatru Rozrywki.

„Zabawka" jest moim debiutem, o którym od dawna myślałem - mówi autor projektu. - *Bardzo mnie to męczyło i postanowiłem „wyrzucić z siebie" te wszystkie emocje, które nie dawały mi spokoju. Fascynuje mnie taniec współczesny. W przeciwieństwie do klasycznego, który jest bardzo osadzony w formie, taniec współczesny pozwala na przekazywanie emocji poprzez bardziej swobodny ruch. Ta technika jednak również ma swoje zasady oraz reguły i wymaga od tancerza wielkiej świadomości swego ciała. Taniec ten pojmuję jako nieskrępowany i pełen energii. Jest bardzo przestrzenny, umożliwia tancerzom rozmowę ciałem, a widzowi pozwala na indywidualną interpretację.*

Podczas wieczoru prapremierowego wystąpi także gościnnie Teatr Otwartej Kreacji TOK ze spektaklem baletowym „Takie proste". Został on nagrodzony Grand Prix na XI Międzynarodowych Prezentacjach Współczesnych Form Tanecznych Kalisz 2003, III nagrodą na Międzynarodowym Konkursie Choreograficznym im. S. Diagilewa w Gdyni 2003, oraz I Nagrodą na Festiwalu Współczesnej Sztuki Choreograficznej w Witebsku 2003.

R. Nowotarski w MM

CHORZÓW

W nostalgicznym kolorycie

W chorzowskiej galerii „MM" 9 stycznia odbędzie się wernisaż wystawy „Roman Nowotarski - malarstwo". Jeden z największych malarzy polskich Tadeusz Brzozowski tak wyraził się o twórczości Romana Nowotarskiego: *„Sztuka ta zawsze przyciągała mnie wprost magnetycznie. Wizja, a jakże obsesyjna, pejzażu ogołoconego z ludzi, pejzażu dzielnic robotniczych fabrycznego miasta, powstałych raczej w XIX wieku, zatopionym w gęstym, nostalgicznym kolorycie, spiętym prawie geometrycznie uproszczonym rysunkiem, jest autentycznie osobista. Środki formalne użyte przez Nowotarskiego są tej klasy, że jego wizja wzrusza i budzi refleksje głębsze, dotykające chyba egzystencjalnej warstwy życia. To niesłychanie poetycka sztuka."*

Artysta zajmuje się również scenografią teatralną i filmową. Kilkanaście lat współpracował z Teatrem Eksperymentalnym STG w Gliwicach. Wraz z reżyserem Edwardem Mołkiem otrzymał wiele nagród za scenografię i inscenizację wystawianych na tej scenie widowisk. Szczególnie ceni sobie wyróżnienia za scenografię do spektakli „Wiosna" wg Brunona Schulza, „Fabryka Absolutu" Karola Capka, „Podróżni" wg własnego scenariusza i widowiska „Zmierzch Babla". Roman Nowotarski współpracował także z reżyserem Ryszardem Waśką przy realizacji jego filmów krótkometrażowych nagrodzonych na festiwalu w Brukseli. Jest autorem scenografii do filmu Andrzeja Kondratiuka „Panna, Łucznik i Skorpion". Artyście nie obca jest również estrada. W wolnych chwilach jako gość „Piwnicy pod Baranami" śpiewa ballady, do których sam pisze teksty i komponuje muzykę. Obecnie prof. Roman Nowotarski przygotował album i cykl wystaw będący pokłosiem jego podróży po Afryce.



Maska Afryka południowa

wernisaż 9.1. godz. 17.00

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA
PAŁAC MIEROSZEWSKICH
ul. Świerczewskiego 15
tel. 267-77-07

ZAMEK
ul. Zamkowa 1
tel. 267-47-31
www.zamek.bedzin.pl

TEATR DZIECI ZAGŁĘBIA
ul. Teatralna 4, tel. 267-36-25
www.teatr-bedzin.gronet.pl

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA BIELSKA BWA
ul. 3 Maja 11a,
tel. (33) 812-58-61
www.galeriabielska.pl

MUZEUM
ZAMEK SUŁKOWSKICH
ul. Wzgórze 16
tel. (33) 822-06-56
www.muzeum.bielsko.pl

TEATR LALEK
BANIALUKA
ul. A. Mickiewicza 20
tel. (33) 815-09-15
www.banialuka.pl

BYTOM

MUZEUM
GÓRNOŚLĄSKIE
pl. Jana III Sobieskiego 2
tel. 281-82-94; 282-36-12

OPERA ŚLĄSKA
ul. S. Moniuszki 21/23
tel. 281-84-39
www.opera-slaska.art.pl

ŚLĄSKI
TEATR TAŃCA
ul. S. Żeromskiego 27, tel.
281-82-53
www.stt.art.pl

CHORZÓW

MIEJSKA
GALERIA SZTUKI „MM"
ul. H. Sienkiewicza 3
tel. 249-17-19
www.galeriamm.chorzow.pl

BIELSKO-BIAŁA
GALERIA BIELSKA
BWA

6.1. piątek
sala dolna
Fotografia dzikiej przyrody 2005
Wystawa pokonkursowa najnowszej edycji największego, najbardziej prestiżowego międzynarodowego konkursu fotograficznego dzikiej przyrody będzie miała swój pierwszy pokaz w Galerii Bielskiej BWA w Bielsku-Białej. Ekspozycję tworzą zwycięskie prace z konkursu fotograficznego „Wildlife Photographer of the Year 2005", organizowanego przez „BBC Wildlife Magazine" oraz Muzeum Historii Naturalnej w Londynie.



Mart Smit. Holandia. „Smaczny kąsek czyżyków"

czynna do 29 stycznia

6.1. piątek
sala górna
„Wilk"
Mariola Wawrzusiak (rzeźba), Rafał Borcz (malarstwo)
Wilk - symbol dzikości i nieujarzmionej, pierwotnej przyrody - jest motywem przewodnim twórczości malarskiej Rafała Borcza oraz rzeźbiarskiej jego żony, Marioli Wawrzusiak. Rafał Borcz pokazuje kilkanaście najnowszych wielkoformatowych obrazów olejnych na płótnie, Mariola Wawrzusiak kilka dużych, drapieżnych rzeźb spawanych ze złomu.
czynna do 29 stycznia

CHORZÓW
MIEJSKA GALERIA SZTUKI
„MM"

9.1. godz. 17.00, wernisaż
Roman Nowotarski
malarstwo
czynna do 30 stycznia

CZĘSTOCHOWA
MIEJSKA GALERIA SZTUKI

20.1. piątek, wernisaż
XXXI Jurajska Jesień
Wystawa poplenerowa
czynna do 12 lutego

Sala Śląska
Alojzy Gryt
Tomasz Tomaszewski
Rzeźba
czynna do 8 stycznia

KATOWICE
GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ BWA

W stronę Innego.
Obserwacje i interwencje
Pod patronatem ks. Damiana Zimonia arcybiskupa metropolity katowickiego.
Wystawa jest kulminacją tematycznych wystaw Biennale Sztuki Wobec Wartości. Pomysł ten sięga do podstawowej idei człowieczeństwa, dialogu, spotkania człowieka z człowiekiem. Z przyjętego u podstaw Biennale motta: *„Co jest wymagane, to czyn, który człowiek wykonuje całym jestestwem... Jestem wybrany i wybieram"* (Martin Buber), akcentuje jego dynamiczny aspekt. Projekt „W stronę Innego" rejestruje te obrazy i sfery życia, które wyparte zostały z codziennego, nastawionego na sukces i wieczną młodość, obszaru zjawisk, jak: starość, choroba, bieda, wykluczenie. Z drugiej strony dokumentuje czynne społecznie projekty artystyczne, „wychodzące" w stronę drugiego człowieka i jego problemów.
czynna do 8 stycznia

GÓRNOŚLĄSKIE
CENTRUM KULTURY

GALERIA „ENGRAM"
Hommage á Tomasz Struk
Ślady pamięci
wystawa prac Tomasza Struka
czynna do 15 stycznia

GALERIA SEKTOR I
Hommage á Tomasz Struk
Ślady pamięci
Dedykowana T. Strukowi

wystawa prac: J. Berdyszaka
R. Bujnowskiego, J. Burego,
P. Chawińskiego, T. Ciecierskiego,
I. Gustowskiej, I. D. Pajonk,
Z. Janin, M. Kasperczyka,
L. Lewandowskiego, R. Opałki,
M. Pyrlik, J. Robakowskiego,
A. Romaniuka, A. Tajbera,
J. Truszkowskiego,
J. Wowrzeczki.
czynna do 15 stycznia

GALERIA „5"
1.12. czwartek
„Halka" od podszewki.
Narodziny spektaklu
fotografia
Tomasza Zakrzewskiego
czynna do 10 stycznia

GALERIA
„PIĘTRO WYŻEJ"
Hommage á Tomasz Struk
Ślady przyjaźni
Wystawa artystów zaprzyjaźnionych z Tomaszem Strukiem

Uczestnicy: J. Berdyszak,
I. Gustowska, M. Kasperczyk,
M. Kuś, W. Müller, M. Oslislo,
R. Otręba, A. Romaniuk,
J. Rykała i E. Zawadzka.

MIKOŁÓW
GALERIA MDK

6.1. piątek, godz. 18.00,
wernisaż
Alicja Stróżna-Miciak
rysunek
absolwentka (1967 r.) Wydziału Grafiki w Katowicach krakowskiej ASP. Artystka zajmuje się projektowaniem wnętrz, uprawia rysunek, malarstwo i grafikę



„Wenecja"

czynna do 26 stycznia

10.1. wtorek, godz. 17.30
GALERIA PODRÓŻNICZA
Bartek Raczkowski:
Malezja - Kontrasty
wystawa zdjęć prezentujących różnorodność, kolorystykę, religijność w życiu codziennym Malezyjczyków.

GALERIA 33

18.1. środa, godz. 18.00
Mikołów - Miasto Ogród
strategia rozwoju
Ogrodu Botanicznego.

TYCHY
GALERIA „OBOK"

10.1. wtorek, godz. 18.00
Praca roku 2004
wystawa pokonkursowa
czynna do 27 stycznia

13.01. piątek, godz. 18.00
Wystawa fotograficzna
studentów uczelni plastycznych
Katowic, Łodzi, Gdańska,
Frankfurtu
czynna do 31 stycznia

BĘDZIN
MUZEUM ZAGŁĘBIA

ZAMEK
Historia zamku będzińskiego

PAŁAC
26.1. czwartek
Podróż przez Centrum Europy
Obrazy z podróży palatyna Otteinricha z lat 1536/37 ze zbiorów Niemieckiego Forum Kultury Europy Środkowej i Wschodniej w Poczdamie.

Dawne miary
w zbiorach Muzeum Dawnego Kupiectwa w Świdnicy.
czynna do 10 stycznia

„Polska - Japonia"
w ramach cyklu
Triennale 100 Miast
Stowarzyszenie Międzynarodowego Triennale Grafiki.
czynna do 13 stycznia

BIELSKO-BIAŁA
MUZEUM

GALERIA ZAMKOWA
Bronisław Wolanin
Ceramika
czynna do 18 stycznia

GALERIA
WYSTAW CZASOWYCH
Mity antyczne w sztuce
na przestrzeni wieków
w oparciu o zbiory
Muzeum Bielsku-Białej

BYTOM
MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIE

Piękny Lwów
Na ekspozycji dominują widoki miasta, od najwcześniejszych, przede wszystkim grafik, z których najstarsza to miedzioryt Abrahama Hogenberga, według rysunku włoskiego inżyniera Aurelia Passarottiego z 1618 roku, poprzez osiemnastowieczne sztychy Rittina Otto i Francoisa Perneuera, po litografie z XIX wieku: Karola Auera, Bogusza Stęczyńskiego i Teodora Klementa oraz akwarele Franciszka Kowaliszyna. Centralne miejsce przypadło wielkiej panoramie ukazującej Lwów drugiej połowy XVIII wieku, wykonanej przez Zygmunta Rozwadowskiego i Stanisława Janowskiego w 1929 r.

FILIA MUZEUM
GÓRNOŚLĄSKIEGO
Podróż przez centrum Europy
Obrazy z podróży palatyna Otteneinricha z lat 1536/37 wystawa Niemieckiego Forum Kultury Europy Środkowej i Wschodniej.
czynna do 15 stycznia

Gliniane skarby
zabytki pradziejowe odkryte na terenie Polski będące własnością Muzeum Górnośląskiego oraz zabytki pochodzące z obszaru basenu Morza Śródziemnego (Egipt, Grecja, Rzym, Etruria, Mezopotamia) wypożyczone z Działu Sztuki Starożytnej Muzeum Narodowego w Warszawie.
czynna do 31 marca

Drzwi wiejskie
wystawa ze zbiorów
Muzeum Wsi Opolskiej
i Muzeum Górnośląskiego
czynna do 5 lutego

GALERIA
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
POKAZ 3
dzieła: T. Ciecierskiego, S. Gierowskiego, K. Kamoji, P. Kurki, M. Niedzielko, L. Tarasewicza, T. Tatarczyka, R. Woźniaka.

CIESZYN
MUZEUM
ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

GALERIA
WYSTAW CZASOWYCH
Tadeusz Kubisz
legenda cieszyńskiej fotografii

CZĘSTOCHOWA
MUZEUM
CZĘSTOCHOWSKIE

PAWILON WYSTAWOWY
W PARKU IM. ST. STASZICA

Historia Muzeum
Częstochowskiego 1905-2005
wystawa z okazji jubileuszu 100-lecia instytucji

Koń w malarstwie polskim
XIX i początku XX w.
wystawa organizowana wspólnie z Muzeum Narodowym w Warszawie.

PAŁAC ŚLUBÓW
Na powierzchni znalezione
wystawa ze zbiorów Państwowej Służby Ochrony Zabytków w Częstochowie i Muzeum Częstochowskiego.

REZERWAT
ARCHEOLOGICZNY
Cmentarzyska
kultury łużyckiej
Zbiory Muzeum
Częstochowskiego
wystawa fotograficzna, przedstawiająca Rezerwat Archeologiczny od czasów jego powstania.

ZAGRODA WŁOŚCIAŃSKA
Idąc przez życie
rzeźby Zdzisława Purchały
wystawa jubileuszowa z okazji 35-lecia pracy twórczej artysty.

JASNA GÓRA
BASTION ŚW. ROCHA

Jasna Góra w dobie Potopu
Sanktuarium Matki Bożej
za Wazów (1587-1668)
wystawa współorganizowana przez: klasztor Paulinów na Jasnej Górze w Częstochowie, Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Muzeum Częstochowskie, Jasnogórską Fundację „Pro Patria" - Bastion Św. Rocha oraz muzea szwedzkie: Armémuseum, Sztokholm i Riksarkivet, Sztokholm.
czynna do 31 stycznia

GLIWICE
MUZEUM W GLIWICACH

WILLA CARO
Śląskie Boże Narodzenie
czynna do 15 stycznia

Żydzi gliwiccy
czynna do 31 stycznia

ZAMEK PIASTOWSKI
19.1. czwartek
Wystawa z okazji 50-lecia
Nowin Gliwickich
historia i dzień dzisiejszy lokalnego tygodnika, najważniejsze fakty związane z jego dziejami, m.in. kolejne siedziby redakcji, zespoły redakcyjne, a ilustracją będą zdjęcia reportażowe z życia codziennego gliwiczan, a także z lokalnych wydarzeń politycznych.
czynna do 19 lutego

Szopki krakowskie
i nie tylko...
czynna do 15 stycznia



Szopka. Stanisław Malik.
II nagroda w konkursie szopek krakowskich w 2000 r.
Fot. z archiwum Muzeum w Chrzanowie

TEATR ROZRYWKI
ul. M. Konopnickiej 1
tel. 246-19-31
www.teatr-rozrywki.pl

CIESZYN

MUZEUM ŚLĄSKA CIECZYŃSKIEGO
ul. T. Regera 6
tel. (33) 852-15-77

CIESZYŃSKI OŚRODEK KULTURY
Rynek 12
tel. (33) 851-25-20
www.domnarodowy.pl

CZĘSTOCHOWA

MIEJSKA GALERIA SZTUKI
al. NMP 64
tel. (34) 324-60-57
www.net-galeria.art.pl

MUZEUM CZĘSTOCHOWSKIE
al. NMP 45 A
tel. (34) 360-56-31
www.czestochowa.pl

FILHARMONIA CZĘSTOCHOWSKA
ul. Wilsona 16
tel. (34) 324-42-30
www.filharmonia.com.pl

GLIWICE

MUZEUM W GLIWICACH
WILLA CARO
ul. Dolnych Wałów 8a
tel. 231-08-54

ZAMEK PIASTOWSKI
tel. 231-44-94

Oddział Odlewnictwa
Artystycznego
ul. Robotnicza 2
www.muzeum.gliwice.pl

GLIWICKI TEATR MUZYCZNY
ul. Nowy Świat 55/57
tel. 232-13-39
www.teatr.gliwice.pl

KATOWICE

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BWA
al. Korfantego 6, tel. 259-90-40
www.bwa.katowice.pl

GÓRNOŚLĄSKIE CENTRUM KULTURY
pl. Sejmu Śl. 2, tel. 255-43-69
www.gck.org.pl

MUZEUM ARCHIDIECEZJALNE
ul. Wita Stwosza 16
tel. 608-15-24

MUZEUM ŚLĄSKIE
al. Korfantego 3, tel. 258-56-61
www.muzeumslaskie.art.pl

CENTRUM SCENOGRAFII POLSKIEJ
GCK, pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 256-21-34
www.katowice.pl

MUZEUM HISTORII KATOWIC
ul. ks. Szafranka 9
tel. 256-21-34
www.mhk.katowice.pl

TEATR ŚLĄSKI
Rynek 1, tel. 258-72-51
www.teatrslaski.art.pl

TEATR KOREZ
GCK, pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 209-00-88
www.korez.art.pl

TEATR „ATENEUM"
ul. św. Jana 10, tel. 253-82-21
www.ateneum.art.pl

FILHARMONIA ŚLĄSKA
ul. Sokolska 2,
tel. 258-62-61
www.filharmoniaslaska.art.pl

ESTRADA ŚLĄSKA
ul. T. Kościuszki 88/90
tel. 251-93-38
www.estradaslaska.pl

IPiUM „SILESIA"
ul. 3 Maja 31a
tel. 259-84-83
www.silesia.art.pl

ODDZIAŁ ODLEWNICTWA ARTYSTYCZNEGO
Plakiety noworoczne ze zbiorów Muzeum w Gliwicach
czynna do 31 stycznia

wystawy czasowe poza muzeum:

Biblioteka Śląska w Katowicach
STOPlakat! na bis
wystawa z okazji 100-lecia Muzeum w Gliwicach.
czynna do 10 stycznia

Centrum Handlowe Platan

GALERIA HANDLOWA
Vedute di Silesia - architektura postindustrialna Górnego Śląska w fotografii
Wystawa prezentuje postindustrialne ruiny Śląska inspirowane grafikami Piranesiego, symboliką jego wizji ruin. Na wystawie znajdą się wielkoformatowe wydruki fotografii, między innymi: Waldemara Jamy, Piotra Szymona, Sławoja Dubiela, Rafała Milacha, Karela Tumy, Piotra Chojnackiego, Wojciecha Wilczyka i zdjęcia tych artystów. Ekspozycja w CH Platan ma charakter śmiałej trawestacji elementów pochodzących z grafik Piranesiego w postaci detali architektonicznych, w które niejako zostały ubrane wnętrza galerii.
czynna do 30 stycznia

KATOWICE

MUZEUM ARCHIDIECEZJALNE
Ryszard Czernow „Bramy do..."
wystawa cybergrafii
czynna do 12 stycznia

Inspiracje śląskim sakrum
wystawa poplenerowa z okazji 80-lecia diecezji katowickiej i 30-lecia powstania Muzeum Archidiecezjalnego
czynna do 12 stycznia

Parafialne jubileusze
wystawa z okazji 80. rocznicy powstania diecezji katowickiej
czynna do końca marca

MUZEUM ŚLĄSKIE

3.1. wtorek, godz. 17.00
Wieczór z Nikiforem

w programie:
projekcja filmu dokumentalnego **„Człowiek zwany Nikiforem"** w reżyserii Grzegorza Siedleckiego (sala audiowizualna 209) oraz równoległe na ekspozycji „Nikifor - mistrz z Krynicy" najmłodsi, pod okiem Beaty Grochowskiej, spróbują swoich sił w rysowaniu pejzaży.

Kicz - między wstydem a zachwytem
kicz jako zjawisko występujące w wielu typach kultury. Na ekspozycję składa się na jedenaście wyodrębnionych plastycznie sekwencji problemowych. Znajdziemy wśród nich prace m.in. Władysława Hasiora, Franciszka Starowiejskiego, a także projekty i realizacje ubiorów inspirowanych kiczem i kulturą masową czy też reklamę artystyczną. Wystawę przygotowano wspólnie z Państwowym Muzeum Etnograficznym w Warszawie.
czynna do marca

Brandt... Malczewski... Siemiradzki... Polscy Monachijczycy
ze zbiorów Lwowskiej Galerii Sztuki
czynna w styczniu 2006 r.

Wizerunek człowieka, czyli sztuka Heinza Tobolli
czynna do 10 stycznia

Nikifor - mistrz z Krynicy
wystawa jest kolejną prezentacją Galerii Sztuki Pogranicza. Składa się z 82 obrazów, głównie akwarel, pochodzących ze zbiorów Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie.
czynna do 8 stycznia

MUZEUM HISTORII KATOWIC

Paweł Steller - polski Dürer?



Z okazji 110 rocznicy urodzin Pawła Stellera.

Tajemnice malarza średniowiecznego
kopie małopolskiego malarstwa tablicowego wykonane przez studentów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydziału Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki z katedry profesora Józefa Nykiela, wystawa przeniesiona z Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

RACIBÓRZ

MUZEUM

Anioły, diabły i inne strachy w sztuce ludowej

Co się komu w duszy gra... lalka
ze zbiorów Centrum Scenografii Polskiej w Katowicach

RYBNIK

MUZEUM W RYBNIKU

„Byłem na końcu świata"
fotografie Artura Nosiadka

ŚWIĘTOCHŁOWICE

MUZEUM MIEJSKIE

„Ach ubogi żłobie..."
wystawa szopek śląskich ze zbiorów Muzeum Miejskiego w Świętochłowicach
czynna do końca stycznia

TYCHY

MUZEUM MIEJSKIE

Tradycje i symbolika zimowego świętowania na Górnym Śląsku i Żywiecczyźnie
czynna do końca lutego

Sto lat z życia miasta. Tychy i tyszanie w XX wieku w nowej aranżacji

ZABRZE

MUZEUM MIEJSKIE

Zabrze. Z dziejów miasta
czynna do sierpnia

70 lat Muzeum Miejskiego
czynna do 19 lutego

GALERIA POD MUZEUM

W labiryntach myśli malarstwo Władysława Wałęgi
czynna do 31 stycznia

Ekspozycja w Hotelu Diament

16.1. poniedziałek
W kręgu światła
czynna do 31 marca

ŻORY

MUZEUM MIEJSKIE

Przeżyjmy to jeszcze raz, czyli 2005 rok w mieście kalendarium wydarzeń
czynna do 30 stycznia

BĘDZIN
TEATR DZIECI ZAGŁĘBIA

7.1. sobota, godz. 16.00
Zimowa przygoda
reż. Lidia Wróbel
wzruszająca historia ożywionego przez trójkę dzieci śniegowego bałwanka, gdy dzieci przypinają mu do piersi duże, czerwone serce. Dopóki je nosi reaguje jak każde dziecko, gdy mu je odpinają staje się niewrażliwą bryłą zimnego lodu. Bałwanek ma podczas swej zimowej podróży wiele przygód, na które dziecięca widownia reaguje spontanicznie i żywiołowo.

14.1. sobota, godz. 16.00
Zwierzęta doktora Dolittle
reż. Jerzy Bielunas
... pewnego dnia doktor Jan Dolittle wraz ze swymi zwierzęcymi przyjaciółmi wyjeżdża do Afryki, aby leczyć małpy, które ogarnęła tajemnicza epidemia. Mali widzowie stają się świadkami weterynaryjnych zmagań doktora Dolittle w wiktoriańskiej Anglii, a następnie mrożącej krew w żyłach wyprawy na Czarny Ląd.

21.1. sobota, godz 17.00,
premiera!
28.1. sobota, godz. 16.00
Król Maciuś

reż. Dariusz Wiktorowicz
scen. Maria Balcerek
muz. Krzysztof Knittel
i Jarosław Lublin
chor. Arkadiusz Buszko

BIELSKO-BIAŁA
TEATR LALEK BANIALUKA

8.1. niedziela, godz. 11.00
Kot w butach



reż. L. Sypniewska

15.1. niedziela, godz. 11.00
Piękna i Bestia
reż. M. Pecko

22.1. niedziela, godz. 11.00
Pinokio
reż. Z. Lisowski

29.1. niedziela, godz. 11.00
Siała baba mak
reż. J. Malinowski

BYTOM
OPERA ŚLĄSKA

1.1. niedziela, godz. 18.00
Koncert Noworoczny
wystąpią:
Wiesław Ochman, soliści, balet
i orkiestra Opery Śląskiej

6.1. piątek, godz. 18.00
sala im. Adama Didura
Koncert basów
promocja książki *Adam Didur z Woli Sękowej pod Sanokiem*
słowo wstępne: Józef Kański

8.1. niedziela, godz. 18.00
Batuta, frak i elegancja
reż. i chor.
J. Niesiołowska-Schaitter
gościnnie:
Gliwicki Teatr Muzyczny

10. wtorek, godz. 10.30
12.1. czwartek, godz. 10.30
Dziadek do orzechów
insc. i chor. H. Konwinski

17.1. wtorek, godz. 10.30
24.1. wtorek, godz. 11.00
Halka
reż. M. Weiss-Grzesiński

19.1. czwartek, godz. 18.00
sala A. Didura
Koncert kolęd i pastorałek

20.1. piątek godz. 18.00
Muzeum Histeryczne
Mme Eurozy
reż. I. Villqist

22.1. niedziela, godz. 18.00
sala im. Adama Didura
Koncert
noworoczno-karnawałowy

26.1. czwartek, godz. 10.30
Zemsta nietoperza
reż. H. Konwiński

28.1. sobota, godz. 18.00
Rycerskość wieśniacza
reż. J. Jędrusik
Pajace
reż. S. Żerdzicki

30.1. poniedziałek, godz. 18.00
Gala Straussowska

CHORZÓW
TEATR ROZRYWKI

3.1. wtorek, godz. 19.00
Krzyk
według Jacka Kaczmarskiego
scen. i reż. R. Talarczyk

4.1. środa, godz. 19.00
Scena w Galerii
Shirley Valentine
reż. D. Miłkowski

5.1. czartek, godz. 19.00
prapremiera!
Zabawka
spektakl baletowy
Jakub Lewandowski
spektakl autorski
Opowieść o samotnym człowieku, który w klatce czterech ścian ucieka w świat marzeń. Postaci z jego rojeń stają się coraz silniejsze i coraz bardziej rzeczywiste. Są fascynujące, ale i niebezpieczne, mogą bowiem zawładnąć człowiekiem bez reszty. Czy tak się stanie? Czy z manipulacji może zrodzić się miłość? Czy uczucie zawsze daje nadzieję?

6.1. piątek, godz. 16.30
Scena w Galerii
Koło Teatralne Chochlik
I LO im. J. Słowackiego
w Chorzowie

6.1. piątek, godz. 19.00
7.1. sobota,
godz. 15.00 i 19.00
8.1. niedziela,
godz. 15.00 i 19.00
13.1. piątek, godz. 19.00
14.1. sobota,
godz. 15.00 i 19.00
15.1. niedziela,
godz. 15.00 i 19.00
20.1. piątek, godz. 19.00
21.1. sobota,
godz. 15.00 i 19.00
22.1. niedziela,
godz. 15.00 i 19.00
27.1. piątek, godz. 20.00
28.1. sobota,
godz. 15.00 i 19.00
29.1. niedziela,
godz. 15.00 i 19.00
Sylwester - bis
koncert

9.1. poniedziałek, godz. 19.00
Raj - koncert
wystąpią:
J. Bończyk, M. Czyżykiewicz,
H. F. Tabęcki

10.1. wtorek, godz. 19.00
11.1. środa, godz. 19.00
12.1. czwartek, godz. 19.00
Odjazd
reż. Fred Apke

17.1. wtorek, godz. 18.00
Chorzowski Przedsiębiorca Roku
gala wręczenia nagród
4. edycji konkursu

18.1. środa, godz. 19.00
19.1. czwartek, godz. 19.00
Rudolf Valentino
choreogr. Z. Rudnicka

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
plac Europy 1
tel. 208-37-00
www.bs.katowice.pl

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
ul. Kossutha 11
tel. 254-60-98
www.mbp.katowice.pl

KOSZĘCIN

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA ŚLĄSK
ul. Zamkowa 3
tel. (34) 357-63-40
www.slask.art.pl

MIKOŁÓW

MIEJSKI DOM KULTURY
Rynek 19, tel. 226-21-47
GALERIA 33
GALERIA MDK
www.mikolow.um.gov.pl

PSZCZYNA

PSZCZYŃSKIE CENTRUM KULTURY
ul. Piastowska 1
tel./fax 210-45-51
www.pszczyna.bip.info.pl

RACIBÓRZ

MUZEUM W RACIBORZU
ul. Rzeźnicza 15, tel. 415-49-01
www.muzeum.raciborz.pl

RYBNIK

MUZEUM W RYBNIKU
Rynek 18, tel. 422-14-23
www.muzeum.rybnik.pl

RYBNICKIE CENTRUM KULTURY
ul. Saint Vallier 1, tel. 42 -22-132

SOSNOWIEC

MUZEUM
ul. Chemiczna 12
tel. 363-16-70
www.muzeum.org.pl

TEATR ZAGŁĘBIA
ul. Teatralna 4, tel. 266-04-94
www.teatrzaglebia.pl

SOSNOWIECKIE CENTRUM SZTUKI - ZAMEK SIELECKI
ul. Zamkowa 2
tel. 297-90-76
www.zameksielecki.pl

ŚWIĘTOCHŁOWICE

MUZEUM MIEJSKIE
ul. Dworcowa 14
tel. 245-23-88
www.muzeum-swietochlowice.com.pl

TARNOWSKIE GÓRY

MUZEUM
Rynek 1, tel. 258-26-07
www.muzeumtg.art.pl

TYCHY

MUZEUM MIEJSKIE
ul. Katowicka 9, tel. 327-18-20

TEATR MAŁY
ul. kard. Hlonda 1
GALERIA OBOK
tel. 227-36-11
wwww.teatrmaly.tychy.pl

ZABRZE

MUZEUM MIEJSKIE
pl. Krakowski 9, tel. 271-56-89
www.muzeum-miejskie-zabrze.pl

FILHARMONIA ZABRZAŃSKA
ul. Wolności 325,
tel. 271-47-17
www.filharmoniazabrzanska.pl

DOM MUZYKI I TAŃCA
ul. gen. de Gaulle'a 17,
tel. 271-56-41
www.dmit.a4.pl

ŻORY

MUZEUM MIEJSKIE
ul. Dolne Przedmieście 1
tel. 434-48-82
www.muzeum.zory.pl

23.1. poniedziałek, godz. 19.00
Soyka Sextet



koncert Stanisława Sojki

24.1. wtorek, godz. 18.30
25.1. środa, godz. 18.30
Bal u Wolanda
reż. Ł. Czuj
z udziałem Macieja Maleńczuka

30.1. poniedziałek, godz. 19.00
DiVINITIES
z cyklu:
„Górny Śląsk
świat najmniejszy"
pokaz video-art.
Lecha Majewskiego

31.1. wtorek, godz. 20.00
Słomkowy kapelusz
reż. Piotr Cieplak
gościnnie:
Teatr Powszechny w Warszawie

CZĘSTOCHOWA
TEATR IM. A. MICKIEWICZA

7.1. sobota, godz.19.00
premiera!
8.1. niedziela, godz. 19.00
20.1. piątek, godz. 19.00
22.1. niedziela, godz. 19.00
26.1. czwartek, godz. 19.00
29.1. niedziela 19.00
Jak się kochają w niższych sferach
Alan Ayckbourn
reż. Artur Barciś
scenogr. B. Pędziwiatr
Co zrobić, żeby ukryć romans? Nic prostszego, trzeba swoje późne powroty do domu tłumaczyć pomocą koledze z pracy, którego żona zdradza i nie rozumie...

9.1. poniedziałek, godz. 18.00
Częstochowskie kolędowanie

11.1. środa, godz.10.00 i 18.00
Środa Studencka
Białe noce
reż. G. Trostaniecki
reż. wersji polskiej
Ł. Twarkowski

13.1. piątek, godz. 19.00
14.1. sobota, godz. 19.00
Mąż mojej żony
reż. A. Kękuś

18.1. środa, godz.18.00
Oskar i pani Róża
reż. G. Kempinsky
gościnnie:
Teatr Śląski w Katowicach

25.1. środa, godz. 10.00
Iwona księżniczka Burgunda
reż. K. Deszcz

Scena kameralna

14. sobota, godz. 19.00
Odyseja 2
reż. A. Sadowski

15. niedziela, godz. 16.00
Brzydkie kaczątko
karnawał dla dzieci
reż. B. Ciosek
15.1.niedziela, godz. 18.00
27.1. piątek, godz. 10.00
Skrzyneczka bez pudła
reż. A. Sadowski

Bufet teatralny

16.1. poniedziałek, godz.18.00
Klub belfra

Klub Utopia

16.1. poniedziałek, godz. 20.00
Czytanie współczesnego dramatu

Foyer/Histrion

21.1. sobota, godz. 11.00
Salon poezji/Salonik dla dzieci

GLIWICE
GLIWICKI
TEATR MUZYCZNY

7.1. sobota, godz. 19.00
premiera!
20.1. piątek, godz. 18.30
Batuta, frak i elegancja
widowisko w II aktach
scenariusz:
Joanna Niesiołowska-Schaitter, Maciej Niesiołowski
reż. i choreografia:
Joanna Niesiołowska- Schaitter
scenografia: Jerzy Boduch

8.1. niedziela, godz. 17.00
Opowieść wigilijna
gościnnie:
artyści Młodzieżowego Domu Kultury w Świętochłowicach

14.1. sobota, godz. 18.30
17.1. wtorek, godz. 18.30
42nd Street - 42 ulica
reż. M. Sartova

19.1. czwartek, godz. 18.30
z udziałem
Grażyny Brodzińskiej
24.1. wtorek, godz. 18.30
Hello, Dolly
reż. M. Sartova

21.1. sobota, godz. 18.30
Halka
reż. M. Weiss-Grzesiński
gościnnie:
Opera Śląska w Bytomiu

22.1. niedziela, godz. 12.00
VII Krakowski Salon Poezji
Poezja Juliana Tuwima

25.1. środa, godz. 18.30
Chodnik 05
Projekt undergruntowy
reż. J. Staniek

27.1. piątek, godz. 18.30
Ptasznik z Tyrolu
reż. W. Adamczyk

28.1. sobota, godz. 18.30
29.1. niedziela, godz. 18.30
Zemsta nietoperza
reż. J. Chmielnik

KATOWICE
TEATR ŚLĄSKI

Duża Scena
3.1. wtorek, godz. 18.00
7.1. sobota, godz. 18.30
Oskar i pani Róża
reż. G. Kempinsky

5.1. czwartek, godz. 18.00
6.1. piątek, godz. 18.00
Lizystrata
inscen. i reż. M. Ratyński

7.1. sobota, godz. 18.00
14.1. sobota, godz. 18.00
15.1. niedziela, godz. 16.00
15.1. niedziela, godz. 20.00
Nie teraz kochanie
reż. M. Sławiński

8.1. niedziela, godz. 18.00
10.1. wtorek, godz. 12.30
25.1. środa, godz. 12.30
26.1. czwartek, godz. 18.00
Król Edyp
reż. G. Kempinsky

12.1. czwartek, godz. 18.00
13.1. piątek, godz. 18.00
27.1. piątek, godz. 18.00
28.1. sobota, godz. 18.00
Push Up 1-3- Ostatnie piętro
reż. G. Kempinsky

18.1. środa, godz. 18.00
premiera studencka!
19.1. czwartek, godz. 18.00
Kto się boi Virginii Woolf?
reż. L. Adamik

20.1. piątek, godz. 18.00
21.1. sobota, godz. 16.00
i 20.00
22.1. niedziela, godz. 18.00
Mayday 2
reż. M. Sławiński

23.1. poniedziałek, godz. 18.00
Dziadek do orzechów
reż. H. Konwiński
gościnnie:
Opera Śląska w Bytomiu

Scena Kameralna

5.1. czwartek, godz. 18.00
7.1. sobota, godz. 18.30
10.1. wtorek, godz. 15.00
17.1. wtorek, godz. 18.30
spektakl w języku francuskim
Oskar i pani Róża
reż. G. Kempinsky

14.1. sobota, godz. 18.30
15.1. niedziela, godz. 18.30
Howie the Rookie
Mark O'Rowe
spektakl gościnny

25.1. środa, godz. 18.30
26.1. czwartek, godz. 18.30
Zamiana
reż. A. Smolar

Scena w Malarni

6.1. piątek, godz. 19.00
7.1. sobota, godz. 19.00
premiera!
10.1. wtorek, godz. 19.00
17.1. wtorek, godz. 19.00
Pod lodem
reż. M. Ratyński

20.1. piątek, godz. 19.00
Kształt rzeczy
reż. G. Chrapkiewicz
gościnnie:
Teatr Polski w Bielsku-Białej

21.1. sobota, godz. 19.00
22.1. niedziela, godz. 19.00
Pan Paweł
reż. G. Kempinsky

24.1. wtorek, godz. 19.00
25.1. środa, godz. 19.000
Fantom
reż. I. Villqist

ŚLĄSKI TEATR
LALKI I AKTORA
„ATENEUM"

7.1. sobota, godz. 16.00
21.1. sobota, godz. 16.00
O Smoku Grubeloku
reż. P. Nosálek

8.1. niedziela, godz. 16.00
Dzielny Szewczyk
reż. A. Hrydziewicz

14.1. sobota, godz. 16.00
O Czerwonym Kapturku
i Księżniczce
na ziarnku grochu
reż. M. Wit

15.1. niedziela, godz. 16.00
O makowej wojnie...
reż. M. Wit

22.1. niedziela, godz. 16.00
Wesołe historie
reż. H. Konwiński

28.1. sobota, godz. 16.00
Kopciuszek
reż. B. Nauka

29.1. niedziela, godz. 16.00
Dary czterech wróżek
reż. Z. Poprawski

TEATR KOREZ

5.1. czwartek, godz. 18.00
Spektaklografia
gościnnie:
młodzieżowy Teatr Rairewa,
MDK Ligota

6.1. piątek, godz. 19.00
28.1. sobota, godz. 19.00
Scenariusz dla 3 aktorów
realizacja zbiorowa

8.1. niedziela, godz. 19.00
29.1. niedziela, godz. 19.00
Kwartet dla 4 aktorów
reż. M. Neinert

9.1. poniedziałek, godz. 18.00
GCK zaprasza na spotkanie
z cyklu Kody kultury.
Estetyka japońska.
Kod artystyczny
prof. dr hab.
Krystyna Wilkoszewska:
Czas i przestrzeń w sztuce

10.1. wtorek, godz. 18.00
Wiedeńczyk z Łańcuta
audiowizualny wykład
Piotra Szalszy
Portret wybitnego polskiego
pedagoga, pianisty
i kompozytora:
Teodora Leszetyckiego

11.1. środa, godz. 18.00
GCK zaprasza na spotkanie
z cyklu
Więcej niż literatura
spotkanie z Danielem Odiją
prozaikiem, dziennikarzem,
autorem powieści „Ulica",
„Tartak" oraz zbioru opowiadań
„Szklana huta"
prowadzenie:
Krzysztof Uniłowski

14.1. sobota, godz. 19.00
Sztuka
reż. A. Celiński

15.1. niedziela, godz. 19.00
Dymitr Samozwaniec
reż. P. Szalsza
spektakl Teatru Korez
i krakowskiego Teatru Ludowego

16.1. poniedziałek, godz. 18.00
Wszystkie dni, wszystkie noce
gościnnie: Teatr Bez Sceny

19.1. czwartek, godz. 19.00
Kabaretowa Scena Trójki
wystąpią: Formacja Chatelet,
Ewa Reymann (goście),
Kabaret Długi (gospodarze)

21.1. sobota, godz. 19.00
Tequila
reż. Jan A. Fręś
monodram
Piotra Warszawskiego

22.1. niedziela, godz. 18.00
Wernisaż
gościnnie: Teatr Bez Sceny

23.1.poniedziałek, godz. 20.00
30.1. poniedziałek, godz. 19.00
Cholonek
reż. M. Neinert, R. Talarczyk

24.1. wtorek, godz. 18.00
Krótki metraż
w pełnym metrażu
Filmy z krakowskiego
Międzynarodowego Festiwalu
Filmowego „Etiuda&Anima"
(„Veronica" - Izrael, „Mechanika" - Czechy, „Pavle" - Słowenia); „Nad jeziorem" K. Trzaski, „Jestem" J. Stożka, „Lucky Strike" A. Stopy, „Ostatnie zdjęcie" J. P. Matuszyńskiego oraz kultowe A'YOYe

27.1. piątek, godz. 19.00
Oskar i Ruth
gościnnie: Teatr Bez Sceny

SOSNOWIEC

TEATR ZAGŁĘBIA

6.1. piątek, godz. 19.00
premiera!
7.1. sobota, godz. 18.00
8.1. niedziela, godz. 18.00
21.1. sobota, godz. 18.00
22.1. niedziela, godz. 18.00
Sztuka kochania
czyli Sceny dla dorosłych
Zbigniew Książek
reżyseria: Krzysztof Jasiński
dekoracja i kostiumy:
Dorota Ogonowska
muzyka: Jakub Przebindowski
Kilka historyjek - trochę pikantnych, odrobinę niepoprawnych, ciut niegrzecznych, zdecydowanie przeznaczonych dla dorosłych pozwoli spojrzeć na nasze życie erotyczne z przymrużeniem oka. Chodzi o to, by zabawić się, poigrać, pogadać trochę o tym, o czym wstyd głośno mówić. Dzięki frywolnym żartom uśmiechniemy się sami do siebie.

13.1. piątek, godz. 18.00
14.1. sobota, godz. 18.00
15.1. niedziela, godz. 18.00
27.1. piątek, godz. 18.00
28.1. sobota, godz. 18.00
Kolacja dla głupca
reż. A. Celiński

29.1. niedziela, godz. 18.00
Tango, tango
reż. J. Niesobska

TYCHY

TEATR MAŁY

7.1. sobota, godz. 18.00
Koncert noworoczny
wykonawcy: I. Hossa (sopran), D. Stachura (tenor) AUKSO Orkiestra Kameralna Miasta Tychy, dyryguje Marek Moś
w programie: najpiękniejsze arie i duety operetkowe, musicalowe, lekka muzyka orkiestrowa.

8.1. niedziela, godz. 17.00
Wielka Orkiestra Świątecznej
Pomocy
wykonawcy:
P. Was & Power Dance,
kabaret Ani Mru Mru,
Szymon Wydra i Carpe Diem
i inni

14.1. sobota, godz. 18.00
Koncert karnawałowy
z cyklu
Dzieci dorosłym
dorośli dzieciom
w wykonaniu uczniów Ingi Madej i zaproszonych gości: I. Staniek (sopran koloraturowy), P. Rachockiego (tenor), P. Owsiaka (fortepian), G. Kwietnia (harmonijka ustna), I. Madej (fortepian).

21.1. sobota, godz. 16.00
Wesołe historie
spektakl Śląskiego Teatru Lalki
i Aktora Teatru Ateneum

24.1. wtorek, godz. 18.30
„Ca-sting"
komedia z silnie wplecionym
wątkiem kryminalnym
w wykonaniu
Grupy Rafała Kmity

30.1. poniedziałek, godz. 18.30
Słomkowy kapelusz
Teatr Powszechny
w Warszawie
reż. Piotr Cieplak
obsada:
E. Borowska, P. Holtz,
E. Olszówka,
M. Robaszkiewicz, O. Sawicka,
J. Braciak,
K. Kaczor, R. Królikowski,
S. Maciejewski, S. Pacek,
A. Piszczatowski, K. Stroiński,
A. Woronowicz

Prawda głoszona
w złym zamiarze,
gorsza niż to co plotą łgarze
William Blake

BĘDZIN

22.1. niedziela, godz. 16.00
Muzeum Zagłębia, Pałac
Kolędy i pastorałki czar
koncert kameralny

GLIWICE
MUZEUM, WILLA CARO

22.1. niedziela, godz. 12.00
Chcę
koncert Joanny Słowińskiej
z zespołem

Joanna Słowińska to skrzypaczka i pieśniarka o niezwykłej charyzmie scenicznej, obdarzona silnym głosem, śpiewająca rzadko już używaną ludową techniką „głosu białego". Repertuar artystki to m.in. dawne, tradycyjne pieśni polskie i słowiańskie, prezentowane w postaci archaicznej, jak też w dynamicznym, nowoczesnym brzmieniu, w nowych aranżacjach i wykonaniu zespołu złożonego z krakowskich instrumentalistów. Podczas koncertu usłyszymy także piosenki z literackich kabaretów lat międzywojennych, jak też kompozycje współczesne do słów m.in. St. Wyspiańskiego, E. Brylla, A. Osieckiej - pisane częstokroć specjalnie dla artystki przez Zygmunta Koniecznego.

KATOWICE
FILHARMONIA ŚLĄSKA

6.1. piątek, godz. 19.00
Koncert noworoczny
W hołdzie
Edwardowi Czernemu
Mirosław Jacek Blaszczyk
dyrygent
Grażyna Brodzińska
sopran

12.1. czwartek,
godz. 11.00 i 17.00
16.1. poniedziałek,
godz. 10.00 i 12.00
Młoda Filharmonia
Wolfgang Amadeus Mozart
w 250 rocznicę urodzin
Janusz Powolny - dyrygent
wystąpią:
B. Gruszczyńska,
A. Saniter (Niemcy)
w programie:
Symfonia koncertująca Es-dur
na skrzypce i altówkę,
Symfonia g-moll

14.1. sobota, godz. 18.00
Koncert karnawałowy
Massimiliano Caldi - dyrygent
Śląska Orkiestra Kameralna,
The Gdansk Philharmonic Brass
w programie: Z. Pniewski, D. Armitage, T. Kassak, L. Anderson, J. Sibelius

20.1. piątek, godz. 19.00
Wolfgang Amadeusz Mozart
w 250 rocznicę urodzin
Orkiestra Symfoniczna
Filharmonii Śląskiej
Chór Filharmonii Śląskiej
wystąpią:
R. Zimak - dyrygent
M. Gołębiowski, A. Szafir,
A. Radziejewska,
Z. Kordyjalik, J. Kitala

27.1. piątek
Karol Stryja in Memoriam
w 8. rocznicę śmierci
Orkiestra Symfoniczna
Filharmonii Śląskiej
Chór Filharmonii Śląskiej
Mirosław Jacek Blaszczyk
dyrygent
Piotr Paleczny - fortepian



w programie:
L. van Beethoven,
J. W. Hawel

INSTYTUCJA PROMOCJI
I UPOWSZECHNIANIA
MUZYKI SILESIA

8.1. niedziela, godz. 17.00
Koszutka, MDK „Koszutka"
Muzyka - moja miłość
wystąpią:
B. Witkowska, A. Krzeszowiec,
W. Waleczek,
E. Pawlik-Żmudzińska - słowo

10.1. wtorek, godz.17.00
Ligota, MBP nr 32

15.1. niedziela, godz.18.00
Murcki - MDK „Południe"

22.1. niedziela, godz.17.30
Piotrowice, MDK „Południe"

29.1. niedziela, godz.18.00
Podlesie, MDK „Południe"
Przetańczyć całą noc
wystąpią:
J. Ciupa, K Iwaszkiewicz,
E. Jeruzal

17.1. wtorek, godz.17.00
BŚ, Sala „Parnassos"
Muzyka na karnawał
wystąpią:
A. Szafir, B. Desoń,
M. Bartczak, W. Stysz,
G. Brewińska - słowo

22.1. niedziela, godz.17.30
Panewniki,
Bazylika o.o. Franciszkanów
Muzyka w Bazylice
wystąpią:
G. Stec, A. Eibin,
A. Przytula - słowo

DNI MOZARTOWSKIE

23.1. poniedziałek, godz.18.00
Teatr „Ateneum"
Tak czynią wszystkie,
czyli Szkoła kochanków
wystąpią:
A. Noworzyn,
M. Spytek, W. Białk,
R. Majzner, M. Bartczak,
B. Maliszewski,
W. Stysz - akompaniament
R. Gowarzewska-Griessgraber
- słowo

24.1. wtorek, godz.18.00
Studio Koncertowe
Polskiego Radia
Koncerty fortepianowe
wystąpią:
R. Podsadecka - fortepian,
Kwartet Smyczkowy

25.1. środa, godz.18.00
III LO im. A. Mickiewicza
Wieczór sonat
wystąpią:
K. Danczowska - skrzypce
J. Danczowska - fortepian
L. Markiewicz - słowo

26.1. czwartek, godz.18.00
Muzeum Archidiecezjalne
Sztuka interpretacji
wystąpią:
E. Stefańska, M. Kato (Japonia),
Z. Witkowski,
L. Moll - słowo

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA
„ŚLĄSK"
IM. STANISŁAWA HADYNY

6.1. piątek, godz. 18.00
Katowice, Studio Koncertowe
Polskiego Radia Katowice

10.1. wtorek, godz. 18.00
Rybnik, kościół pw.
Matki Boskiej Bolesnej

13.1. piątek, godz. 19.00
Mikołów, kościół
pw. św. Wojciecha

15.1. niedziela
Siemianowice,
kościół Świętego Krzyża

15.1. niedziela, godz. 15.00
Chorzów,
kościół Dobrego Pasterza

22.1. niedziela, godz. 15.30
Lubliniec,
kościół Ojców Oblatów

29.1. niedziela, godz. 16.00
Rogoźnik, kościół św.
Jadwigi Śląskiej
Koncert kolęd i pastorałek

ŚWIĘTOCHŁOWICE
MUZEUM MIEJSKIE

16.1. poniedziałek, godz. 17.00
Najpiękniejsze melodie świata
Koncert Noworoczny
wykonawcy:
J. Kremer, A. Dołęga,
A. Mazoń

17.1. wtorek, godz. 16.30
Koncert kolęd
w wykonaniu uczniów
Społecznego Ogniska
Muzycznego
w Świętochłowicach

ZABRZE
DOM MUZYKI I TAŃCA

6.1. piątek, godz. 19.00
Koncert noworoczny 2006
wystąpi:
Orkiestra Symfoniczna
Filharmonii Zabrzańskiej
pod dyrekcją
S. Chrzanowskiego,
E. Piasecka (sopran),
A. Rutkowski (tenor),
Z. Stryj (aktor), J. Borkowski
(prowadzenie i śpiew)
A. Stesew, S. Kubacka,
J. Stesew, Ł. Marczyński
- taniec
w programie:
najpiękniejsze arie, piosenki,
polki i walce świata.

FILHARMONIA
ZABRZAŃSKA

26.1. czwartek, godz. 18.00,
PSM
Koncert symfoniczny
wystąpią:
Yang Jung Yoon (Korea)
- skrzypce,
Milosz Formaczek (Czechy)
- dyrygent
w programie:
Saint-Saens - Koncert skrzypcowy,
Berlioz - Karnawał rzymski,
Smetana - Wełtawa,
Dworzak - Rapsodia As-dur

29.1.niedziela, godz. 17.00
Mysłowice,
Hala Widowiskowo-Sportowa
Koncert karnawałowy
wystąpią: D. Stachura - tenor
Jan Wolański - baryton
S. Chrzanowski - dyrygent
w programie:
Gala operetki i musicalu

Od skargi biednego człeka
wszelkie bóstwo ucieka
Eurypides

KATOWICE

ESTRADA ŚLĄSKA

Katowickie
Spotkania Kolędowe
pod patronatem prezydenta miasta Katowice Piotra Uszoka oraz ks. abp. Damiana Zimonia metropolity katowickiego

7.1. sobota, godz. 18.00
Dąbrówka Mała, kościół pw. św. Antoniego

14.1. sobota, godz. 19.00
Nikiszowiec,
kościół pw. św. Anny
Narodziła nam się Dobroć
wystąpią:
ks. P. Sobierajski, E. Biegas i kwintet smyczkowy

8.1. niedziela, godz. 12.45
Dąb, kościół pw. św. Jana i Pawła Męczenników

8.1. niedziela, godz. 18.45
Brynów, kościół pw. św. Rodziny
Witaj Jezu przenajsłodszy
koncert kolęd w wykonaniu Zespołu Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia" pod dyrekcją Anny Szostak

15.1. niedziela, godz. 15.30
Os. Tysiąclecia, kościół pw. Podwyższenia Krzyża Św.
Koncert kolęd
z szopką krakowską w tle
wystąpi:
Anna Szałapak z zespołem

15.1. niedziela, godz. 18.00
Bogucice, kościół
pw. św. Szczepana
Leci
przez ciemne niebo Śląska
wystąpi: zespół „Antyki"

22.1. niedziela, godz. 15.30
Kostuchna, kościół pw. Trójcy Przenajświętszej

22.1.niedziela, godz. 19.00
Załęże, kościół pw. św. Józefa

28.1. sobota, godz. 17.00
os. Witosa, kościół pw. Podwyższenia Krzyża Św.
A z nami kolęda
wystąpią:
S. Olbrich, A. Stokłosa, M. Blaszczyk, H. Miśka i zespół muzyczny

29.1. niedziela, godz. 13.15
Ochojec, kościół pw. św. Jacka

29.1. niedziela, godz. 17.00
Brynów, kościół
pw. Matki Kościoła
Kolędy polskie
w wykonaniu Eleni

Spotkania z poezją i muzyką pod patronatem prezydenta miasta Katowice Piotra Uszoka

9.1. poniedziałek, godz. 17.00
Co nam zostało z tych lat
program poetycko-muzyczny w wykonaniu Wrocławskiej Grupy Kabaretowej „AJA".
w programie: piosenki z okresu międzywojennego

23.1. poniedziałek, godz. 17.00
Może tak, może nie
solowy recital Anny Treter, wokalistki grupy „Pod Budą", z towarzyszeniem zespołu krakowskich muzyków

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

11.1.środa. godz.17.00 wernisaż
Hol Główny
Grafiki Krzysztofa Kusia

19.1. czwartek
Salon „Polityki"
gospodarzem spotkania będzie
red. Katarzyna Janowska

20.1. piątek, godz.17.00
sala Benedyktynka
Z Janówki w świat
promocja książki
Mieczysława Chorążego

26.1. czwartek, godz. 17.00
sala Benedyktynka
Spotkanie w Klubie Dobrej Książki
Prof. Andrzej Mencwel
z Uniwersytetu Warszawskiego zarekomenduje do nagrody Biblioteki Śląskiej książkę
Eustachego Rylskiego
„Warunek"

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

23.1. poniedziałek, godz. 18.00
Filia nr. 32 ul. Grzyśki 19 b
Z cyklu Mistrz Słowa
Teolog w krainie pepsi-coli
Spotkanie z ks. prof. Jerzym Szymikiem
spotkanie prowadzi Marta Fox
Ks. prof. Jerzy Szymik - doktor habilitowany teologii dogmatycznej, profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, kierownik Katedry Chrystologii Instytutu Teologii Dogmatycznej Wydziału Teologii KUL. Publicysta, eseista, tłumacz, poeta szukający teologicznej głębi literatury. Nastawiony na ewangelizujący dialog, sam o sobie pisze, iż nieustannie poszukuje ścieżek łączących teologię uprawianą dogmatycznie z współczesnością.

MIKOŁÓW

8.1. niedziela, godz. 15.00
XIV Wielka Orkiestra
Świątecznej Pomocy
wystąpią m.in.: Another Day, Legion Cover Band, North Cape, Nod City i gwiazda wieczoru zespół Universe.
o godzinie 20.00 zapłonie tradycyjne „Światełko do Nieba"

12.1. czwartek
GALERIA LITERACKA
Bogdan Prejs
Subkultury młodzieżowe.
Bunt nie przemija
Dziennikarz, autor książki pt.: „Subkultury młodzieżowe. Bunt nie przemija". Jest to forma leksykonu poświęconego kilkudziesięciu ruchom na przestrzeni ostatniego półwiecza, książka nie ocenia poszczególnych subkultur, lecz przybliża ich charakterystykę i ideologię. Znajdują się tutaj również rozdziały poświęcone generacyjnym piosenkom, kultowym postaciom, przełomowym książkom i filmom, jak również opis rozwoju kultury alternatywnej na przestrzeni lat oraz wywiady ze znanymi muzykami polskiej sceny.

sala widowiskowa MDK
23.1. poniedziałek, godz. 18.00
Mikołowskie
spotkania kolędowe
wystąpią:
chóry: Chopin, Gloria, Harmonia, zespoły regionalne Mokrzanki, Mikołowianki.
Śpiewaniu kolęd będzie przewodniczyć Zespół Muzyki Dawnej i Tańca Historycznego Capella Nicopolensis z oprawą sceniczną w wykonaniu Koła Teatralnego.

PSZCZYNA

PSZCZYŃSKIE CENTRUM KULTURY

8. 1. niedziela
XIV Wielka Orkiestra
Świątecznej Pomocy
wystąpią m.in.:
kabaret Mumio,
chór gospel Joyful Voice,
w programie m.in.:
pokaz ratownictwa zorganizowany przez straż pożarną wraz z policją i pogotowiem, występy teatru ulicznego, pokazy na lodowisku: curling, jazda figurowa, mecz hokeja, pokaz sztucznych ogni, licytacje, zabawy, kuligi.

16.1. poniedziałek, godz. 12.00
GALERIA „13"
Karnawałowe maski
rozwiązanie konkursu, wręczenie nagród oraz otwarcie wystawy pokonkursowej

22.1. niedziela, godz. 17.00
sala widowiskowa PCK
Koncert
z dedykacją
dla babci i dziadka
wystąpi zespół „Gang Marcela"

27.1. piątek, godz. 17.00
Klub „13"
Klub poczty poetyckiej
Macieja Szczawińskiego

RYBNIK

RYBNICKIE CENTRUM KULTURY

7.1. sobota, godz. 17.00
Koncert Noworoczny
Melodie świata
w wykonaniu Filharmonii Braci Szafranków pod dyrekcją Mirosława Jacka Blaszczyka

15.1. niedziela, godz. 17.00
Wiesław Turek
Sylwester z niespodzianką
Studio Teatralne Teatru Ziemi Rybnickiej

21.1. sobota, godz. 18.00
Batuta, frak i elegancja
gościnnie:
Gliwicki Teatr Muzyczny

29.1.niedziela, godz. 15.00
Bałwany chcą odmiany
bajka muzyczna dla dzieci
Teatr „Wit-Wit" w Gliwicach

25.1. środa, godz.18.00
Muzeum
Muzyka na Ratuszu
wystąpi
Zespół Muzyki Dawnej „Il Sospiro"
w programie muzyka barokowa oraz barokowe interpretacje kolęd.

Miesięcznik Społeczno-Kulturalny „ŚLĄSK" – Wojewódzki Informator kulturalny

Wydawca: Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach • Informacje wraz ze zdjęciami (do 2 fotografii) prosimy przesyłać do 15. każdego miesiąca • Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i nie ponosi odpowiedzialności za zmiany w repertuarach. Tel./fax 206-82-71 (wtorki, godz. 11.00-14.00) • e-maill: slask@neostrada.pl, wiksłask@poczta.onet.pl

Drugi oddech

Śląskie środowisko fotografików od jakiegoś czasu zaczyna żyć nowym życiem. To dobry znak po ostatnim czasie zastoju. Śląscy fotograficy zdaje się złapali kolejny oddech: zapowiedzią były ostatnie wystawy w galerii ZPAF przy ulicy Warszawskiej (m.in. poświęcona twórczości Leonarda Idziaka i Haliny Holas), które gromadziły prawdziwe tłumy zainteresowanych twórczością fotograficzną.

Nowym przedsięwzięciem była również I Fotograficzna Konferencja Naukowa, odbywająca się w ostatnich dniach listopada minionego roku w Katowicach. Członkowie Okręgu Śląskiego ZPAF zorganizowali ją wraz z Fundacją dla Śląska i Radą Samorządu Studenckiego Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego przy współpracy z Teatrem Śląskim i Wydziałem Radia i Telewizji UŚ.

W programie konferencji pojawiły się nazwiska znanych od lat znakomitych fotografów: Jerzy Lewczyński, który wygłosił prelekcję o historii polskiej fotografii, Jakub Byrczek mówiący o fotografii jako dowodzie na ułomność słów, Mieczysław Cybulski przedstawiający fotografię na materiałach trwałych. O najnowszej fotografii cyfrowej mówił Maciej Stobierski. Nie zabrakło tematyki typowej dla śląskich fotografików: pejzażu Śląska, o których z punktu widzenia fotografii opowiadał Andrzej Koniakowsxki. Podobną tematykę, tylko przy pomocy projekcji multimedialnej prezentował Antoni Kreis.

Oczywiście nie można rozmawiać na tematy fotograficzne bez wystaw, a tych nie brakowało. Swoje prace pokazywali Wojciech Gepner („Naprawdę nie dzieje się nic"), Katarzyna Łata-Wrona i Janusz Musiał („Plastyczne oblicza fotografii", Tomasz Kaliściak („Fotografia i pożądanie – próba psychoanalitycznego ujęcia fotografii"), Artur Rychlicki („Podróżni"), Marta Tluszcz (3L Project"), Andrzej Koniakowski („Stalowe klimaty") i wiele innych. Były dyskusje, rozmowy i wymiana myśli o fotografii, o sposobie ekspozycji, o prawdzie fotograficznej (jeden z odwiecznych problemów fotografii) a także o działaniu ZPAF i Śląskiego Towarzystwa Filmowego, któremu przewodniczy Józef Wolny.

Konferencję zakończyła wystawa zbiorowa członków Okręgu Śląskiego ZPAF pt. „W Związku z Katowicami", która znalazła miejsce w macierzystej galerii przy ulicy Warszawskiej 3. Można się przekonać jak różne postawy artystyczne reprezentuje liczne grono fotografików. Z pewnością konferencja skierowana była do środowiska artystycznego i studenckiego, ale tak naprawdę powinna w najbliższym już czasie stać się szerokim forum wymiany myśli i prezentacji dorobku wielu znakomitych i uznanych fotografów a także adeptów sztuki fotograficznej. Fotografia przecież zawsze była (i jak widać znów jest) mocnym, jasnym punktem na artystycznej mapie Śląska.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Jagiełło w „Śląsku"

Michał Jagiełło, pisarz i publicysta, autor wielu pozycji poświęconych górom i ludziom gór był gościem „Czwartku literackiego" w dniu 1 grudnia 2005 r. – zorganizowanego w ramach II cyklu spotkań jesiennych przez GTL i miesięcznik „Śląsk". Spotkanie z Michałem Jagiełłą – od kilku lat sprawującego funkcję dyrektora Biblioteki Narodowej w Warszawie było okazją do promocji jego dwóch tomów szkiców eseistycznych pt. „Słowacy w polskich oczach".

Postać gościa wieczoru oraz jego górskie pasje i twórczość przybliżył uczestnikom spotkania Tadeusz Kijonka.

Gość wieczoru niezwykle barwnie opowiadał o swoich związkach z alpinizmem i literaturą, a także interesująco i z wielką pasją mówił o swoich zainteresowaniach problematyką polskiej polityki wschodniej i wobec mniejszości narodowych, którą to zwłaszcza interesował się w latach, kiedy był wiceministrem kultury i sztuki (od listopada 1989 do listopada 1997). Swoje spostrzeżeniach i diagnozy spisał w obszernym tomie pt. „Partnerstwo dla przyszłości", który obok tomików poetyckich i najnowszej publikacji można było nabyć podczas spotkania.



Foto. A. Rygiel-Bereszowski

Michał Jagiełło w redakcji „Śląska".

„Kicz – między wstydem a zachwytem"

5 grudnia 2005 r. obyło się w Muzeum Śląskim otwarcie wystawy „Kicz – między wstydem a zachwytem". Ta niecodzienna wystawa prezentuje kicz w każdym typie kultury, tak w sztuce wysokiej jak i banalnej plastyce dnia codziennego.

Ekspozycja jest autorskim pomysłem Marii Fiderkiewicz i składa się z 500 eksponatów ujętych w 11 sekwencji: „Inspiracje kiczem". „Socrealizm", „Jelenie, konie, łabędzie, pawie, nimfy i anioły", „Buduar", „Między wsią a miastem", „Patriotyczne wzory", „Radość dzieciństwa", „Świat opery", „Symbole dorastania", „Jarmark, odpust", „Bohaterowie marzeń".

W pierwszej z nich można zobaczyć m.in. assamblage Władysława Hasiora z wkomponowanymi przedmiotami jarmarczno-odpustowymi, cykl obrazów z jeleniami Jerzego Przybyła oraz prace Andrzeja Urbanowicza przedstawiające Słodką Gwendolinę – pierwowzór popularnej lalki Barbie. Ponadto na ekspozycji znajdują się projekty ubiorów z kolekcji „Lolly – Pop" zaprojektowane przez Kasję Michorowską oraz reklamę artystyczną Holgera Massa z Niemiec.



Jerzy Przybył, „Jeleń morski", gwasz, 1979.

By podkreślić wszechobecność kiczu, realizatorzy wystawy zaaranżowali wnętrze buduaru oraz pokoju z pogranicza estetyki wiejsko-miejskiej. Wśród prezentowanych eksponatów znalazły się dewocjonalia, pamiątki z pielgrzymek, oleodruki, gipsowe i plastikowe zwierzęta, a także plakaty gwiazd disco-polo, chusty rezer-wistów, kartki pocztowe a nawet lalki Barbie.

Jednym zdaniem

■ Wystawę fotografii „Węglem znaczone" Dariusza Kantora można oglądać w galerii „Na żywo" Radia Katowice

■ W ramach VIII Festiwalu Muzyki Kameralnej Instrumentów Dętych odbył się koncert Akademickiej Orkiestry Symfonicznej pod dyrekcją Szymona Bywalca z udziałem solisty Stefana de Leval-Jezierskiego (róg).

■ W Instytucie Mikołowskim odbyło się spotkanie z Maciejem Malickim, promujące jego najnowszą powieść pt. „Wszystko jest".

■ W ramach Dni Rafała Wojaczka w Mikołowie odbyła się projekcja filmu „Wojaczek" w reż. Lecha Majewskiego. Śląscy poeci czytali wiersze tego poety a ponadto odbył się wernisaż wystawy malarstwa Sylwii Sosnowskiej, spotkanie autorskie Radosława Kobierskiego i Tumiej Jednego Wiersza oraz spektakl muzyczny do poezji Wojaczka pt. „Nigdy nie otwierać okna".

■ Ryszard Czernow prezentował swoje cyberfotografie pt. „Bramy do..." w Galerii Sztuki Współczesnej Fra Angelico Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach.

■ W Tyskim Muzeum Piwowarstwa odbył się pokaz kolekcji tyskich projektantek mody Eweliny Gleby i Justyny Dembowskiej.

■ „W Europie ze Śląskiem" to tytuł koncertu w wykonaniu Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk" im. St. Hadyny, który odbył się 13 grudnia w Teatrze Śląskim.

■ Teatry Korez z Katowic i Ludowy z Krakowa zapraszały na premierę sztuki Fryderyka Schillera pt. „Dymitr Samozwaniec" w reżyserii Piotra Szalszy z udziałem: Stanisława Bernego, Huberta Bronickiego, Mirosława Neinerta, Piotra Piechy, Jagody Pietruszkówny, Dariusza Stacha i Katarzyny Tlałki.

■ Promocja książki „Sztuka sakralna Rudy Śląskiej" odbyła się w Muzeum Miejskim w Rudzie Śląskiej.

■ 95 Śląska Trybuna Kompozytorów z udziałem pianistki Magdaleny Lisak i „Silesian Ensemble" odbyła się w Studiu Polskiego Radia w Katowicach 27 listopada 2005 r., a wykonano utwory A. Dziadka, R. Gabrysia, M. Hussara, F. Rzewskiego i E. Schulhoffa.

■ Artystyczny Jarmark Bożonarodzeniowy zorganizowany przez Muzeum w Gliwicach i samorząd Miasta Gliwice trwał od 11 do 17 grudnia, a jego gośćmi byli m.in. kwartet Jana Ptaszyna Wróblewskiego, Zespół Kameralistów Camerata Impuls z Bytomia, chór i Akademicki Zespół Muzyczny Politechniki Śląskiej w Gliwicach.

■ W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Rudzie Śląskiej odbył się finał Regionalnego Konkursu Poetyckiego w Gwarze Śląskiej im. Ks. Noberta Bonczyka.

■ Instytut Mikołowski był organizatorem konferencji naukowej pt. „Sacrum, profanum a inne języki prawdy", której gośćmi byli m.in. o. Jan Bereza, prof. Piotr Śliwiński, dr Mirosław Pęczak, Piotr Lachmann i Henryk Waniek.

■ Również w Instytucie Mikołowskim odbyła się projekcja multimedialna prac Zbigniewa Libery i Darka Foksa pt. „Co robi łączniczka".

■ Na wystawę ilustracji i rysunków Frederica Pajaka zapraszała Biblioteka Śląska oraz Instytucja Kultury Ars Cameralis Silesiae Superioris.

■ Na IX Międzynarodową Konferencję Naukową z cyklu „Kultura Europy Środkowej" poświęconej kulturze prawnej w Europie Środkowej zapraszali: Societas Scientis Favendis Silesiae Superiopris, Instytut Górnośląski, Urząd Miejski w Zabrzu oraz Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Katowicach.

■ Na koncert z okazji Barbórki w wykonaniu pianisty Macieja Grzybowskiego i Kwartetu Śląskiego zapraszał prezydent Rudy Śląskiej Andrzej Stania.

■ Poplenerowa wystawa malarstwa „Między wieżami" odbyła się w Galerii Ratuszowej w Lędzinach.

■ W Bibliotece Śląskiej odbyła się promocja książki Seweryna A. Wisłockiego pt. „Janowscy kaplani wiedzy tajemnej".

■ Na premierę projektu undergrundowego pt. „Chodnik 05" w reżyserii i choreografii Jarosława Stańka zapraszał Gliwicki Teatr Muzyczny.

Jak pisze Maria Fiderkiewicz w katalogu wystawy „Ekspozycja ma charakter problemowy. Jej celem jest przedstawienie kiczu jako zjawiska występującego w wielu typach kultury (...). Przy opracowywaniu koncepcji wystawy korzystałam z otwartego pojęcia sztuki, przyjętego przez antropologię kultury. Zainspirowała mnie idea zakładająca, że celem działań artystycznych jest nie tyle tworzenie dzieł, ile odkrywanie sensów otaczającej rzeczywistości. Celem wystawy jest także sprowokowanie do refleksji nad takim zjawiskami jak: względność ocen w sztuce, relatywizm kanonów piękna i dyktatorstwo „umów autorytetów" przy nieuniknionej ekspansji kultury masowej".

Wystawę przygotowali: Muzeum Śląskie w Katowicach oraz Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie. Można ją zwiedzać do 2 kwietnia 2006 roku.

Wystawa rzeźb Heinza Tobolli

Wystawa „Heinz Tobolla – dzieło" otwarta została w Muzeum Śląskim w Katowicach. Ekspozycja przygotowana wspólnie przez Muzeum Śląskie w Katowicach oraz Muzeum Górnego Śląska w Ratingen – Hösel, ma charakter retrospektywny. Przedstawia około 60 rzeźb – wybór najciekawszych prac artysty z półwiecza jego twórczości.

Heinz Tobolla urodził się w Zabrzu w 1925 roku, od 1953 roku mieszka w Akwizgranie (Północna Nadrenia-Westfalia – Niemcy). W swoich pracach artysta najczęściej przedstawia postać człowieka, jego relacje w czasie i przestrzeni. Wymowę każdego z dzieł Tobolla podkreśla poprzez precyzyjny dobór materiałów, których różnorodność jest charakterystyczna dla tego artysty. Wykorzystuje m.in. drewno, kamień, beton, szkło, metal, nierzadko łączy je ze sobą. Równie często akcentuje właściwości technologiczne używanych materiałów, np. optykę szkła, błysk wypolerowanego metalu. W każdej z prac pozostawia cząstkę samego siebie, odzwierciedla własne skomplikowane losy, dlatego też wielką rolę w ich odbiorze pełni tytuł.

Wystawa została przygotowana w 80. rocznicę urodzin Heinza Tobolli. W Katowicach pokazane zostały jedne z najciekawszych prac z ostatnich 50 lat twórczości tego artysty. Są to rzeźby, jak również modele, które zostały wykorzystane do wykonania kompozycji przestrzennych w skali ponadnaturalnej, a także fotografie dużych obiektów plastycznych.



Heinz Tobolla, „Ludzie rozmawiają ze sobą", rzeźba

Podczas wernisażu Heinz Tobolla przekazał na rzecz Muzeum Śląskiego jedno ze swoich dzieł zatytułowane „Ludzie rozmawiają ze sobą" (Menschen sprechen miteinander) z 1963-1965 roku, wykonane z brązu. Praca ta posłużyła artyście jako model do kompozycji rzeźbiarskiej o tym samym tytule. Zapoczątkowała również międzynarodowy sukces Tobolli.

Ekspozycja z Katowic przeniesiona zostanie do kilku innych miast Polski, a jej pokaz zakończy się w Akwizgranie.

Oblicza secesji na Górnym Śląsku

Secesji na Górnym Śląsku poświęcona była sesja naukowa Górnośląskiego Oddziału Stowarzyszenia Historyków Sztuki w Muzeum Śląskim w Katowicach. Zatytułowano została „Oblicza secesji w Katowicach i na obszarze województwa śląskiego" a prowadzili ją: prof. dr hab. Ewa Chojecka, Śląski Wojewódzki Konserwator Zabytków – dr Jacek Owczarek oraz dyrektor Muzeum Śląskiego – dr Lech Szaraniec. W programie sesji znalazły się wystąpienia: prof. dr. hab. Jana Sumka (*Eklektyzm i secesja – problemy wydanych zeszytów Katalogu Zabytków Sztuki dawnego województwa katowickiego*), dr Doroty Glazek (*Secesja i historia – kościół w Brzeziu nad Odrą*), dr Irmy Koziny (*Działalność architektoniczna Arnolda Hartmanna w Katowicach, Zabrzu i innych miastach górnośląskich*), Ireny Kontnej (*Secesyjne dekoracje malarskie w kamienicach Katowic i innych miast uprzemysłowionej części Górnego Śląska i Zagłębia*), prof. dr hab. Barbary Szczypki-Gwiazdy (*Wystrój kaplicy szpitala elżbietanek w Katowicach. Młoda Polska – secesja czy historyzm*), Ryszarda Szopy (*Witraże secesyjne na terenie województwa śląskiego*), Jolanty Wnuk (*Secesyjne i „postsecesyjne" witraże kamienic gliwickich*), Eweliny Pokorskiej-Ożóg (*Secesyjne elementy wystroju kamienic gliwickich*), Barbary Klajmon (*Działalność architektoniczna Carla Bruggera na tle bytomskiej secesji*), dr Ewy Janoszek (*Między secesją a modernizmem – działalność architektów szkoły Otto Wagnera w Bielsku Białej*) i Kingi Kowzy (*Analiza fragmentów krajobrazu miejskiego na terenach Górnego i Dolnego Śląska ze szczególnym uwzględnieniem ornamentu secesyjnego. Próba nakreślenia epizodu secesji w sztuce śląskiej. Spacerem po Bielsku Białej*). Z kolei o sosnowieckiej secesji mówiła Ilona Gajda, Kazimierz Konsek o śląskich reminiscencjach secesyjnego wzornictwa przemysłowego w produkcji mebli giętych, ks. Henryk Pyka (secesyjne ulomki zastawy stołowej biskupów katowickich), Zofia Szota o secesyjnym zdobnictwie w sztuce użytkowej na przykładzie pocztówek z Katowic. Sesję zakończyło wystąpienie dr Ireny Koziny na temat *Homage a l' Art Nouveau. Malarstwo Kazimierza Cieślika*. Honorowy patronat nad sesją objął Piotr Uszok, prezydent Katowic.

W rocznicę premiery

W 60. rocznicę wystawienia „Rycerskości wieśniaczej" Pietro Mascagniego i „Pajaców" Ruggiero Leoncavallo, pierwszych premier operowych zrealizowanych na scenie bytomskiej pod kierownictwem artystycznym Adama Didura, odbyło się jubileuszowe wznowienie tychże spektakli. „Rycerskość wieśniacza", pod kierownictwem muzycznym Tadeusza Serafina, została wyreżyserowana przez Jerzego Rakowieckiego. Z kolei reżyserem „Pajaców" (także pod kierownictwem Tadeusza Serafina) był Sławomir Żerdzicki.

■ Prapremiera obrzędowo-liturgicznego widowiska muzycznego pt. „Neuma" w wykonaniu Teatru A odbyła się 10 grudnia w katedrze pw. Chrystusa Króla w Katowicach, natomiast premierowe przedstawienie odbyło się w kościele pw. Wszystkich Świętych w Gliwicach.

■ Pod honorowym patronatem Konsula Generalnego Republiki Czeskiej w Katowicach dra Josefa Byrtusa odbyła się w Muzeum w Sosnowcu wystawa „Boże Narodzenie w Ostrawie", na którą złożyły się eksponaty ze zbiorów Muzeum w Ostrawie.

■ Najnowsza wystawa w Muzeum Historii Katowic poświęcona jest tajemnicy malarstwa średniowiecznego.

■ Promocji książki i wystawa autorstwa Magdaleny Dziadek i Lilianny Mol pt. „Odróżnijmy się w muzyce! Muzyka na łamach polskich czasopism kobiecych i „kobieca" krytyka muzyczna 1818-1939" odbyła się w Bibliotece Śląskiej.

■ Georgij Safronow, autor wystawy akwarel pt. „Pejzaż polski" prezentował swoje prace w Galerii „Od Nowa 2" w Bytomiu.

■ W Muzeum Miejskim w Tychach odbyło się spotkanie pt. „Śladami Marka Hłaski", a gościem specjalnym był architekt Andrzej Czyżewski, brat cioteczny pisarza, autor poświęconej mu biografii.

■ Tradycje i symbolikę zimowego świętowania na Górnym Śląsku i Żywiecczyźnie można oglądać na wystawie przygotowanej przez Muzeum Miejskie w Tychach.

■ Jerzemu Ziętkowi – powstańcowi, gospodarzowi i mecenasowi poświęcona była wystawa w Bibliotece Śląskiej.

■ W Filharmonii Śląskiej odbył się 19 listopada 2005 r. koncert charytatywny na rzecz dzieci z chorobami nowotworowymi zatytułowany „Cierpiące anioły", podczas którego wystąpili wiolonczelista Mikołaj Konopelski oraz Młodzieżowa Orkiestra Symfoniczna im. K. Szymanowskiego w Katowicach pod dyrekcją Szymona Bywalca.

■ Interdyscyplinarny projekt pt. „Ślady pamięci" (wystawy, sympozjum z udziałem krytyków i teoretyków sztuki, m.in. Grzegorza Dziamskiego, Mieczysława Judy, Bożeny Kowalskiej, Romana Lewandowskiego) poświęcony został twórczości Tomasza Struka, zmarłemu w 2004 r. artyście, który cieszył się międzynarodowym uznaniem.

■ W Kinoteatrze Rialto w Katowicach odbył się pokaz filmu „Człowiek z laską czyli portret człowieka praktycznego" w reż. Antoniego Halora oraz filmu „Jorg – szkic do portretu" w reż. Grażyny Ogrodowskiej i Leszka Furmana.

■ W ramach X Festiwalu Muzyki Organowej w Katedrze w Katowicach odbył się koncert organisty Radosława Marca.

■ „Marian Malina (1922-1985)" – wystawę w 20. rocznicę śmierci tego wybitnego grafika, zorganizowało Muzeum w Sosnowcu.

■ Wystawę fotografii Haliny Morcinek pt. „Senność miejsc" można oglądać w Galerii Pusta Górnośląskiego Centrum Kultury w Katowicach.

■ W ramach koncertów zatytułowanych „Katowice – miasto muzyki" Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia" w Katowicach zorganizowała cykl koncertów z cyklu „Złote karty pianistyki polskiej" z udziałem Lidii Grychtołówej, „Muzyka polska Ignacego Jana Paderewskiego" i „Muzyka polska Wojciecha Kilara".

■ „Cricot 2. Fotografie Romano Martinisa ze spektakli Tadeusza Kantora" można było zobaczyć w Centrum Scenografii Polskiej w Katowicach.

■ W Teatrze Dzieci Zagłębia w Będzinie miały miejsce premiery „Kota w butach" i „Zimowej przygody".

■ W Hali Starego Dworca w Katowicach odbył się spektakl „Dziady cz. II" w wykonaniu Teatru Nowego w Zabrzu. W reżyserii Ireny Jun i scenografii Jerzego Kaliny.

■ Wojewódzkie obchody Dnia Polskiego Państwa Podziemnego odbywały się w Pszczynie, a ich organizatorem był Światowy Związek Żołnierzy AK Okręg Śląski w Katowicach i Urząd Miasta w Pszczynie.

■ „Kobiety w fotografii Niesporków" prezentowane były podczas wystawy w galerii „Magiel" w Katowicach-Nikiszowcu.

■ Poplenerową wystawę „Katowice 2005", podczas której swoje prace prezentują uczestnicy pleneru, artyści tacy jak m.in. Horst Hahn, Krystyna Jasińska, Andrzej Kuczok, Elżbieta Kuraj, Andrzej Piecha, Mira Satryan, Bruno Wiosna i Grażyna Zarzecka-Czech, można oglądać w Muzeum Historii Katowic.

■ Z okazji 85. rocznicy nadania Zabrzu praw miejskich, odbył się uroczysty koncert. pt. „Melodie świata" w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Zabrzańskiej pod dyrekcją Sławomira Chrzanowskiego.

■ „Imago mundi. Świat kultury islamu" – to było drugie spotkanie z cyklu prezentującego wielkie kultury świata, a organizatorem była Biblioteka Śląska.

■ 5 grudnia 2005 r. odbyła się przy szybie „Bartosz" dawnej kopalni „Katowice", uroczystość wmurowania Aktu Erekcyjnego oraz poświęcenie terenu pod budowę nowego zespołu muzealnego dla Muzeum Śląskiego.

■ W Filharmonii Śląskiej z recitalem wystąpił Ingolf Wunder, austriacki pianista, jedna z wielkich osobowości niedawno zakończonego XV Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie.

■ Koncert „Kwartet Śląski i jego goście" odbył się 10 grudnia 2005 r. w Filharmonii Śląskiej.

■ Na wystawę „Między obcością a bliskością Polacy-Niemcy" z cyklu „Nasi sąsiedzi – nowe spojrzenie" zaprasza Biblioteka Narodowa w Warszawie.

■ Również Biblioteka Narodowa w Warszawie była organizatorem konferencji nt. współpracy bibliotek Polski i Niemiec.

■ W Operze Śląskiej w Bytomiu odbył się recital mistrzowski Aleksandra Teligi (bas).

■ Fundacja dla Śląska i Kompania Węglowa S.A. były organizatorami wystawy prac śląskich twórców intuicyjnych pt. „Z głębi", zorganizowanej w zaaranżowanych pomieszczeniach katowickiego „Spodka", a prezentowano na niej obrazy 45 artystów, m.in. Emila Brzeziny, Czesława Fojcika, Ludwika Holesza, Bronisława Krawczuka, Franciszka Kurzei, Teofila Ociepki. Erwina Sówki, Krzysztofa Websa, Pawła Wróbla.

■ Do 20 maja 2006 r. można nadsyłać zgłoszenia do udziału w konkursie XIX Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Religijnej Cantate Deo 2006, który odbywać się będzie w dniach 30 czerwca – 2 lipca 2006 r. w Gliwicach-Sośnicy, a jego organizatorem jest Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Diecezji Gliwickiej.

Ostatni numer

W grudniu ukazał się ostatni numer Beskidzkiego Informatora Kulturalnego – pisma kontynuującego tradycje Informatora Kulturalnego Województwa Bielskiego i jeszcze wcześniejszego Informatora Imprez Kulturalnych Województwa Bielskiego, które wydawano od 1977 roku w Bielsku-Białej. Dyrektor Regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej – wydawcy miesięcznika – Leszek Miłoszewski i redaktorka naczelna BIK Małgorzata Słonka doszli do wniosku, iż formuła informatora... wyczerpała się. Wiele instytucji i urzędów Bielska-Białej i okolicznych gmin wydaje bowiem własne, typowo informacyjne periodyki, które zaspokajają potrzeby mieszkańców. Typowym przykładem jest miesięcznik „Pełna Kultura" – wydawany w wielotysięcznym nakładzie przez Urząd Miasta w Bielsku-Białej. Na decyzję o zakończeniu wydawania BIK wpłynęły również trudności z kolportażem i zdobywaniem grantów, których nie można było pozyskać z uwagi na informacyjny charakter periodyku.

Czasopismo pełniło jednak nie tylko funkcję informatora imprez kulturalnych. Nieco wbrew nazwie miało przede wszystkim charakter publicystyczny i pełniło funkcje opiniotwórcze wobec wszelkich zjawisk życia kulturalnego – począwszy od sztuki najwyższych lotów, a skończywszy na lokalnym folklorze. Prezentowało ponadto sylwetki twórców profesjonalnych i artystów dnia siódmego. Wypełniało lukę, która powstała po skomercjalizowaniu mediów w latach 90.

Beskidzka kultura nie znajduje bowiem do dziś stosownego miejsca w regionalnym czasopiśmiennictwie. W Kronice Beskidzkiej została zepchnięta na margines. Więcej miejsca zajmuje w Dzienniku Zachodnim, ale trudno oprzeć się wrażeniu, iż także na tych łamach problematyka kulturalna jest czasem traktowana dość pobieżnie. Stosunkowo najpełniejsze relacje znaleźć można w periodyku o nazwie „W Bielsku-Białej" – zwanym potocznie „Magazynem Samorządowym". Pismo wydawane jest jednak przez władze miasta i raczej nie należy spodziewać się po – skądinąd zacnych autorkach – wielogłosowości. Poza tym zakres czasopisma jest ograniczony do stolicy Beskidów.

Leszek Miłoszewski i Małgorzata Słonka zapewniają jednak, że opiniotwórczą rolę pełnić będzie nowe pismo kulturalne, które ma powstać w miejsce Beskidzkiego Informatora Kulturalnego. Wydawca zgromadził już bowiem środki na cztery numery kwartalnika pod roboczym tytułem „Górna Półka". Mają się tam znaleźć materiały publicystyczne dotyczące różnych zjawisk kulturalnych, recenzje, reportaże, utwory literackie i ambitne formy twórczości dziennikarskiej. Pierwszy numer powinien ukazać się już w lutym.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Banialuka znów nagrodzona

Po nagrodach na festiwalach w Ostrawie i Opolu bielski Teatr Lalek Banialuka otrzymał kolejne laury, tym razem w Toruniu. Podczas XII Międzynarodowych Toruńskich Spotkań Teatrów Lalek, które odbyły się od 19 do 25 listopada w Teatrze „Baj Pomorski" zaprezentowano 11 spektakli konkursowych. Wystąpiły zespoły z Polski, Czech, Niemiec i Holandii. Banialuka otrzymała dwie nagrody za przedstawienie „Siała baba mak" Krystyny Miłobędzkiej-Falkiewicz w reżyserii Jacka Malinowskiego. Jury festiwalu przyznało nagrodę za scenografię dla Haliny Zalewskiej-Słobodzianek i wyróżnienie honorowe za kreację zbiorową dla aktorów Banialuki: Małgorzaty Król, Eugeniusza Jachyma, Tomasza Sylwestrzaka i Piotra Tomaszewskiego.

Widowisko Krystyny Miłobędzkiej-Falkiewicz przeznaczone jest dla najmłodszych dzieci. Budują je w żywym tempie wyliczanki i zabawy dziecięce. Aktorzy w barwnych kostiumach pierrotów ożywiają świat postaci z bajki i dziecięcego podwórka, zapraszając do współuczestnictwa w spektaklu. Na utrzymaną w ciepłych, pastelowych barwach scenografię składają się przeróżne klocki, które zmieniają swą funkcję.



Foto: ARC

Scena z nagrodzonego „Siała baba mak"

Kołchoz im. Mickiewicza

Z okazji 150. rocznicy śmierci Adama Mickiewicza wydawnictwo Buffi z Bielska-Białej wydało książkę reporterską pt. „Kołchoz imienia Adama Mickiewicza". Jej autorem jest bielski polonista, prozaik, publicysta i reporter współpracujący m.in. z Rzeczpospolitą, Tygodnikiem Powszechnym, Odrą i Gazetą Wyborczą – Artur Pałyga. Książka to plon reporterskich wędrówek Artura Pałygi po Białorusi z innym bielszczaninem, Karolem Tomeckim, który jest proboszczem w Mścisławiu tuż przy granicy z Rosją, oraz autostopowych podróży autora polskimi śladami dawnych Kresów Wschodnich.

Tytuł zbioru pochodzi od nazwy kołchozu, który powstał w 1949 roku w Zaosiu – rodzinnej miejscowości autora „Pana Tadeusza". Mieszkańcy nie chcieli nazwy o konotacjach komunistycznych i przekonali władze, że Mickiewicz był poetą rewolucyjnym. Zbiór reportaży białoruskich młodego bielszczanina wybrano książką tygodnia w programie telewizyjnym Tadeusza Górnego „Książki z górnej półki". Podczas promocji książki w Galerii Bielskiej BWA wiele ciepłych słów o autorze i publikacji wygłosiła prof. Anna Węgrzyniak z Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej, która postawiła Artura Pałygę w rzędzie najlepszych polskich reportażystów, nie tylko młodego pokolenia.

Owczarz z Londzinem

Przewodnicząca Towarzystwa Miłośników Ziemi Bestwińskiej Waleria Owczarz została laureatką siódmej edycji Nagrody Starosty Bielskiego im. Księdza Józefa Londzina, którą starosta Andrzej Płonka i przewodnicząca kapituły, krewna patrona nagrody Alina Świeży-Sobel wręczyli 18 listopada w bielskim Teatrze Polskim. Owczarz już w roku 2004 była blisko zdobycia nagrody, gdyż tylko jednym głosem przegrała z rudzickim poetą i satyrykiem Juliuszem Wątrobą.

O dokonaniach Walerii Owczarz pisaliśmy już wielokrotnie na tych łamach. Jest inicjatorką powstania Muzeum Regionalnego im. Ks. Zygmunta Bubaka, w którym organizuje przeróżne imprezy i zajęcia edukacyjne. Doprowadziła także do powstania tam wozowni, galerii fotografii „Rolników naszych portret własny" oraz skansenu „Pasieka słowiańska". Napisała i wydała sporo książek o Bestwinie, jej mieszkańcach i obyczajach, m.in. „Bestwińskie wesele, czyli jak drzewiej weselowano", „Partyzancki różaniec", „Droga krzyżowa – śladami wieków", „Obywatele państwa bestwińskiego" czy „Legendy bestwińskie".

Nominowanymi do nagrody były również inne, szczególnie zasłużone dla rozwoju gmin powiatu bielskiego osoby - Florian Grzybek z Czechowic-Dziedzic, Henryk Stroka z Jasienicy, Krystyna Gutan z Jaworza, Antonina Nosek (siostra Tarsylia) z Kóz, Józef Faber z Porąbki, Jerzy Gąsierkiewicz ze Szczyrku, Antoni Kasolik z Wilamowic i Anna Grobelna z Wilkowic.

Jednym zdaniem

■ **W pierwszych dniach grudnia odbyła się II Jazzowa Jesień w Bielsku-Białej, której dyrektorem artystycznym był Tomasz Stańko.**

■ **19 listopada w Domu Muzyki w Bielsku-Białej odbył się jubileuszowy koncert z okazji 50-lecia Zespołu Pieśni i Tańca „Beskid".**

■ **Od 7 grudnia do 13 stycznia w Galerii Sztuki ROK w Bielsku-Białej prezentowana jest wystawa malarstwa nieprofesjonalnego „Boże Narodzenie z kolekcji Stanisława Gerarda Trefonia".**

■ **Do 9 grudnia w DK Włókniarzy w Bielsku-Białej można było oglądać wystawę prac IX Międzynarodowego Konkursu Sztuki Pieknej „Bohuniowa Paleta".**

■ **W grudniu w Galerii Bielskiej BWA prezentowano wystawę fotografii chińskiego poety Zhu Hao „Milczący Szanghaj".**

■ **W Bielsku-Białej odbyły się w grudniu kolejne koncerty VI Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Jana Sebastiana Bacha.**

■ **Wystawę pn. Kalendarz Pirelli oraz szopki bożonorodzeniowe można było oglądać w grudniu w galerii Domu Narodowego w Cieszynie.**

Sto lat i jeszcze dłużej

Muzeum Miejskie w Częstochowie obchodziło 100. rocznicę swojego powstania. Jest jedną z najstarszych instytucji kulturalnych w mieście. Jego początki sięgają roku 1905, kiedy Warszawskie Towarzystwo Higieniczne, zajmujące się przede wszystkim krzewieniem higieny wśród uboższych warstw społeczeństwa, rozpoczęło intensyfikować działania także poza swoją główną siedzibą. Oddział częstochowski z inicjatywy dr. Kazimierza Chełchowskiego już w listopadzie roku 1903 rozpoczął starania zmierzające do utworzenia w Częstochowie Muzeum Higienicznego. Pierwszą siedzibą placówki było trzypokojowe mieszkanie przy ulicy Wieluńskiej 22 (obecnie ulica 3 Maja, mieszkanie 22). Pierwsza wystawa przedstawiała wiele aspektów życia codziennego. Zgromadzone eksponaty m.in. prezentowały rozwój bakterii i grzybów szkodliwych dla człowieka, prawidłowe materiały budowlane (dziś zapewne użylibyśmy sformułowania przyjazne człowiekowi i środowisku), objaśniały działanie łaźni oraz kanalizacji, pokazano również makiety wzorowo urządzonych zagród wiejskich i mieszkań w czynszowych kamienicach. Szansę rozwoju dla Muzeum Higienicznego stworzyła w 1909 roku Krajowa Wystawa Przemysłowa-Rolnicza, która odbyła się w Częstochowie. Na jej otwarcie muzeum otrzymało swoją nową siedzibę na terenie Parku im. S. Staszica. Kolejny etap działalności muzeum otwiera rok 1924, w którym doszło do połączenia dwóch placówek kulturalnych; Muzeum Higienicznego – mającego trudności w samodzielnym finansowym utrzymaniu się – i Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Od roku 1925 pełna nazwa tej instytucji brzmiała: Miejskie Muzeum Krajoznawcze i Higieniczne. Mieszkańcy miasta szybko zaczęli stosować nazwę o wiele krótszą i praktyczniejszą: Muzeum Miejskie – tak zostało do dziś. Instytucja ta, budowana od samego początku z wielkim zaangażowaniem częstochowskiej inteligencji, stała się ośrodkiem jednoczącym środowisko kulturalne i artystyczne miasta. Muzeum dorabiało się swoich cennych eksponatów przez długi czas, warto także pamiętać, że dwie wojny nie oszczędziły jego zbiorów. Obecnie muzeum posiada ciekawą i cenioną w Polsce kolekcję malarstwa XIX i XX wieku. Szczególnie interesująco przedstawiają się zbiory fauny i flory nie tylko Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Siedzibą główną Muzeum Miejskiego jest Ratusz częstochowski, który odzyskuje blask – trwa właśnie remont tego obiektu.

Muzeum Miejskie w Częstochowie prowadziło szeroką działalność kulturalną, było inicjatorem i organizatorem wielu liczących się wydarzeń artystycznych odbywających się w Częstochowie. W tych niełatwych dla kultury czasach potrafiło przyciągnąć i zainteresować odbiorcę tym, co działo się w salach muzealnych. Obecnie, w pawilonie wystawienniczym w Parku im. S. Staszica, trwa wystawa prezentująca najciekawsze eksponaty ze wszystkich jego działów. Przypomniano również spektakularne sukcesy placówki. Muzealnicy częstochowscy opowiadają nie tylko historię tej instytucji, ale przede wszystkim ukazują dzieje samego miasta. Gratulując jubileuszu, życzymy Muzeum następnych stu lat działalności.

ELŻBIETA KOT

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Teatralne spotkanie

Teatr Dramatyczny im. Adama Mickiewicza w Częstochowie po raz pierwszy zorganizował Międzynarodowe Spotkania Teatralne. Intencją dyrekcji sceny częstochowskiej było pokazanie interesujących nurtów we współczesnym teatrze. I zapewne udało się zapoczątkować imprezę, która w przyszłości ma szansę stać się znaczącym wydarzeniem teatralnym w Częstochowie. Tym bardziej, iż częstochowska publiczność bardzo przychylnie zareagowała na tę propozycję.

Największym powodzeniem cieszył się spektakl Teatru Rozrywki z Chorzowa, który w ramach Spotkań zaprezentował „Krzyk" – spektakl oparty na tekstach Jacka Kaczmarskiego. W związku z niedawnymi rocznicami twórczość jednego z najznakomitszych bardów Solidarności z pewnością nie potrzebowała reklamy, aby przyciągnąć widzów. „Morze... Noc... Świece..." z tak zatytułowanym spektaklem przyjechał do Częstochowy Teatr Dramy i Komedii z Kijowa. Goście z bukareszteńskiego Stowarzyszenia Carbunariu w ramach Spotkań wystąpili w klubie Utopia – miejscu zaprzyjaźnionym z teatrem częstochowskim (wiele działań teatralnych odbywa się właśnie w Utopii, m.in. „Czytanie dramatu współczesnego"). Rumuńskie zmagania z rzeczywistością „Stop the Tempo" świetnie zakomponowały się w klimacie klubowego undergroundu. Zaprezentowano częstochowskiej publiczności sztukę Verna Thiessena „Jabłko" wystawianą na scenie Teatru im. Wandy Siemaszkowej z Rzeszowa. Nie zabrakło również Gombrowicza – poznański Teatr Porywacze Ciał, w ramach Spotkań pokazał, doskonale przyjęty przez krytykę, spektakl „Tajemnica" oparty na kilku tekstach polskiego dramaturga. Mimo, iż występ poznaniaków zaplanowany był na późną godzinę wieczorną i zamykał imprezę, widownia sali kameralnej częstochowskiego teatru była szczelnie wypełniona. W ramach Spotkań odbyła się również interesująca dyskusja panelowa – prowadzona przez Katarzynę Deszcz – pod hasłem „Czy Pan Bóg chodziłby do teatru".

Konkurs poetów

Ogólnopolskie Konfrontacje Poetyckie im. Haliny Poświatowskiej, organizowane przez Regionalny Ośrodek Kultury (wspierany przez Stowarzyszenie Przyjaciół „Gaude Mater"), są dobrze znane nie tylko w środowisku poetyckim. Turniej ten należy do najbardziej prestiżowych imprez tego typu w kraju. Na 29. edycję konkursu zgłoszono 506 zestawów wierszy autorów z całego kraju.

W kategorii „po debiucie" jury przyznało dwie równorzędne nagrody Jackowi Dehnelowi z Warszawy (w roku bieżącym Dehnel wyróżniony został również prestiżową Nagrodą im. Kościelskich) oraz Piotra Macierzyńskiego z Łodzi. W kategorii „debiutów" pierwszą nagrodę otrzymała Teresa Radziewicz, nauczycielka religii w Juchnowcu Górnym. W konkursie jednego wiersza aż trzy wyróżnienia zdobyli młodzi częstochowscy poeci: Wioletta Grzegorzewska, Tomasz Jamroziński oraz Beata Brodowicz-Szymanek. W ramach konfrontacji odbyło się seminarium naukowe poświęcone patronce Konfrontacji oraz przeprowadzono dyskusje z udziałem znanych krytyków literackich, dotyczące kondycji poezji współczesnej.

Jazz górą

Miłośnicy jazzu w Częstochowie nie powinni narzekać w listopadzie na brak muzycznych imprez. Tylko w klubie Paradoks odbyło się sporo świetnych koncertów. Rozpoczęła się III Jesień Jazzowa. Gośćmi „częstochowskiej jesieni" był m.in. zespół Eastcom, który tworzą trzej znakomici muzycy: Sebastian Bernatowicz (pianista), Ryszard Krawczuk (saksofon) i Jan Pilch (perkusja). Zaproszenie przyjął świetny gitarzysta basowy pochodzący z Mauritiusa, Clive Goviden oraz znakomity kameruński perkusista Guy Bilong. Muzycy podążyli w kierunku afro jazzu i rytmów karaibskich. Także w Paradoksie odbył się koncert na rzecz ratowania kultury buddyjskiej. Swoje największe jazzowe przeboje zaprezentowali: Włodzimierz Kiniorski, Darek Makaruk oraz Tomasz Lipiński.

Największej jazzowej atrakcji dostarczył Brian Melvin, znany nowojorski bębniarz, który współpracował z najlepszymi muzykami, m.in. Joe Hendersonem, Mikiem Sternem. Amerykaninowi towarzyszyli: saksofonista Wojciech Staroniewicz, kontrabasista Piotr Lemańczyk oraz częstochowianin, pianista Wojciech Puszek. Szkoda, że inne dziedziny sztuki nie otrzymały takiego energicznego wsparcia jak jazz – poprzez działalność coraz silniej rozwijających się w Częstochowie klubów i pubów muzycznych.

Jednym zdaniem

■ **W Regionalnym Ośrodku Kultury prezentowane były zdjęcia Kasjana Borkowskiego, wykonane podczas uroczystości pogrzebowych Jana Pawła II.**

■ **W Filharmonii Częstochowskiej zainaugurowało swoją działalność kino operowe, które prezentować będzie najsłynniejsze realizacje oper w kinowej wersji.**

■ **Malarstwo częstochowskiej artystki Joanny Stępień prezentowano w Piwnicach Margaux.**

■ **W Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater" można było obejrzeć malarstwo Agnieszki Kwapisz oraz rzeźby Marka Szroniaka.**

■ **Na scenie Filharmonii Częstochowskiej swój najnowszy program zaprezentował kabaret Ani Mru – Mru.**

■ **W galerii „Wejściówka" (siedziba redakcji „Gazety Wyborczej") pokazano malarstwo Mariana i Borysa Michalików.**

■ **W Filharmonii Częstochowskiej wystąpił zespół Raz Dwa Trzy.**

Życie przy drodze

Książka nazywa się sucho, jak jakieś naukowe opracowanie: „Autostop polski. PRL i współczesność". Rozmiar też ma taki więcej naukowy, bite 400 stron. Ale nie jest dziełem naukowych dociekań, ale osobistej fascynacji. Napisał ją 25-letni Jakub Czupryński, urodzony autostopowicz i globtroter. Urodził się w Ozimku na Opolszczyźnie, skończył turystyczne studia w Krakowie, tam też pracuje jako przewodnik oprowadzający zagranicznych turystów.

Kuba stopem jeździł od swoich lat szczenięcych, początkowo nad oddalone o parę kilometrów od jego domu Jezioro Turawskie, potem coraz dalej. Dziś może powiedzieć, że zjeździł praktycznie całą Europę. I, jak na nie całkiem typowego turystę wypada, potrafi opowiadać nie tylko o zabytkach, ale i o obyczajach europejskich kierowców. O tym, że Hiszpanie biorą autostopowiczów rzadko, a Turcy zawsze. A jak nie mogą, to stają i się tłumaczą, dlaczego. A uprzejmi, ale sztywni Niemcy, podwożą chętnie, ale gadać im się po drodze nie chce. I tak dalej, i tak dalej.

Kuba opowiada, że w pewnym momencie zdziwiło go, że fenomen autostopu nie został nigdy w naszym kraju porządnie opisany. A przecież powinien, bo byliśmy jedynym krajem na świecie, nie tylko w bloku realnego socjalizmu, gdzie autostop stał się ruchem odgórnie popieranym przez państwo. W czasach pamiętnych książeczek autostopowych przy szosach koczowały miliony Polaków. Kuba nie miał ambicji napisania socjologicznej cegły, wolał sięgnąć do źródeł i zgromadzić wszelkie dostępne świadectwa: wspomnienia, zdjęcia, teksty literackie, wiersze, fragmenty pamiętników. Sam mówi, że jest to mozaika historii o życiu w drodze i przy drodze.

I tu ciekawostka: tę wyjątkową antologię otwierają wspomnienia Bogusława Laitla, pioniera autostopu w Polsce. Laitl osiadł na Opolszczyźnie, gdzie jest postacią bardzo znaną nie tylko w kręgach krajoznawców. W drogę wyruszył jednak już w 1957 roku jako student z Krakowa. Towarzyszył mu kolega z uczelni Tadeusz Sowa. Nie ma tu miejsca na relacjonowanie tych wspomnień z czasów Polski otrząsającej się z kultu jednostki, ale proszę mi wierzyć: warto po nie sięgnąć.

Dodajmy, że Kuba zaraził się bakcylem pisania. Planuje napisanie turystycznego przewodnika opisującego atrakcje położone wzdłuż sławnej „gierkówki". Jak na autostopowicza przystało.

MAREK ŚWIERCZ

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Dinogadanina

Naukowcy z całej Europy zjechali do Opola, by rozmawiać o korzyściach, jakie dają przyrodnicze muzea. Konferencja była, jak łatwo się domyślić, obliczona na nagłośnienie prehistorycznych wykopalisk z Krasiejowa.

Przy okazji swoją premierę miał film promocyjny o krasiejowskich znaleziskach przygotowany przez Teresę Kudybę i Mariusza Przygodę. Film, który ma trafić jako pomoc naukowa do szkół i do biur turystycznych jako zachęta do odwiedzenia Krasiejowa, został zrobiony bardzo solidnie. Omija drażliwe tematy (takie jak kiepsko umotywowane i wycofane w końcu zarzuty prokuratury pod adresem odkrywcy dinozaurów Krzysztofa Spalka czy poślizgi w zagospodarowaniu wykopalisk), ale uczciwie oddaje wszystkim ich zasługi, nie zapominając i o Spalku, i o Stowarzyszeniu Miłośników Krasiejowa, które ogromnym nakładem sił uruchomiło prowizoryczne muzeum dinozaurów.

A sama konferencja pokazała to, o czym wszyscy od dawna wiedzą. Goście z Europy przekonywali gospodarzy, że mają prawdziwy skarb: naukowy i turystyczny. I wszyscy robili dobrą minę do złej gry, choć w sześć lat po ujawnieniu istnienia pokładów kości sprzed 230 milionów lat plan ich zagospodarowania jest w powijakach. Mamy kupę błota naokoło, a w środku przeszklony pawilon za ciężkie miliony, do którego nie można nawet dojechać porządną drogą.



Naukowcy z Holandii w muzeum założonym przez Stowarzyszenie Miłośników Krasiejowa

Piękne zło

Już po raz piąty w Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu zagościła wystawa World Press Photo. Możliwość obejrzenia najlepszych zdjęć prasowych minionego roku to wielka gratka i nic dziwnego, że opolanie walą do galerii tłumami. Takie odwiedziny są podwójnie pouczające. Refleksje budzą nie tylko same fotografie, ale też żywe dyskusje zwiedzających. Wnioski od lat są podobne: mamy do czynienia z mimowolną estetyzacją zła i okrucieństwa.

Najważniejsze jest dobrze skomponowane ujęcie, nawet gdy chodzi o kobietę opłakującą ofiary tsunami (zdjęcie roku zrobione przez Arko Dattę z Reutersa). Ale pojawiają się komentarze na temat kryteriów przyjmowanych przez jury, które wyraźnie preferuje tematykę politycznie poprawną, pasującą do gustów liberalnie zorientowanych Europejczyków. Tak, jakby media miały świat naprawiać i kształtować, a nie przede wszystkim pokazywać i objaśniać.

Karolinki od marszałka

Jak co roku Marszałek Województwa Opolskiego wręczył swoje nagrody dziesiątce twórców i animatorów kultury. Tym razem statuetki otrzymali: animatorka działań teatralnych i plastycznych z Rozmierzy Teresa Chudala, organizatorka „Śląskiej biesiady" Jolanta Lamm z Otmic, konserwator zabytków z Muzeum Śląska Opolskiego Beata Wewiórka, gwardian klasztoru franciszkanów na Górze św. Anny ojciec Jozafat Gohly, twórca głubczyckiej Akademii Myśli i Słowa Wiesław Janicki, rzeźbiarz z Jarnołtówka Andrzej Kleszcz, prezes Opolskiego Bractwa Rycerskiego Andrzej Kościuk, kapelan orkiestry OSP z Łowkowic Wiktor Poloczek, zaolziański poeta Jan Pyszko oraz kroszonkarz i gawędziarz z Gogolina Jerzy Lipka.

Jednym zdaniem

■ W opolskiej Galerii Pierwsze Piętro swoje prace pokazała rzeźbiarka Irena Grabowska.

■ Grand prix tegorocznego Salonu Jesiennego otrzymał Bartosz Posacki, inne nagrody otrzymali: Bolesław Polnar, Edward Syty, Zbigniew Natkaniec, Anna Zych, Edward Szczepow, Jan Maciej Maciuch, Piotr Grabowski, Marian Szczerba i Joanna Lewandowska.

■ Festiwal Folkloru Muzycznego odbył się w Gminnym Ośrodku Kultury w Dobrzeniu Wielkim.

■ Pod Łambinowicami odnaleziono szczątki mamuta, lokalne władze myślą o utworzeniu muzeum przyrodniczego.

■ Prof. Stanisław Gajda, dyrektor Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Opolskiego, otrzymał tytuł doktora honoris causa uniwersytetu w Skopje.

■ Mniejszość niemiecka po raz kolejny wystąpiła z projektem utworzenia w Opolu elitarnej szkoły polsko-niemieckiej.

■ Anna Strzeszkowska wygrała zorganizowany przez Brzeskie Centrum Kultury festiwal piosenki z czasów PRL.

■ „Ifigenia w Aulidzie" w reżyserii Pawła Passiniego to najnowsza propozycja Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu.

■ Galeria „9" w Opolu pokazała prace czterech niedowidzących malarek: Joanny Winkler, Jolanty Biedy, Teresy Straszak oraz Iwony Wyleżały.

Koncert niczym audycja

Przedstawiciele czterech Kościołów zapalili w niedzielę 27 listopada w czeskocieszyńskim kościele ewangelickim pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła „Na Niwach" świece na wieńcu adwentowym symbolizujące pokój, wiarę, nadzieję i miłość. Na 16. Koncercie Adwentowym Muzyki i Słowa, organizowanym przez Towarzystwo Ewangelickie w RC, prezes tej organizacji i pastor miejscowej parafii, ks. senior Bogusław Kokotek zaprosił przed ołtarz biskupa Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A.W. ks. Vladislava Volnego, biskupa seniora Luterańskiego Ewangelickiego Kościoła A.W. ks. Wilhelma Stonawskiego, pastora zboru ewangelickiego „Na Rozwoju" Stanisława Kaczmarczyka oraz duszpasterza z katolickiego kościoła pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa ks. Piotra Jerzego Badurę SJ.

Koncert Adwentowy był połączony z obchodami 15-lecia nadawania co miesiąc przez polską redakcję Radia Ostrawskiego audycji religijnej „Głos Chrześcijan". Nic więc dziwnego, że autor scenariusza i reżyser koncertu ks. Kokotek zaprosił do współpracy „radiowców", koncert zaś poprowadził wspólnie z redaktor Wierą Judaszewicz. A i sam program koncertu był nietypowy, przypominał on bowiem audycję radiową.

W adwentową atmosferę wprowadzili publiczność aktor i reżyser Sceny Polskiej Rudolf Moliński (wierszem Romana Brandstaettera „A stało się to w noc") oraz znany twórca ludowy Józef Broda z córką Katarzyną (grą na trombicie, okarynie i fujarce). O 15-leciu „Głosu Chrześcijan" zaś mówili nie tylko konferansjerzy, ale także krótki film oraz również wyświetlane na telebimie filmowe życzenia. Złożyli je audycji m.in. konsul generalny RP w Ostrawie Antoni Sadowski czy dyrektor Radia Ostrawskiego Igor Horváth.

Jako pierwszy zaśpiewał chór mieszany parafii wyższobramskiej przy Kościele Jezusowym w Cieszynie. Po nim zaś zaprezentował się chór męski parafii ŚKEAW w Trzanowicach. Goście z miejscowości związanej z ks. Jerzym Trzanowskim wykonali nie tylko jedną z „Pieśni Biblijnych" A. Dvořáka, ale zaskoczyli słuchaczy także jednym murzyńskim spiritualem, a zwłaszcza pieśnią afrykańską zaśpiewaną w oryginale i z towarzyszeniem bębnów i grzechotek...

Ze Słowacji przyjechał kwartet smyczkowy Filharmonii Bratysławskiej, którego występ nie był jednak pozbawiony zaolziańskich akcentów. Kwartet prowadzi bowiem górnosuszanin z pochodzenia Ewald Danel, a obok utworu A. Dvořáka zabrzmiał utwór kolejnego Zaolziaka, Romana Bergera, nb. syna pierwszego pastora parafii „Na Niwach", ks. Józefa Bergera. W trudnym utworze pn. „Piosenki z Zaolzia" doskonale dało się rozpoznać pieśni „Już sie mi ławeczka" czy „Płyniesz Olzo".

Koncert zakończył utwór „Szeherezada" M. Rimskiego-Korsakowa w wykonaniu harfistki Ewy Jaślar-Walickiej oraz organowe improwizacje Michała Śupáka nt. kolędy „Wśród nocnej ciszy". Potem już zapłonęły świece na wieńcu adwentowym, zabrzmiała kolęda, którą śpiewał cały kościół...

Dodajmy, że tegorocznemu koncertowi towarzyszyła wystawa fotografii ks. seniora Kazimierza Suchanka pn. „Bliscy memu sercu" połączona z prezentacją niedawno wydanego albumu zdjęć pod tym samym tytułem.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Obradował XX Zjazd PZKO

Pod hasłem „Kultura fundamentem naszej tożsamości" odbył się w sobotę 3 grudnia w Kocobędzu XX Zjazd Delegatów Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Zjazd, w którym wzięło udział 179 delegatów wybranych przez zebrania członkowskie miejscowych Kół PZKO, zatwierdził nowy statut Związku, wybrał nowy Zarząd Główny, jego prezydium oraz określił kierunki działań PZKO w następnej kadencji.

Delegaci zdecydowali, że przewodniczącym ZG PZKO będzie ponownie Zygmunt Stopa. Pięcioosobowe prezydium ZG pracować będzie w składzie: Rudolf Moliński, Józef Szymeczek, Andrzej Suchanek, Danuta Chwajol i Andrzej Wygrys.

Z Litwy na Śląsk Cieszyński

Z krótką wizytą zawitali 14 grudnia na Zaolzie goście z Litwy – dyrektorzy polskich szkół i przedszkoli, przedstawiciele resortów edukacji i kultury oraz Uniwersytetu Wileńskiego – goszczący od poniedziałku w Bielsku-Białej. Tamtejszy Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" zorganizował dla nich pięciodniowe seminarium metodyczne.

– Podczas tego 5-dniowego pobytu chcemy naszym gościom przedstawić główne zagadnienia oświatowe i metody nauczania w Polsce, omówić najnowsze trendy oświatowe w krajach Unii Europejskiej, a także pokazać im wysoki poziom naszych szkół. Mamy ponadto nadzieję, że ta wizyta zaowocuje też nawiązaniem kontaktów między szkołami w kraju i na Litwie. No i zaolziańskimi. Bo przecież kiedy już są oni w Bielsku-Białej, to grzechem byłoby nie zawieźć ich na drugą stronę Beskidów, gdzie też żyją Polacy – mówi prezes bielskiego oddziału „Wspólnoty Polskiej", Wojciech Dębowski.

Goście z Litwy zwiedzili nowoczesny polsko-czeski kompleks szkolny w Bystrzycy, którego budowa zakończyła się w 1999 r. Stamtąd litewski autobus wyjechał do Trzyńca, gdzie goście – wspólnie z uczniami trzynieckiej 2. PSP – mogli obejrzeć krótki program w wykonaniu młodych zaolziańskich gwiazd, m.in. finalistów Festiwalu Piosenki Dziecięcej. Wizytę na Zaolziu zakończyło spotkanie z zarządem TNP, na którym podzielono się doświadczeniami m.in. na temat sytuacji w polskim szkolnictwie, finansowania szkół, problemów z podręcznikami czy współpracy szkół z władzami gminnymi.

TNP o wycieczkach edukacyjnych

Zarząd Towarzystwa Nauczycieli Polskich podsumował na swoim grudniowym posiedzeniu tegoroczną edycję wyjazdów edukacyjnych młodzieży i nauczycieli do Polski. Chodzi o trzy projekty, które TNP organizuje przy wsparciu finansowym Stowarzyszenia „Wspólnota Polska". Pierwszy projekt to wycieczki młodzieży do Oświęcimia i Pszczyny, Bielska-Białej i Chorzowa oraz do Krakowa. W tym roku chodziło już o ósmą edycję tego projektu. Na 14 wycieczek wyjechało w sumie 439 uczniów z 39 nauczycielami.

Tradycją stały się już też jesienne wycieczki do Warszawy, organizowane dla najlepszych absolwentów polskich podstawówek. W tym roku wyjechało do stolicy RP 37 absolwentów. Zakwaterowani zostali w Domu Polonii w Pułtusku i mieli okazję nie tylko zwiedzić najciekawsze miejsca Warszawy, ale także obejrzeli dwa filmy oraz przedstawienie w Teatrze Komedii i spotkali się z członkami władz „Wspólnoty Polskiej".

Trzeci wreszcie projekt to wakacyjne wyjazdy edukacyjne dla nauczycieli. W tym roku 38 pedagogów wyruszyło w ostatnim tygodniu sierpnia na wyprawę pn. „Śladami Piastów Śląskich i najstarszych zabytków piśmiennictwa polskiego".

Obradowała Rada Chórów ZŚM

W sali posiedzeń Kongresu Polaków odbyło się 24 listopada pierwsze spotkanie Rady Chórów, którą postanowił powołać zarząd samodzielnego od kilku miesięcy Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego (w czeskim MSW organizacja została zarejestrowana w lipcu ubr.). Jak poinformowała sekretarz zarządu, Ewa Sikora, głównym zadaniem Rady będzie występowanie w roli łącznika między władzami ZŚM a poszczególnymi chórami i informowanie o aktualnej działalności organizacji.

Na pierwszym spotkaniu Rady prezes ZŚM, Leszek Kalina, i członkowie zarządu poinformowali przedstawicieli chórów o zjazdach Polskiego Związku Chórów i Orkiestr oraz Czeskiej Unii Chórów, w których wzięły udział delegacje ZŚM. Organizacja jest członkiem obu związków, jej przedstawiciele są też członkami zarządów – w PZChiO reprezentuje Zaolzie Barbara Karolczyk, w CUCh natomiast Alojzy Suchanek.

Zarządowi udało się już też zagospodarować lokal ZŚM w siedzibie Kongresu przy ul. Komenskiego a także stworzyć strony internetowe (na stronach PTA „Ars Musica" – *www.arsmusica.cz*). Zarząd ZŚM poinformował ponadto członków Rady o planach utworzenia miniośrodka dokumentacyjnego dotyczącego pracy chórów. Jego zadaniem będzie gromadzenie publikacji, folderów, płyt CD czy kaset wydanych przez chóry w ostatnich latach.

Jednym zdaniem

■ **Jubileusze 15- i 10-lecia obchodziły 26 listopada zespoły „Skotniczka" i „Skotnica" z Orłowej Lutyni. Z kolei mosteccy „Górole" zaprosili do Trzyńca na koncert z okazji 25-lecia 18 grudnia.**

■ **40 recytatorów ze wszystkich zaolziańskich polskich szkół wzięło w minionym roku udział w konkursie recytatorskim. Jego finał odbył się 25 listopada w Gutach.**

■ **Wierzniowicki zespół rockowy „Glayzy" (w połowie dziewczęcy) zagrał w listopadzie na koncercie z dwoma angielskimi kapelami – „No Connection" i „We Kindred".**

■ **Chór „Gorol" wystawił 27 listopada w Domu PZKO w Jabłonkowie sztukę „Zabijaczka" Władysława Niedoby.**

■ **Na Uniwersytecie Ostrawskim odbyła się w dniach 29-30 listopada konferencja naukowa pn. „Mickiewicz a Słowianie", w której wzięli udział literaturoznawcy z RC, Polski i Litwy.**

■ **Czeskocieszyński Klub Propozycji – wspólnie z dyrekcją Gimnazjum Polskiego i Ośrodkiem Dokumentacyjnym Kongresu Polaków – urządził w gimnazjum wystawę z okazji 150. rocznicy śmierci Adama Mickiewicza. Jej wernisaż odbył się 22 listopada.**

■ **Z wykładami nt. mniejszości polskiej w RC gościli na początku grudnia na Uniwersytecie Wrocławskim prezes Kongresu Polaków Józef Szymeczek i szef Kancelarii Kongresu Roman Kaszper.**

■ **Scena Polska zaprosiła w grudniu na dwie premiery: 10. 12. na angielską komedię „Kiedy kota nie ma..." (reż. Rudolf Moliński), 17. 12. zaś na „Apetyt na czereśnie" Agnieszki Osieckiej (reż. Bogdan Kokotek).**

■ **Przed świętami pojawiła się na półkach księgarskich publikacja pn. „Sport polski na Zaolziu". Wydała ją Sekcja Historii Regionu przy ZG PZKO, przy współpracy m.in. Kongresu Polaków i PTTS „Beskid Śląski".**

■ **Nieborowski teatrzyk dziecięcy „Gapa 2" wystawił 10 grudnia swoją najnowszą sztukę – baśń „Malutka Czarownica" na motywach utworu O. Preusslera.**



Foto: Zbigniew Sawicz

Dziesiąta rocznica miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk" stała się okazją dla zorganizowania wielu spotkań i dyskusji. Już w programie VII Katowickich Spotkań Literackich, w dniach 17-28 października 2005 roku – a „Śląsk" jest od początku ich współorganizatorem – odbyły się ważne spotkania dyskusyjne. Szczególnie to pt. „Od „Odry" po „Śląsk" – prasa kulturalna i czasopisma na Śląsku po 1945 roku", nawiązywało do 10. rocznicy naszego pisma. Natomiast 21 listopada w lokalu redakcji (Sala Portretowa GTL) została zorganizowana dyskusja poświęcona ocenie „Śląska". Chodziło w niej nie tyle o wyeksponowanie zasług, co krytyczną ocenę pisma, bo nieuniknionych potknięć i braków redakcja może sobie należycie nie uświadamiać. W dyskusji, nie licząc wypowiedzi członków redakcji, głos zabrali: Krystyna Szaraniec, Jerzy Lucjan Woźniak, Michał Lubina, Alojzy Lysko, Włodzimierz Wójcik i Jerzy Kuczera. Oczywiście najważniejszą imprezą było uroczyste spotkanie z okazji 10. rocznicy „Śląska" w salach Muzeum Śląskiego w Katowicach (relacja na stronach 102-103) a następnie zorganizowana w sali „PARNASSOS" Biblioteki Śląskiej konferencja zatytułowana „Stan – wyzwania – perspektywy kultury w województwie śląskim", którą relacjonujemy na sześciu kolejnych stronach (na zdjęciu powyżej: spotkanie w „Śląsku" poświęcone ocenie pisma; wśród gości widoczni poseł Alojzy Lysko i wicemarszałek województwa Sergiusz Karpiński).

GTL

GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE W KATOWICACH
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA SPOŁECZNO-KULTURALNEGO

ŚLĄSK

przy współpracy

BIBLIOTEKI ŚLĄSKIEJ

organizują **12 grudnia 2005 roku** (poniedziałek)
W SALI „PARNASSOS" BIBLIOTEKI ŚLĄSKIEJ

KONFERENCJĘ

STAN – WYZWANIA – PERSPEKTYWY KULTURY W WOJEWÓDZTWIE ŚLĄSKIM

FORUM DYSKUSYJNE

z udziałem przedstawicieli środowisk twórczych, artystycznych i naukowych
oraz animatorów życia kulturalnego
w nawiązaniu do
KONGRESU KULTURY NA GÓRNYM ŚLĄSKU w roku 1998

PROGRAM KONFERENCJI

Część I: godz. 13.00-15.00

- Wprowadzenie - ***Tadeusz Kijonka:** 7 lat po Kongresie Kultury na Górnym Śląsku.*
- Przy stole „Śląska" - dyskusja panelowa.
  Udział zapowiedzieli: ***Krystyna Bochenek, Katarzyna Deszcz, Łucja Ginko, Eugeniusz Knapik, Kazimierz Kutz, Jerzy Kuczera, Jan Malicki, Leszek Miłoszewski, Alojzy Lysko, Wojciech Świątkiewicz, Jarosław Świerszcz.***

Moderator: ***Krzysztof Karwat***

Część II: godz. 15.30-18.00

- Dyskusja otwarta (według kolejności zgłoszeń)
  Prowadzenie: ***Tadeusz Kijonka***
- Wnioski i postanowienia uczestników.

Sekretarz Konferencji: ***Wiesława Konopelska***

Konferencję dofinansowano z budżetu Województwa Śląskiego

Temat konferencji ma skoncentrować naszą uwagę na aktualnej sytuacji szeroko pojętej kultury w województwie śląskim – na związanych z tym stanem wyzwaniach a także na wynikających z tych uwarunkowań, perspektywach rozwoju tej zawsze złożonej, trudnej do ogarnięcia i zdiagnozowania sfery twórczości i życia społecznego. A przecież – co także wymaga zaznaczenia – w tak szerokim, reprezentatywnym gronie, spotykamy się po raz pierwszy od wielu lat, skoro publiczna dyskusja na temat stanu życia kulturalnego w województwie śląskim nie została w jego nowych granicach dotąd zorganizowana – a więc od czasu pamiętnego Kongresu Kultury na Górnym Śląsku, który odbył się w Katowicach w dniach 26-27 września 1998 roku, przygotowany ogromnym nakładem sił i w atmosferze wyjątkowej mobilizacji.

Było to wówczas wielkie wydarzenie, bo przecież nikt wcześniej nie porwał się w kraju na takie przedsięwzięcie. Tym bardziej jednak ubolewać trzeba, że Kongres ten pozostał jedynie aktem o historycznym znaczeniu, skoro jego ogromny zbiorowy dorobek i podjęte wówczas postanowienia przypominają zamrożony cenny kapitał. Niestety, wbrew optymistycznym przesłankom nie został on potem odpowiednio spożytkowany, chociaż miał posiadać moc wiążącą, do czego zobowiązywała Uchwała Kongresu. Ostatnie jej zdanie zamykał zresztą ważny wniosek „... o przygotowanie następnego spotkania o tym charakterze – II Kongresu Kultury na Górnym Śląsku, który powinien stać się instytucją stałą"

Dlaczego potem do tego nie doszło i co spowodowało, że dorobek Kongresu można uznać w znacznym stopniu za zmarnowany, nie czas i miejsce teraz dochodzić. A z jak rozległym spotkał się zainteresowaniem mediów, jak ważny był też jego poznawczy i programowy dorobek dowodzi wydana wkrótce, zaledwie w ciągu kilku miesięcy licząca ponad 300 stron Księga Kongresu: dokument niewątpliwie historyczny, godny uwzględnienia w swoich węzłowych wnioskach i postulatach w przyszłych pracach nad stanem i strategią rozwoju kultury w województwie śląskim. Takiej księgi kultura na Śląsku nie doczekała się nigdy wcześniej ani potem!

„Historyczna refleksja, ujawniony stan zapóźnień i skala nieodzownych potrzeb w przedstawionym materiale powinien dotrzeć do wszystkich, którzy mogą mieć wpływ na kształtowanie się współczesnego Śląska" – napisał we wstępie przewodniczący Rady Programowej Kongresu, Kazimierz Kutz, uznając że są te materiały „bezinteresownym dziełem śląskich twórców, działaczy i animatorów życia kulturalnego w naszym regionie. A nade wszystko wyrazem troski o przyszłość Górnego Śląska".

Niewielu zapewne wie i pamięta – jak i z czyjej inicjatywy do organizacji tamtego Kongresu doszło. Był on wynikiem starań stanowiących następstwo wciąż żywej idei, towarzyszącej powstaniu i nader aktywnej działalności

7 lat po Kongresie Kultury na Górnym Śląsku

TADEUSZ KIJONKA

Wprowadzenie do dyskusji

Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych w Katowicach, który uformował się, jak w wielu ośrodkach w Polsce, jesienią pamiętnego 1980 roku. Do najważniejszych postanowień Komitetu należała organizacja Sejmiku Kultury Śląskiej, na którym miał zostać przedstawiony krytyczny „Raport o stanie kultury i sztuki w województwie śląskim". Lecz do wyznaczonego na dzień 19 grudnia 1981 roku Sejmiku nie doszło, bo wcześniej 13 grudnia został wprowadzony stan wojenny. Tak się wówczas złożyło, że to mnie powierzono wtedy opracowanie tego Raportu, który stanowił po latach podstawę i punkt odniesienia do podjęcia środowiskowych zabiegów w gronie twórców śląskiej kultury o doprowadzenie do skutku tamtej inicjatywy. Zainteresowanie przygotowaniem takiej debaty okazało się z czasem na tyle mocne, że zaangażował się w jej organizację Sejmik Samorządowy Województwa Katowickiego. Doszło wówczas do powołania Rady Programowej Kongresu złożonej z przedstawicieli stowarzyszeń twórczych, instytucji artystycznych i kulturalnych regionu, która rozpoczęła systematyczne prace wiosną 1998 roku, by doprowadzić do organizacji Kongresu już we wrześniu.

Księga kongresowa stanowi wymowny dowód jak precyzyjnie i rzetelnie zorganizowano tamten Kongres, który poza Salą Sejmu Śląskiego, gdzie toczyła się debata plenarna, obradował w szerokich reprezentatywnych składach w 8 zespołach problemowych obejmujących: środowiska twórcze, instytucje artystyczne, towarzystwa społeczno-kulturalne, ośrodki upowszechniania kultury, biblioteki i czytelnictwo, muzealnictwo i ochronę zabytków, kształtowanie przestrzeni oraz zespół edukacji kulturowej. Dorobek tych zespołów przedstawiony następnie przez ich przewodniczących na sali plenarnej stał się podstawą do przygotowania gruntownych diagnoz i wniosków, z których większość godna jest nadal uwagi.

Podstawę dyskusji w pierwszym dniu obrad stanowiły 4 referaty plenarne przedstawione przez: prof. Wiesławę Korzeniowską – omówiła „Żywe wątki dziedzictwa kulturalnego na Górnym Śląsku"; dyrektora Łucję Ginko – opracowała „Raport wojewody katowickiego o kulturze"; prof. Wojciecha Świątkiewicza – zanalizował „Przemiany wzorów uczestnictwa w kulturze" oraz Tadeusza Kijonkę, który jako wiceprzewodniczący Rady Programowej Kongresu w imieniu środowisk twórczych przygotował referat zatytułowany: „Kultura na Górnym Śląsku – sytuacje i dylematy".

W tym dwudniowym, przygotowanym z rozmachem i w uroczystej oprawie Kongresie, uczestniczyło blisko 400 osób, co też ukazuje skalę tego przedsięwzięcia. Lecz o jego znaczeniu i społecznej randze decydował przede wszystkim jego merytoryczny dorobek, wyrażony w zbiorowych diagnozach i krytycznych ocenach stanu kultury na Górnym Śląsku. A był to wówczas czas zbiorowego szoku po gwałtownych, często dramatycznych zmianach, które nastąpiły w sytuacji kultury i związanych z nią środowisk, po likwidacji stabilizującego ich byt Funduszu Rozwoju Kultury oraz wprowadzonego na warunkach liberalizmu gospodarczego, bez niezbędnej ochrony ekonomicznej i prawnej – wolnego rynku kultury. Tamten okres, który następował po granicznym roku 1989, wniósł także – obok głębokiego zagrożenia kondycji kultury narodowej – wiele cennych szans i rozwiązań, gdy utrwalał się nowy ustrój kultury oparty na decentralizacji i zmianach struktur władzy z coraz większym udziałem samorządów, które stanęły wówczas przed nowymi zadaniami często nie przygotowane do tej roli, nie mówiąc o skali finansowych potrzeb.

A właśnie poziom niedofinansowania całej sfery kultury dramatycznie się pogłębił, co szczególnie mocno zaważyło na sytuacji województwa katowickiego, usytuowanego przez wiele lat w ostatniej dziesiątce województw w przeliczeniu przyznanych środków na 1 mieszkańca. Tu jeszcze doszła trudna sytuacja kluczowych dziedzin gospodarki, które znalazły się często w sytuacji krytycznej. Doprowadziło to do masowej likwidacji wielu placówek kultury, ponieważ nie tylko kluczowe zakłady pracy były zmuszone zrezygnować z tych świadczeń, by utrzymać swój byt. Przypomnę, że samo górnictwo utrzymywało 75 dużych placówek kultury, które pełniły często funkcje środowiskowych domów kultury, łożąc na utrzymanie ponad 440 amatorskich zespołów artystycznych, 48 bibliotek, 27 kin, 50 sal widowiskowych. Już na przełomie lat 1989/90 zniknęło ponad 240 placówek kultury i ten proces likwidacyjny trwał jeszcze przez szereg lat.

Właśnie samorządy przejęły znaczną część dużych zakładowych domów kultury, tworząc w nich podległe sobie centra bądź ośrodki kultury. Lecz liczne straty na mapie kultury województwa z tego okresu okazały się trwałe i nowe łańcuchy białych plam rzutują na dostęp do uczestnictwa w kulturze – szczególnie w ośrodkach peryferyjnych oraz środowiskach społecznie najbardziej zdewastowanych, o zaniżonych, bądź wręcz żadnych potrzebach w tym zakresie. Teraz doszło jeszcze do tego wysokie, trwale bezrobocie – określone jako strukturalne, które stworzyło stan nieuchronnego wykluczenia całych grup zawodowych i środowisk ludzi skazanych na biedę dziedziczną. I jak do tego odnieść kwestię aktywnego uczestnictwa w kulturze i kształtowanie takich potrzeb, skoro nie można tym ludziom zapewnić źródeł utrzymania z własnej pracy. Ten problem mocno zaznaczył się także na społecznym nurcie obrad Kongresu Kultury na Górnym Śląsku, jego wnioskach i w przyjętej uchwale.

Co stało się jednak z bogatym dorobkiem tego Kongresu, jego jakże cennym kapitałem. Zgodnie z założonym programem, już po reformie administracyjnej, w nowych granicach województwa śląskiego, 29 marca 1999 roku doszło do nader ważnego spotkania przedstawicieli instytucji artystycznych, środowisk twórczych i ośrodków kultury z obszaru całego województwa w nowych granicach. Członkowie działającej już od ponad roku Społecznej Rady Kultury i Rady Programowej Kongresu Kultury na Górnym Śląsku uchwalili na swoim pierwszym inauguracyjnym posiedzeniu „Przesłanie do władz samorządowych, administracyjnych i mieszkańców województwa", stanowiące wyraz obywatelskiej troski o byt zagrożonej

kultury narodowej i warunki uprawiania sztuki, skoro w latach tych zniknęło z mapy kraju ponad 30 tysięcy placówek kultury, w tym kilkaset w województwie katowickim. Na tym posiedzeniu, które okazało się niestety ostatnim, doszło do powołania Rady Kultury Województwa Śląskiego, na czele z 12-osobowym kolegium. Rada ta i jej kolegium z tytułu uprawnień wynikających z wiążącej uchwały Kongresu, miały stanowić reprezentację środowisk kultury i sztuki całego regionu wobec władz państwowych i samorządowych, jako prawomocny partner w formowaniu prognoz i decyzji o podstawowym znaczeniu dla bytu i rozwoju kultury.

Lecz jeszcze tego samego dnia doszło do przykrego incydentu, który okazał się doświadczeniem trwałym. W założeniu organizatorów druga część tego posiedzenia w Sali Sejmu Śląskiego miała być przeznaczona na przedstawienie kluczowych problemów kultury regionu władzom lokalnym różnych szczebli. Mieli oni także otrzymać jako wiążący dokument Księgę Kongresową. Pomimo skierowania zaproszeń reprezentacje samorządów z obszaru województwa w jego nowych granicach pojawiły się w składzie szczątkowym. I była to zła wróżba, choć jeszcze nie przesądzająca o dalszych następstwach. Przewodniczący Rady, senator Kazimierz Kutz, przekazał uroczyście Księgę Kongresową nowemu marszałkowi Sejmiku Województwa Śląskiego, Janowi Olbrychtowi – i ten symboliczny akt miał stanowić początek wytrwałej współpracy. Z różnych względów nie zazębiała się zgodnie z oczekiwaniami. Nie doszło przede wszystkim do powołania i uruchomienia Funduszu Rozwoju Kultury Śląskiej, który miał korzystać ze stałego wsparcia samorządów, co gwarantowałoby stabilność jego funkcjonowania – a wynikało z uchwały Kongresu. I tak z upływem czasu kapitał i dorobek społeczny Kongresu Kultury na Górnym Śląsku tracił na znaczeniu, aż stał się jedynie świadectwem zbiorowego porywu i dokumentem zmarnowanych szans. Nawet do zapowiadanego w pilnym terminie posiedzenia sejmiku poświęconego kulturze też nie doszło. Coraz bardziej zbędna Rada Kultury Województwa Śląskiego w końcu przestała działać a o jej istnieniu mało kto pamięta.

Jak do tego doszło i co spowodowało, że dorobek Kongresu tracił na znaczeniu, aż stał się jedynie historycznym dokumentem, nie czas i miejsce teraz dochodzić, choć nie można o tym zapominać. Podczas tej konferencji naszą zbiorową uwagę w atmosferze dyskusyjnego forum ma skupić ocena aktualnego stanu kultury w województwie śląskim, oraz to jakże z tej sytuacji wynikającą perspektywę jej rozwoju. Po 7 latach, które upłynęły pomiędzy rzeczywistością roku 1998 w tej sferze – a rokiem 2005, zaszły już istotne różnice, choć większość ocen i wniosków, szczególnie dotyczących materialnej sfery kultury i poziomu niedofinansowania, nie utraciło swojej surowej wymowy. Mogę też powtórzyć nadal godne uwagi pierwsze zdanie z mojego kongresowego raportu, iż „Piętnem genetycznym kultury na Górnym Śląsku – jest dramat jej niespełnienia: na miarę potrzeb, społecznych oczekiwań i potencjalnego miejsca na mapie kultury polskiej, odpowiadającego wyjątkowej pozycji tego regionu w życiu kraju..." skoro „Pomimo wielu wybitnych dokonań twórczych i fascynującej odrębności zasobów regionalnej kultury, stan rozwoju sztuki i kultury był tu zawsze szczególnie odległy od aspiracji społeczeństwa oraz cywilizacyjnego poziomu życia", jako iż żaden program rozwoju kultury nie został zrealizowany.



Foto: Zbigniew Sawicz

Nasze spotkanie, które odbywa się 7 lat po tamtym Kongresie – ma w wielu płaszczyznach inne punkty odniesienia, wynikające ze zmiany sytuacji. To już czas nowego XXI wieku i okres początków obecności Polski w UE, z czego wynikają nowe szanse, choć dopiero w części wykorzystane. To także czas wielkiego przełomu w edukacji. Nigdy jeszcze dotąd na tak masową skalę młodzież nie garnęła się na studia, uznając wyższe wykształcenie za najważniejszy kapitał. Przez te lata właśnie województwo śląskie stało się obszarem wyjątkowej ekspansji pod tym względem i co większe miasto – to dziś ośrodek akademicki, co musi rzutować także na przemianach w sferze kultury, skoro zmienia się struktura społeczeństwa i cele jego cywilizacyjnego prestiżu. Lecz jak w związku z tym formują się nowe wzorce aktywnego uczestnictwa w kulturze? Jak przedstawiają się relacje między kulturą masową – a wysoką? Co mówią na ten temat prognozy, bo przecież dochodzą do tego kwestie związane ze zmianami demograficznymi?

Jest także godny rozważenia problem jak przedstawiają się teraz relacje pomiędzy preferowanymi modelami kultury. Należy również rozważyć jak powinna przedstawiać się mapa kultury województwa, przy uznaniu pozycji Katowic jako naturalnego centrum województwa. Trzeba na pewno pozytywnie ocenić aspiracje wielu ośrodków, które w oparciu o samorządowe instytucje i środki finansowe dążą do rozwoju własnych placówek i środowisk. Dochodzą do tego rozbudzone, coraz żywsze regionalne tradycje, decydujące o kulturowej tożsamości – zjawisko nader pozytywne. To także powoduje, że dawne centra samodzielnych województw powstałych w 1974 roku – Bielsko i Częstochowa, właśnie poprzez kulturę wyrażają swój prestiż i status.

Tożsamość – pojęcie obecnie aktualne. Podobnie jak erupcja faktów i zjawisk wynikających z wielokulturowości tego obszaru, choć na tym tle dochodzi także do nadużyć wynikających z uzurpacji, agresji i niebezpiecznych prób rewindykacji. Pamiętajmy, że kultura może być płaszczyzną symbiozy, lecz także konfrontacji – i akurat tego należy unikać, a przede wszystkim nie powodować napięć.

Nowy pejzaż kultury – to obraz w ruchu: coś powstaje i nabiera mocy, a jednocześnie coś traci na znaczeniu. Przykładem Cieszyn, miasto otwartych granic, o widocznych wysokich aspiracjach w kulturze. Ceniony cieszyński festiwal teatralny: „Teatr na granicy" – po wejściu Polski do UE przerodził się w „Teatr bez granicy" – już sama zmiana nazwy ma swoją wymowę. Z kolei ambitny festiwal filmowy: Era – Nowe Horyzonty zmienił adres i pomimo wysiłków władz Cieszyna będzie organizowany we Wrocławiu. To nowe doświadczenie godne przezornej uwagi.

Nasza konferencja odbywa się w dobrym czasie dla kultury województwa śląskiego, charakteryzującym się licznymi inicjatywami oraz zauważalnym zrównoważeniem możliwości w stosunku do potrzeb, choć na pewno daleko jeszcze do zapewnienia niezbędnych środków na miarę oczekiwań. Ten korzystny stan nie oddaje jeszcze obrazu jak przedstawiają się relacje między hierarchiami i osiągnięciami lokalnymi a tymi o randze ogólnopolskiej, bo może jest ich jednak mniej niż chcemy sądzić. Na pewno jednak nie można nie zauważyć tak krzepiących faktów, jak powstanie Śląskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Katowicach, czy utworzenie w kinie „Kosmos" nowoczesnego Centrum Sztuki Filmowej o rozbudowanych funkcjach naukowo-badawczych i edukacyjnych. A od niedawna działa także Kinoteatr „Rialto", w przyszłości o szerokiej ofercie kulturalno-rozrywkowej. Do faktów najważniejszych trzeba jednak zaliczyć nowy status finansowy Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia. A już wydarzeniem stało się wmurowanie kamienia pod przyszłe Centrum Nauki i Edukacji Muzycznej „Symfonia" z nową Salą Koncertową. Doszło też do wmurowania aktu erekcyjnego pod przyszłe

Muzeum Śląskie, które powstanie na obszarze i w znacznej części w zaadaptowanych obiektach dawnej kopalni „Katowice". A w sąsiedztwie planowana jest lokalizacja przyszłego Teatru Wielkiego, do którego budowy Śląsk przymierzał się już trzykrotnie w ciągu powojennych 60. lat. Ten ciąg obiektów licząc od „Spodka", nada nareszcie Katowicom charakter autentycznej metropolii wyposażonej w pełny zestaw instytucji i obiektów o ponadregionalnym zasięgu i oddziaływaniu.

Ten rok utrwalił także dobrą kondycję większości instytucji artystycznych. Wysoką rangę utrzymuje Filharmonia Śląska pod dyrekcją Jacka Mirosława Blaszczyka. Po generalnym remoncie nareszcie godnie prezentuje się Teatr Śląski – czy jednak nie należy podjąć starań o nadanie tej scenie statusu teatru narodowego, skoro tę funkcję Teatr Polski w Katowicach pełnił mężnie od roku 1922. Dlaczego teatrom w Gdańsku, czy Olsztynie, nadano pozycję teatrów „ministerialnych", zaś katowicka scena nie może dobić się do tej rangi? Od szeregu sezonów utrzymuje wysoki poziom premier, atrakcyjny pod względem oferty repertuarowej Teatr Zagłębia pod dyrekcją Adama Kopciuszewskiego. Teatr Nowy w Zabrzu kierowany przez Andrzeja Lipskiego już po raz piąty z rzędu zorganizował ambitnie zakrojony Ogólnopolski Festiwal Dramaturgii Współczesnej „Rzeczywistość przedstawiona". Ostatnie laury „Złotych masek" potwierdziły wysoki poziom scen teatralnych w Częstochowie i Bielsku-Białej. Utrzymuje pozycję czołowej sceny muzycznej w Polsce Teatr Rozrywki w Chorzowie wykreowany od podstaw przez Dariusza Miłkowskiego. Z kolei Opera Śląska, dzięki przedsiębiorczości dyrektora Tadeusza Serafina stała się sceną eksportową i co roku prezentuje kilkadziesiąt spektakli w krajach Europy Zachodniej, głównie w Niemczech, Holandii, Szwajcarii, Francji i Belgii, ostatnio zaś poszerzyła trasy swych tournée o Skandynawię.

Nie zamierzam w tym miejscu dokonywać rejestru osiągnięć instytucji artystycznych województwa śląskiego, chcę jedynie podkreślić ich zauważalną stabilizację, nierzadko ponad realne możliwości, jeśli pamiętać o redukcjach kadrowych wymuszonych w latach 90. przez ograniczenia finansowe, a co za tym idzie – o niewątpliwie mniejszych możliwościach znacznie uszczuplonych zespołów. Nie można przy tym zapominać jak prezentują się nasze teatry pod względem własnych możliwości w zakresie reżyserii, czy scenografii, skazane niemal wyłącznie na współpracę z zewnątrz. Choć Centrum Scenografii Polskiej ma siedzibę w Katowicach, gdzie powstało dzięki uporowi Jerzego Moskala, kto dziś jeszcze poza Barbarą Ptak uprawia zawodowo scenografię w mieście gdzie działał tak wybitny scenograf jak Wiesław Lange – a przecież nie tylko on!... Już tylko ten przykład świadczy, że nasze sceny nie są artystycznie w pełni samodzielne i mogą funkcjonować dzięki współpracy gościnnej reżyserów i scenografów głównie z Krakowa i Warszawy. A tak dawniej nie było.

Wiele osiągnięć i dokonań to zasługa uporczywej, niestrudzonej aktywności społeczników tego formatu, co wymieniony już Jerzy Moskal, czy Rajmund Hanke, dzięki któremu Polski Związek Chórów i Orkiestr Dętych wyróżnia się tak pozytywnie w skali kraju. A czy Muzeum Śląskie, zorganizowane od podstaw przez Lecha Szarańca, zyskałoby ten rozmach i prestiż gdyby nie jego talenty organizacyjne zespolone z wytrwałą, metodyczną pracą. Czy bez Zygmunta Brzezińskiego i Jana F. Lewandowskiego Instytucja Filmowa „Silesia-Film" zyskałyby tak znaczącą pozycję, zaś Katowice stały się tak cenionym ośrodkiem filmoznawstwa i sztuki filmowej? Co jednak może niepokoić – a przykładów wiele – to wiek większości społeczników z poczuciem życiowych misji, raczej znacznie powyżej średniej. Kto podejmie się tego trudu po nich? Jest niepokojącym zjawiskiem narastająca obojętność i niechęć do podejmowania działań społecznych , bezinteresownych z natury. Maleje potrzeba samoorganizacji środowisk artystycznych i wspólnych inicjatyw. Znaczny wpływ na ten stan wywarła, moim zdaniem, mizerna skuteczność Rady Kultury Województwa Śląskiego i jej 12-osobowego Kolegium, która jako oficjalna reprezentacja środowisk twórczych i artystycznych nie stała się partnerem władz w kwestiach kultury. Dziś niewielu już pamięta kto znalazł się – i to z wyboru – w jej składzie, no a kto był członkiem Kolegium Rady Kultury?...

Pamiętajmy, że chodzi o środowiska, które w skali województwa liczą w sumie około 2000 osób. Nadal, jak zawsze, najmocniejszą pozycję zajmują muzycy, których rangę utwierdza grupa znakomitych twórców i artystów, w tym wybitnych kompozytorów o miedzynarodowych dokonaniach. Bardzo liczne i aktywne są środowiska plastyków a fakt nadania w roku 2001 tytułu samodzielnej uczelni Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach ugruntował ich suwerenne ambicje. Możliwości i dorobek tego środowiska nie przekładają się jednak na pozycję bytową większości twórców, szczególnie malarzy – ale kwestia stanu rynku sztuki to osobny problem. Ważnym i licznym środowiskiem zawodowo-twórczym są oczywiście architekci. Natomiast nie odpowiada aspiracjom i możliwościom pozycja tu tworzonej literatury, choć kilka kolejnych generacji pisarskich mocno zaznaczyło swoją obecność. Godzi się pamiętać, że w ciągu minionych siedmiu lat pięć książek tutejszych pisarzy było nominowanych do Nagrody NIKE a sukces Wojciecha Kuczoka, zdobywcy NIKE za powieść „Gnój", zyskał wielki ogólnopolski rezonans. Musi w tej sytuacji niepokoić ranga miejscowych oficyn wydawniczych, z których żadna nie zdobyła i nie utwierdziła wpływowej pozycji. To fakt zasługujący na osobną uwagę. Wymaga także krytycznej reakcji fakt stałego zaniżania świadczeń na rozwój literatury i życia literackiego.

Szczególnie jednak musi niepokoić upadek Katowic jako ważnego ośrodka prasowego i poligraficznego. Katowice, gdzie w roku 1945 ukazywały się trzy duże dzienniki, dwa pisma społeczno-kulturalne (na czele z „Odrą") i wiele innych – łącznie kilkanaście tytułów, dziś jako ośrodek prasowy znalazły się w okresie największego upadku. Stało się tak w wyniku drastycznych aktów likwidacyjnych kilku tytułów a zarazem wyprowadzenia z Katowic do Starachowic (!) drukarni – i to noszącej imię Wojciecha Korfantego! Jednocześnie doszło do radykalnego ograniczenia kultury w obu istniejących dziennikach, co w decydującym stopniu ogranicza ich możliwości towarzyszenia wydarzeniom z tej sfery. Można więc mówić o rażących dysproporcjach między tym co się w kulturze dzieje – a mizernym i wyrywkowym odbiciem życia kulturalnego i artystycznego w prasie codziennej. Tak źle nie było pod tym względem jeszcze nigdy. Jest oczywiście ukazujący się regularnie od 10 lat miesięcznik „Śląsk", wychodzą „Opcje", pojawia się „Fa-art"; Instytut Mikołowski ma swoją „Arkadię", lecz ta paleta pism nie wyręczy gazet codziennych choćby w zakresie informacji.

Na sytuację tę nakłada się także coraz mniejsze zainteresowanie sprawami kultury i sztuki w Radio Katowice, gdzie doszło do całkowitego zaniku pewnych dziedzin suwerennej twórczości – przede wszystkim słuchowisk. Postępuje także marginalizacja pozycji Katowickiego Ośrodka Telewizyjnego, który w wyniku postępującej recentralizacji – po powstaniu programu 3 – nie wykazuje już w tej dziedzinie żadnych ambitnych inicjatyw. Czy trzeba przypominać jakim potencjałem twórczym i artystyczną ofertą programową dysponowała ongiś Telewizja Katowice? W tych kwestiach właściwie nikt nie zabiera już głosu; opinia publiczna, czy środowiskowa zamarły, skoro nie reprezentuje ich żadne odpowiedzialne gremium. A przecież, gdy przed 7. laty obradował Kongres Kultury na Górnym Śląsku środowiska ludzi kultury znalazły się w stanie wysokiej mobilizacji i miały poczucie swojej misji i siły? Jak doszło do uwiądu tej energii i poczucia niewiary w sens zbiorowego działania. Tak, to jest coraz bardziej aktualne pytanie!

Nasza konferencja ze względów chociażby czasowych może jedynie uczulić zbiorową uwagę, podjąć najważniejsze problemy, postawić otwarte pytania. I choćby już z tych względów jest to spotkanie ważne jako pierwsze forum dyskusyjne po siedmiu latach. ■



Przy stole „Śląska”

WIESŁAWA KONOPELSKA

Punktem wyjścia dyskusji panelowej, która toczyła się podczas konferencji, były zarówno tezy zawarte w wystąpieniu Tadeusza Kijonki, redaktora naczelnego miesięcznika „Śląsk”, jak i najistotniejsze problemy kultury w województwie śląskim, które po reformie administracyjnej wchłonęło dawne województwa bielskie i częstochowskie.

Kongres Kultury na Górnym Śląsku, zorganizowany w 1998 roku, odbywał się w diametralnie różnej sytuacji administracyjnej. Innym ważnym elementem rzeczywistości „po pierwszym Kongresie” było jakże znaczące wejście Polski do struktur Unii Europejskiej, które przyniosło z kolei nowe możliwości finansowania różnorodnych działań w aferze kultury, otwarło się pole do działania zwłaszcza dla organizacji pozarządowych. Zatem pierwszym zagadnieniem, poruszonym przez moderującego dyskusję red. **Krzysztofa Karwata**, było dziedzictwo pierwszego Kongresu: w jakich kategoriach je oceniać, co uznać za słabe, a co za mocne strony minionych lat. Oczywiste było, że jako pierwsza odniosła się do wystąpienia red. **Tadeusza Kijonki** dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Marszałkowskiego, dr **Łucja Ginko** – jak wszyscy pamiętamy, wówczas nie istniała taka organizacja samorządowa na szczeblu wojewódzkim, a konsekwencją tego faktu było przyjęcie innych zasad finansowania wielu instytucji kultury w województwie.

W nowej rzeczywistości

Dr Łucja Ginko: - *Nie zgodziłabym się z taką pesymistyczną tezą, że dorobek Kongresu został zmarnowany. W 1998 roku miał zostać przygotowany materiał dla przyszłych władz samorządowych. Służył temu między innymi I Kongres Kultury na Górnym Śląsku. Jednakże postulaty, które były zapisane w uchwałach Kongresu, miały bardzo wielu adresatów, nie tylko na szczeblu wojewódzkim. Część była adresowana pod adresem parlamentarzystów, część do środowisk twórczych i pod adresem władz samorządowych. To już nie jest takie państwo, w którym żyjemy, że jest jeden adresat postulatów z jakiejkolwiek sfery zadań publicznych. Ja mogę odpowiadać tylko za pole działania, które nazywa się samorząd regionalny. Otóż zaraz po powstaniu samorządu regionalnego jednym z zadań ustawowych było opracowanie strategii rozwoju tego województwa. Wszystkie te postulaty, które były możliwe do zrealizowania poprzez samorząd zostały wpisane do strategii i zrealizowane.* W dalszej części wypowiedzi dr Ginko stwierdziła, że księga pokongresowa „to jest nasza lektura bieżąca”. – *Żeby nie być gołosłowną przytoczę przykłady. Mamy utworzony Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach, skansen Guido został uratowany, mamy szlaki dziedzictwa kulturowego, zarówno szlak kościółków drewnianych jak i obiektów poprzemysłowych. To, jak ważny jest temat rewitalizacji terenów poprzemysłowych niech świadczy zmiana lokalizacji Muzeum Śląskiego, skoro podjęto decyzję o ulokowaniu obiektu użyteczności publicznej właśnie na zdegradowanych terenach. Jak bardzo jest dostępna informacja publiczna o kulturze, każdy może się przekonać chociażby ze stron internetowych.*

Podjęta zostanie również próba oglądu całościowego kultury, który zostanie opisany w „Strategii rozwoju kultury w województwie śląskim”. – *Na kilkaset instytucji kultury w województwie, my mamy tylko osiemnaście.* Z roku na rok, coraz więcej, przeznacza się również środków finansowych z budżetu województwa śląskiego na potrzeby kultury, w tym również konieczne remonty instytucji. – *I tak w 1999 roku nakłady z budżetu samorządu regionalnego na kulturę wynosiły 40 milionów 400 tysięcy złotych, na rok 2006 to jest 99 milionów, z czego na remonty i inwestycje w 1999 roku przeznaczono 3 miliony, w 2006 –25 milionów* – dodała na zakończenie swojej wypowiedzi dr Łucja Ginko.

Dyrektor Łucja Ginko zwróciła również uwagę na nową inicjatywę, jaką są „Znaki czasu” prowadzone przez Fundację dla Śląska, mające na celu utworzenie kolekcji najnowszej sztuki na Śląsku. Swoją pomoc w działaniach na rzecz kultury Śląska zadeklarowała w swoim wystąpieniu senator **Krystyna Bochenek**, która piastuje funkcję przewodniczącej senackiej Komisji ds. Kultury. O najistotniejszych problemach kultury na Śląsku, których los zależy od decyzji ministerialnych, „będziemy rozmawiać z nowymi przedstawicielami rządu” – mówiła senator Bochenek. W Senacie chce zabiegać o to, by jedno z wyjazdowych posiedzeń Komisji odbyło się właśnie na Śląsku. Również z inicjatywy komisji, której pracami kieruje, rok 2006 ogłoszony zostanie Rokiem Języka Polskiego – to przecież Śląsk stał się miejscem największego w Polsce dyktanda (a jego twórczynią była właśnie Krystyna Bochenek).

W podobnym tonie wypowiadał się kolejny uczestnik dyskusji, poseł Alojzy Lysko. Położył jednak silniejszy akcent na wzmocnienie statusu materialnego ludzi kultury. **Alojzy Lysko** jest jednym z grona tych ludzi, których pra-



Foto: Zbigniew Sawicz

Przed rozpoczęciem dysputy pierwsza okazja do rozmów. Na zdjęciu: Andrzej Linert i Józef Stompel. W górze po lewej - Mirosław Kilon i Wojciech Świątkiewicz.

ca na rzecz kultury rozpoczęła się przed wieloma laty w „najmniejszej ojczyźnie"; następnie jego głos liczył się na forum Sejmiku Województwa Śląskiego. Dziś będąc posłem może upominać się o owe małe ojczyzny nie tylko na Śląsku. I chociaż w jego wypowiedzi pojawił się przyjęty kontrowersyjnie pomysł, by Śląsk stał się miejscem „przemysłu kultury", by tu powstawały wytwórnie muzyczne, wydawnictwa wysokonakładowych książek, dochodowe producenckie zespoły filmowe, to sedno jego wypowiedzi dotyczyło misyjnej roli kultury, ale – co najistotniejsze – musi ona mieć grono odbiorców.

Sztuka emanacją elit

Na nieobecność regionalnych mediów podczas konferencji, która służy debacie nad kulturą na Śląsku, zwróciła uwagę dr **Krystyna Doktorowicz**, dziekan Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego. – *Brakuje mi na sali wiele osób: szefów mediów, twórców, szefów instytucji* – mówiła Doktorowicz. Podkreśliła konieczność uchwalenia nowej ustawy o mediach regionalnych, które takowymi pozostały jedynie z nazwy. W ogóle czy to w prasie, radiu czy telewizji, kultura zajmuje poślednie miejsce (o ile w ogóle jeszcze jakieś zajmuje). Z pewnością nie jest odosobniona w poglądzie, że media stwarzają wrażenie, jakoby odbiorcy (czytelnicy, słuchacze, widzowie) nie potrzebowali informacji, a zwłaszcza publicystyki kulturalnej. Przypomniała również, że Śląsk to miejsce znakomitych uczelni artystycznych. – *Problem pojawia się w chwili, kiedy chcemy tu zatrzymać artystów – absolwentów tychże uczelni. Co może im zaoferować Śląsk? Może bardzo wiele, tylko brakuje ekspresji działań tu podejmowanych* – zauważyła Krystyna Doktorowicz.

– *Gdzie nie ma odbiorcy, sztuka ma się źle* – tymi słowy prof. **Eugeniusz Knapik**, rektor Akademii Muzycznej w Katowicach, zwrócił uwagę na problem edukacji artystycznej, bo – jak powiedział – „potencjał w sztuce przerasta podłoże, z którego wyrasta. A w kulturze „nic nie osiągnie się na skróty", bo „sztuka jest emanacją elit, a elity klasy średniej". To wielce znamienne słowa. Odwrócił również sytuację, jaka została zaproponowana w postulatach I Kongresu Kultury: wizję kultury należy kierować do odbiorców, nie zaś do polityków. Na szczęście, zdaniem prof. Knapika, zostało już zrobione bardzo wiele, bo w ostatnich latach jest na to przyzwolenie społeczne. To kultura – zdaniem prof. Eugeniusza Knapika ma być motorem zmian na Śląsku – i nie jest to wyłącznie jego spostrzeżenie, ale także stanowisko ludzi biznesu, przemysłu i innych gałęzi gospodarki. Przywołał również określenie kultury sformułowane przez Jana Pawła II jako spoiwa społecznego, bo to właśnie „z kultury możemy wyróść w kierunku Europy. Inaczej przegramy" – powiedział kończąc swoją wypowiedź prof. Knapik.

Edukacja czyli kompetencje

Przy stole „Śląska" poruszono również problem roli książki w rozwoju społeczeństwa – w tej kwestii wypowiadał się prof. **Jan Malicki**, dyrektor Biblioteki Śląskiej. Jego troską są zwłaszcza niewielkie, lecz o ogromnym znaczeniu, biblioteki utrzymywane przez lokalne samorządy, które w wielu przypadkach, wydatkują ze swoich budżetów coraz mniej pieniędzy na zakup nowości, zwłaszcza książek o określonej wartości kulturowej. Jednocześnie prof. Malicki mocno podkreślił problem tzw. egzemplarza obowiązkowego, przed którym stanęły wielkie biblioteki o statusie książnicy narodowej. Egzemplarz obowiązkowy to nic innego jak nieodpłatne przeznaczanie przez wydawnictwa egzemplarzy wydanych książek dla wybranych narodowych książnic – to jedyna droga do tego, by zasoby tych bibliotek były kompletne, a o to jest coraz trudniej. Inaczej z budżetu państwa należałoby rocznie wyasygnować około 1,5 miliona złotych rocznie, by nadążyć za bieżącymi zakupami wszystkich nowości. Z drugiej strony prof. Jan Malicki zwrócił uwagę na ważne lokalne przedsięwzięcia związane z upowszechnianiem czytelnictwa i książki, które przyzwyczajają najmłodszych czytelników do obcowania z literaturą i z książką, jako czymś codziennym i niezbędnym.

Podniesiony został również przez **Leszka Miłoszewskiego**, dyrektora Regionalnego Centrum Kultury w Bielsku-Białej, problem – a raczej jego brak – skutków włączenia dawnego województwa bielskiego do województwa śląskiego. Właściwie – zdaniem Miłoszewskiego - dzięki temu zabiegowi administracyjnemu kultura w nowym województwie jest różnorodna. Nastąpiła integracja środowisk twórczych. Nie widzi również problemu braku pieniędzy na kulturę, a raczej ich dystrybucji, pozyskiwania grantów na różnych szczeblach. I chyba jako jedyny z grona dyskutantów skonstatował, że bielskie środowisko artystyczne nie ma problemu z odbiorcą – jeśli dzieje się coś interesującego można zawsze liczyć na liczne grono bywalców. Bo – jak powiedział Miloszewski - trzeba uwierzyć, że dla dużej części społeczeństwa kultura to nie tylko rozrywka. A dowodem tego są pełne sale koncertowe i galerie sztuki – przynajmniej w Bielsku.

Jeśli o publiczności była mowa, to oczywiście nie mogło zabraknąć głosu ludzi teatru: w tej kwestii wypowiadali się dyrektor Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie **Krystyna Deszcz** i **Jerzy Kuczera** – wiceprzewodniczący ZASP. Zdaniem Krystyny Deszcz teatr nie może być konkurencją dla popularnych seriali telewizyjnych czy sitcomów, nie może przyciągać widza wyłącznie łatwym repertuarem, bo nie taka jest rola teatru. – *Nie chodzi o teatr elitarny, ale teatr musi mieć swój wymiar* – te słowa Krystyny Deszcz chyba warto zapamiętać. Powtórzyła także za swoimi przedmówcami, że kultura w mediach istnieje niestety tylko wtedy, kiedy wydarzy się ... skandal, i nie jest ważne jakiej był wagi – w ten sposób urasta jego ranga do wydarzenia wysoce artystycznego!

Z kolei Jerzy Kuczera zauważył, że ważne dla teatru rzeczy dziać się zaczęły także poza stolicą województwa: w Sosnowcu, Zabrzu, powstają najważniejsze spektakle teatralne, tam też odbywają się znaczące festiwale teatralne, że nagrody teatralne trafiają do artystów z zespołów teatralnych poza katowicką



Zdjęcia: Zbigniew Sawicz

Senator Krystyna Bochenek



Jarosław Świerszcz



Dr Łucja Ginko



Posel Alojzy Lysko



Jerzy Kuczera

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz



Krystyna Deszcz



Prof. Eugeniusz Knapik



Dr Krystyna Doktorowicz



Prof. Jan Malicki



Leszek Miłoszewski



Prof. Wojciech Świątkiewicz

metropolią. Wskazał również na istotny element dla samych artystów, mianowicie na relacje artysta – instytucja. Jerzy Kuczera od siedmiu lat przewodniczy Zespołowi ds. instytucji artystycznych – jego zdaniem wiele problemów ciągle czeka na rozwiązanie.

Śląskie „Znaki czasu"

I właśnie o te „uporządkowane relacje" pytał red. Krzysztof Karwat kolejnego uczestnika dysputy, **Jarosława Świerszcza**, który z teatrem związany jest zarówno jako autor jak i realizator. - Czy kultura musi opierać się na czystych, przejrzystych mechanizmach, czy wszystko musi być tak bardzo poukładane – pytał swojego rozmówcę Krzysztof Karwat. Jednakże Jarosław Świerszcz zdecydowanie bardziej wolał skupić się na swojej działalności w ramach wspomnianego już przedsięwzięcia „Znaki czasu". O teatrze powiedział krótko: „Poza remontami i dotacjami, najważniejsza w teatrze jest wartość artystyczna, jaka tam powstaje". Z kolei „Znaki czasu" to nawiązanie do projektu, jaki powstał na Śląsku osiem lat temu. Tworzenie kolekcji sztuki najnowszej ma być zaczynem do powstania na Śląsku muzeum sztuki współczesnej. Świerszcza wierzy, że kolekcja obejmie m.in. znakomite dzieła Andrzeja Szewczyka, Tomasza Struka, Stanisława Dróżdża – artystów uznanych w świecie, którzy tworzyli dzieła wysokiej klasy artystycznej, bo wizytówką kolekcji nie ma być miejsce urodzenia artysty, ale jego dzieło. W swojej wypowiedzi Jarosław Świerszcz zwrócił uwagę, że o substancji artystycznej na Śląsku można powiedzieć wiele dobrego. Przykładem może być jedna z najlepiej działających w kraju galerii sztuki współczesnej w Polsce – bielska galeria BWA. Niemniej jednak potrzebna jest debata nad śląską kulturą, ale w wymiarze konkretnych dokonań, która byłaby faktyczną diagnozą sytuacji kultury na Śląsku.

Podsumowanie pierwszej części debaty należało oczywiście do prof. **Wojciecha Świątkiewicza**, socjologa kultury z Uniwersytetu Śląskiego. Przywołał on dwa rodzaje perspektyw, z jakich oceniamy sytuację w kulturze: perspektywę lusterka, a więc stawiane diagnozy, ocenianie wytworów i instytucji kultury oraz perspektywę aksjologii. – *Jest to perspektywa refleksji nad kulturą* – mówił prof. Świątkiewicz, *bo są to obszary świata współczesnego człowieka*. Również on podkreślił rolę edukacji artystycznej, *bo gdy ten warunek odbioru kultury nie będzie spełniony, „staniemy się żołnierzami prostej pracy"* – jak to określił prof. Świątkiewicz. Po prostu przegramy restrukturyzację kraju. Dla realizacji tego celu określony jest adresat: to władze samorządowe – i tu zwrócił się do dyrektor Łucji Ginko, z którą polemizował, co do wspomnianych przez nią adresatów niektórych zadań w sferze kultury: otóż, jego zdaniem, to właśnie władze samorządowe odpowiedzialne są za poziom edukacji, to w ich gestii leży dokładanie wszelkich starań, by poziom kompetencji odbiorcy – jako najistotniejszy element uczestnictwa w kulturze – był jak najwyższy.



Foto: Zbigniew Sawicz

Debata trwa. Będzie o czym mówić.

Po wypowiedzi prof. Świątkiewicza dyrektor Łucja Ginko dodała, że aż dla 167 gmin województwa śląskiego troska o kulturę jest zadaniem własnym o charakterze obowiązkowym. Z pewnością problem w tym, jak jest realizowana.

Instytut jest konieczny

Druga, otwarta część dyskusji miała charakter zdecydowanie bardziej spontaniczny. W gronie zabierających głos znalazł się **Michał Lubina**, dyrektor Muzeum Miejskiego w Rudzie Śląskiej i członek Bractwa Myśli Bratniej Związku Górnośląskiego, który zaproponował, by powstało lobby wokół instytucji badawczej, zajmującej się kulturotwórczą rolą Śląska, podobnie jak czynił to przed laty Śląski Instytut Naukowy. Natomiast **Andrzej Koniakowski**, wiceprezes Okręgu Śląskiego ZPAF widzi potrzebę przekształcenia Górnośląskiego Centrum Kultury w Katowicach w prawdziwe centrum sztuki, które jednoczyłoby różnorodne środowiska artystyczne, a odbiór sztuki odbywałby się na wielu płaszczyznach intelektualnych. Wszystkie te zabiegi mają na celu poszerzenie kręgu odbiorców sztuki, którzy byliby uczestnikami wydarzeń artystycznych nie tylko w sferze swoich bezpośrednich zainteresowań.

Również kolejni reprezentanci środowiska artystów teatru: **Jerzy Głybin** i **Bogumiła Murzyńska** – aktorzy Teatru Śląskiego, przekonywali, że teatr znakomicie przetrwał najtrudniejszy czas urynkowienia (często na siłę) sztuki, zwłaszcza samych instytucji kultury. Jerzy Glybin podkreślił, że z satysfakcją odnotował fakt, iż nie sprawdziły się czarne prognozy dotyczące urynkowienia i komercjalizacji kultury, a to z kolei jest głównie zasługą kierujących instytucjami i organizacjami samorządowymi. Podkreślił, że tendencje na przyszłość w tej sferze są obiecujące.

Wychodzenie z cienia

— *Cieszy mnie, że kultura w województwie śląskim wyzbywa się kompleksu prowincji* – takim stwierdzeniem skonkludował swoją wypowiedź Jerzy Głybin. Wygłosił też nieco inną opinię na temat kulturotwórczej roli mediów. Otóż, jego zdaniem, media nie są kulturotwórcze (poza periodykami specjalizującymi się w tej tematyce), spel-



Foto: Zbigniew Sawicz

Dyskusja toczyła się również na widowni.

niają wyłącznie rolę informacyjną. I jeszcze jedno: – *Chyba dobrze, że nie podkreślamy już na każdym kroku, że jesteśmy stąd, że jesteśmy solą tej ziemi. Regionalizmy są ważne, a kultura wysoka traktowana była jako alternatywna. Na szczęście to się stapia w jedno i stajemy się częścią kultury europejskiej* – tyle **Jerzy Głybin**. Optymizmu Jerzego Glybina nie podzieliła **Bogumiła Murzyńska**. – *Kiedy słyszę słowo „promocja" to się niepokoję* – mówiła Murzyńska. – *Bo albo kultura jest, albo jej nie ma. Pieniądze są na pewno potrzebne, ale nie wyłącznie. Nie wielkość pieniędzy świadczy o wartości dzieła* – skonstatowała.

W sprawach teatru głos zabierali również **Jerzy Kuczera** i **Antoni Gryzik**, aktor Teatru Śląskiego.

Jak socjologowie mają traktować zjawisko ostatnich lat: centra handlowe, w których mają miejsce różne zjawiska społeczne, także kulturowe? Ot, chociażby otwarcie kaplicy św. Barbary w poindustrialnych obiektach nowo otwartego Silesia City Center w Katowicach. Może trzeba również w nich budować sale wystawowe lub koncertowe – zastanawiał się prof. **Wojciech Świątkiewicz**. To tylko „myśli nieuczesane" naukowca, który dostrzega i bada zmianę jakościową śląskiego (i nie tylko) społeczeństwa.

Pojawiły się również i inne zagadnienia: wydawca **Tadeusz Sierny** z Wydawnictwa Naukowego „Śląsk" dostrzegł taką oto ważką sprawę: dopóki powstające tu (czyli na Śląsku) dzieła nie będą poruszały zagadnień współczesnych, to będziemy się wzajemnie przekonywać o wielkości tych dzieł. Literackie dokonania pisarzy i poetów ze Śląska (a jest ich spore, liczące się grono) oraz uznanie, jakie zdobyli na forum kraju jest potwierdzeniem tezy Tadeusza Siernego. Zgodził się on również z Jerzym Głybinem, że rolą mediów jest perswazja i przekaz, a nie edukacja. Należy się więc, zdaniem Siernego, zastanowić jak wykorzystać te środki dla promocji kultury, a spór powinien dotyczyć sposobu, a nie treści. Potwierdził również potrzebę zaistnienia w śląskim krajobrazie kultury instytucji o charakterze badawczej.

Ważnym głosem w dyskusji (wyrażonym nie poprzez bezpośredni udział w dyskusji w sali Biblioteki Śląskiej, lecz sformułowanym w tekście pisanym) była wypowiedź dra hab. **Andrzeja Linerta** historyka teatru z Uniwersytetu Jagiellońskiego w kwestii świadomości perspektywy historycznej i jej cywilizacyjnych konsekwencji dla kształtu i oblicza współczesnej tożsamości mieszkańców województwa śląskiego. Za jeden z najważniejszych postulatów uznał „potrzebę podjęcia działań, zmierzających do stworzenia zrębów takiego modelu współczesnej polityki kulturalnej państwa, który gwarantowałby ludziom pełną swobodę wypowiedzi, a każdego z obywateli naszej społeczności, niezależnie od wyznawanych przekonań i upodobań, traktował podmiotowo, aby wszelkiego rodzaju fobie, lęki, bardziej lub mniej uzasadnione postulaty etyczno-moralne i tzw. „wartości", nie mogły stanowić pretekstu do ograniczania badań naukowych i wolności obywatelskich czy też wychowywania społeczeństwa w tzw. „nowym duchu". Szczególnie Andrzej Linert podkreślił problem dotyczący kryteriów wartościowania niemieckiego dziedzictwa kulturowego, także żydowskiego i czeskiego: „Dotychczasowe negatywne myślenie o niemiecko-kulturowym dorobku Śląska sprawia, że nadal nie możemy wyrwać się z naszego zaścianka."

Zacząć od siebie

Niezwykle ważnym głosem podsumowującej części dyskusji było wystąpienie prof. Eugeniusza Knapika, który powiedział: – *Postulatywność w tym fachu nie ma sensu! Nie oczekujmy, że Kongres czy Konferencja przyniosą efekty. Najpierw udowodnijmy, że jesteśmy potrzebni.* Ważne i aktualne też pozostanie kolejne stwierdzenie Profesora: – *Naszą słabością jest to, że opiewamy to samo źródło w myśleniu prowincjonalnym – widzi się wielkość tego, co poza nami i małość tego, co pochodzi ze mnie. Istotą oryginalności jest to, że nie jestem inny, tylko potrafię dotrzeć do swoich korzeni. Inną słabością jest zwolnienie siebie z obowiązku tworzenia na najwyższym poziomie. Widzimy rzeczy przeżarte rutyną, nie widzimy jak daleko jesteśmy, Najwyższy poziom – to początek pracy nad sobą. Spójrzmy w siebie, jak mało dajemy ludziom, którzy oczekują.*

Sądzę, że te słowa powinny stać się credo wszystkich środowisk artystycznych Śląska. Szkoda tylko, że tylko nieliczne grono uczestników Konferencji, które wytrwało do zakończenia wielogodzinnych obrad, mogło usłyszeć to ważne przesłanie. Trzeba więc je często i głośno przypominać, po wielokroć powtarzać.

Prowadzący drugą część dyskusji red. Tadeusz Kijonka dokonał podsumowania wystąpień i wyszczególnił najistotniejsze spostrzeżenia. „Nie ma jednej prawdy o kulturze" – powiedział Tadeusz Kijonka. Bo jak zadra w oku tuż obok wspaniałego gmachu Biblioteki Śląskiej od wielu lat skutecznie niszczeje budynek Śląskiego Instytutu Naukowego, niegdyś ośrodek o wielu trwałych zasługach. Czy w nowej sytuacji po roku 1983, nie należało Instytutu poddać procesom zmian, jakie zaszły w innych instytucjach naukowych i placówkach kultury? Należało zmienić statut, zlikwidować programy badawcze, a nie „rozwiązać problem przez arbitralny akt likwidacji". Opole obroniło swój Instytut Śląski – my nie. A nastały czasy, gdy jest on teraz szczególnie potrzebny. Pytanie: co zrobić i jak to zrobić, by doprowadzić do jego reaktywacji. Tadeusz Kijonka postawił też pytanie: Czy można dziś zorganizować kongres kultury? Jego zdaniem - nie, bowiem, jak stwierdził, została zmarnowana jedna z szans – Rada Kultury, ciało opiniodawcze, które powołał Kongres, a która miała być reprezentacją tych środowisk. Niemożliwe stało się też utworzenie zgodnie z uchwałą Funduszu Rozwoju Kultury Górnego Śląska. Nieco pesymistycznie zabrzmiało wypowiedziane przez redaktora naczelnego „Śląska" zdanie: „Nastąpiła ogromna dezintegracja środowisk twórczych i artystycznych, , jakiej tu dotąd nie było. Skończył się pewien styl? Kiedyś podstawą prestiżu tych środowisk było poczucie ich podmiotowości i potrzeba wspólnoty, co w swoim czasie doprowadziło do spontaniczności, samoorganizacji w ramach Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych. Może ta konferencja uświadomi potrzebę spotkania ludzi kultury i sztuki, żeby to oni mieli większy, partnerski wpływ na podejmowane decyzje w sprawach kultury. Żeby „nic o nas bez nas" – przynajmniej w jakimś stopniu. Bo jeśli nie będzie dialogu, nie zostaną uświadomione zbiorowe cele". I trudno z pewnością w tej sytuacji zdobyć się na bardziej optymistyczny ton".

■



Laureaci nagrody ŚLĄSKI ORZEŁ 2005

JERZY DUDA GRACZ (1941-2004)
HENRYK MIKOŁAJ GÓRECKI
WOJCIECH KILAR
WOJCIECH KUCZOK
KAZIMIERZ KUTZ
LECH J. MAJEWSKI
STANISŁAW NIEMCZYK
MAGDALENA PIEKORZ
JAROSŁAW ŚWIERSZCZ
HENRYK WANIEK

Tytuły honorowe PRZYJACIEL „ŚLĄSKA" 2005

otrzymali:

ZBIGNIEW BARANOWSKI – dyrektor Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu

ZYGMUNT BRACHMAŃSKI – artysta rzeźbiarz

MICHAŁ CZARSKI – marszałek województwa Śląskiego

prof. dr hab. JANUSZ JANECZEK – rektor Uniwersytetu Śląskiego

JÓZEF KOCUREK – wiceprezydent miasta Katowice

MICHAŁ LUBINA – dyrektor Muzeum Miejskiego w Rudzie Śląskiej

prof. dr hab. JAN MALICKI – dyrektor Biblioteki Śląskiej

WOJCIECH STAWIANY – Główny Inspektor Ochrony Środowiska

ks. prof. dr hab. JERZY SZYMIK, – Wydział Teologiczny Uniwersytetu Śląskiego

JAROSŁAW ŻELAZOWSKI – prezes zarządu Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego i Usług Technicznych „ŚLĄSK" Sp. z o.o. w Katowicach

Dziesięć uderzeń w gong

Dziesięcioma uderzeniami w gong redaktor naczelny „Śląska", Tadeusz Kijonka, oznajmił zaproszonym na jubileusz naszego pisma gościom, że czas zacząć świętować dziesiąte urodziny „Śląska". Wcześniej trębacz odegrał sygnał naszej uroczystości - na motywie znanej śląskiej melodii „Poszła Karolinka". I już można było przystąpić do inauguracji naszego święta, na które – ku radości Redakcji – przyjęło zaproszenie bardzo liczne grono osób, reprezentujących władze samorządowe województwa, miasta Katowice i samorządy innych miast Śląska. Przybyli licznie dyrektorzy i pracownicy instytucji kultury, stowarzyszeń twórczych województwa śląskiego, pracownicy naukowi śląskich wyższych uczelni, ludzie biznesu, artyści, pracownicy kultury oraz współpracownicy i sympatycy naszego miesięcznika. Dzięki uprzejmości przyjaciół z Muzeum Śląskiego, mogliśmy uczestników jubileuszu zaprosić do wnętrza jednej z prestiżowych sal Muzeum, w której gościła wystawa pt. „Polscy Monachijczycy". Wypełniła się także sala sąsiadująca z tą ekspozycją; tak więc spotkaniu towarzyszyły obrazy wielu wybitnych mistrzów pędzla.

Gospodarz uroczystości – redaktor Tadeusz Kijonka, po oficjalnym powitaniu gości w krótkim wystąpieniu przedstawił dokonania pisma, mówił o zamierzeniach redakcji, a także o sytuacji, w jakiej od dziesięciu lat funkcjonuje „Śląsk". Podziękował wszystkim, dzięki którym pismo ukazuje się nieprzerwanie od listopada 1995 roku.

W dalszej kolejności nastąpiło odczytanie części listów gratulacyjnych (niektóre publikujemy na naszych łamach) i okolicznościowych adresów – dokonał tego niezwykle wprawny w sztuce wymowy prof. Marian Kisiel, który współtworzył „Śląsk", przez osiem lat prowadząc dział krytyki literackiej i eseju.

Następnie Tadeusz Kijonka poprosił o zabranie głosu marszałka województwa śląskiego Michała Czarskiego oraz prezydenta Katowic Piotra Uszoka.

Zdążających z gratulacjami było oczywiście znacznie większe grono – każdy życzył nam jak najlepiej, by „Śląsk" mógł dalej służyć Śląskowi. Nam, redakcji „Śląska" było niezmiernie miło, kiedy zostaliśmy uhonorowani Złotą Odznaką Zasłużonego dla Województwa Śląskiego, a konsul generalny Republiki Czeskiej Josef Byrtus odznaczył redaktora Tadeusza Kijonkę Medalem Honorowym Ministerstwa Spraw Zagranicznych Republiki Czeskiej za długoletnie propagowanie czeskiej literatury oraz aktywny wkład w rozwój czesko-polskiej transgranicznej współpracy kulturalnej. Z honorowym wyróżnieniem przybyli również śląscy harcerze, którzy redakcję „Śląska" odznaczyli zbiorową odznaką Za Zasługi dla Śląskiej Chorągwi Związku Harcerstwa Polskiego, dziękując tym samym za troskę o sprawy wychowania dzieci i młodzieży oraz za wsparcie okazane

MEDALE GÓRNOŚLĄSKIEGO TOWARZYSTWA LITERACKIEGO

otrzymali:

WALDEMAR DĄBROWSKI – minister kultury (do listopada 2005 r.)

STANISŁAW KARPETA – prezes Fundacji PRO EKO przy Elektrowni „Łaziska" w Łaziskach Górnych

JÓZEF MIELNIKIEWICZ – prezes Zarządu POLSKI KOKS S.A. w Katowicach

JÓZEF MUSIOŁ - prezes Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie

JANUSZ PIETRUCZUK – dyrektor PKO BP w Katowicach

WIESŁAW SIWCZAK – prezes Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach

dr LECH SZARANIEC – dyrektor Muzeum Śląskiego w Katowicach

JAN WISTUBA – dyrektor TYSKICH BROWARÓW KSIĄŻĘCYCH KOMPANIA PIWOWARSKA S.A.

ZHP w pracy wychowawczej. Na tym nie zakończyły się odznaczenia – w gronie uhonorowanych Srebrnym Krzyżem Zasługi znalazł się nasz redakcyjny kolega Krzysztof Karwat; odznaczenia dokonał wicewojewoda śląski Konrad Imielski.

Dużym zaskoczeniem, aczkolwiek niezmiernie milą niespodzianką, było przyznanie naszej redakcji nagrody w wysokości 10 tysięcy złotych, które przekazał Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach. A to – jak powiedział Zbigniew Wieczorek, przewodniczący Zarządu Województwa Śląskiego, wręczając czek redaktorowi naczelnemu – za propagowanie tematyki ekologicznej na łamach pisma... Bardzo raz jeszcze dziękujemy, bo czujemy się wyróżnieni i wielce usatysfakcjonowani.

A potem nastąpiła niezwykle ważna część spotkania: wręczenie tytułów honorowych Przyjaciel „Śląska" , medali Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego i – po raz pierwszy – wspaniałych statuetek z brązu: Śląski Orzeł 2005 (według projektu Zygmunta Brachmańskiego). Jak zapewniał Tadeusz Kijonka – Orły przyznane zostały jednorazowo z okazji jubileuszu 10-lecia pisma i dlatego jest ich dziesięć. Gdyby ponowić je – Śląskie Orły mogłyby zostać wręczone dopiero za kolejną dekadę, a to już będzie niemożliwe. Oczywiście wśród gości w Muzeum nie było w tym momencie osoby, która dała by wiarę mrocznemu przewidywaniu redaktora naczelnego ...Ba, wielu już wróżyło, kto otrzyma Śląskie Orły AD 2015...

Nieskromnie byłoby opisywać słowa uznania i podziękowań jakie płynęły od laureatów wszystkich wyróżnień – czasem niezwykle poważne, ale także dowcipne. Szkoda, że tego dnia nie mógł być obecny z nami ciałem, a nie tylko duchem, Henryk Mikołaj Górecki – jeden z laureatów Śląskich Orłów. Skreślił jednak kilka ważnych zdań, które dotarły faxem do naszej redakcji z podzakopiańskiego Zębu, gdzie Drogi nasz Laureat ma od lat swoją ostoję ciszy i natchnienia. List Henryka Mikołaja Góreckiego zamieszczamy z uczuciami serdecznej wdzięczności.

I tak oto dotarliśmy do finału naszych dziesiątych urodzin. Można rzec, że wiek młodzieńczy zobowiązuje, a redakcja robi wszystko, by równie radośnie obchodzić wiek dojrzały pisma, chociaż poczytujemy sobie za nie lada sukces dotrwanie bez większych przeszkód do końca pierwszej dziesiątki.

A potem był czas na towarzyskie rozmowy, wspominanie początków redakcyjnych przy ulicy 3 Maja 7 i ekspresowych prac nad wydaniem pierwszego numeru :Śląska". I tym tropem wznosząc toasty w towarzyskich kręgach, podążyliśmy aż do 122 wydania.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Drodzy ! Kochani!

Bardzo i to bardzo cieszyłem się na spotkanie ORŁÓW ŚLĄSKICH. Każde spotkanie z tym zakątkiem naszego kraju – jest spotkaniem bardzo wzruszającym. To Moja – poprzez ziemia, której służyłem najlepiej jak tylko mogłem – choć tylko tymi skromnymi umiejętnościami. Służyłem i będę służył do końca moich dni. Krytyki TEJ chyba nigdy nie wyrządziłem.

Ale dość z tą sentymentalno – melan – dolijską melodią.

Dziękuję za ORŁA.

Będzie czuwał – strzegł i przypominał: skąd – dla kogo – po co.

Choć cielsko stateczne, cherlawe i schorowane nie pozwoliło mi na przyjazd – to jednak DUCHEM jestem – będę z WAMI.

Dzięki !!!

Henryk Mikołaj Górecki

Zęb / 29. 11. 2005.

PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Warszawa, 29 listopada 2005 roku

Do uczestników i organizatorów uroczystości
z okazji 10-lecia miesięcznika „Śląsk"

Szanowni Państwo,

Serdecznie pozdrawiam wszystkich uczestników uroczystości z okazji 10-lecia obecności na rynku wydawniczym tygodnika społeczno-kulturalnego „Śląsk". Gratuluję pięknego jubileuszu.

Stoimy dziś przed niepowtarzalną szansą uczynienia z miłości do naszych „małych ojczyzn" ważnego źródła rozwoju. To, czy tak się stanie, w znaczącym stopniu zależy od lokalnych i regionalnych mediów. Od tego, czy w jaki sposób będą wskazywały wszystko to, co w regionach najbardziej wartościowe, a co może zadecydować o ich sukcesie w przyszłości.

Z uznaniem myślę o tym, że miesięcznik „Śląsk" w bardzo udany sposób wypełnia tę misję. Od dziesięciu lat rzetelnie, w sposób niezależny i bardzo ambitny zajmuje się wszelkimi problemami jednego z najważniejszych polskich regionów — Górnego Śląska. Rejestruje i popularyzuje jego bogate życie kulturalne, kładąc szczególny nacisk na ukazanie wielokulturowego dziedzictwa tej ziemi. Uczula na zagrożenia, ale i na wyzwania nowych czasów. Przypomina o śląskich ambicjach i aspiracjach.

Za wszystko to należą się dziś słowa wielkich podziękowań dla wydawcy pisma, Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, redaktora naczelnego, Pana Tadeusza Kijonki, kierującego tytułem od momentu jego powstania, całej redakcji, a także — mecenasów miesięcznika. Wykonaliście, Drodzy Państwo, w ciągu minionej dekady wspaniałą pracę. Liczę na jej równie udany dalszy ciąg!

Życzę zespołowi „Śląska" twórczej weny i wciąż rosnącej liczby czytelników, im z kolei — wielu satysfakcji z lektury. Niech każdy następny rok przynosi Państwu i całemu regionowi nowe, liczne osiągnięcia. Powodzenia

Aleksander Kwaśniewski

Aleksander Kwaśniewski

RZECZPOSPOLITA POLSKA
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Kazimierz Michał Ujazdowski

Pan
Tadeusz Kijonka
Redaktor Naczelny
Miesięcznika Społeczno-Kulturalnego „Śląsk"

Szanowny Panie Redaktorze,

Pańska brawurowa decyzja sprzed 10 lat o powstaniu nowego pisma, w czasie niezmiernie trudnym dla kultury, jest świadectwem niezłomnej woli pracy i woli służenia kulturze - zarówno regionalnej jak i narodowej.

Powstałe w latach 1995-2005 121 numerów, ważnego dla ziemi śląskiej czasopisma, to piękny, obfity plon pierwszego dziesięciolecia „Śląska". Pierwszego, bo nie wątpię, że wraz z nr 122 nastąpi jego kontynuacja. Jest bowiem Waszym bezspornym sukcesem stworzenie pisma regionalnego w swej najgłębszej istocie, i jednocześnie otwartego na cały kraj, gotowego rozmawiać o najważniejszych problemach Śląska z każdym, niezależnie od jego miejsca zamieszkania.

Chciałbym podkreślić wysoki poziom artystyczny „Śląska", o czym świadczy to, że na jego łamach wypowiadają się wybitne osobistości kultury polskiej. Cenię w Waszym piśmie niezależność myśli, wielkie poczucie służby, nieustającą troskę o dzień dzisiejszy i przyszłość polskiej kultury.

Przesyłam serdeczne gratulacje i najlepsze życzenia całemu zespołowi redakcyjnemu, wszystkim współpracownikom i Panu osobiście, Panie Redaktorze, wybitnemu poecie i publicyście. Wierzę, że dalej będziecie udowadniać wartość i rangę „Śląska" w polskim życiu kulturalnym.

Z poważaniem.

Kazimierz Michał Ujazdowski

Warszawa, 29 listopada 2005 r.

GENERÁLNÍ KONZULÁT ČESKÉ REPUBLIKY
CONSULATE GENERAL OF THE CZECH REPUBLIC
KATOVICE

Szanowny Pan
Tadeusz Kijonka
Redaktor Naczelny
Miesięcznika Społeczno - Kulturalnego
„Śląsk"

Szanowny Panie Redaktorze,

Z okazji tak wspanialej uroczystości jaką jest 10-lecie miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk" proszę przyjąć moje najserdeczniejsze gratulacje i wyrazy uznania.

Bardzo się cieszę, że podczas mojej misji jako Konsula Generalnego Republiki Czeskiej w Katowicach, ma miejsce tak podniosła uroczystość i że na Pana ręce, Szanowny Panie Redaktorze, mogę złożyć życzenia wszystkiego najlepszego, wiele wytrwałości i konsekwencji w dążeniu do celu,

Ta okrągła rocznica jest powodem do dumy, ale powinna także mobilizować do takiej jak dotychczas, pracy twórczej na rzecz promowania regionu śląskiego. Tego życzę, Panu, Szanowny Panie Redaktorze oraz całej Redakcji Miesięcznika.

Z serdecznymi pozdrowieniami.

Dr h.c. JUDr. Ing. Josef Byrtus
Konsul Generalny

Katowice, 22.11.2005

GŁÓWNY INSPEKTOR OCHRONY
ŚRODOWISKA
WOJCIECH STAWIANY

Pan
Tadeusz KIJONKA
REDAKTOR NACZELNY
Miesięcznika Społeczno-Kulturalnego
ŚLĄSK

Szanowny Panie Redaktorze!

Z satysfakcją przyjąłem wiadomość o Jubileuszu X -lecia naszego miesięcznika „ŚLĄSK" - a także wyróżnienia mnie honorowym tytułem PRZYJACIEL „ŚLĄSKA".

Niestety ważne obowiązki służbowe, mimo pierwotnych moich planów zatrzymują mnie w Warszawie.

Życzę Redakcji i osobom związanym z miesięcznikiem dalszych sukcesów w tworzeniu i przekazywaniu Społeczności naszego regionu wartości ideowych i kulturowych związanych z dorobkiem dziejowym, teraźniejszością i przyszłością województwa śląskiego, dolnośląskiego i opolskiego, a także Ziem Śląskich znajdujących się na południe od Olzy.

Pragnę wyrazić przekonanie, że również problematyka ekologiczna - ochrony przyrody i środowiska naturalnego zogniskowana w formule „Zrównoważonego rozwoju" będzie nadal zajmować ważne miejsce na łamach miesięcznika.

Łączę wyrazy szacunku, życzenia zdrowia i szczęścia dla całej Redakcji i wszystkich Gości zgromadzonych i obecnych na Uroczystości Urodzinowej.

Wojciech Stawiany

Warszawa, dnia 29. 11.2005 r.

SENATOR
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Krystyna Bochenek

Szanowny Pan
Tadeusz Kijonka
Redaktor Naczelny
Miesięcznika Społeczno - Kulturalnego „Śląsk"

Szanowny Panie Redaktorze, Szanowne Państwo,

wierzyć się nie chce, że mija właśnie 10 lat od chwili powstania bliskiego nam wszystkim miesięcznika „Śląsk". Bardzo żałuję, że nie mogę uczestniczyć w tak ważnej i sympatycznej uroczystości, ale w chwili gdy Państwo się spotykają wręczam właśnie stypendia śląskim studentom. Myślami jestem jednak również ze wspaniałymi Koleżankami i Kolegami, Autorami, Pracownikami i Przyjaciółmi Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze,

na Pan ręce przesyłam urodzinowe życzenia dla całego Zespołu. Przede wszystkim życzę Państwu dalszej konsekwencji i determinacji z jaką, mimo skromnych środków, od lat tworzycie tytuł. Nikt nie policzy tematów i artykułów, które już od dekady podejmujecie na swoich łamach poruszając zarówno tematy historyczne, społeczne, gospodarcze, ekonomiczne jak i kulturowe.

Jestem szczęśliwa, że miałam swego czasu okazję współpracować ze „Śląskiem", jestem też dumna, że wyróżniono mnie tytułem „Przyjaciel Śląska".

Wznosząc toast za Tadeusza Kijonkę, Feliksa Netza, Wiesławę Konopelską, Krzysztofa Karwata, Barbarę Gruszkę - Zych, Bogdana Widerę,

pozostaję z wyrazami głębokiego szacunku

Krystyna Bochenek

Katowice, 29.11.2005

MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO
Michał Czarski

Pan
Tadeusz Kijonka
Redaktor Naczelny
oraz Zespół Redakcyjny
Miesięcznika Społeczno-Kulturalnego „Śląsk"
Katowice

Z wielką satysfakcją składam na ręce Pana Redaktora serdeczne gratulacje oraz jubileuszowe życzenia dla całego Zespołu Redakcyjnego, wszystkich Pracowników i Współpracowników miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk".

To uroczyste 10-lecie to zarazem dekada „trwania" pisma na bardzo trudnym i coraz bardziej skomercjalizowanym rynku wydawniczym. Postrzegam to osiągnięcie jako Pana wielki, osobisty sukces.

Tworząc szlachetny wizerunek „Śląska" i pielęgnując tradycję opierania się trendom dominującym obecnie na polskim rynku prasowym, Zespól miesięcznika dowodzi, iż rzetelne, fachowe przekazywanie informacji o najważniejszych zjawiskach społecznych i kulturalnych w naszym regionie nadal ma sens oraz cieszy się poparciem czytelników, którzy od ulubionego czasopisma oczekują czegoś więcej niż kolorowych zdjęć gwiazd estrady i sensacyjnych doniesień. Wasza wieloletnia obecność i cenny udział w społecznym i kulturalnym życiu województwa dowodzi także, iż „Śląsk" jest nadal potrzebny Śląskowi jako istotny element poszerzania wiedzy o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości naszego regionu.

Różnorodność faktów, problemów i tematów prezentowanych na łamach „Śląska", w połączeniu z wysokimi walorami literackimi zamieszczanych tekstów to przykład dziennikarstwa, które bez jątrzenia i wrogiego zacietrzewienia, prowokuje do twórczej refleksji, pouczających przewartościowań a także do wzruszeń i uśmiechu.

Ogólnopolski sukces miesięcznika „Śląsk", jest tym większy, iż pismo wydawane i firmowane przez Górnośląskie Towarzystwo Literackie pozbawione jest stałego budżetu i ukazuje się dzięki dotacjom, opłatom za reklamy oraz hojności wiernych czytelników i sympatyków.

Od roku 1999 do mecenasów miesięcznika należy również samorząd Województwa Śląskiego. Cieszę się, iż nasze dotacje pozwoliły przetrwać „Śląskowi" na dziennikarskim posterunku minione dziesięciolecie i deklaruję wolę kontynuowania tego wsparcia w przyszłości.

Gratulując tego zasobnego w dorobek twórczy jubileuszu, życzę kolejnych okrągłych rocznic oraz stale rosnącego grona czytelników, dla których lektura miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk" nadal stanowić będzie pożyteczny nawyk i źródło wiedzy nie tylko o naszym regionie.

Z najlepszymi życzeniami wszelkiej pomyślności,

Michał Czarski

Katowice, 29 listopada 2005 r.

Szanowny Pan
Tadeusz Kijonka
Górnośląskie Towarzystwo Literackie

W imieniu samorządu Katowic oraz mieszkańców miasta pragniemy przekazać najserdeczniejsze gratulacje z okazji dziesięciolecia istnienia miesięcznika „Śląsk" wydawanego przez górnośląskie Towarzystwo Literackie pod pana kierownictwem. Słowa uznania i podziękowań składamy na ręce wszystkich twórców, redaktorów i pracowników pisma tak bardzo potrzebnego miastu i śląskiej ziemi. Państwa zaangażowanie, prezentacja dorobku kulturalnego, promocja twórców wszystkich dziedzin sztuki, kształtuje wielorakie zainteresowania i daje możliwość poznania ogromu przestrzeni kultury i sztuki. Publikacje na łamach miesięcznika „Śląsk' nadają kształt dyskursowi publicznemu w sprawach istotnych przemian w naszym regionie oraz mieście. Bezcenna jest także rola miesięcznika w kształtowaniu tożsamości regionalnej mieszkańców Górnego Śląska.

W tym szczególnym dniu, prosimy przyjąć serdeczne podziękowania oraz życzenia dalszego tworzenia miesięcznika, który tak pięknie służy miastu, regionowi i Polsce. Wszystkim pracownikom Redakcji życzymy zdrowia i osobistej pomyślności.

Przewodniczący Rady Miasta
Jerzy Fonfara

Prezydent Miasta
Piotr Uszok

Katowice, dnia 29 listopada 2005 roku

DAMIAN ZIMOŃ
ARCYBISKUP METROPOLITA
KATOWICKI

Szanowny
Pan TADEUSZ KIJONKA
Redaktor Naczelny Miesięcznika „Śląsk"

Wydawcą miesięcznika „Śląsk" jest Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach z naczelnym redaktorem Tadeuszem Kijonką. Mija 10 lat od ukazania się pierwszego numeru.

Przeglądam poszczególne numery i nadziwić się nie mogę, że nasz miesięcznik prezentuje się tak dobrze. Lata 1995-2005 to nie tylko przełom wieków ale niespotykany w historii naszego regionu rozwój na wielu płaszczyznach życia.

Po okresie „błędów i wypaczeń" Górny Śląsk ze swoją dynamiką ludnościową i nie do końca zniszczoną etyką pracy prezentuje się w polskim krajobrazie zupełnie dobrze. Miesięcznik „Śląsk" ukazujący się zawsze na czas, rejestruje to wszystko z wdziękiem i bardzo wszechstronnie. Dotyka wielu dziedzin życia, ale przede wszystkim przybliża nam postacie tej ziemi, które mają tu coś do powiedzenia i angażują się w budowanie lepszego jutra.

Laureatom Nagrody Orła Śląskiego 2005, o których czytam w jubileuszowym numerze, szczerze gratuluję i błogosławię.

Dzięki „Śląskowi" żyjemy w Europie bardziej wyprostowani i bez kompleksów.

Zapewne innym mieszkańcom starego kontynentu możemy także przekazać coś z naszego duchowego bogactwa. Śląsk dziś może być nazywany „szmaragdem Europy" ze względu na swą kulturę współżycia w społeczeństwie pluralistycznym przy jednoczesnym zachowaniu swej bogatej tożsamości.

Szanowni Wydawcy „Śląska" na czele z Panem Tadeuszem! Nie zniechęcajcie się. Trudności są po to, by je przezwyciężać. Gratuluję Wam i dziękuję.

Szczęść Boże!
+ Damian Zimoń

Damian Zimo

Katowice dnia 25.11.2005 r.

WALDEMAR DĄBROWSKI

Na ręce
TADEUSZA KIJONKI
Redaktora Naczelnego
Miesięcznika Społeczno-Kulturalnego
„ŚLĄSK"

Panie i Panowie, którzy tworzycie zespół miesięcznika ŚLĄSK", przyjmijcie ode mnie wyrazy podziwu i uznania za to niezwykłe dokonanie, jakim jest Wasze trwanie w kulturze,

któremu daje świadectwo co miesiąc to Wasze bardzo, bardzo wyraziste i ważne pismo.

Dla mnie to pismo, które ukazuje sięjuż od 10 lat, świadczy o trwałym, twórczym podejmowaniu tych wątków myśli i ducha, które wnosząc tyle nowych wartości - sięgają do korzeni polskości i Śląska na miarę współczesnych aspiracji. Dzisiaj, kiedy spełniły się marzenia przodków i jesteśmy znów w rodzinie państw i narodów Europy, przyszedł czas na działania, gdy każdy odpowiada za ten metr kwadratowy ziemi, z której wyrasta. I to poczucie odpowiedzialności i wierności odnajduję w „Śląsku".

Za przyznany medal serdecznie dziękuję. To dla mnie rzecz bardzo ważna i wielka satysfakcja, skoro tak zostały ocenione moje działania na rzecz Śląska i jego kultury. Ale także zobowiązanie.

Żałuję, że nie mogę, być obecny na rocznicowej uroczystości „Śląska". Obiecuję„ że medal ten odbiorę, gdy tylko będzie to możliwe — i to nie w Warszawie, ale na Śląsku.

Z najlepszymi życzeniami i przyjaźnią

Waldemar Dąbrowski

Warszawa, 28 listopada 2005 r.

Na ręce redaktora naczelnego
Tadeusza Kijonki napłynęły również
urodzinowe listy gratulacyjne
od dyrektorów instytucji artystycznych,
prezydentów śląskich miast,
szefów zaprzyjaźnionych ze „Śląskiem" firm, przyjaciół
i współpracowników.

W tym gronie znaleźli się:

- ✔ Prof. dr hab. JAN MALICKI, dyrektor Biblioteki Śląskiej
- ✔ Dyrektor naczelna GRAŻYNA SZYMBORSKA i pracownicy Filharmonii Śląskiej
- ✔ MIROSŁAW JACEK BŁASZCZYK, dyrektor artystyczny Filharmonii Śląskiej
- ✔ Dyrektor TADEUSZ SERAFIN i zespoły Opery Śląskiej
- ✔ Dyrektor Teatru Śląskiego KRYSTYNA SZARANIEC i dyrektor artystyczny HENRYK BARANOWSKI
- ✔ DOROTA POCIASK-FRĄCEK, dyrektor Instytucji Kultury „Estrada Śląska"
- ✔ RAJMUND HANKE, prezes Oddziału Śląskiego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr
- ✔ HENRYK B. BUSZKO, przewodniczący Komitetu Budowy Pomnika Generała Ziętka w Katowicach
- ✔ Zastępca prezydenta Miasta Rudy Śląskiej WERNER WESOŁY
- ✔ Prezydent Miasta Rybnika ADAM FUDALI
- ✔ Prezydent Miasta Tychy ANDRZEJ DZIUBA
- ✔ WIESŁAW SIWCZAK, prezes Zarządu Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach
- ✔ Wiceprezes Polskiego Koncernu Energetycznewgo S.A. HENRYK TYMOWSKI
- ✔ Dyrektor PKE S.A. Elektrownia „Łaziska" w Łaziskach Górnych KLEMENS ŚCIERSKI
- ✔ Przewodniczący Zarządu Komunikacyjnego Związku Komunalnego GOP ROMAN URBAŃCZYK
- ✔ Senator RP MARIA PAŃCZYK-POZDZIEJ
- ✔ prof. dr hab. WŁADYSŁAW LUBAŚ
- ✔ prof. dr hab. JAN MIODEK
- ✔ ks. JERZY SZYMIK, dr hab., prof. KUL
- ✔ BARBARA BLIDA
- ✔ LESŁAW NOWARA
- ✔ WŁADYSŁAW SOSNA
- ✔ BRONISŁAW CHOWANIEC
- ✔ oraz niezmiennie co miesiąc, od 10 lat, związany z nami prezes MIROSŁAW KORBEL i pracownicy STP „KorGraf" s.c.

Trudno zliczyć wszystkich, którzy osobiście składali życzenia redaktorowi naczelnemu i redakcji „Śląska" podczas jubileuszowego spotkania w Muzeum Śląskim.

Wszystkim z całego serca dziękujemy!

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „ŚLĄSK" NAJSERDECZNIEJSZE PODZIĘKOWANIA

kieruje do wszystkich, którzy przyczynili się do uświetnienia uroczystości z okazji 10-lecia pisma, a w szczególności do:

Pana dra LECHA SZARAŃCA – DYREKTORA MUZEUM ŚLĄSKIEGO i PRACOWNIKÓW tej zacnej instytucji, za stworzenie niepowtarzalnej atmosfery naszego jubileuszu w otoczeniu wybitnych dzieł malarstwa polskiego prezentowanych podczas wystawy „Polscy Monachijczycy" oraz pomoc w przygotowaniu spotkania towarzyskiego wieńczącego tę uroczystość.

Pana ADOLFA JAŃCZYKA – właściciela PHU „TOLEK" Drukarnia im. Karola Miarki w Mikołowie, za druk 100 jubileuszowych plakatów z okazji 10-lecie „Śląska".

Pani GRAŻYNY KARNAS – właścicielki restauracji „GRAŻYNKA" w Katowicach, za przygotowanie kilkuset wspaniałych kanapek, które zyskały najwyższą pochwałę „jubileuszowych smakoszów"

Pana JANA SMERECZKA - właściciela KAWIARNI „PISTACJOWA" z Katowic, która uraczyła nas wybornym ciastem i wyrobami cukierniczymi.

Pana JANA KLIMKA, prezesa IZBY RZEMIEŚLNICZEJ w KATOWICACH i rzemieślników w niej zrzeszonych, za obdarowanie wyrobami piekarniczymi.

Pana JAROSŁAWA SROKI – właściciela firmy „JARPOL" w Tychach, który zadbał, by na kanapkach pojawiła się świeżutka, dietetyczna wędlina.

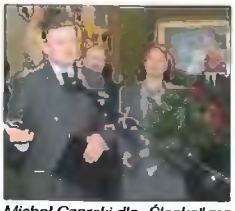
TYSKICH BROWARÓW KSIĄŻĘCYCH w Tychach, za dostarczenie na nasze stoły markowego napoju chmielnego..

Pana MIROSŁAWA KOREBLA – szefa STP „KorGraf" s.c. w Katowicach, za przygotowanie do druku materiałów reklamowych i informacyjnych.

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz



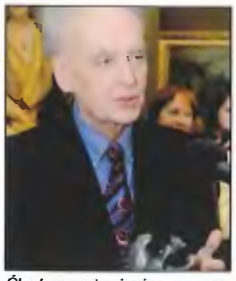
Ostatnie ustalenia... Feliks Netz i Tadeusz Kijonka.


Michał Czarski dla „Śląska" ma zawsze wielkie serce.


W arii z Orlem Kazimierz Kutz.




Dobre miejsce na pogawędkę Piotra Uszoka z Josefem Byrtusem.


Śląsk w moim życiu - z nagrodą Orła Wojciech Kilar.


Szampan, Orzeł i Henryk Waniek.


Krzysztofa Karwata odznacza wicewojewoda Konrad Imielski.


Jak artysta z artystą: Lech Majewski i Zygmunt Brachmański.

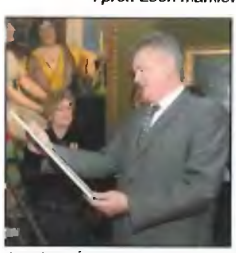

Z ks. bp. Tadeuszem Szurmanem w serdecznej rozmowie Magdalena Piekorz i Wojciech Kuczok.


Tercet muzyczny: Bernard Polok, prof. Andrzej Jasiński i prof. Leon Markiewicz.


„Orzeł" w rękach architekta Stanisława Niemczyka.


Wśród „Przyjaciół" »Śląska« rektor UŚ, prof. Janusz Janeczek


Michał Lubina - zawsze wierny „Śląskowi" Przyjaciel.


Jarosław Żelazowski dołączył do grona dyplomowanych „Przyjaciół".


Medal GTL dla prezesa PRO EKO Stanisława Karpety.


Prezes Polskiego Koksu Józef Mielnikiewicz - z medalem GTL-u.

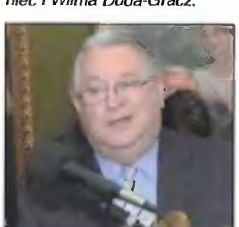

Wódz Ślązaków w Warszawie - Józef Musioł z medalem .

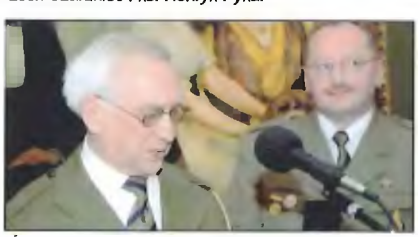

Przyjaciółki Krystyna Szaraniec i Wilma Duda-Gracz.


O Śląsku z „Ziemią Śląską" pod pachą rozmawiają dr Lech Szaraniec i ks. Henryk Pyka.


Świat nauki przybył z życzeniami: dr Dariusz Rott i prof. Marek Szczepański


Małgorzata Walędzińska z medalem dla prezesa Tyskich Browarów Jana Wistuby.


Adolf Jańczyk - nasz niezawodny dobroczyńca z Drukarni Karola Miarki.


Śląscy harcerze hm Mieczysław Brańka i hm Andrzej Lichota przyznali „Śląskowi" specjalne honory.


Kazimierz Kutz i Jan Rzymełka wśród redaktorów „Śląska": Wojtka Łuki, Mariana Kisiela (zawsze z nami), Wiesławy Konopelskiej i Krzysztofa Karwata.


Co zrobilibyśmy bez „KorGraf"-u, czyli Mirka i Haliny Korbelów?...



Kazimierz Kutrz w pozycji Orła - już w redakcji „Śląska".

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK



1995 10 lat 2005